

" M O J E F R O N T O W E D N I E "

" z ojców mej ziemi przez
wroga wygnany,
Deptać muszę obcych ludzi łany
I słuchać z dala tych szatanów
wycia,
Co ziemię moją okuli w kajdany..."

/ Juliusz Słowacki /

J e r z y J a n k o w s k i
pułkownik artylerii w st.spocz.

W s t ę p.

Mówiąc szczerze, nigdy nie myślałem, że kiedyś zabiorę się do pisania wspomnień. Zawsze byłem zdania, że jest to przywilej ludzi wybitnych, mężów stanu i bardzo wysokiego stopnia dowódców wojskowych.

Przeszły te moje lata jakoś niepostrzeżenie szybko. Zdawałoby się, że jeszcze niedawno byłem młodym mężczyzną, skorym do "bitki i wypitki", a dziś ?

Nie da się ukryć siwych włosów na skroniach, ani też siódmego "krzyżyka".

Obecnie jako emeryt wojskowy mam więcej czasu niż przedtem, a stąd też pomysł moich bliskich i naciski przyjaciół, abym rzucił na papier garść moich frontowych przeżyć, tymbardziej, że mija właśnie pięćdziesiąt lat od tamtych dni.

W ciągu jednego roku i kilku miesięcy, jako dziewiętnastolatek, przeszedłem ogromny szmat drogi. Od Białokrynicy po Riazan' za Moskwą na Wschodzie, po Berlin i rzekę Łabę na Zachodzie. W tamtych latach nie widziałem jeszcze świata poza granicami Polski. Ten właśnie rok pokazał mi nie ludzką ziemię na Wschodzie i potężnego, naszego wroga na Zachodzie.

Ten właśnie mój młody wiek i chłonny na nowości umysł, pozwolił mi wiele faktów zapamiętać z matematyczną niekiedy dokładnością. Widok tego co widziałem był jeszcze bardziej dramatyczny, ponieważ trwał już czwarty rok tej strasznej wojny. Los nie szczędził mi też i widoków makabrycznych, mrozących krew w żyłach, jakie nie zawsze przychodzi się oglądać moim równolatom.

W pisaniu wspomnień dużą pomocą był mój dzienniczek, który prowadziłem na froncie, a także fakt posiadania całej bojowej dokumentacji mojej baterii, cudem uratowanej od spalenia po wojnie przez sztabowych służbistów. Szczególnie

cenne dla mnie były zszywki meldunków bojowych, które codziennie na froncie musiałem przedstawiać do dowódcy dywizjonu, stąd też ten właśnie "luksus" w podawaniu położenia poszczególnych elementów ugrupowania bojowego mojej baterii w poszczególnych etapach walki za pomocą współrzędnych prostokątnych / x i y/.

Służbę wojskową pełniłem z zapałem i z zamiłowaniem. Dla mnie, jako dziewiętnastoletniego młodego mężczyzny, podporucznika, największym zachwytem były nasze, polskie, artyleryjskie przygotowania ataku, potężne nawały ogniowe oraz wielki krąg ognia, który prowadził naszych żołnierzy w polskich rogatywkach ku morzu, Odrze i Berlinowi. Wielka, krwawa żona palącego się i walącego w gruzy Berlina, widziana własnymi oczami, zamiała swym wyglądem wszystkie pożary, które przedtem widziałem. Byłem dumny z tego, że i ja przyczyniam się z każdym dniem walki do zwycięstwa na hitlerowskimi Niemcami.

Na froncie miałem różnych dowódców, dobrych i złych. Byłem mocno oburzony wówczas, gdy ci drudzy, wysyłali naszych żołnierzy, bez najmniejszego sensu na pewną śmierć. Błędną decyzję może podjąć każdy, ponieważ nikt nie ma patentu na nieomyślność, ale gdy przełożony upiera się przy swoim błędzie jedynie dla zasady, by nic nie uronić ze swego i tak już nadszarpniętego "autorytetu" to to jest już zwykłym draństwem. Gdy w takich wypadkach oponowałem, przełożony wydający rozkazy po pijanemu, posądzał mnie o antyradzieckość.

Frontowe drogi mojej baterii znaczyły nie tylko dni triumfu i radości, pochwał i nagród. Były też chwile nadzwyczaj bardzo bolesne. Pisząc te wspomnienia ponownie przeżywałem tamte wydarzenia i dni, myśląc o tych, z którymi razem walczyłem. O tych co przeżyli koszmar wojny i o tych, których znaczyłem znakiem krzyża i całowałem w czoło, gdy jako dowódca baterii składałem ich do żołnierskiej mogiły na polu walki.

Byłem młodym, niedoświadczonym jeszcze oficerem, mającym wiele żołnierskiego szczęścia. Już sam Napoleon twierdził, że oficerowi, prócz solidnej wiedzy potrzebny jest jeszcze żut szczęścia. Na froncie byłem zawsze na pierwszej linii, na odległość rzutu granatem do okopu wroga i byłem zaledwie lekko ranny. To, że byłem na pierwszej linii, cenię sobie najbardziej.

Przeżycia wojenne głęboko wryły się w moją pamięć. Dziś pamiętam jeszcze dobrze wszystkie niemal frontowe

noce i te poranki zamglone kurzem bitwy.

Za szczególny uśmiech losu poczytuje sobie to, że pozwolił mi, skromnemu chłopcu z białokrynickich koszar, wejść w mundurze polskiego oficera na berliński trakt.

Wspomnienia moje piszę językiem prostym, niemal że, wojskowym, bez żadnych pisarskich upiększeń. Stąd nie ma w nich szerokich opisów przyrody, lecz same lakoniczne stwierdzenia faktów, które oglądałem.

Wspomnienia te, przede wszystkim poświęcam żołnierzom mojej frontowej baterii, pochodzącym w większości z Wołyń i Podola. Tym, którzy razem ze mną szli w pamiętnym wówczas 1945 roku Szlakiem Bolesławowym i tym, którzy padli w walce. Bohaterom obecnie zapominanym, tylko dlatego, że do Polski szli z nieuprzywilejowanego w dzisiejszych czasach kierunku świata.

I. " DO WOJA MARSZ, DO WOJA !"

Początek lutego 1944 roku przyniósł masową ucieczkę z Wołynia wszystkich niemieckich urzędów, Volsdojczów i różnej masy odszczepieńców, przed szybką ofensywą sowiecką. Zbliżała się ona do Krzemieńca głuchym pomrukiem artyleryjskiej kanonady.

Już w pierwszej dekadzie stycznia 1944 roku Sowieci zajęli Sarny i zbliżali się do Łucka, Równego i Dubna. Nikt nawet nie przypuszczał, że ten paniczny exodus Niemców nastąpi tak szybko i w sposób gwałtowny.

W majątku Białokrynica, w którym z konieczności pracowałem wraz z ojcem i braćmi, ewakuacja rozpoczęła się już na początku stycznia. Najpierw załadowano do wagonów cały inwentarz żywy, w tym ponad 200 wysokomlecznych krów czerwonej polskiej rasy, którymi chlubił się białokrynicki majątek Liceum Krzemienieckiego. Ewakuację pozostałego mienia majątku zaplanowano na połowę lutego.

Śniegi w tym czasie spadły ogromne, jak to u nas na Wołyniu zwykle bywało w połowie zimy i właściwie sroga zima na dobre teraz właśnie się rozpoczęła.

Zarządca majątku Niemiec Noack w żadnym wypadku nie chciał zwolnić od ewakuacji ani mnie, ani też mojego starszego brata Wiesława. Jedynie mój ojciec, z uwagi na wiek, nie podlegał ewakuowaniu się na Zachód. Rodzice na wszelki wypadek zaopatrzyli mnie i mojego brata w zasobne plecaki z niezbędnymi rzeczami i żywnością, mammo, że nie zamierzaliśmy, właśnie teraz, wyjeżdżać gdzieś w nieznane na Zachód. Wraz z bratem byliśmy zgodni co do tego, że przy pierwszej lepszej okazji uciekniemy z transportu jadącego w kierunku Lwowa. To była obecnie dla Niemców jedyna droga ucieczki, ponieważ cały północny Wołyń zajęty był już przez wojska sowieckie.

Linia kolejowa z Krzemieńca do Smygi i dalej do Kamienicy Wołyńskiej już nie była czynna, a więc postanowiono

że kolumny ewakuacyjne jechać będą swoim własnym marszem.

Na drogach i szosach zaczęły się już pojawiać niemieckie oddziały tyłowe, a z obiektów Liceum Krzemienieckiego śpiesznie zabierano tzw. Wehrmachtsgenesungsheim, czyli taki szwabski szpital dla ozdrowieńców.

W majątku w Białokrynicy Niemiec dał sygnał do wyjazdu kolumny. Nazajutrz o świcie cała kawalkada wozów konnych ruszyła w kierunku Krzemieńca. Marsz utrudniały duże zaspy śniegu i na tę drogę nadawałyby się raczej sanie. Na poboczach drogi leżało sporo granatów ręcznych porzuconych przez wojska węgierskie. Granaty były małe, podobne do polskich, to też łatwo ukryliśmy je w kieszeniach. Większość woźniców stanowili Polacy, członkowie plutonu 12 Pułku Ułanów Podolskich Armii Krajowej, którzy też przezornie zaopatrzyli się w te granaty. Z prowadzonych rozmów wśród woźniców dowiedziałem się że i oni również noszą się z zamiarem ucieczki, przy nadarżającej się okazji, tymbardziej, że i oni pozostawili w Białokrynicy swoje rodziny.

Niemiec Noack pojechał naprzód do Krzemieńca swoją bryczką zaprzęgniętą w białe, ogniste araby, aby dowiedzieć się o miejscu zbiórki kolumn ewakuacyjnych. Gdy kolumna z Białokrynicy zbliżała się do Krzemieńca, niemiecki żandarm poinformował nas, że wszystkie kolumny zbierają się na placu w pobliżu więzienia na Dubieńskiej Rogatce. Po dobrnięciu kolumny do wyznaczonego miejsca, musieliśmy jakiś czas czekać na przybycie wojskowej eskorty. Miała ona niby to chronić nasze kolumny przed napadami band ukraińskich, a w rzeczywistości pilnować, aby nikt z kolumny nie uciekł.

Czując pismo nosem, że przy wojskowej eskorcie ucieczka będzie trudna i wręcz niemożliwa, postanowiliśmy uciekać zaraz. W międzyczasie "nasz" Niemiec gdzieś się zawie-ruszył, więc siedliśmy z bratem na jego bryczkę i pognaliśmy w kierunku Białokrynicy. W pobliżu elektrowni wybiegł na szosę opasły Niemiec z ogromnym Parabellum w dłoni i wrzeszcząc nakazał nam wracać z powrotem. Groził, że jeżeli nie zawrócimy, to będzie strzelał. Mój brat wytłumaczył mu, że jedziemy niby-to po "naszego" Niemca - zarządcę majątku. Szwab coć odburknął pod nosem i w końcu machnął ręką, że możemy jechać dalej "aber schnell"/tylko prędko/.

Araby jakby czując, że musimy stąd jak najprędzej zniknąć, ruszyły galopem. Mknęły dosłownie jak burza. Wjechaliśmy galopem pod Ostrą Górę w Krzemieńcu i ukryliśmy się u znajomego, wprowadzając cały zaprzęg do dużej stodoły. Na szosie do Białokrynicy w tym czasie było pełno niemieckich patroli, więc nie ryzykowaliśmy dalszej jazdy. Obawialiśmy się, że mogą nas aresztować i odstawić ciupasem do kolumny.

Przeczekaliśmy u znajomego w ukryciu kilka godzin, a w międzyczasie przybył też zziębnięty woźnica bryczki Władek Kownacki. Pod wieczór ruszyliśmy do Białokrynicy, lecz drogą bardzo okrężną przez Kuczery, Wesołowkę. Mój brat Wiesław już na Rogatce Dubieńskiej ulotnił się i przez góry dobrnął do Krzemieńca na ul. Słowackiego do państwa Marowskich, u których już wcześniej mieliśmy zapewnioną kryjówkę.

W pobliżu koszar naszego pułku wysiadłem z bryczki i ⁱ peszo doszedłem w pobliże lasu "Sośninka" do domu znajomych. Bałem się pokazywać w Białokrynicy w domu, ponieważ nie chciałem spotkać się "oko w oko" z rozszalałym ze złości Niemcem. Okazało się, że po naszym zniknięciu, również i pozostała reszta białokrynickiej kolumny uciekła wraz z załadowanymi wozami i ukryła się gdzieś.

Poprzez znajomą skontaktowałem się z rodzicami, którzy pod żadnym pozorem nie pozwolili mi wracać do domu. Radzili, bym również dołączył do brata Wiesława u państwa Marowskich.

Mimo ciemności i obowiązującej nadal godziny policyjnej, z duszą na ramieniu, ruszyłem do Krzemieńca przez Maćkową Dolinę i góry. Późnym wieczorem dobrnąłem do gościnnego domu p. Marowskich, którzy już oczekiwali mnie i niepokoili się. Spotkałem tu wielu moich kolegów z plutonu podchorążych AK, którzy też mieli tu wyznaczoną "melinę".

Państwo Marowscy - to rodzice trzech oficerów. Najstarszy Jan w stopniu rotmistrza był w tym czasie kwatermistrzem w Dywizji Pancerniej gen. Maczka, średni Robert, porucznik artylerii przebywał w Niemczech w Oflagu i następnie nasz kolega Ludek, plutonowy podchorąży broni pancerniej z przed wojny z Modlina, a obecnie zastępca Komendanta Obwodu AK w Krzemieńcu. Najmłodszą z tej czwórki była nasza starsza koleżanka z Liceum Krzemienieckiego - Kasia.

Cały czas byłem jakiś niespokojny i obawiałem się

o los rodziców i młodszego rodzeństwa, którzy pozostali w Bia-
łokrynicy, a szczególnie zemsty Niemca za nasze zniknięcie.

Wkrótce Niemcy zarządzili w Krzemieńcu zbiórkę
wszystkich mężczyzn do kopania okopów. Łapani na ulicach mia-
sta dały im mizerny rezultat, to też zaczęli chodzić po domach
i wybierać wszystkich mężczyzn, bez względu na wiek. Oczywiście
w żadnym wypadku nie zamierzaliśmy kopać Niemcom okopów, więc
musieliśmy się wynieść na dzień do pobliskiego budynku gospo-
darczego. Tam na strychu, zagrzebani w sianie siedzieliśmy
całe dni. Spaliśmy i gawędziliśmy na przemian, a od czasu do
czasu Kasia Marowska przynosiła nam najświeższe wiadomości z
frontu i z miasta oraz od czasu do czasu gorący alkoholowy
krupnik. Pewnego razu doniesiono nam, że Niemcy idą przez całą
ulicę Ławą i drobniaczko sprawdzają każdy dom i przybudówki.
Właśnie ta wataha znalazła się już na naszej ulicy.

Ludek Marowski miał dla siebie ciasną kryjówkę
w domu i niebawem go tam wtłoczono. Pozostała nasza czwórka,
/ w międzyczasie dołączył również do nas mój młodszy brat
Bogdan oraz kolega Zenek Szwej z Białokrynicy/musieliśmy szukać
gdzieś pewnego schronienia. Niebawem znaleźliśmy wspaniałą
kryjówkę w na wpół zrujnowanym domu u wylotu ul. Słowackiego,
tuż przy drodze na Kalinówkę. Dom był piętrowy i tam postanowi-
liśmy się ukryć. Weszliśmy do małego pokoiku na piętrze i z ok-
na pilnie obserwowaliśmy co się dzieje wokół. Nie wiem już
teraz kto zauważył niemieckiego żołnierza z bagnetem na kara-
binie podążającego właśnie w kierunku domu, w którym znajdowa-
liśmy się. Oczywiście wiedzieliśmy, że Niemiec poszukuje mę-
czyzn. Pośpiesznie zbiegliśmy wszyscy do piwnicy i w jej ciem-
nych zakamarkach ukryliśmy się. W milczeniu przyłgnęliśmy do
mokrych ścian i z bijącym sercem słuchaliśmy kroków Niemca.
Niemiec wszedł na piętro, a następnie stukając mocno butami
po schodach zatrzymał się przy wyjściu z domu. Kroki jego na
jakiś czas zamilkły. Wydawało się nam, że Niemiec już sobie po-
szedł, lecz postanowiliśmy jeszcze jakiś czas przeczekać w mil-
czeniu. W końcu Wacek Bacdorf wyruszył na rozpoznanie. Miał
wielkiego pecha, ponieważ od razu nadział się na stojącego
tuż za drzwiami Niemca. Słyszeliśmy, że Niemiec wypytywał Wac-
ka czy jeszcze ktoś znajduje się w piwnicy i groził, że rzuci
tam granat. Słyszając to jeszcze mocniej przywarliśmy do ścian

piwnicy i słyszeliśmy jak nam biją serca. Niemiec granatu, na nasze szczęście, nie rzucił, lecz zabrał ze sobą Wacka, który nas nie zdradził. Pomaszerował on z Niemcem do komendantury, lecz wkrótce też im nawiał.

Wieczorem, zziębnięci powróciliśmy do domu p. Marowskich. Przyszła również wkrótce moja mama z Białokrynicy. Opowiadała jak rozszalały Niemiec Noack, po stwierdzeniu, że kolumna białokrynicka poprostu uciekła, odgrażał się, że jeśli napotka kogoś z uciekinierów to natychmiast na miejscu go zastrzeli. Wkrótce jednak i on pośpiesznie uciekł do Lwowa.

Wewnętrzny nasz aeropag uchwalił, że pozostawianie tak dużej ilości mężczyzn w jednym domu jest bardzo niebezpieczne i zachodzi konieczność, mówiąc językiem wojskowym, rozśrodkowania się. Pobyt bowiem tylu mężczyzn w jednym miejscu stał się po prostu tajemnicą poliszynela. Zdecydowano, że Ludek Marowski przejdzie na ul. Pierackiego do państwa Kopiców, natomiast Zenek Szwej oraz moi bracia Wiesław i Bogdan oraz ja, również przejdziemy na ul. Pierackiego do jednego z domków kolonii urzędniczej pod górą Osowicą, do państwa Zalewskich. Z uwagi na to, że nadal łapano na ulicach mężczyzn, postanowiono przedyslokować nas w przebraniu kobiet. O ile nie miano żadnych kłopotów z Ludkiem, Wiesławem i Bogdanem, o tyle było mnóstwo kłopotów z Zenkiem i ze mną. Byliśmy wysocy i takich kobiet właściwie nie spotykało się. Okazało się, że jakoś poradziliśmy sobie z tym przebraniem i znaleźliśmy się w mieszkaniu p. Zalewskich. Córka p. Zalewskiej Maria, była Wiesława koleżanką z jednej klasy, a obecnie zamężną za Kazikiem Ostromęczkim. Kazik później też poszedł z nami do wojska i był oficerem kawalerzystą.

Zaletą mieszkania państwa Zalewskich był wspianiały sch^owek, trudny do odkrycia. Była to ciemna nisza o wielkości 1,5 x 3 m. zakrywaną kuchennym kredensem. Cały czas siedzieliśmy w pokoju i czytaliśmy książki, bądź graliśmy w szachy i w karty, natomiast na noc i w razie alarmu w dzień, przechodziliśmy do owej niszy. Ponadto każdy z nas trzymał dyżur jako obserwator przy oknie i głośno oznajmiał wszystkim, gdy coś godnego uwagi działo się na dworze.

Od czasu do czasu odwiedzała nas moja mama przynosząc z Białokrynicy żywność i wiadomości. Ostatnio mama wraz z siostrą Wandą też zamieszkały u p. Marowskich, natomiast w naszym domu w Białokrynicy pozostał tylko nasz ojciec. Pewnego

razu przeżył nielada przygodę. Jednego wieczoru do naszego mieszkania zważyło się kilku żołnierzy niemieckich na nocleg. Zażyczyli sobie by ojciec napalił w największym naszym pokoju, gdzie umościłi sobie właśnie posłania. Początkowo ojciec mój zamienił się w przysłowiowy słupek soli, ponieważ w piecu, ostatnio właśnie nie używanym, zrobiliśmy sobie magazyn granatów. Leżały sobie spokojnie doskonale ukryte w popiele. Rad nie rad ojciec przystąpił do napalenia w piecu. Powoli rozpoczął wybieranie do wiadra popiołu wraz z granatami. Diabli nadali jeszcze młodego Niemca, który zaproponował ojcu pomoc w wybieraniu tego popiołu. Po krótkiej perswazji Niemiec odstąpił od udzielenia ojcu pomocy i niebawem wszystkie granaty w pieca zniknęły.

Pod koniec trzeciego tygodnia naszej przymusowej "kwarantanny", gdzieś w połowie marca 1944 r., czuło się, że front zbliża się do Krzemieńca. Wieczorami słychać było dudnienie artylerii, a 18 marca pociski artyleryjskie przelatowały już nad Krzemieńcem. Znaczący twierdzili, że to sowiecka artyleria z rejonu wsi Żółoby pod Krzemieńcem ostrzeliwuje mosty na Ikwie.

Rano 19 marca 1944 roku kanonada artyleryjska wyraźnie przycichła i czasami była taka cisza, że aż dzwoniło w uszach.

Nie wiem już kto zauważył na ulicy Pierackiego kolumnienki sowieckiej piechoty kierujące się do centrum miasta. Zaraz też wyszliśmy śmiało na ulice, aby rozprostować trochę kości po tak długim, prawie miesięcznym, siedzeniu w mieszkaniu.

Sowieckim wojskom przyglądałem się z zacięciem, ponieważ wyglądali nieco odmiennie, gdy we wrześniu 1939 roku wtargnęli do koszar 12 Pułku Ułanów w Białokrynicy. Na głowach zamiast cudacznych czapek ze szpicem tzw. "budionówek" mieli normalne czapki futrzane na uszy, białe kożuszki, no i nowość - naramienniki, identyczne jak w carskiej armii.

Na ulicach było dużo sowieckiego wojska, a szczególnie samochodów. Były to amerykańskie Chevrolety, Studebakery, Dodge, Fordy i zwinne Willysy. Na masce każdego samochodu był duży napis "USA". Oczywiście domyślaliśmy się, że jest to amerykańska pomoc dla Sowietów. Rozklekotanych sowieckich ciężarówek typu ZIS-5 nie było wogóle widać.

Pierwsze swoje kroki skierowałem do domu mojej krzemienieckiej sympatii, Haliny Korczewskiej. Zastałem tam już wiele moich koleżanek i kolegów, a siostra Haliny, Milka, grała na pianinie nasze wojskowe melodie. Dźwięki pianina niosły melodie znanych i kochanych piosenek. Podobają się mi szczególnie jedna melodia. Na nutach tej piosenki brzmiał tytuł, ^{POBEGNIANIE SPOWIAKÓW} a kompozytorem był jakiś Rosjanin. Tak, to była nasza partyzancka piosenka "Rozszumiały się wierzby płaczące"

Wkrótce na mieście rozlepiono ogromne plakaty oznajmiające o poborze do wojska. Pobór obowiązywał mężczyzn z roczników 1895 - 1926, oraz młode niezamężne kobiety z roczników 1920 - 1925.

Rosjanie opowiadali, że razem z nimi walczy polska armia. W czasie okupacji niemieckiej, w jednej z gazet czytałem wzmiankę o wziętych do niewoli żołnierzach polskich z dywizji zorganizowanej i uzbrojonej przez Sowietów oraz bitwie pod Lenino. Nie bardzo wówczas wierzyliśmy Niemcom, bo przecież i armia polska pod dowództwem gen. Andersa też formowała się niedawno w Rosji. A tak prawdę mówiąc, to wogóle nie wiedzieliśmy nic dokładnie co to jest za armia i co w tej sytuacji mamy robić. Przecież już raz składałem przysięgę wojskową w AK i co mamy robić, gdy każą nam składać drugą przysięgę ?

Komendant Obwodu AK w Krzemieńcu wyjaśniał nam jeszcze przed tym, tak na wszelki wypadek, że w takiej sytuacji dla uniknięcia represji mamy poprostu taką przysięgę złożyć, chyba że skierowana byłaby przeciwko Polsce.

Nie orientowałem się wówczas jak właściwie wyglądają stosunki pomiędzy naszym rządem w Londynie, a Sowietami. Nasz dowódca plutonu podchorążych AK w Krzemieńcu, nakazał nam wstąpić do armii Berlinga, aby uniknąć wcielania do armii sowieckiej.

Zgłaszającym się do poboru, plakaty nakazywały stawić się 28 marca 1944 roku w budynku przedwojennego PKU i zabrać ze sobą żywność na 7 dni.

Poborowi do wojska podlegał mój brat Wiesław i ja. Wobec tego udaliśmy się do Białokrynicy, do domu, gdzie rodzice rozpoczęli kompletować nasze wyposażenie na tę wojaczkę. Ten pobór dotyczył również liczne grono moich kolegów z Liceum Krzemienieckiego i z AK, jak też bardzo wielu podoficerów i ułanów z 12 Pułku Ułanów Podolskich.

Nazałutrz cała rodzina odprowadzała nas do

budynku PKU. Była tam już liczna rzesza żegnających swoich bliskich. Nadeszła chwila pożegnania. Najczulej żegnała mnie matka. Chyba tylko matki w ten sposób żegnają swoich synów odchodzących na wojnę. Miłość mojej matki wspominam jako coś najjaśniejszego w moim dzieciństwie i w wieku męskim. Pamiętam, że mocno tuliłem się do niej, gdy jej ręka głaskała moją rozwichrzoną czuprynę. Do dziś pamiętam tamtą chwilę, gdy tam, przy PKU, trzymała mnie w objęciach, całowała i znaczyła znakiem krzyża świętego. Ojciec żegnał mnie tak prosto, po męsku. Widziałem, że dławi go coś w gardle, ale nic nie mówił. Potem pożegnanie z siostrą i bratem, z sympatią oraz całą gromadą koleżanek szkolnych z Liceum Krzemienieckiego. Na plecach, podobnie jak i inni, miałem duży plecak. Ubrany byłem dość ciepło, ponieważ leżał jeszcze dość duży śnieg. W nocy były przymrozki, choć czuć już było podmuchy wiosny.

Wraz z innymi przekroczyłem bramę PKU. Wkrótce rozpoczęła się rejestracja. Po przedłożeniu dokumentów takich jak świadectwo ukończenia Średniej Szkoły Leśnej w Białokrynicy w 1943 r. oraz podaniu innych personaliów, siedzący w komisji major niby to do siebie, niby do siedzących obok pisarzy rzekł: "Polska szkoła oficerska". Podobne przydziały otrzymali i inni koledzy.

Po rejestracji, /których w ciągu następnego miesiąca było kilka/ zajęliśmy dużą salę, by gdzieś przenocować do jutra. Szyb w oknach ani też drzwi nie było, a stojący na korytarzu sowiecki sierżant powiedział: "Ustraiwajties kak nibut" /urządzajcie się jakoś/. Nie przypuszczałem wówczas, że zwrot ten będę jeszcze niejednokrotnie słyszał w wypadkach, gdy przełożeni w sprawach organizacyjnych wykazywali kompletną indolencję.

Nie mieliśmy już co robić to też przyszło nam na myśl porozmawiać przed PKU z ciągle jeszcze tam czekającymi znajomymi. Niestety, niski wzrostem wartownik ze skośnymi oczami, z karabinem przewyższającym jego wzrost, niezmiennie piskliwym głosem wykrzykiwał: "Nie lzia" /nie wolno/.

Wśród naszej braci krzemienieckiej było bardzo wesoło, łączyła nas bowiem nie tylko dobra przyjacielska znajomość ze szkoły, lecz także ostatnio i z Armią Krajową. Niektórzy dla dodania sobie animuszu rozpakowali swoje plecaki i zaczęli popijać sobie wódkę oraz palić papierosy, choć nie tak dawno byli jeszcze wzorowymi harcerzami. Do późna opowiadano

w małych gromadkach różne śmieszne kawały. Wesoły ten nastrój przerwał sowiecki sierżant, oznajmiając, że o godzinie 4-tej rano nastąpi pobudka, a godzinę później wyruszą do Dubna, gdzie mieścił się sowiecki zapasowy pułk piechoty. Pułk ten rozdzielał poborowych odpowiednich narodowości do poszczególnych armii: Polaków do polskiej armii, Czechów do czeskiej, a pozostałych - do sowieckiej.

O świcie zrobiono nam pobudkę, a następnie po takim niewielkim śniadaniu z własnych plecaków, nastąpiło formowanie kolumn narodowościowych.

Była już właściwie kalendarzowa wiosna, powiewał nawet ciepły wiatr topiący masy śniegu. Martwił się z tego powodu, ponieważ od kilku miesięcy nieusuwania śniegu z szosy powstaną tam istne jeziora z topniejącego śniegu.

Niektórzy nasi koledzy z gimnazjum, narodowości rosyjskiej nie chcieli iść do sowieckiego wojska i prosili nas byśmy przemycili ich do naszej polskiej grupy. Wprawdzie byli oni wyznania prawosławnego, lecz w domu ich mówiło się zazwyczaj po polsku. W gimnazjum trzymali się raczej Polaków niż wyznawców jednej wiary - Ukraińców. Kilku z nich przyjęliśmy do nas, lecz już w Dubnie, ktoś z Ukraińców, doniósł o tym Sowiecom i musieli wracać do innej kolumny.

Wreszcie kolumny ruszyły. Do Dubieńskiej Rogatki towarzyszyły nam jeszcze duże grupy znajomych, sympatii i rodzin, lecz gdy minęliśmy już krzemieniecką elektrownię - maszerowaliśmy już sami. Bałem się mocno o swoje buty, ponieważ zelówki w nich trzymały się tak ledwo, ledwo. Gdy nie byliśmy jeszcze zmęczeni były nawet marszowe piosenki, lecz w miarę upływu kilometrów śpiew milkł. Rozpoczęła się jakże dobrze mi znana szosa do Białokrynicy. Niezliczone ilości razy przemierzałem nią idąc do szkoły w czasie sowieckiej okupacji, a później na ćwiczenia w plutonie podchorążych AK. Do dziś dnia pamiętam w szczegółach jej konfigurację w terenie: górki, spady, podejścia, a nawet miejsca gdzie stały słupy kilometrowe.

Koło domu p. Bacdorów w Białokrynicy wyległa na szosę cała rodzina szukając nas w tłumie. Mnie i Wiesława dojrzała pani Stacha Bacdorówna i wojskała nam bochenki chleba i butelki wódki. Wódka w tym czasie była jedynym cennym pieniądzem wymiennym. Od tych dodatkowych dostaw żywnościowych nasze plecaki w oczach pęczniały i dosłownie

trzeszczały w szwach.

Zbliżaliśmy się do koszar 12 Pułku Ułanów Podolskich. Nastąpił moment rozrzewnienia. Wpatrywałem się w dobrze znane mi budynki koszarowe, w kościół garnizonowy, w którym byłem przecież ochrzczony i w którym aż do 1939 roku służyłem do mszy św. Nie mogłem dosłownie oderwać oczu od mojego rodzinnego domu w koszarach. Minęliśmy bramę główną koszar, powyszczerbiane ogrodzenie oraz stajnie i budynki koszarowe bez okien. Wszędzie tam zionęła głucha pustka.

Za koszarami zatrzymano kolumny na mały odpoczynek, a w rzeczywistości czekano na wojskową eskortę, która bezpiecznie doprowadziłaby nas do Dubna. Zdarzały się ponoć już wypadki rozpędzania kolumn poborowych przez bandy UPA. Kolumny zeszyły z drogi do lasu "Sośninka", a raczej do miejsca gdzie ten lasek był. W czasie okupacji niemieckiej, Niemcy stacjonujący w koszarach w obawie przed napadami band ukraińskich, po prostu "Sośninkę" wycięli. Bardzo lubiłem ten lasek, miejsce dziecięcych zabaw.

Z przyjemnością usiadłem na kłodzie drzewa i dalej przyglądałem się koszarom. Z tego miejsca wyglądały one jednak najpiękniej. Chłonałem oczami każdy szczegół na terenie koszar, chcąc widok rodzinnego miejsca zapamiętać na długo, a kto wie czy nie na zawsze.

Do dziś dnia pamiętam na terenie koszar każdy budynek, każde załamane muru. Mogę się przecież pochwalić, że nie było na terenie koszar żadnego strychu gdzie by moja noga nie stanęła. Za czasów dziciństwa nieraz oberwałem od ojca za to tęgie lanie.

Zjawiła się wreszcie wojskowa eskorta i kolumny ruszyły naprzód. Wkrótce minęliśmy Smygę, robotniczą osadę z ogromnym tartakiem i fabryką mebli należącą przed wojną do Liceum Krzemienieckiego. Dochodziliśmy do czeskiej wsi Sudobice. Właściwie to przeszliśmy dopiero 25 kilometrów, a nogi mieliśmy dosłownie jak z waty. Nic dziwnego. Długotrwałe, przymusowe siedzenie w domu, brak treningu fizycznego i forma marszowa pierzchała. Dobrze się stało, że naszej kolumnie towarzyszyła kawalkada zarekwirowanych podwód chłopskich, na których złożyliśmy swoje plecaki.

Pod wieczór dobrnęliśmy wreszcie do Dubna. Minęliśmy stację kolejową, koszary 43 pułku piechoty i 2 dywizjonu artylerii konnej, a kolumna nasza maszerowała gdzieś dalej.

Okazało się, że to dopiero przedmieście Dubna - Surmicze, a do centrum miasta jeszcze trzeba nałożyć 5 kilometrów.

O zmroku dobrnęliśmy potwornie zmęczeni do celu naszego marszu. Na zakwaterowanie kilku tysięcy przybyłych poborców przeznaczono stary, prawosławny klasztor. Tam nam ozjämiono, że możemy tu "kak nibut" "urządzać się. Wraz z kolegami wybraliśmy dużego rozmiaru celę kłasztorną o grubych ścianach, łukowatych sklepieniach, opadającym tynkiem i mokrymi ścianami. Cała kamienna podłoga przedstawiała raczej bagnistą sadzawkę. Koledzy przynieśli wkrótce jedno przesło parkanu ze sztachetami z którego zrobiono coś co przypominało pryczę.

Ułożyliśmy się wreszcie zmęczeni do snu sądząc, że po takim ogromnym wysiłku zaraz każdy z nas zaśnie kamiennym snem. Przedtem, profilaktycznie buty oraz plecaki ułożyliśmy u wejścia, ponieważ nazajutrz, w takim bałaganie, moglibyśmy obudzić się bez plecaków, a co najważniejsze - bez butów. Niestety, tej nocy spanie nie było nam sądzone. W sąsiedniej sali panował głośny harmider, dalej ktoś miał padaczkę i boleśnie zawodził, a jeszcze inny miał trąbkę i wygrywał na niej rozmaite trele, fałszując niesamowicie jakiś utwór. Później podchmieleni Ukraińcy zawodzili swoje smętne dumki. Okazało się, że nie tylko ja nie mogłem spać. Wszyscy przewracali się z boku na bok, a sen nie przychodził. W końcu Jurek Symon do samego prawie rana opowiadał nam wspaniałe kawały.

Nazajutrz, 30 marca 1944 roku zrobiono zbiórkę całości. Nas Polaków przeniesiono do innego budynku w centrum miasta, gdzie podobno niedawno była suszarnia chmielu. Było tam przynajmniej sucho. Niebawem wręczono wszystkim łopaty i wygoniono na odśnieżanie szosy w kierunku dofrontowym na Brody oraz leżącego tuż za miastem sowieckiego (półowego) lotniska. Do pracy jak i z pracy śpiewaliśmy polskie wojskowe piosenki, a największe wzięcie miała "Marsz, marsz Polonia". Nawet prowadzącemu nas do pracy sowieckiemu starszynie przypadła mocno do gustu.

Na nasze zapytania, kiedy wreszcie pojedziemy do polskiej armii, Sowieci odpowiadali nam niezmiennie: "Skoro, skoro". / wkrótce, wkrótce/. Odwalaliśmy więc ten cholerny śnieg i niesamowicie klęliśmy na nasz los.

W następnych dniach nie działo się nic godnego uwagi, chyba to, że zmieniono nam rodzaj pracy. Odtąd chodziliśmy codziennie na stację kolejową, gdzie wyładowywaliśmy z wagonów

do samochodów owies, jakieś skrzynie oraz przetaczaliśmy z cystern kolejowych do 200 litrowych beczek ropę oraz benzynę.

Pewnego dnia po powrocie z pracy sowiecki sierżant ogłosił, by na drugi dzień rano zgłosili się do niego "medycynskie robotniki", czyli tacy, którzy mieli coś kiedyś wspólnego z medycyną. Wielu naszych kolegów zgłosiło się rano, mimo że dotychczas z medycyną nie mieli nic wspólnego. Już na zapas cheźpili się, że jako sanitariusze będą siedzieli w ciepłych pomieszczeniach. Załadowano więc ich na samochody i powieziono w nieznanym kierunku. Późnym wieczorem powrócił niesamowicie zmęczony i wybrudzony a głównie mocno źli. Początkowo nie chcieli uchylić rąbka tajemnicy gdzie ich powieziono i co robili, lecz z czasem zwierzili się nam. Powieziono ich poza Dubno, na rozległe, podmokłe łąki, gdzie front stał w miejscu dosyć długo. Tam kazano im zbierać z pobojowiska trupy poległych sowieckich żołnierzy, wyjmować wszystko z kieszeń i kłaść do prowizorycznych trumien. Zwłoki podobno mocno już cuchnęły, więc dano im na usta i nosy tampony nasyczone czymś. Teraz z kolei my zaczęliśmy się z nich śmiać, ale nie było tu nic do śmiechu. Nazajutrz gruby sierżant sowiecki wykrzykiwał, by zbierali się na zbiórkę "medycynskie robotniki", którzy wczoraj wyjechali na zadanie specjalne. Niestety, nikt już nie dał się nabrać. Całe szczęście, że nie spisano wczoraj ich nazwisk, w przeciwnym bądź razie musieliby tam jechać ponownie.

A tak wogóle, to Sowietci ustawicznie zaskakiwali nas różnymi niespodziankami. Jednego dnia poszukiwali pilnie inżynierów, kreślarzy i geodetów, innego znów dnia pilnie potrzebni byli literaci, aktorzy i piosenkarze. Nikt już nie dał się nabrać na to.

W jednym z kolejnych dni podzielono nas na zbiórce na plutony. W każdym plutonie było po 50-ciu poborowych. Z reguły na dowódców plutonów wyznaczano tych, którzy służyli już w wojsku i cośkolwiek się na nim znali. W naszej grupie krzemienieckiej nikt nie służył w wojsku i sierżant sowiecki długo się nam przyglądał kogoby tu wyznaczyć na dowódcę. W końcu wzrok jego padł na mojego starszego brata Wiesława odzianego w ojca płaszcz wojskowy. Z miejsca tonem nie znoszącym sprzeciwu wyznaczył go na naszego dowódcę. Cały więc pluton to krzemieniecka wiara. Znudziła nas już do reszty ta praca z przeładunkami na stacji kolejowej w Dubnie i codzienne tam długie marsze i wraś

teraz postanowiliśmy trochę poleniuchować. Na porannych zbiórkach, gdy miano nas wyprowadzać na roboty, za naszym dowódcą plutonu, Wiesławem, stało nas zaledwie kilku. Na zapytanie kapitana sowieckiego, czy dziewiąty pluton jest / tu patrzył na postać Wiesława/ Wiesław niezmiennie, ze spokojem odpowiadał "Jest!", chociaż kilku było tylko obecnych. W wielu innych plutonach było wielu ułanów i podoficerów z 12 Pułku Ułanów Podolskich.

Do Dubna często przyjeżdżały nasze mamy i sympatie przywożąc nam coś do zjedzenia. Wykorzystywały one kursy licznych sowieckich samochodów ciężarowych jeżdżących na trasie Krzemieniec - Dubno i z powrotem. Kierowcy za pół litra samogonu praktycznie zabierali wszystkich. W ten to właśnie sposób wałówka nieustannie płynęła do nas, ponieważ nie sposób było żyć na jedzeniu, które nam dawano.

W tym pułku zapasowym, a raczej tylko właściwie w polskiej grupie przygotowanej do odjazdu do polskiej armii, porządek dnia podobny do był do porządku dnia w jednostce wojskowej. Bardzo śmieszyło nas, gdy sowiecki sierżant, szef naszej kompanii przy apelu wieczornym podawał komendy nie istniejące w sowieckiej armii, a tylko w polskiej np. "K malitwie" / do modlitwy/ lub "Rotu!" co oznaczało, że mieliśmy śpiewać rotę. Gdy pytaliśmy dlaczego podaje komendy i porządek dnia jaki obowiązuje przecież w polskiej armii, ten odpowiadał, że tak mu nakazano.

Nadchodziły święta wielkanocne. Ze smutkiem wspominaliśmy święta spędzone w domu, nawet te wojenne święta. Miłym wydarzeniem w czasie świąt były zaręczyny naszego starszego kolegi z Krzemieńca - Ludka Marowskiego z Danusią Kapićówną. W domu u państwa Dotków nasze mamy zorganizowały sute przyjęcie zaręczynowe. Rodzina p.wachmistrza Dotki od roku właśnie mieszkała w Dubnie.

5 kwietnia 1944 roku oznajmiono nam na porannym apelu, że nazajutrz nastąpi nasz odjazd do polskiej armii. O świcie całą naszą polską kolumnę liczącą około 3 tysięcy ludzi wyprowadzono na stację kolejową w Dubnie. Poszczególne plutony zajęły wyznaczone wagony. Nasz pluton miał szczęście, ponieważ dostaliśmy szosunkowo nowy i czysty wagon z pryczami oraz piecykiem. Niebawem rozlokowaliśmy się w wagonie i każdy z nas zakrzętał się przy zbieraniu opału. Znalazło się więc wkrótce

suche drzewo i węgiel. Ktoś rozpalił w piecyku i zrobiło się wkrótce ciepło i przyjemnie. Rozbrajające ciepło rozeszło się po całym wagonie. Zaczęły dopisywać humory. Józek Rabczuk, nasz starszy kolega z Liceum Krzemienieckiego /obecnie podpułkownik w stanie spoczynku/ wyciągnął swoje koncertowe organki i rozpoczął koncert. Grał naprawdę koncertowo i pięknie. W ruch poszły wszystkie rzewne melodie, a głównie wojskowe. Największe powodzenie miała piosenka Jerzego Petersburskiego, skomponowana jeszcze przed wojną, "Mała, błękitna chusteczka". Piosenka ta teraz przeżywała drugą swoją młodość. Nawet sowieci użyli jej melodi do swoich słów mówiących o wyruszaniu młodzieńca na wojnę ze swojego rodzinnego miasteczka.

Po rozlokowaniu się na pryczach każdy przystąpił do pitraszenia sobie posiłku. Na deklach od menażek smażono słoninę, kiełbasę i wogóle co kto miał. Popijaliśmy to wódką zabraną jeszcze z domu.

W tym dniu wrażeń było zbyt dużo, to też szybko zaczęło nas opanowywać znużenie. Wyznaczyliśmy wartę, która czuwałaby nad naszymi rzeczami oraz nad piecykiem, by nie wygasł a sami poszliśmy spać.

W nocy wagony drgnęły i ruszyliśmy w dalszą podróż. Jechaliśmy przez Zdołbunów, Sławutę / już za naszą granicą w 1939 roku/, przejechaliśmy rzekę Wilię i Horyń. Dalsze miejscowości odczytywaliśmy z napisów na stacjach kolejowych : Szepietówka, Połonne, Cudnów, Miropol, słynny Berdyczów, Kazatin, Fastów oraz Kijów.

7 kwietnia 1944 roku byliśmy na przedmieściach Kijowa. Wszystkie kijowskie dworce kolejowe dosłownie były zawałone wojskowymi transportami kolejowymi, z tego też powodu nasz transport trzymano po parę nawet godzin na postoju na różnych bocznych torach. Ten przymusowy postój wykorzystaliśmy na uzupełnienie opału do piecyka. Wykombinowany opał jeszcze w Dubnie już się skończył i groziło nam siedzenie w zimnym wagonie.

Jadąc ze Zdołbunowa na wschód oglądaliśmy bardzo duże zniszczenia na torach kolejowych, spowodowane walkami. Niemcy również celowo niszczyli za sobą tory kolejowe. Ich potężny pług kolejowy przeorał na połowę podkłady kolejowe skręcając przy tym szyny w misterną spiralę. Niemcy wszędzie pozostawiali po sobie potworne zniszczenia i ruiny.

Późnym wieczorem nasz transport kolejowy wreszcie ruszył z miejsca i ^opóknocy z 7 na 8 kwietnia zatrzymał się na bardzo wysokim, prowizorycznym moście kolejowym na rzece Dniepr. Był to most wysokowodny, sterczący bardzo wysoko nad lustrem wody i z daleka wyglądał tak, jak gdyby zbudowany był z zapavek.

Z tego stania dłuższy czas na samym moście byliśmy mocno zatrożeni, bo nie daj Bóże jakiś nalot i już po nas.

Tak sobie bowiem kalkulowaliśmy, co też w takim Kijowie może być opłacałym ^{celem} do bombardowania, jeżeli naprzykład nie most. Na przyczółkach mostu stało wiele baterii artylerii przeciwlotniczej małego i średniego kalibru i już to nawet wskazywało o ważności mostu. Załogi przyrządów pomiarowych oraz obsługi dział stanowiły wyłącznie sowieckie kobiety - żołnierki.

Ledwo tylko zdążyliśmy pomyśleć o naszym fatalnym położeniu na moście, gdy zabrzmiały donośne ryki syren oznajmających nalot lotniczy. Po pewnym czasie usłyszeliśmy tak dobrze znany z 1939 i 1941 roku pomruk niemieckich bombowców. Mieliśmy porządne stracha o swój los, by niepotrzebnie nie stracić w taki głupi sposób swego życia na byle moście. Niemieckie bombowce najpierw zrzuciły bomby oświetlające. Za chwilę świat cały skożowaciał od gromu i huku bomb. Rozpoczął się równocześnie potężny grzmot setek dział przeciwlotniczych sowieckiej artylerii. Przy świetle niemieckich bomb oświetlających, smugach licznych reflektorów przeciwlotniczych oraz przy blasku wystrzałów artylerii było dosłownie widno jak w dzień. Rozpętało się dosłownie piekło. Ten huragan trwał dobrą godzinę i przeniósł się następnie na wschodnie przedmieścia Kijowa. Tam właśnie było widać przez dłuższy czas potężną żunę pożarów. Nad ranem nalot ustał. Nasz transport kolejowy wreszcie ruszył i niebawem wtoczył się na ładny, mało zniszczeń, główny dworzec kijowski. Nieopodal dworca stał piękny kościół gotycki. Koledzy, którzy poszli do miasta po zakupy byli w tym kościele. Był to o dziwo czynny kościół katolicki, lecz prócz kilku starych babek nikogo na odprowadzającej się właśnie mszy św. nie było.

W Kijowie staliśmy niedługo i wkrótce ruszyliśmy dalej na wschód. Tuż za Kijowem oczom naszym ukazał się upiorny widok. Było to ogromna podkijowska stacja rozrządowa Darnica. To tu właśnie spadło niemieckie oko cyklonu dzisiejszej nocy. Na pułapie ponad 8000 m. przyleciało tu na rozpo-

nanie kilka samolotów niemieckich Fokke-Wulf 198, a parę minut po nich zwała się z nieba cała armada niemieckich bombowców Junkers. Celem jedynym była właśnie ta ogromna stacja rozrządowa transportów kolejowych. W czasie nalotu na stacji znajdowało się bardzo dużo eszelonów wojskowych i transportów z zaopatrzeniem. W jednym z takich eszelonów znajdował się również polski 1 dywizjon artylerii przeciwlotniczej jadący do nowego rejonu 1 Polskiej Armii na północ od Żucka.

Wokół oglądaliśmy tylko same zgliszcza i poparzone, niesamowicie powykręcane tory kolejowe i popalone ludzkie zwłoki. Wszystko to przemieszane było z popalonym ziarnem zbóż, stopionym od gorąca cukrem i belami tlejącej się bawełny. Obok leżały cielska ogromnych, rozprutych wybuchami, cystern kolejowych z których jeszcze sączyły się jakieś chemikalia.

Nasz transport niebawem opuścił tę upiorną stację i dalej kierowaliśmy się na wschód. Jechaliśmy przez Browary, Nosówkę, Nieżyn, Bachmacz, Konotop, Worożbę do Sum. Trasa liczyła 300 kilometrów.

Wreszcie dojechaliśmy do stacji decelowej, Sumy. Na peronach było pełno naszych żołnierzy, to też oni byli teraz obiektami naszego zainteresowania.

Po wyładowaniu się z transportu, czwórkami pomaszerowaliśmy w kolumnach kompanijnych do pobliskich koszar. Był to stosunkowo duży kompleks koszarowy i niegdyś bardzo ładny. Za carskich czasów był tu korpus kadetów. Później za czasów sowieckich koszar nie remontowano, to też ich blask dawno już minął.

Właśnie nasza kompania wchodziła w bramę koszar, gdy jeden z kolegów krzyknął, abyśmy uważnie przyrzegli się wartownikowi. Oczy nasze jak na komendę skierowały się tam. Przy budce wartowniczej, w wojskowym mundurze, z bronią w ręku, stała wątła postać dziewczyny. Później dowiedzieliśmy się, że podobnie jak i u Sowieców, nasze dziewczyny też powołane zostały do naszego wojska, a jedna z kompanii kobiecego batalionu im. Emilii Plater, pełni służbę wartowniczą w Polskim Ośrodku Formowania Armii w Sumach.

Ustawiono nas na placu koszarowym i znów dokonano podziału na plutony i kompanie. My Krzemieńczanie znów trzymaliśmy się razem. Wkrótce przed naszym szeregiem zjawili się podstarzały sierżant i oznajmił nam, że jest szefem

SIUŻBA
HOJSKA



Orzełek na czapkę, którego nikt nie chciał
zaaprobować.



Fot. 13. Przybycie poborowych do Ośrodka Formowania Armii Polskiej w Sumach

Polska wołyńska wieś tłumnie szła do wojska.

naszej kompanii. Wyłożył swoje credo co do jego wymagalności i porządku wojskowego w kompanii i z marsową miną przeszedł się przed naszym frontem bacznie wpatrując się w nasze fizjonomie. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że przed wojną służył również jako szef kompanii w 52 pułku strzelców kresowych w Złoczowie.

Zaprowadził nas do budynku koszarowego, gdzie wyznaczono nam sale do spania. Oczywiście na salach nie było wogóle sprzętu kwaterunkowego, a tylko czarne, odrapane ściany. Szef kompanii co i raz to nas przestrzegał, że nie będzie tolerował studenckich wybryków, lecz w gruncie rzeczy był dość pobłażliwy. Nie wiem skąd wkrótce dowiedział się, że jesteśmy synami / Wiesław i ja / chorążego z 12 Pułku Ułanów - mieliśmy pełne względy u szefa.

Całe szczęście, że zarówno mój brat Wiesław jak i ja, oraz niektórzy moi koledzy, mieli ze sobą koce z domu, które służyły nam ^{do}wymoszczenia legowiska do spania. Służyły za materac oraz jako przykrycie w chłodne jeszcze noce.

Kewnego dnia do naszego plutonu przyprowadzono nowego kandydata na żołnierza polskiego. Był nim Witek Janda, mój późniejszy serdeczny kolega i przyjaciel na froncie, a następnie już jako pułkownik, wykładowca taktyki artylerii w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie. Gdy po raz pierwszy ujrzeliśmy Witka, z miejsca, o mało co, nie parsknęliśmy gromkim śmiechem z powodu jego wyglądu. On o dziwo wiedział o co chodzi i również się z nami śmiał. Do wojska został powołany z Kazachstanu dokąd wywieziono jego rodzinę w 1940 roku ze Lwowa. Witek naprawdę wyglądał cudawznie i śmiesznie. Na głowie cyklis-tówka bez daszka. Porwana i połatana kurtka, jak gdyby z młodszego brata. Niby to długie spodnie, lecz sięgające zaledwie za kolana i okropnie postrzępione nogawki. Trzewiki, by nie odpadła zupełnie podeszwa, przywiązana była drutem.

To co Witek później opowiadał nam o gehennie wywiezionych naszych rodaków w Kazachstanie, słuchaliśmy z przerażeniem i jednocześnie z oburzeniem. Witka relacje całkowicie potwierdziły się, gdy i inni poborowi zaczęli nam opowiadać co się działo w miejscach ich odosobnienia na Sybirze i za Kręgiem Polarnym. Wszyscy oni przyjechali do Sum w stanie kompletnego wyczerpania fizycznego i wpełnej materialnej biedzie. Po kolei zaczęliśmy odwiązywać nasze zasobne plecaki i dzielić się tym wszystkim wyżywieniem z naszymi biednymi Rodakami.

Wyżywienie w Sumach było, jak na owe czasy, bardzo dobre i smaczne, a szczególnie obiady. Do kotła wkładano tylko produkty amerykańskie. Szczególnym naszym przysmakiem, było w niektóre dni, drugie danie, składające się z gotowanego ryżu wraz z amerykańską wieprzową konserwą tzw. świnną tuszonką. Ryż nam bardzo smakował, ponieważ ostatni raz go jedliśmy jeszcze przed wojną. Po takim wspaniałym jedzeniu trudno było umyć menażkę z tłuszczu. Oczywiście poradziliśmy sobie z tym stosując mycie menażki piaskiem - jak na obowie harcerskim.

Istnym curiosum w koszarach była polowa latryna. Był to rów o długości 100 metrów, szerokości 2 m i tyleż głęboki. Na tym rowie co pół metra położone sosnowe bale i to wszystko. Trzeba było bardzo mocno uważać, szczególnie w nocy i po deszczu, aby nie zsunąć się raptownie do tego rowu pełnego "złota". O ile mężczyźni jakoś sobie z tym radzili, o tyle dziewczęta przechodziły istne męki. Nie zadbano o to, by, po pierwsze, latryny dla nich były skryte przed oczami ciekawskich. Korzystały więc biedne nasze dziewczęta z latryny tylko w nocy, gdy nikogo wokół nie było. Były więc częste wypadki, że biedne wpadały do tych dołów. Winę za taki stan rzeczy ponosi w pierwszym rzędzie dowództwo owego Ośrodka Formowania, które powinno wykonać inną latrynę dla kobiet.

Kilku naszych kolegów załatwiło sobie przydział do lotnictwa: Tadek Buszyński, Kazik Wierzbicki i Tadek Baccdorf. Jeszcze w czasach gimnazjalnych marzyli oni o lataniu, to też nie przepuścili oni obecnie okazji, by ich marzenia przyblokły się w realny kształt. Biedacy, nie wiedzieli, że do Kraju powrócą z pełnym ze szkolenia i to tylko w stopniach podchorążych, dopiero na początku 1947 roku, gdy my byliśmy już po walakach na froncie, z wysokimi odznaczeniami i najczęściej już z dwoma gwiazdkami na naramiennikach. Później służyli oni w naszym polskim lotnictwie dosługując się stopni pułkowników. Tadek Buszyński był w lotnictwie myśliwskim, natomiast pozostali - w ~~bombardującym~~.

Wreszcie przyszła kolej na mundurowanie. Byliśmy z tego powodu zadowoleni, ponieważ nasze ubrania zabrane z domu, były już mocno sfatygowane i wybrudzone, a obuwie na gwałt wymagało interwencji szewca.

Rano, jednego z dni pobytu tam, poprowadzono naszą kompanię nad pobliską rzekę Psioł, gdzie stało kilka du-

zych namiotów. Przed jednym z nich kazano się nam rozbierać do naga. Z miejsca podnieśliśmy protest, ponieważ w niewielkiej odległości od nas, coś około 30 metrów, za płotem, stała cała gromada miejscowych kobiet i mężczyzn w oczekiwaniu na nasze cywilne ubrania. Cywile ci sądzili, że wobec konieczności, sprzedamy im nasz przydziewek za bezcen. Ponadto, wokół namiotów kręciło się sporo siostr medycznych obsługujących komisję lekarską i punkt mundurowy. Owe siostry wprawdzie miały białe, medyczne fartuchy, a na głowach czapki polowe, ale to przecież zawsze kobiety.

Nasze protesty nie pomogły i niebawem wezwano nas golasów do namiotu, w którym była niby to kąźnia. Gdyby ktokolwiek nas wówczas oglądał, z pewnością sądziłby, że powróciliśmy z obozu koncentracyjnego. Po tylu latach okupacji, niewygód i niedojedzenia, każdy z nas przypominał swoją posturą raczej chudego fakira.

W następnym namiocie znajdowała się komisja lekarska. Przy stołach siedzieli lekarze, pielęgniarki oraz pisarze. Siedzący na głównym miejscu wąsaty lekarz, kopiąc jakiegoś skręta, kątem oka spoglądał na nasze mizerne postacie i tak od niechcienia rzucał przez ramię, do siedzącego pisarza zdanie: "Zdrowy. Następny !" Tam dodatkowo strzyżono nam głowy / i nie tylko/ na przysłowiowe "zero". Po tych postrzyżynach wyglądaliśmy jak katorżnicy.

Nareszcie skierowano nas do namiotu mundurowego. Każdy z nas sądził, że tak jak w sklepie, bądź u krawca, będziemy sobie spokojnie przymierzać umundurowanie. Niestety, nic z tych rzeczy. Gruby sierżant-magazynier kazał nam wyciągnąć przed siebie ręce, a jego pomocnik kapral, narzucał nam cały stos przedmiotów mundurowych zwanych nie wiadomo dlaczego: sortami mundurowymi. Gdy na naszych rękach urosła już pokaźna góra tych przedmiotów, kazano nam się wynosić z namiotu na dwór i tam się bawić z przymierzaniem i dopasowywaniem. Ja osobiście nie miałem żadnych trudności z dopasowaniem wydanego munduru. Byłem wówczas / tak jak i dziś/ wysoki, 185 centymetrów wzrostu i wszystko na mnie pasowało doskonale.

Pozostałą część wydanych przedmiotów nakazano zapakować do wydanego worka-plecaka. Mundur był drelichowy o barwie jak w armii Hallera, z sukiennymi naramiennikami.

Czapka polowa była kroju przedwojennego, szewiowa i bardzo zgrabnie uszyta, natomiast buty były amerykańskie z ogromną blachą na czubku buta, widocznie dla jego ochrony. Praktycznie były one bardzo marne, ponieważ nasiąkały wodą jak gąbka. Tragedia była z owijaczami. Zrobiono je zamiast z sukna - z dzianiny i okropnie rozciągały się. Ponadto były ciemnego, niemal granatowego koloru.

Dużo śmiechu było z kolegów niskich wzrostem. Tym kalesony sięgały do szyji, a rękawy koszuli można było opasać wokół osoby niczym kaftan bezpieczeństwa. Mimo to wyglądaliśmy jakby młodziej i zgrabnie.

Niezadowoleni byliśmy jedynie z parcianych pasów głównych, ponieważ takich nigdy w przedwojennym wojsku nie było. Mieliśmy również kłopoty z białymi kołnierzykami do mundurów. Żadnego białego materiału nie dawano nam na ten cel, a białe kołnierzyki musiały być i tyle. Ucierpiały na tym tylko białe ręczniki, które z każdym dniem były co raz to krótsze.

Dowództwo Ośrodka formowania wpadło na głupi pomysł usztywnienia czapek polowych drutami, na wzór przedwojenny. Przypuszczam, że pomysłodawcom nikt nie wytłumaczył, że tylko czapki garnizonowe, a więc wyjściowe, były usztywnione. Nie tyczyło to w żadnym wypadku czapek polowych, w których w polu można było się wyspać itp. Ponieważ rozkaz nie gazeta, wyruszyliśmy na poszukiwania drutu, ponieważ takowego nam nie dano. Znajdowano go przeważnie koło magazynów. Takie usztywnione czapki, owszem, zyskały nieco na wyglądzie, lecz po przespaniu się w niej wyglądały dziwnie. Był to jeden z dziwolągów tej armii.

Innym ewenementem był orzełek na czapce. Rosjanie porostu mówili na niego "kurica". Rzeczywiście swoim wyglądem przypominał kurę. Oficerowie polityczni usiłowali nam wmówić, że jest to orzeł piastowski, lecz my doskonale wiedzieliśmy, że zgodnie z heraldyką, nic on wspólnego z Piastami nie miał. Wzór tego orła wzięto z grobowca Bolesława Krzywoustego i Władysława Hermana z katedry płockiej. Był bez korony, tak jak na grobowcu. Na czapkę wojskową absolutnie się nie nadawał. Chciano porostu czymś odmiennie oznaczyć tę armię. Los tych orzełków był krótki. Zaraz po przyjeździe do Polski orzełki te wymieniono na przedwojenne, przy pełnej aprobacie przełożonych.

żonych.

Po umundurowaniu nas, ponownie zaprowadzono nas, już nie wiadomo który raz, przed oblicze personalników, którzy mieli zdecydować o dalszym naszym wojskowym losie. Z uwagi na to, że wszyscy moi koledzy z Krzemieńca i Białokrynicy mieli ukończone po kilka klas gimnazjum, a niektórzy / w tym brat mój Wiesław i ja/ średnie wykształcenie - skierowano nas z pełnym zadowoleniem do szkoły oficerskiej. Mieliśmy . . . niebawem wyruszyć do Riazania za Moskwą, gdzie znajdowała się Centralna Szkoła Podchorążych Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Tak bowiem brzmiała pełna nazwa naszej przyszłej szkoły oficerskiej. W szkole tej szkolono wszystkie rodzaje wojsk, poza lotnictwem, a nas skierowano do artylerii. Tak więc cała nasza krzemieniecka "paczka" miała iść pod opiekę "Boga wojny".

Niektórzy znawcy twierdzili, że z tymi rzekomymi przydziałami to wielka lipa, i w rzeczywistości gdzie się znajdziemy, w jakim rodzaju wojsk, o tym zdecyduje komisja w Riazaniu

W dzień wyjazdu do Riazania wydano nam suchy prowiant. Zdziwieni byliśmy tym mocno, ponieważ groziło to nam gotowaniem sobie posiłków we własnym zakresie. Nie zadbano, by dla 600 przyszłych podchorążych zorganizować w transporcie kolejowym kuchnię polową z prawdziwego zdarzenia. To też właśnie jest jedną z niedoróbek organizacyjnych ówczesnego dowództwa Ośrodka Formowania. Tę żywność załadowano do trzech wagonów towarowych naszego transportu i wydawano nam tzw. suchy prowiant co trzy dni. Do owych wagonów z żywnością wcisnęło się kilku sowieckich oficerów, którzy mieli nas konwojować do Riazania i byli kierownictwem transportu. Tak jak zawczasu przypuszczaliśmy, ci sowieccy oficerowie na stacjach kolejowych sprzedawali na wódkę konserwy amerykańskie przeznaczone dla nas, my natomiast otrzymywaliśmy okrojone porcje. Tak się działo przez całą dwutygodniową naszą podróż do szkoły.

Na suchy prowiant składały się następujące produkty: Cukier w kostkach, smalec, konserwa mięsna, makaron oraz proszek pomidorowy. Wszystkie te produkty były amerykańskie. Sowieckie były tylko ohydne w smaku suchary /poprostu suszone kromki razowego chleba/ oraz konserwowa kasza jęczmienna o smaku mydła.

Gdy tylko nasz transport kolejowy zatrzymał się na jakiejś stacji kolejowej, natychmiast na peron wylegało 600 podchorążych, którzy zabierali się do piczenia we własnym zakresie posiłków. W ten sposób powstawało setki małych ognisk z umieszczonymi nad nimi menażkami. Oczywiście spotykało się to z protestami komendantów stacji kolejowych, a szczególnie ochrony przeciwlotniczej, ponieważ demaskowaliśmy tak ważny obiekt w czasie wojny jakim jest właśnie stacja kolejowa. Nasi pijani sowieccy kierownicy zupełnie nie wtrącali się do naszych sporów z komendami stacji kolejowych.

Postoje na stacjach kolejowych stawały się coraz krótsze, a więc nie było możliwości ugotowania w krótkim czasie posiłku. Bywały takie śmieszne sytuacje, że na jednej stacji rozpoczynaliśmy gotowanie np. makaronu, a na dziesiątej był on dopiero ugotowany. Niejednokrotnie z niedogotowaną kaszą trzeba było szybko wskakiwać do ruszającego pociągu, by na następnej stacji szybko wyskakiwać, szukać jakiegoś drzewa na ognisko i kończyć gotowanie owej kaszy. Potrzeba jest matką wynalazków, więc niektórzy wpadli na pomysł, by do rozpalania ognisk używać przepojonych smarem pakuł, mieszczących się w maźnicach kół wagonów. Rzeczywiście płomień od takiego ogniska był piękny, lecz w zamian za to kasza pachniała mocno smarem.

Nasza trasa jazdy wiodła przez rejony niedawnych długotrwałych walk pozycyjnych w 1942 i 1943 roku - Biełgorod, Kursk, Woroneż. Teren, szczególnie w pobliżu Kurska wyglądał okropnie i do złudzenia przypominał ziemię na księżycu z całym mnóstwem kraterów. Jak okiem sięgnąć, na rozległej równinie, ziemia była zryta mnóstwem pocisków i bomb co rzeczywiście przypominało księżycowe kratery. Widać było opuszczone już dziś płataniny okopów z zasiekami z drutu kolczastego, oraz wraki zniszczonych czołgów i dział zarówno niemieckich jak i sowieckich.

Dłuższy postój mieliśmy w Woroneżu. Miasto było mocno zniszczone, lecz gdzieś tam elewacje domów były piękne, zachowane jakimś cudem jeszcze z carskich czasów. Był wieczór i oznajmiono nam, że nasz postój będzie trwał około 6-ciu godzin. Poszliśmy też w kilku do miasta, a właściwie do tego co do niedawna było miastem. Wkrótce dobiegły do nas tony muzyki tanecznej. Długo wsłuchiwalismy się skąd

ta melodia płynie, ponieważ wszędzie, ze względu na maskowanie świateł było ciemno. Odkryliśmy wkrótce duży barak, służący obecnie za miejski dom kultury i klub. Gdy weszliśmy do środka ujrzelśmy tam dancing. Na podium siedziało kilku muzyków-inwalidów wojennych, a na parkiecie dziewczyny tańczące z dziewczynami. Mieliśmy wobec tego ogromne powodzenie i każda z dziewczyn chciała z nami zatańczyć. Nie widziano tu nigdy polskiego wojska, ani też naszych mundurów i początkowo sądzono, że jesteśmy Amerykanami.

Zabawa była wspaniała, lecz o północy, wobec zbliżającego się terminu odjazdu naszego transportu, musieliśmy wracać na stację kolejową. Liczne grono dziewcząt, rozbawionych na dobre, odprowadzało naszą grupę na dworzec. Dziewczyny jak to dziewczyny - były różne. Wśród nich były też ładne, a nawet piękne.

Droga do Riazania okropnie nam się dłużyła. Na ten nasz niewesoły nastrój wpłynęły i niewygody w wagonie oraz to okropne gotowanie sobie jedzenia. Tym nudom sprzyjała też i ogromna, monotonna, wielka nizina rosyjska. Zabudowania miasteczek, osiedli i wsi, przez które przejeżdżaliśmy były dosłownie biedne i ponure. Szczególnie to było widać na wsiach, gdzie zabudowania kryte były słomą, a większość chałup chyliło się ku upadkowi. Dłużyło nam się i dlatego, że podróży pociągiem mieliśmy już naprawdę dość. Przecież od Dubna do Riazania w pociągach przejechaliśmy 1800 kilometrów.

W końcu jednak dojechaliśmy do Riazania. Leży on 180 km na południowy-wschód od Moskwy i liczył wówczas 350.000 mieszkańców, ze słynnymi soborami: Archangielskim i Uspieńskim oraz kreml tj. zamek.

Z dworca do koszar było bardzo blisko, to też szybko tam znaleźliśmy się.

Zgodnie z przydziałem podanym nam jeszcze w Sumach, udaliśmy się do dywizjonu artylerii. Od tego momentu zostałem artylerzystą, ze wszystkimi prawnymi i życiowymi konsekwencjami tego stanu. Tak więc rozpocząłem służbę w artylerii, dotychczas nie znanym mi rodzaju wojsk i na wstępie muszę stwierdzić, że służba ta nie była lekka. Cha! Trudno, "sam tego chciałeś" jak to powiedział Grzegorz Dyndała. Serce rwało się, zgodnie z tradycjami rodzinnymi, do kawalerii, lecz gdy ujrzałem naszych kawalerzystów dosiadających małych kałmunkich koników, tandetne rzędy końskie - mina mi zrzedła. Wolałem zostać więc

w artylerii. Podobno starzy wojacy mówili, że "to uczony rodzaj wojsk". Tradycja też jak gdyby w rodzinie pozostała, ponieważ mój dziadek Aleksander Jankowski też był w carskiej armii artylerzystą. To moje rozważanie przerwał tubalny głos szefa baterii który krzyczał tam na kogoś : " Tu nie uniwersytet, tu trzeba myśleć."

Dywizjon podchorążych artylerii mieścił się w ogromnych koszarach po sowieckiej Oficerskiej Szkole Piechoty. W naszym kompleksie koszarowym mieściły się ponadto następujące pododdziały podchorążych: kompania łączności, kompania saperów, kompania czołgów, kompania administracyjna oraz szwadron kawalerii. Kawalerzyści wkrótce opuścili Riazan i przenieśli się do odległych o 25 kilometrów Sielc. Mieli tam baraki, gdzie formowała się 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, lepszą bazę szkoleniową oraz szerokie błonia nad Oką, gdzie można było ćwiczyć szarże kawaleryjskie choćby pułkiem lub brygadą.

W drugim kompleksie koszarowym w Riazaniu, w odległości 1 kilometra od nas, mieściły się bataliony podchorążych piechoty.

Cała więc nasza Centralna Szkoła Podchorążych Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR / tak brzmiała bowiem jej oficjalna nazwa/ była duża i składała się z:

- , - trzech batalionów piechoty /po trzy kompanie/,
- batalionu ckm i moździerzy /trzy kompanie/,
- dywizjonu artylerii /cztery baterie/,
- kompanii saperów,
- kompanii łączności,
- kompanii czołgów,
- kompanii administracyjnej,
- szwadronu kawalerii.

W sąsiednich koszarach była też polska Wyższa Szkoła Oficerska, prowadząca kursy dla dowódców kompanii /baterii/ i batalionów/dywizjonów/.

Kuchnia oraz stołówka szkoły mieściła się na naszym terenie koszarowym. Szczególnie stołówka była ogromna. Przy tak dużej ilości podchorążych, siłą rzeczy, stołówka pracowała na trzy zmiany. Jednocześnie w stołówce mieściło się 600 - 700 podchorążych. Przy tak dużej ilości spożywających posiłki, stołówka miała swój specjalny regulamin. Jednym z głównych punktów

owego, stołówkowego regulaminu, było zachowanie bezwzględnej ciszy w czasie spożywania posiłków. Proszę sobie wyobrazić ten gwar blisko siedmiuset ludzi w zamkniętym pomieszczeniu, gdyby można było rozmawiać. Gdy tylko ktoś, przez nieostrożność, zaczął rozmawiać, z miejsca dyżurny stołówki usuwał go ze stołówki. Podobnie rygorystycznie traktowano czas jedzenia posiłku, ponieważ na miejsce przy stole czekała druga i trzecia zmiana. Pewnego razu nasz pluton jadł śniadanie zbyt wolno. Dyżurny stołówki co raz to spoglądał na zegarek. Podszedł wreszcie do naszego stołu i wydał komendę: "Pluton powstań. Wychodzić ze stołówki!"

Jedzenie było naogół kaloryczne i smaczne, lecz dla nas młodych, pogonionych przed-tem na ćwiczeniach, było ilościowo niewystarczające. Chodziłem więc ciągle głodny i zjadłbym nawet przysłowiowego konia z kopytami. Byłem przecież młody mając zaledwie osiemnaście lat.

Dowódcą naszego dywizjonu był Rosjanin - mjr. Charłamow, zaś adiutantem dywizjonu tj. szefem sztabu por. Czesław Czubryt-Borkowski, absolwent Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu w 1938 roku. Dowódcą baterii mojej był kpt. Bohatyrow, natomiast dowódcą plutonu - ppor. Dymitr Wichlancew, inżynier geodeta z Leningradu. Oczywiście obydwaj byli też Rosjanami. Każda z czterech baterii naszego dywizjonu szkoliła się i specjalizowała poniekąd na innym sprzęcie artyleryjskim, i tak:

- | | |
|-------------------|--------------------------|
| - 1 -sza bateria | - 122 mm haubice, |
| - 3 i 4 bateria | - 76 mm armaty, |
| - nasza 2 bateria | - 152 mm armato-haubice. |

O ile 1-sza bateria składała się prawie w całości z Polaków wywiezionych w latach 1940 - 1941 do Rosji oraz przymusowo wcielonych do sowieckiego wojska w tychże latach, o tyle pozostałe baterie dywizjonu składały się ze zmobilizowanych razem ze mną kolegów z Wołynia, Podola, Polesia oraz z Polaków zamieszkałych w rejonie Berdyczowa, Winnicy i Kijowa.

Właściwie to byłem bardzo zadowolony, że trafiłem do ciężkiej artylerii. Już sam kaliber działa oraz jego waga 9 ton sama mówi za siebie.

Pomocnikiem i zastępcą dowódcy plutonu, w którym byłem, okazał się ogniomistrz Stanisław Szymłowski. Jego rodzina od dawien dawna mieszkała w Moskwie. Był więc Stasio tzw. przez nas "ruskim-Polakiem", jak humorystycznie nazywaliśmy naszych rodaków mieszkających przed wojną w ZSRR. Stasio, podobnie

jak i cała jego rodzina, doskonale mówili po polsku, bez żadnych rosyjskich naleciałości. Widać było, że język polski w jego rodzinnym domu, mimo sowieckich represji, był stosowany na codzień.

Stasio był początkowo, od 1942 roku w armii sowieckiej w artylerii. W stopniu ogniomistrza, na własną prośbę, został skierowany do Polskiej Armii. Po wojnie ściągnął całą rodzinę do Polski, a sam z artylerii przeniósł się do Marynarki Wojennej. Służbę skończył na stanowisku komendanta portu wojennego w Gdyni na Oksywiu. W czasie służby, gdy tylko udało mi się być w Gdyni, zawsze znalazłem trochę czasu by spotkać się z nim w Kapitanacie portu. Zawsze mieliśmy sobie wiele do opowiedzenia i do wspominania. Byliśmy dobrymi i serdecznymi przyjaciółmi. Stasio już jako komandor w stanie spoczynku zmarł w Gdyni na atak serca w 1988 roku.

W Riazaniu, ku naszemu zadowoleniu, zabrano nam trzewiki i owijacze do nich, a w miejsce nich wydano buty z krótkimi cholewkami oraz ostrogi. W programie szkolenia szkoły była również jazda konna, a głównie jazda zaprzęgami z działem. Moja ciężka bateria miała tej jazdy konnej bardzo mało, ponieważ etatowym ciągnikiem do naszych 152 mm armato-haubic były ciągniki gąsienicowe.

Nasze naramienniki na płaszczach i kurtkach były obszyte biało-czerwonym sznureczkiem, takim jak przed wojną nosiły podchorążówki rezerwy.

Salę sypialną mieliśmy ogromną i spanie w niej było makabryczne. Na jednej potężnej sali spały dwie baterie, a więc prawie 200 chłopów. Można zgóry wyobrazić sobie co działo się na takiej sali w nocy. Jedni chrapali, inni mówili przez sen inni znów zawadzili smętnie przez sen. Mimi ciągle otwartych w sypialni okien, panował w niej w nocy okropny zaduch. Jako dodatek do tych mąk - były pluskwy, które dziesiątkowały nas okropnie.

Porządek dnia przewidywał pobudkę o godzinie 5-tej rano, natomiast capstrzyk o godzinie 22-giej. Było więc w sumie 7 godzin snu oraz jedna godzina Odpoczynku-snu po obiedzie. Dla nas młodych było to oczywiście za mało, to też każda wolną chwilę przeznaczaliśmy na drzemkę. Niektórzy z kolegów doszli do takiej wprawy, że na sali wykładowej w czasie wykładu doskonale spali mając oczy otwarte. Jak to oni robili, do końca nie zgłębiłem tego.

Mieliśmy duże trudności w zrozumieniu fachowych artyleryjskich pojęć w języku rosyjskim, ponieważ nigdy ich dotąd nie słyszeliśmy. Rosyjskiego wprowadzić nauczyliśmy się w czasie sowieckiej okupacji w dziesięciolatce, ale tylko zwykłych prostych słów i budowania zdań. Szczególnie dwie nazwy fachowe prawie jednakowo brzmiące, ciągle mieszały się mi. Chodziło o "snarjad" /pocisk/ oraz "zarjad" /ładunek/. Dosyć długo nie mogłem pojąć co jest co.

Głównym przedmiotem dla nas artylerzystów była instrukcja strzelania i kierowania ogniem artylerii. Był to zbiór, w lakonicznych zdaniach, zebranych zasad strzelania. Od prostych strzelań do trudnych. Oczywiście roiło się w tejże instrukcji od matematyki. Wydaje mi się, że przedmiot ten sprawiał wszystkim moim kolegom i mnie spore trudności w zrozumieniu poszczególnych stwierdzeń, tym bardziej, że po rosyjsku. Na pogniębienie nas do cna z tąże instrukcją strzelania, wyznaczono w dodatku na wykładowcę tego arcy ważnego przedmiotu majora Jeralina. Był on Uzbekiem i z trudem mówił po rosyjsku. Przy tym mowa jego była tak bardzo niewyraźna, w takim rosyjsko-uzbeckim slangu, że trudno było wogóle pojąć co mówił i tłumaczyć. Na naszą interwencję, że siedzimy na wykładach majora Jeralina jak na tureckim kazaniu, natychmiast odesłano go gdzieś poza szkołę. Na jego miejsce przyszedł major Gulajew. Był to przeproszpaniały wykładowca i prawdziwy znawca przedmiotu. Mówił pięknym, literackim językiem rosyjskim. Dobrą znajomość instrukcji strzelania i kierowania ogniem artylerii zawdzięczam głównie jemu.

Wszystkie przedmioty, z wyjątkiem działocznów, musztry, regulaminów oraz szkolenia politycznego, odbywały się w języku rosyjskim. Powodem tego był poprostu brak polskich specjalistów w tej dziedzinie. Z konieczności sami usiłowaliśmy tłumaczyć fachowe nazwy artyleryjskie z rosyjskiego na polski, lecz wychodziły z tego istne dziwolągi językowe. Właściwie winę za to ponosi por. Czubryt-Borkowski, który jako absolwent polskiej przedwojennej podchorążówki artyleryjskiej powinien podać nam polskie nazwy.

Nasz pluton podchorążych liczył 24 artylerzystów, czyli trzy obsługi po ośmiu na działko. Pierwsze zajęcia z działocznów przy działkach były bardzo śmieszne. Cały bowiem nasz pluton ledwo mógł sobie poradzić z przestawieniem działka z po-

łożenia marszowego w położenie do boju i odwrotnie. Trwało to przy tym bardzo długo. Sapaliśmy, stękaliśmy, no bo to przecież nie fraszka, lecz całe 8 ton. Z niedowierzaniem i przymrużaniem oka słuchaliśmy dowódcy plutonu, który twierdził, że za dwa tygodnie, etatowy dział w składzie 8-miu podchorążych, a nie cały pluton, w czasie 10-ciu minut przestawi działa z położenia marszowego w bojowe. Najpierw nauczono nas w jaki sposób należy podnosić ciężary. Nogi powinny być lekko ugięte w kolanach, kręgosłup również lekko ugięty, a nie naprężony. Poprostu uczono nas umiejętnego wykorzystywania siły bez narażania na szwank naszego kręgosłupa. Nasze działa były działami dalekonośnymi, i głównym ich przeznaczeniem było zwalczanie artylerii nieprzyjaciela i wogóle dalekich celów. Jako jedyny kaliber w polskiej artylerii posiadał pociski przeciwbetonowe do niszczenia betonowych schronów bojowych nieprzyjaciela. Każdy pocisk ważył prawie 40 kilogramów i podniesienie go na wysokość 180 cm. i włożenie do komory naboju lufy takiego ciężaru sprawiało ładownicemu sporo ciężkiej pracy. Nic dziwnego, że cała nasza bateria składała się wyłącznie prawie z młodzieńców o silnej posturze. Pocisków do naszego działa było wiele: odłamkowo-burzące, przeciwpancerne, zapalające, dymne, przeciwbetonowe, a nawet agitacyjne /zawierające w skorupie pocisków ulotki/. Ładunków do działa było 13-cie, w zależności od odległości strzelania, a ta wynosiła 17.250 metrów.

Nie lubiłem jednak tych dział. Były zbyt ciężkie. O wiele bardziej wolałem zgrabne 122 mm haubice, do których trafiłem na froncie.

W każdą niedzielę, na placu ćwiczeń, kapelan szkoły odprawiał połową mszę św., przy tym do komunii św. przystępowała liczna grupa podchorążych. Robiliśmy to poniekąd dla przekory, aby pognębić tym oficerów politycznych, którzy byli w większości wypadków Żydami. Oczywiście na polowe mszę św. cała szkoła szła pododdziałami, stąd też w czasie podniesienia oficerowie Rosjanie i Żydzi oraz wszyscy niewierzący musieli chcąc nie chcąc klękać.

Po południu w niedziele, udawaliśmy się również w szyku do miejscowego parku, gdzie można było posłuchać koncertów lub oglądać występy zespołów artystycznych. Można było również i potaćzyć. Partnerek do tańca było bardzo dużo. Na przeciw naszej szkoły, w oddzielnym kompleksie koszarowym

mieściła się sowiecka oficerska szkoła milicji kobiet. One też licznie przychodziły na te potańcówki i bawiły się z nami. Zawiązało się również wiele miłości, które z chwilą naszego wyjazdu z Riazania rozleciały się szybko.

W niektóre niedziele w naszej szkole urządzano tzw. zawody użyteczno-bojowe. Nie lubiliśmy tego czegoś, ponieważ byliśmy zdania, że niedziele są do odpoczynku a nie ćwiczeń zamaskowanych nąbyto zawodami. Pewnej niedzieli urządzone nam marszobieg z pełnym bojowym wyposażeniem. Trasa marszu prowadziła z Riazania przez rozległe błonia do rzeki Oki, a w rzeczywistości przez taką piaskową pustynię. Tuż za Riazaniem płynie taka mała, ale błotnista rzeczka. Oczywiście dla nas most na tej rzeczce był umownie zerwany i musieliśmy przeprować ^{się} przez tę rzeczkę wpław z bronią, oporządzeniem i mundurach. Nieprzyjemnie było maszerować w kurzu w mokrym ubraniu z chlupoczącą w butach wodą. Gdy pół marszem i pół biegiem dobrnęliśmy wreszcie do rzeki Oka, łaskawie pozwolono nam się wykapać i wyprać spocony dwełichowy mundur. Gdy mundur jeszcze należycie nie wysechł, już zarządzone zbiórkę do powrotu do Riazania. Oka była bardzo szeroka i o wiele szersza niż Wisła w Toruniu. Niestety, nie sądzone nam było poleżeć na jej brzegu i popalać się na słońcu. W drodze powrotnej słońce paliło niemiłosiernie, a wzbijane przez nas tumany kurzu osiadały na naszych niezupełnie suchych mundurach. Gdy osiągnęliśmy przedmieścia Riazania byliśmy zupełnie czarni od potu i kurzu.

W czasie różnych przemarszów śpiewaliśmy różne wojskowe piosenki. Właśnie "Białe orły", obok słynnego oczywiście "Pytała się Kasia" były najbardziej popularne, a wcale nie "Oka".

Musztrę pieszą znałem bardzo dobrze, a szczególnie chwytą bronią, Razem ze Zbyszkim Filipowskim, synem st. sierżanta z pułku piechoty z Tarnopola, byliśmy mistrzami w baterii w tej dziedzinie. Od urodzenia mieszkałem w koszarach 12 Pułku Ułanów Podolskich w Białokrynicy i zawsze pilnie i z zaciekawieniem przypatrywałem się ćwiczącym na placu ułanom. O ileż łatwiej mi było od innych poznawać arkana sztuki wojskowej, w porównaniu z moimi kolegami, którym poszczególne ćwiczenia sprawiały nieraz tyle trudności.

Na ćwiczenia taktyczne w polu z działami jeździliśmy poza miasto. Z chrzęstem gąsienic ciągników przejeżdżaliśmy

przez ulice Riazania tuż o świcie, gdy miasto jeszcze spało. Pewnego razu podczas powrotu z ćwiczeń do Riazania kolumna naszej baterii zatrzymała się w pobliżu ogromnego obozu jenieckiego. Wzdłuż odrutowanego ogrodzenia obozu stały wieże strażnicze z reflektowami i karabinami maszynowymi. Dalej stały nędzne baraki, wokół których kręcili się jacyś ludzie w mundurach, lecz ze względu na odległość, trudnych do rozpoznania. Natychmiast po zatrzymaniu się kolumny naszej baterii, z bramy obozu wybiegło ku nam wielu sowieckich żołnierzy z bronią i bagnietami skierowanymi na nas. Z kategorycznym żądaniem podstarzały lejtnant służby bezpieczeństwa, a więc NKWD, nakazywał nam natychmiastowy odjazd. Ich pogrożki wyrażane niemal wrzeszczącym głosem traktowaliśmy lekceważąco. Jedni z naszych udawali się do pobliskiej studni zaczerpnąć wody do picia, inni ze stoickim spokojem palili papierosa. Sowieccy żołnierze trzymali się od nas na dystans, ponieważ nas było więcej i też mieliśmy karabiny i pistolet maszynowe, a na kabinach ciągników gaśnicowych ustawione do strzelania ręczne karabiny maszynowe. Na nasze pytania co to za obóz, nerwowo odpowiadali że to "Germanicy". Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że był to obóz internowanych naszych żołnierzy Armii Krajowej, a nie Niemców. Stąd widocznie taka nerwowość sowieckich NKWDzistów, sądzących zapewne, że chodzi nam o uwolnienie Polaków. Niedawno, jeden ze znajomych w Toruniu, w czasie wojny żołnierz AK na Wileńszczyźnie, opowiadał, że został wraz z innymi internowany przez Sowieców i osadzony w obowie pod Riazaniem. Wiedzieli oni, że w Riazaniu jest polska podchorążówka i usiłowali się z nami jakoś skontaktować. Opowiadał, że kiedyś siedząc z innymi przed barakiem obozowym, usłyszeli jadącą wojskową kolumnę, która śpiewała polską wojskową piosenkę o Kasi co to gąski pasażka. Poderwali się na nogi i po przybliżeniu się kolumny tej zobaczyli żołnierzy w polskich czapkach polowych. Niestety, próby porozumienia się z nami w szkole nie dały żadnych rezultatów.

W szkole panowała nie nasza polska tradycja strzyżenia podchorążych pod tak zwane "zero". Osobiście bolałem nad tym, gdy szef baterii co jakiś okres czasu zaganiał nas do fryzjera. Niekiedy fryzjer zjawiał się do baterii i wówczas odbywało się generalne strzyżenie wszystkich pod baczną kontrolą szefa baterii. Nasze próby przekonywania szefa, że przecież przed wojną podchorążowie nosili czupryny krótko ostrzyżone, tak na długość zapałki, kończyły się zawsze salwami okrzyków szefa,

"Co mi tu podchorąży będzie przedwojennymi manierami zajeżdżał!"

6 czerwca 1944 roku przez megafony umieszczone w koszarach podano wiadomość o rozpoczęciu przez zachodnich aliantów wielkiej operacji lądowania na kontynencie europejskim pod kryptonimem "Overlord". Ponadto podano w wiadomościach radiowych o zakończeniu walk przez 2 Polski Korpus pod Monte Cassino i zdobycia przez nasze wojska słynnej góry klasztornej z opactwem benedyktynów. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że jako pierwszy wszedł do ruin klasztoru patrol z 12 Pułku Ułanów Podolskich pod dowództwem ppor. Kazimierza Gurbiela, że to nasze barwy pułkowe pierwsze obwieściły o zwycięstwie polskiego oręża we Włoszech.

Wogóle, to dziwiliśmy się, że podawano wiadomości o walkach Polskiego Korpusu i zdobyciu góry klasztornej, ponieważ zwykle na jakichkolwiek pogadankach czy też zajęciach politycznych politrucy raczej krytykowali sprzymierzonych za bierność w walce i zwalanie raczej całego ciężaru prowadzenia wojny na Związek Sowiecki.

Z każdym dniem, jak mawiał nasz dowódca baterii, stawaliśmy się "rasowymi" artylerzystami. Jak już wspomniałem poprzednio, mój dziadek Aleksander Jankowski, służył za cara w artylerii. Był to jeszcze XIX wiek. Dziadek był ogniomistrzem i szefem baterii w kozackim pułku artylerii, mimo, że Kozakiem przecież nie był. W czasie I wojny światowej w 1914 roku do Luszewa koło Ciechanowa, gdzie mieszkał dziadek, przyjechali właśnie Kozacy. Różniej ojciec mój opowiadał mi, co to się wówczas zdarzyło. W pobliżu zabudowań gospodarczych mojego dziadka, Kozacy zaczęli poprostu kraść ze stogów dziadka siano. Dziadek przypiął sobie do marynarki cztery krzyże św. Jerzego, najwyższe odznaczenie wojenne carskiej Rosji i zarzuciwszy na siebie kożuch wyszedł odpędzić Kozaków. Na dziadka okrzyki, że nie wolno rabować cudzej własności, jeden z Kozaków podjechał na koniu do dziadka chcąc go zdzielić nahajką przez plecy. Na ten gest Kozaka dziadek rozchylił poły kożucha ukazując krzyże św. Jerzego. Kozacy jak na komendę posiadali z koni i zaczęli przeproszać dziadka za kradzież siana. Od słowa do słowa, okazało się, że Kozacy ci są z tego samego pułku artylerii, w którym ongiś służył dziadek. Kozacy z miejsca zabrali dziadka do rejonu zakwaterowania pułku, gdzie oczywiście zorganizowano ucztę obficie zakrapiana alkoholem. Po trzech dniach ucztowania dziadka mocno podpitego odstawiono do domu w asyście całej baterii, w której kiedyś służył dziadek.

Zajęcia polityczne w naszej baterii prowadził zastępca dowódcy baterii do spraw politycznych. Z rosyjska nazywali ich "politrukami". Politrukami byli przeważnie Żydzi. Nosili umundurowanie oficerskie i nie mieli żadnych stopni wojskowych na naramiennikach. Dopiero później dano im gwiazdki, tylko nie wiadomo konkretnie za co. Na wojskowym rzemiośle kompletnie się nie znali. W naszej baterii owym politrukiem był oczywiście Żyd, ppor. Grylak. Już wygląd jego z daleka zdradzał jego semickie pochodzenie. Twierdził on, że już przed wojną był członkiem Komunistycznej Partii Polski. Plótł ponadto różne komunistyczne dyrdymałki, które szybko przechodziły mimo naszych uszu. Z uwagi na to, że zajęcia specjalistyczne tj. artyleryjskie, prowadzone były bardzo intensywnie, byliśmy więc mocno przemęczeni i gdzie się tylko dało - drzemaliśmy. Okazało się, że takimi dogodnymi chwilami są właśnie zajęcia polityczne. Grylak zawsze monotonna plótł swoje, a my spaliśmy. Jeden z kolegów spał tak mocno, że zaczął dosyć głośno chrapać. Grylak z wielkim oburzeniem napadał wówczas na delikwenta, twierdząc, że to jego przedmiot jest obecnie najważniejszy. Nie mogliśmy głośno oponować, ponieważ w którejś z kompanii piechoty na zajęciach politycznych, cała drużyna stanęła w obronie kolegi nie słusznie napastowanego przez politruka. Z miejsca całą drużynę zabrakło NKWD i do szkoły wogóle już nie trafili, rzekomo, za kontrrewolucyjne wypowiedzi.

Półowę mojej baterii stanowili koledzy z Liceum Krzemienieckiego oraz z AK. Było też kilku podoficerów z naszego 12 Pułku Ułanów Podolskich. Im to właśnie zorganizowano taki pośpieszny, czteromiesięczny kurs chorążych i wysłano do jednostek, przeważnie kawaleryjskich.

Kilku moich kolegów z Liceum Krzemienieckiego było wówczas w Riazaniu już oficerami, instruktorami w szkole. Jednym z nich był ppor. Florian Siwicki. Był on synem starszego sierżanta - tambor majora z orkiestry pułku piechoty w Łucku. Florek chodził z nami do gimnazjum i mieszkał w internacie licealnym.

W mojej baterii, prócz Krzemieńczan i kolegów z Łucka, Kowla, Sarn i Tarnopola, prawie cały pierwszy pluton, to podoficerowie z 13 rówieńskiego Kresowego Pułku Artylerii z 13 Dywizji Piechoty. Tym ostatnim trudno było nadażyć z nauką, szczególnie tam gdzie występowała algebra i trygonometria, natomiast górowali nad nami w działaczynach, mustrze pieszej,

a już szczególnie w jeździe zaprzęgami.

Z tą jazdą konną to był trochę cyrk. Uczono nas jazdy konnej, a zwłaszcza zaprzęgami na sprzęcie lżejszym, tj. 76 mm armat. Twierdzono, że wyroki kadrowików są niezbadane, a więc mimo ukończenia baterii artylerii ciężkiej, można trafić do pułku artylerii lekkiej lub artylerii pułku piechoty, gdzie w artylerii trakcja jest wyłącznie konna. Pierwsza jazda w zaprzęgu była arcykomiczna. Tacy funkcyjni jak szpicowy, środkowy czy też dyszlowy /jezdni w zaprzęgu/ nie znali jeszcze dobrze swoich funkcji, to też zaprzęgi wkrótce tak się poplątały w postronkach, że trudno je było potem rozplątać. Było istne kłębowisko koni i uprząży. Trudno nam było utrzymać całą szustkę koni w odpowiednich odstępach, aby postronki pomiędzy poszczególnymi parami koni były naprężone. Całe szczęście, że zajęć w jeździe z zaprzęgami mieliśmy niewiele, tylko tak zapoznawczo.

Właściwie, to w stosunku do innych baterii naszego dywizjonu podchorążych, nosiliśmy się wysoko. W dumę wbił nas nasz dowódca baterii kpt. Bohatyrow, który często mówił: "Pamiętajcie, jesteście z artylerii ciężkiej, niejako z inteligencji artyleryjskiej każdej armii, a nie z jakiś armatek pal-u".

Tego roku lato w Riazaniu było upalne, jak to podobno bywa zawsze w klimacie kontynentalnym, to też na działoczymach, musztrze pieszej oraz na ćwiczeniach w polu, wylewaliśmy obfite poty.

Łaźnia w Riazaniu było mocno przeciążona przy tak dużym garnizonie, a więc przysłowiowo trzeszczała w szwach. Z reguły do łaźni prowadzono nas raz w tygodniu i to dopiero wiedzorem lub w nocy. Pewnego razu, już po capstrzyku, szef baterii zrobił nam pobudkę i zbiórkę do łaźni. W łaźni, w centrum miasta, oznajmiono nam, że będziemy musieli trochę poczekać, bo właśnie kąpie się żeńska sowiecka szkoła milicji. Wieczór był jakoś chłodny i dżdżysty, a więc za pół litra samego gonu kierownik łaźni zgodził się nas wpuścić do takiego małego pomieszczenia - rozbieralni. Tam w ciepłym pomieszczeniu mogliśmy już czekać spokojnie na naszą kolejkę do kąpieli. Aby być jak najdłużej pod ciepłym tuszem /czas kąpieli był ściśle określony/ rozebraliśmy się i czekali. Nie wiem już kto ze starszych kolegów wytrychem otworzył drzwi do sali, gdzie właśnie kąpały się dziewczęta. Duża para wodna i szum wody całkowicie zamas-

kował nasze wejście pod prysznice. Dziewczęta w końcu nas dojrzały i narobiły ogromnego krzyku i wrzasku.

Nazajutrz dowódca baterii chciał surowo ukarać "prowodników" wczorajszego zajścia, lecz w końcu udało się go udobruchać.

W szkole cały dzień mieliśmy w pełni wypełniony różnymi wykładami, ćwiczeniami i czynnościami. Poszczególne punkty porządku dziennego przestrzegane były co do minuty. Dziesięć godzin szkolenia dziennie wyczerpywały nasze siły, lecz dziesięciomiesięczny okres szkolenia musiał nas przygotować do funkcji dowódcy plutonu artylerii.

Pewnego dnia bateria nasza wyjechała jak zwykle na ćwiczenia w polu. Dzień był niezwykle upalny, a kurz z podgąsienic naszych ciągników umalował nasze twarze na czarno. Działaliśmy tak jakoś niemrawo, jak muchy w smole. Czas rozwinięcia baterii w ugrupowanie bojowe z marszu wypadł na ledwie dostatecznie. W tej sytuacji dowódca baterii zarządził krótką przerwę na papierosa i omówienie stwierdzonych niedociągnięć. Kończąc papierosa zobaczyliśmy z daleka motocyklistę wyraźnie zmierzającego w naszą stronę. Był to pomocnik oficera dyżurnego szkoły z powiadomieniem natychmiastowego powrotu baterii do szkoły. Indagowany przez nas podoficer nie wiedział co mogłoby być powodem nagłego ściągania nas do Riazania.

Gdy pierwsze ciągniki z działami wjeżdżały do parku artyleryjskiego, już oczekiwał nas tam dowódca baterii, lecz taki jakiś uśmiechnięty. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że niabawem dywizjon nasz opuści Riazan i zostanie przedyslokowany do Nowogrodu Wołyńskiego /dawnego Zwiahla/ gdzie da początek formowanej tam od podstaw Oficerskiej Szkole Artylerii. Przygotowania do wyjazdu rozpoczęły się natychmiast nie mniej jednak komendant szkoły nie darował nam niedokończonego ćwiczenia w polu i nakazał przeprowadzić je jeszcze tu na miejscu. Pojechaliśmy gdzieś w pobliże Riazania. W przerwie obiadowej udaliśmy się do pobliskiej sporej wsi aby napić się wody. Nie wiem dlaczego ludność, którą spotykaliśmy poza Riazaniem była w stosunku do nas jakoś nieufna i podejrzliwa. Wiedzieliśmy, że jest to pokłosie sowieckiej propagandy, że Polska okresu międzywojennego była państwem rzekomo sztucznym, gnębiącym i swoją ludność i mniejszości narodowe. Niektórzy napot-

kali nawet takich kołchoźników, którzy będąc bardzo nędznie ubrani, zachwalali ustrój sowiecki, że jest sprawiedliwy i dobry oraz, że dba o swoich obywateli. Ta cała propaganda zupełnie nie korespondowała z tym wszystkim co widzieliśmy właśnie w kołchozie i wsi gdzie zatrzymaliśmy się. Z każdej chaty dosłownie wiało nędzą. Chaty, a raczej okropne rudery, nie posiadały niemal połowy poszycia dachowego ze słomy. Słomę w czasie zimy zużyto do palenia w piecach. Nie mogli przecież tłumaczyć tej biedy tym, że był tu front, bo front do Riazania wcale nie dotarł. Wszędzie wyzierało ogromne zacołanie i materialna bieda mieszkańców wsi. Na nasze zapytania, dlaczego panuje u nich taka ogromna bieda, odpowiadali tym, "... że przecież u was jest jeszcze gorzej. Tak nam mówił sekretarz partii". Ote i cały sekret tego sowieckiego bałaganu.

Zbliżała się połowa sierpnia i nasz wyjazd do Nowogrodu Wołyńskiego. Wszyscy cieszyliśmy się z tego wyjazdu, ponieważ do Krzemieńca z Nowogrodu odległość wynosi zaledwie 100 kilometrów i będzie można na niedzielę wybrać się na przepustkę do domu.

W dniu 12 sierpnia 1944 roku nasz dywizjon ładował się na stacji kolejowej w Riazaniu na transport kolejowy. W międzyczasie radio podało o rozpoczęciu walk w Warszawie. Nasi politrucy nie mogli jeszcze skomentować tego faktu z braku oficjalnego stanowiska w tej sprawie Sowietów i na nasze pytania w sprawie szczegółów powstania odsyłali nas do radia mówiąc: "Słyszeliście przecież w radio, a ja wiem tyle co i wy."

Jechaliśmy na zachód właściwie tą samą drogą co przed trzema miesiącami. W każdym wagonie o podwójnych wymiarach w porównaniu z normalnymi wagonami towarowymi, mieścił się jeden pluton. Zajęcia oczywiście odbywały się też i w transporcie kolejowym. Prowadzono wyłącznie tylko te tematy i przedmioty, które w tych warunkach były dogodne do prowadzenia. Na przenośnej tablicy prowadziliśmy wszystkiego rodzaju wstrzeliwania oraz przyjmowano kolokwia z przerobionych już wcześniej tematów. Prócz takich przedmiotów jak: regulaminy, instrukcja strzelania, topografia i łączność, również i polityk wplótł swoje zajęcia polityczne. Tym razem tematem jego zajęć była historia Polski. Okropnie sparzył się na tych tematach, ponieważ, co tu dużo gadać, historii Polski zupełnie nie znał, a korzystał tylko ze skleconych przez jakiegoś komunistycznego

pseudohistoryka tematów. Z tego też powodu politruk gadał o naszej historii niestworzone rzeczy, które spotykały się z huraganowym śmiechem całego plutonu. Widocznie doszło to do politruka dywizyjowego i na drugi dzień naszego dotychczasowego politruka ppor Grylaka przeniesiono do baterii gospodarczej. Owe jego „historyczne” wywody jak żywo przypominają mi wiersz, którego uczyłem się przed wojną, a zaczynał się on tak: „Kiedy Kara-Mustafa wielki mistrz Krzyżaków szedł przez Ziemię Ognistą z Grekami na Kraków, Minawszy Karpaty, w Danii góry główne, spotkał tam śpiewaczkę Walasiewiczówną”.

W transporcie obchodziłem również moje 19-te urodziny. Od kolegów otrzymałem kilka puszek amerykańskich konserw oraz kilka tabliczek czekolady. Dawano początkowo czekoladę tym, którzy nie palili, lecz wkrótce zaprzestano ją wydawać. Palący otrzymywali taką marną i dosłownie śmierdzącą macherkę, nie z tytoniowych liści lecz z pociętych na drobno kodyg tytoniowych.

W Kijowie zatrzymaliśmy się na dłuższy postój. Przypomnieliśmy sobie, że jadąc do wojska, koledzy odkryli w pobliżu dworca kolejowego piękny gotycki kościół, a dziwo katolicki i czynny. Z uwagą na to, że była to jak raz niedziela, więc wszystkie cztery nasze baterie wybrały się tam na nabożeństwo. Wkrótce kościół zapełnił się blisko 400-tu podchorążymi. Trwała właśnie msza św. Przy głównym ołtarzu klęczało tylko kilka nędznie ubranych kobiet i to wszystko. Ksiądz odprawiający mszę św. co i raz trwożnie oglądał się do tyłu, ponieważ jak nam później opowiadał, nigdy tylu wiernych nie widział w tym kościele, a tym bardziej polskich żołnierzy.

Któryś z kolegów z czapką obszedł wszystkich podchorążych i zbierał sporą sumę na potrzeby kościoła. Na zakończenie mszy św. zaintonowaliśmy pieśń „Boże coś Polskę”. Śpiew czterystu podchorążych mocno grzmiał w świątani. Myśleliśmy, że lada moment szacowne ściany kościoła rozlecą się od tak nadmiernej ilości decybeli. Był to niejako nasz czynny protest przeciwko prześladowaniu religii w Sowietach. Msza św. skończyła się, a ksiądz nie odchodził od ołtarza i płakał. Później w zakrystii mocno wyczałował delegację podchorążych wręczającą mu kilka tysięcy zebranych rubli na potrzeby kościoła. Powiedział, że był to w jego kończącym się życiu wspomniany prezent od polskich żołnierzy. Życzył nam, by kule na froncie omijały nas i byśmy cało

wrócili z wojny do swych rodzinnych domów.

Przed wieczorem ruszyliśmy z Kijowa w dalszą drogę przez Fastow, Żytomierz do Nowogrodu. Dojeżdżając do stacji w Nowogrodzie powoli zaczęliśmy zbierać swoje wojskowe manele i szykować się do wysiadania. Z daleka widać było duży kompleks koszarowy, w którym przypuszczalnie mieścić się miała nasza nowa artyleryjska szkoła. Niebawem oznajmiono nam, że wskutek wyzwolenia Chełma Lubelskiego nasza szkoła formować się będzie właśnie w Chełmie. Transport nasz ruszył więc w dalszą drogę. Cieszyliśmy się, że nareszcie opuścimy ten sowiecki "raj", no i że będziemy w Kraju. Wszystko było tam przecież dla nas obce i nieprzychylne, a czasem odrażające. Wszyscy zresztą podchorążowie pochodzili z Wołynia, Podola, Wilna i Nowogródczyny, a kilkunastu naszych rodaków z Berdyczowa, Żytomierza, Winnicy, którzy aż nadto dobrze znali Sowietów.

Powoli zbliżaliśmy się do naszych przedwojennych granic. Krajobraz Wołynia był jak zawsze piękny. Z pól szedł zapach świeżo żętego zboża i skoszonej na łąkach trawy. Mimo woli przypomniiał mi się wierszyk, którego uczyłem się jeszcze przed wojną w Szkole Cwiczeń Liceum Krzemienieckiego:

" W rodzinnych stronach kwiatem pachnie wietrzyk,
Tu serce Obliski każdy w polu kłos,
W rodzinnych stronach słońce jaśniej świeci,
i srebrny strumień ma dzwięczniejszy głos.
W rodzinnych stronach głębszy nieba błękit
Smuklejsza brzoza u rozstajnych dróg,
W rodzinnych stronach maków pełne łąki
i więcej barw ma tęczy lśniący łuk."

Wielu kolegów, którzy wywiezieni byli na Syberię w 1940 r. ze łąką w oku patrzyło na rodzinną ziemię. Burzyliśmy się na tę niesprawiedliwość, tym bardziej, że znaliśmy już z opowiadań kolegów, którzy powrócili z łagrów i z dalekiej północy, jak nas Polaków tam traktowano. Wiedzieliśmy, że każdy nasz sprzeciw będzie siłą i krwawo stłumiony. Rozważniejsi i starsi koledzy hamowali protesty nas młodych.

Rano, gdy pociąg nasz stał przed jakąś stacją, obok toru szła wiejska kobieta, która przemówiła do nas po polsku. Spytałem ją co to za stacja kolejowa widnieje w oddali? Odpowiedziała "To Korzec". Wiwatom nie było końca. Wprawdzie nigdy przed wojną nie byłem w Korcu, lecz z historii wiedziałem, że

w miejscowości tej mieściła się słynna fabryka porcelany i stąd właśnie płynęły na królewskie stoły przepiękne koreckie serwisy.

Przejechaliśmy most na Horyniu i zbliżaliśmy się do Równego. To prawie że już w domu. To właśnie tu w Równym leżałem jako mały chłopak w wojskowym szpitalu gdzie leczyłem kilka chorób naraz i tu do Równego przyjeżdżałem na wycieczkę ze szkołą na słynne Targi Wołyńskie.

W Równem w zwartym szyku byliśmy w kościele na nabożeństwie. Po wyjściu z kościoła obstąpiła nas polska ludność dopytując się o swoich bliskich powołanych do wojska. Nasz postój w Równem przedłużał się i niektórzy z kolegów zdecydowali się jechać tak na "polski urlop" do Krzemieńca. Oczywiście kolej do Krzemieńca nie dochodziła i musieli jechać autostopem. Wraz z bratem nie zdecydowaliśmy się na tę eskapadę bez żadnych dokumentów, wiedząc, że NKWD wychwytuje wszystkich żołnierzy nie posiadających dokumentów traktując ich jako deterterów i kierując ich do karnych łagrów. Jeden z kolegów jadący do Krzemieńca obiecał, że zajedzie do Białokrynicy i przekaże pozdrowienia rodzicom i rodzeństwu. Od niego właśnie dowiedzieliśmy się, że młodszy brat Bogdan, wraz z innymi niepełnoletami został powołany do sowieckich grup zaporowych, przeznaczonych do prowadzenia obław na bandy UPA. W tej sytuacji Bogdan wraz z Kolegą Tadkiem Kowalewskim, podrobił sobie datę urodzin w metryce i na ochotnika wstąpił do podchorążówki broni pancernej. Ponadto nasz kolega przywiózł nam od rodziców taką małą "wałówkę" i pozdrowienia. Rodzice mocno żałowali, że nie mogli nas zobaczyć.

Z Równego przez Ołykę, Kiwerce, Kowel, Dorohusk dojechaliśmy do Chełma Lubelskiego. Przy przekraczaniu Bugu nasz nowy bateryjny politruk urządził coś w rodzaju wiecu na temat naszego wjazdu do Polski. Wszyscy z miejsca podnieśliśmy krzyk, że naszą polską granicę już dawno przekroczyliśmy w Kercu. Zamiast oczekiwanego przez politruka naszego wielkiego entuzjazmu, skończyło się na złożeniu przeciwko Sowietaom. Tu po raz pierwszy politruk nasze wystąpienie nazwał kontrewolucją i groził przykrymi konsekwencjami, mówiąc i przytaczając znane sowieckie powiedzenie: "Was nauczył tylko tyurma ili charoszaja sybirska ja zima" /Was nauczy albo więzienie, albo surowa zima syberyjska/. Przypomniał ponadto, że w Riazaniu kilku już za podobne wystąpienia znalazło się w łagrach.

Uciszyliśmy więc nasze silne wzburzenie, lecz i sam politruk wkrótce się zmitygował, że zbyt mocno się zagalopował. On przecież też i przede wszystkim odpowiadał za stan moralno-polityczny baterii. W razie czegoś odpowiadałby na równi z nami Jeszcze długo komentowaliśmy to haniebne wystąpienie Żyda-politruka.

28 sierpnia 1944 roku nasz transport kolejowy wtoczył się na chełmski dworzec kolejowy. Właściwie, to owego dworca wcale nie było, a tylko kupa gruzów wskazująca, że tu kiedyś ten dworzec był. Za ledwie przystąpiliśmy do wyładowania transportu, gdy zawyły syreny alarmowe oznajmiające alarm lotniczy. Wkrótce pokazały się na niebie trójki niemieckich bombowców, wyraźnie kierujących się na nas. Okazało się, że celem niemieckiego nalotu tym razem nie była stacja kolejowa i stojące na niej transporty kolejowe, lecz jakieś składy i magazyny położone tuż za dworcem w lesie. Później dowiedzieliśmy się, że lesie tym formował się nasz 1 Korpus Pancerny i właśnie dużę ilość czołgów zwabiły niemieckich lotników.

Nasza Oficerska Szkoła Artylerii zajęła w swoje władanie piękny i ogromny gmach w pobliżu stacji kolejowej. Gmach ten ukończono w lecie 1939 roku z przeznaczeniem dla Dyrekcji PKP. Widocznie Niemcy mieli tu swoje ważne urzędy, bo gmach świecił idealnym porządkiem. We wszystkich pomieszczeniach świecący parkiet, a na korytarzach piękna terrakota. Wspaniałe były również pomieszczenia umywalni i sanitariaty. Nakazano nam w ciągu kilku dni urządzić się w wyznaczonych dla baterii salach i przystąpić do dalszego intensywnego szkolenia. Ten pośpiech podyktowany był tym, że w czasie transportu straciliśmy trochę czasu szkoleniowego i planowana na listopad promocja się rzeczy odwlecze się.

Z rozmów z ludnością cywilną, a także na podstawie wiadomości z miejscowej prasy /dziennik "Rzeczypospolita"/ wnioskowaliśmy, że rozpoczęte w dniu 1 sierpnia powstanie w Warszawie chyli się ku upadkowi. Różne dochodziły nas w tym okresie wieści o powstaniu. Politrucy twierdzili, że powstanie szybko upadnie, ponieważ wywołali je polscy faszyci, inni znów, przychodzący nowi podchorążowie do szkoły, twierdzili, że nasi w Warszawie dobrze biją Niemców. Wszyscy moi koledzy z krzemienieckiego AK, przy spotkaniu się, tylko mrugali do siebie porozumiewawczo. Mieliśmy się mocno na baczności, ponieważ tu i ówdzie kręcili się kapusie i wszystko donosili do informa-

cji wojskowej. Wielu nowych kandydatów na podchorążych, którzy nieopatrznie zdradzili się, że byli w AK, zostali z miejsca aresztowani i nikt nie wiedział dokąd ich powieziono. My Krzemieńczanie w tej dziedzinie byliśmy już doświadczeni, jeszcze z lat 1939 - 1941, gdy NKWD szalała w Krzemieńcu. To dobre przestrzeżenie przez naszych kolegów z Krzemieńca zasadą konspiracji zawocowało tym, że nawet po wojnie nie odszyfrowano nas i nikt nie wiedział czy byliśmy w AK czy też nie. Szkolna Informacja codzienną zaglądała do naszej baterii, niby to na pogaduszki o tym i o owym, że już niedługo przystąpimy do promocji, że będziemy wkrótce oficerami, a w czasie rozmowy wplątywała swoje znane kruczki, czy czasem czymś się nie zdradzimy. Z czasem dali nam spokój i swoje uwagi skierowali na nowo utworzone baterie podchorążych.

W Chełmie nasza szkoła rozwinęła się do czterech dywizjonów trzybateryjnych oraz baterii przeciwlotniczej. Baterie tak jak i nasza liczyły po 100 podchorążych. Komendantem szkoły został generał brygady Artur Hulej, Polak z pochodzenia. Doskonale mówił po polsku. Jego rodzina, w tym urodziwa córka, również mówili wspaniale po polsku. Hulej był bardzo ciekaw polskich zwyczajów wojskowych to też jego głównym doradcą w tych sprawach został przedwojenny oficer major Ryszard Eberhardt. Uczył on generała właściwej polskiej postawy zasadniczej i wogóle zachowania się w polskim towarzystwie oraz chwytów szablą. Z tej to właśnie przyczyny nasza szkoła wkrótce zaczęła się upodabniać do przedwojennej szkoły podchorążych. Poziom szkolenia jak na czasy wojenne był wysoki. W zasadzie niewielu było takich, którzy nie posiadali matury lub też przedwojennej małej matury. W podchorążówkach innych rodzajów wojsk pod tym względem było znacznie gorzej. Nowi podchorążowie w swej zdecydowanej większości pochodzili i Chełmszczyzny, Lubelszczyzny i z Lwowskiego. W 50% byli oni żołnierzami AK. Polityczny pion szkoły, a tym bardziej Informacja wojskowa, zdawali sobie z tego doskonale sprawę i wiedzieli, że łatwo im z polską młodzieżą nie pójdzie w przekabacaniu na sowiecką modłę. Byliśmy już na tyle doświadczeni, że już na odległość wyczuwaliśmy donosiciela i węszącą wszędzie Informację. Poprostu nikt się do nich nie odzywał. Stosowaliśmy w stosunku do podchorążych - donosicieli bojkot towarzyski. Oni to doskonale rozumieci. O dziwo! wzór z nas brali również i koledzy tzw. Ruscy-Polacy, pochodzący z pod Berdyczowa, Żytomierza i Kijowa. Oni to właśnie pamiętali dobrze te wywózki na dale-



Odznaka 1 Oficerskiej Szkoły Artylerii, której ogromny wizerunek widniał i do dziś dnia widnieje w ogromnym holu szkoły.



Pierwszy Komendant Oficerskiej Szkoły Artylerii — płk dypl. Artur Hulej

Generał brygady Artur HULEJ
Pierwszy Komendant naszej szkoły.



Generał brygady Eugeniusz LASZKO
Jego zastępca do spraw liniowych.
Późniejszy dowódca mojej brygady na
froncie.

ką północ. Jak później dowiedzieliśmy się, wszyscy kapusie i donosiciele zrezygnowali, pod presją otoczenia, szybko załamali się i wycofywali z usług dla Informacji Wojskowej. Twierdzili później, że szantażowano ich i grożono wywózką ich rodzin na Syberię, gdzie część rodzin już tam znalazła się w 1937 roku. Tymi donosicielami z przymusu byli Polacy z Ukrainy. Niektórym nawet współczuliśmy ich roli, ponieważ wszystko nam potem opowiadali o ci ich pytano w Informacji. Jeden z kolegów z pod Winnicy, w zaufaniu powiedział nam, że Informacja sądziła, że właśnie im, Polakom urodzonym w ZSRR mogą najwięcej zaufać. Przypuszczali, że już zostali przez sowiecką propagandę wyprani z wszystkich uczuć patriotycznych oraz że, że skoro urodzili się tam, to już są bolszewikami. Oni właśnie tam na Ukrainie, wobec masowych prześladować Polaków i zmuszaniu ich na przyjmowanie narodowości ukraińskiej, Nie załamywali się jednak i w domach mówili pokryjomu po polsku. Ten właśnie kolega pochodzący z pod Winnicy cieszył się bardzo, że po raz pierwszy mógł swobodnie wraz z całą baterią chodzić do kościoła i na apelu porannym i wiecznym odmawiać modlitwę. Bał się jednak o tym napisać do rodziców w obawie, że cenzura list odczyta.

Spore czasu zajmowało nam utrzymanie czystości i porządku w pomieszczeniach baterii, w szczególności słynne już "butelkowanie" parkietu. Aby parkiet lśnił do połysku należało dnem a raczej kaniem dna butelki, najlepiej od wina, mocno pocierać klepkę parkietu aż do uzyskania połysku.

Okazało również wyglądał i urzędował oficer dyżurny szkoły w hallu budynku szkoły. Tam w oszklonej, jakgdyby klatce, dyrygował całym porządkiem szkoły. Nad ową "klatką" był piękny wizerunek odznaki szkoły. Był to stylizowany orzeł /oczywiście bez korony/, siedzący na dwóch skrzyżowanych armatnich lufach i trzech okrągłych kulach armatnich, a niżej napis "1-szy, OSA".

W ostatnim okresie czasu przed promocją najbardziej denerwował mnie nowy polityruk bateryjny. Na jednym z zajęć politycznych omawiał rzekomo zgubne dla Polski czasy Jagiellonów. Zgubne z tego względu, że szli w walkach na wschód. Nie wytrzymałem już tych głupot i powiedziałem mu mniej więcej w tym sensie, że jeszcze nigdy w swojej historii Polska nie była tak potężna, jak właśnie za Jagiellonów. To Polska w tym okresie historycznym, była największym mocarstwem Europy. Polityruk zrozumiał, że go przed całym plutonem ośmieszyłem i dowiodłem, że on wogóle nie zna historii Polski. Polityruk zzieleniał ze złości i powiedział mniej

więcej tak: "Podchorąży Jankowski, kto wam takich bredni historycznych naopowiadał? Napewno w tym waszym czarno-reakcyjnym Liceum Krzemienieckim?" Na taką odpowiedź politruka cały nasz pluton zaczął energicznie protestować. Chciałem politrukowi odpowiedzieć ostro na jego bolszewickie wywody, lecz siedzący za mną koledzy ciągnęli mnie za mundur do dołu, gdy usiłowałem wstać do słownej riposty → zmuszali mnie bym zamilkł.

Nigdy nie byłem antysemitą, lecz gdybym dłużej musiał słuchać naszego politruka, niewątpliwie stałbym się antysemitą. Dzień w Izraelu sjonistyczna propaganda szeroko mówi o polskim antysemityzmie, nie wiedząc o tym, że to właśnie ich ziomkowie-Żydzi, byli głównie propagatorami bolszewizmu w Polsce i antypolonistami

Od początku października cała nasza szkoła przygotowywała się do pierwszej promocji. Podlegała promocji bateria, która przyjechała z nami z Riazania i która szkolenie rozpoczęła grubo wcześniej od nas. Byli to głównie ci, którzy w 1940 roku wraz z rodzinami byli deportowani w głąb ZSRR. Prawdę mówiąc, to połowę prawie tej baterii stanowili Żydzi, którzy jakoś dostali się do ZSRR wcześniej i nie byli eksterminowani przez Niemców. Dziwił się mi się co też to będą za artylerzyści? Każdy z nich wyglądał na pokrakę. Oczywiście po promocji wszyscy Żydzi, jak jeden mąż, prz kwalifikowali się na politruków. Oto skąd w Polsce wziął się antysemityzm.

Na tydzień przed promocją mieliśmy przysłowiowe "urwani głowy" z ćwiczeniem kroku defiladowego i to poza godzinami zajęć. Na obszernym placu przed gmachem szkoły wszystkie 16 baterii ćwiczyło krok defiladowy i zewsząd słychać było pokrzykiwania szefów baterii "Noga wyżej! Wyrównać w czwórkach.! Głowa do góry".

W dniu promocji, 15 października 1944 roku cała szkoła ustawiona była przed okazałym gmachem szkoły w szyku kolumn baterii. Na prawy skrzydło stała umundurowana już w mundury oficerskie promowana bateria. Wokół łopotały na masztach flagi Polski i ZSRR. Była także msza polowa odprawiona przez kapelana szkoły. Promocji dokonał ówczesny naczelny dowódca WP gen. dyw. Zygmunt Berling.

Po tej promocji rozpoczęło się intensywne szkolenie naszych, pozostałych "riazańskich" baterii, czego widomy znakiem było zwolnienie naszych baterii od służby wartowniczej w szkole oraz od innych prac gospodarczych. Owo uczenie się do egzaminów szczególnie

wieczorami, było mocno utrudnione częstymi wyłączeniami prądu. Owe przerwy w dopływie prądu spowodowane były albo awariami elektrycznymi, albo też niemieckimi nalotami. Czas ciemności wszyscy wykorzystywali na czyszczenie ostróg. Były one żelazne i każda kropla wody powodowała ich rdzewienie. Najlepiej do czyszczenia ostrogi nadawała się zwykła igła do szycia. Poprzez pocieranie igłą ostrogi, ta stawała się błyszcząca.

W czasie takich przymusowych ciemności przyszła niepożądana wiadomość o upadku powstania warszawskiego. Dowiedzieliśmy się o całkowitym zburzeniu naszej stolicy i hekatombach ofiar naszych Rodaków. Na drugi dzień w szkole, o dziwo, ukazały się nawet plakaty i hasła "Pomścimy Ciebie Warszawo!".

Pod koniec listopada, po południu, do baterii przyszedł goniec od oficera dyżurnego szkoły z powiadomieniem, aby obydwaj podchorążowie Jankowscy zameldowali się u niego. Wraz z Wiesławem udaliśmy się do hallu szkoły, dziwiąc się, co też takiego ważnego ma nam do zakomunikowania oficer dyżurny.

Wchodząc do hallu gmachu dojrzeliliśmy naszego młodszego brata Bogdana w mundurze podporucznika broni pancernej. Ukończył on szkołę oficerską w Rosji / w polskiej kompanii podchorążych przy Sowieckiej Szkole Oficerskiej Czołgów w Wietludze za miastem Gorki/. Skierowano go właśnie na instruktora do formującej się w Chełmie Lubelskim polskiej Szkole Oficerskiej Broni Pancernej. Pancerniaków szkolono o wiele krócej niż nas artylerzystów, bo zaledwie pięć miesięcy.

Wraz z Bogdanem udaliśmy się do miasta na przepustkę, aby uczcić jego awans oraz nasze spotkanie. Wkrótce do Oficerskiej Szkoły Broni Pancernej przyjechał z Siedlec nasz kolega z koszar w Białokrynicy - Witek Wereszczyński, syn st. wachmistrza Lucjana Wereszczyńskiego z plutonu trębaczy 12 Pułku Ułanów Podolskich. Pan Wereszczyński senior pracował w tym czasie w Siedlcach w Powiatowej Komendzie Uzupełnień.

W początkach grudnia zrobiono w trybie alarmowym zbiórkę na placu całej szkoły, gdzie oznajmiono nam o zbiorowej dezercji z bronią w ręku 636 żołnierzy z 31 pułku piechoty 7 Dywizji Piechoty należącej do formującej się 2 Armii Wojska.

Wszyscy żołnierze uciekli do lasu, a sprzyjającym momentem do dezercji była hucznie obchodzona w pułku rocznica bitwy pod Lenino, obficie zakrapiana alkoholem. Do powyższej dezercji, prócz agitacji AK, zmusiła dodatkowo zła sytuacja mundurowa i aprowizacyjna w pułku. Część żołnierzy nosiła jeszcze swoje

cywilne ubrania i bieliznę. Brak było ponadto niezbędnego zaopatrzenia, a wyżywienie wiele pozostawiało do życzenia. Te złe nastroje spowodowane powyższym poważnym niedociągnięciem, szybko posłuchały partyzantów z WIN-u i wraz z bronią poszedł cały batalion do lasu. Sądzone całe dowództwo pułku oraz batalionu, z którego większość żołnierzy zdezerterowała. Było wiele wyroków skazujących na więzienie oraz skierowanie na front do kompanii karnej. Należy nadmienić, że w 1-szej Armii był batalion karny złożony z czterech kompanii. O ile dowództwo batalionu karnego było wyznaczone, o tyle dowódcy kompanii, plutonów, drużyn, funkcyjni podoficerowie, a główne szeregowcy byli skazani wyrokami. Batalion ten działał na najbardziej niebezpiecznych kierunkach frontu, gdzie praktycznie w każdej chwili mogła spotkać pewna śmierć. Skazywano przeważnie na miesiąc karnej kompanii. Skazany mógł wcześniej powrócić do macierzystego oddziału a ile został ranny. Czyli więc kara trwała tylko do pierwszego zranienia. Zranienie uwalniało żołnierza od kary i powodowała jej zatarcie. O ile w jednostce na froncie żołnierz utracił swoją broń, bądź popełnił inne poważniejsze wykroczenie, wówczas był kierowany do kompanii karnej. Żołnierze bardzo bali się karnej kompanii, ponieważ rzadko komu udawało się powrócić do oddziału. Po wspomnianym fakcie dezercji w 31 pułku piechoty zdecydowano pułk rozformować, a numer pułku całkowicie wykreślić.

Na jednym z apeli wieczornych odczytano nam komunikat sowiecki do Polaków, że: "Walki Armii Czerwonej na ziemiach polskich są traktowane jako działania na terytorium suwerennego sojuszniczego i zaprzyjaźnionego państwa. W związku z tym rząd sowiecki nie będzie ustanawiał w Polsce organów swojej władzy i administracji, stojąc na stanowisku, że jest to wyłącznie sprawa narodu polskiego". Wszyscy później z półuśmiechami, by nikt tego nie wzdziął, rozmawiali o tym między sobą i twierdzili, że większego kłamstwa i draństwa jeszcze nie było. Właściwie Sowieci robili u nas wszystko co chcieli, jakgdyby byli u siebie, a nasi z kierownictwa PKWN pomagali im.

Niedługo po tym na korytarzach szkoły wywieszono plakaty szkalujące Armię Krajową. Na plakatach tych przedstawiano rosłego żołnierza z pepeszą na ramieniu, a obok nałego karzełka z karabinem i opaską na rękę "AK". W dole plakatu widniał napis: "AK zapłuty karzeł reakcji".

W następnym dniu plakatów tych już na korytarzach szkoły nie było lub też z tablic ~~zostały~~ zwiisały ich naddarte bądź nadpalone resztki. Na każde opluwanie AK lub też naszego rządu w Londynie przez tutejsze władze, natychmiast następowała z naszej strony silna kontra. Oficerowie informacji dosłownie szaleli, lecz w żaden sposób nie mogli znaleźć winowajców zrywania plakatów. To jeszcze bardziej potęgowało w nich złość i chęć zemśczenia się. ~~Zemsta~~ komunistów na takie nasze wystąpienia przeciwko szkalowaniu AK była perfidna. Zaraz też w gazetach ukazywały się artykuły mówiące, że: "znamy tylko jedno Wojsko Polskie i dlatego podziały na żołnierzy AL czy AK praktycznie nie powinny istnieć. W Wojsku Polskim obowiązki dla wszystkich żołnierzy są jednakowe. Również równe są prawa, niezależnie od tego ktp do jakiej organizacji należał." Również i Tę perfidną grę szybko rozszyfrowaliśmy. Chodziło im głównie o to, by żołnierze AK ujawnili się.

Podchorążowie z innych baterii, powołani już z terenów lubelszczyzny, białostoczczyzny i lwowskiego, do naszych baterii, które przyjechały z Riazania odnosiły się z dużą rezerwą. Sądzieli, że skoro przyjechalibyśmy z Rosji, a więc jesteśmy tylko szpiegami i donosicielami. Później, gdy przekonali się, że większość z nas pochodziła z 27 Dywizji Piechoty Wołyńskiej AK, wówczas wszystkie lody pękły i nawzajem ostrzegaliśmy się o niebezpieczeństwie.

W połowie grudnia 1944 roku we wszystkich trzech bateriach, które przyjechały z Riazania, rozpoczęły się egzaminy końcowe przed promocją. Byłem dobrze przygotowany do nich, to też byłem spokojny o wynik. Egzaminowano nas z : instrukcji strzelania/egzamin ustny i pisemny/, z taktyki, opisu sprzętu artyleryjskiego i amunicji, topografii, a także z przedmiotów ogólnowojskowych, takich jak musktra, regulaminy, wyszkolenie saperskie i chemiczne oraz plot itp. W ostatniej chwili zarządono również egzamin z wyszkolenia politycznego. Zrobiliśmy z tego powodu mały bunt i kierownictwo szkoły chcąc zażegnać ten nieład dla nich wypadek, postanowiło zaliczyć tylko oceny z przed egzaminów.

Po zakończeniu wszystkich egzaminów, szef naszej baterii starszy ogniomistrz Fryśny /przed wojną szef baterii z 2 pułku artylerii ciężkiej z Chełma/ tytułował nas już "panie poruczniku". Sugerował również by do dnia promocji myśmy wyzna-

czyli ze swego grona szefa baterii, ponieważ jemu nie wypada podawać już komendy starszym stopniem. Smieliśmy się z naszego szefa z tego powodu. Lubiliśmy go bardzo za naprawdę ojcowskie podejście do nas i poprosiliśmy go by dalej nam szefował.

Tuż przed Bożym Narodzeniem w odwiedzinach do Witka Wereszczyńskiego, już jako podchorążego Oficerskiej Szkoły Broni Pancernych, przyjechał jego ojciec z Siedlec. Oczywiście pan starszy wachmistrz Wereszczyński nie omieszkał spotkać się też z nami. W piątkę więc / p. Wereszczyński, Witek, Bogdan, Wiesław i ja / poszliśmy do miejscowej restauracji w Chełmie. Zjedliśmy dobry obiad i zakrepiliśmy suto alkoholem.

Przyszły święta Bożego Narodzenia, pierwsze święta poza rodzinnym domem. Od rodziców mieliśmy co prawda listy, lecz przychodziły one jakoś w kratkę. Czasem list wysłany wcześniej przychodził później, niż pisany później. Rodzice zamierzali pociągiem repatriacyjnym wyjechać z Biażokrynicy i udać się narazie do Zamościa, gdzie kierowano wszystkie pociągi repatriacyjne z Wołynia. Narazie nie wiedzieliśmy kiedy wyjadą.

Wigilię Bożego Narodzenia mieliśmy w kasynie oficerskiej, a nie w stołówce podchorążackiej. Atmosfera, zwłaszcza w czasie dzielenia się opłatkiem była jakaś smutna. Wielu z nas zaszkliły się oczy, więc zaraz po wigilii poszliśmy do swoich sal sypialnych. Właściwie to całe dwa dni świąt przespaliśmy.

Tuż po świątach Bożego Narodzenia do sal wykładowych poszczególnych plutonów, kwatermistrzostwo szkoły rozpoczęło zwożenia całych stosów przedmiotów oficerskiego umundurowania. Zaczęło się przymierzanie mundurów. Już nie tak, jak mundurowano nas pośpiesznie w Sumach, gdzie magazynier wrzucał na nasze wychgnięte przed siebie ręce, całe stosy przedmiotów mundurowych. Teraz powoli przymierzaliśmy mundury, a oficerowie mundurowi szkoły doradzali, czy mundur pasuje, czy też trzeba wymienić na inny. Zaraz więc szły polecenia do pomocników magazyniera, jaki powinien dostarczyć mundur oraz jego rozmiar. Szef baterii dokładnie lustrował każdego z nas i zawsze coś znalazł do poprawienia. Jego oko nawykłe do służby, zawsze potrafiło już z daleko dostrzec nieprawidłowość. Krawcy z kwatermistrzostwa prasowali nasze mundury i płaszcze, a resztę wydanych przedmiotów pakowaliśmy w podręczne walizeczki. Byliśmy bardzo zadowoleni z mundurów. Były bardzo dobrze uszyte z pięknej angielskiej gabardyny, a nieco jaśniejszym odcieniu



Widok budynku 1 Oficerskiej Szkoły Artylerii w Chełmie.



6 stycznia 1945 roku. Generalicja przybywa do szkoły na naszą promocję. Od prawego: gen.bryg.Artur Hulej - nasz Komendant Szkoły gen.broni Władysław Korczyc - Szef Sztabu Generalnego WP. gen.broni Michał Żymierski - Naczelny Dowódca WP, gen.bryg.Aleksander Zawadzki, gen.dyw. Bolesław Czarniawski - Dowódca Artylerii WP.

khaki. Po przymiarkach mundurów rozpoczęły się treningi z musztry do promocji. Z uwagi na to, że zima była dosyć śnieżna i niepewne było czy na dzień promocji nie będzie jakiejś zawieji, zdecydowano, że promocja naszych trzech baterii odbędzie się na sali reprezentacyjnej szkoły. Promować nas miał Naczelny Dowódca generał broni Michał Rola-Żymierski.

Przyszła oczekiwany dzień promocji - 6 stycznia 1945. Od samego świtu w szkole wrzało jak w ulu. Był to gwar 1700 podchorążych w jednym bloku, stąd echo szło daleko. Przywitanie przybyłej na uroczystość promocyjną licznej generalicji oraz wysoko postawionych gości odbyło się przed gmachem szkoły przez wszystkie baterie, natomiast nasze trzy promocyjne baterie czekały już ustawione na sali reprezentacyjnej w rzędach po 10-ciu, zgodnie z otrzymanymi lokatami. Do promującego mieliśmy właśnie podchodzić dziesiątkami.

Punktualnie o godzinie 10.00 na salę wszedł Żymierski z całą świtą, w tym dowódca artylerii Wojska Polskiego generał broni Bolesław Czarniawski. Po odczytaniu rozkazu promującego nas na podporuczników artylerii nastąpił moment promocji. Najpierw do promocji podszedł prymus ppor. Gwiazda, następnie ci, którzy otrzymali 2-gą i 3-cią lokatę, a następnie podchodziły już całe dziesiątki. Ja miałem 23 lokatę na 252 promowanych. Żymierski po dotknięciu prawego ramienia promowanego szablą i wypowiedzeniu stosownej formułki: "W imieniu prezydenta Rzeczypospolitej mianuję Was podporucznikiem artylerii Wojska Polskiego". Właściwie cały ceremoniał promocji był identyczny jak przed wojną.

Egzaminów końcowych nie zdało 40-tu podchorążych, to też otrzymali oni stopnie starszych ogniomistrzów i odesłano ich do zapasowego pułku artylerii do Włodawy. Osobiście miałbym lepszą lokatę, lecz zaważyła na tym słaba ocena z wyszkolenia politycznego. Nasz bateryjny politruk pamiętał moje, jak on to nazywał kontrrewolucyjne wypowiedzi. Na drugi dzień po promocji natknąłem się na niego na korytarzu. Pogratulował mi stopnia i drwiąco powiedział: "Jestem przekonany, że tam na froncie porucznik prz przyzna mi rację". Zawiódł się srodze - nigdy nie zdołał mnie "przekabacić".

W dniu promocji wieczorem odbył się bal promocyjnym, lecz ja nie miałem w Chełmie żadnej sympatii, więc wybrałem się na spacer do miasta.

Nazajutrz po promocji, na sali w której byliśmy pro-

mowani, odbyła się odprawa wszystkich nowopromowanych, którą prowadził Żymierski. Mówił o powinnościach oficera w oddziale i na froncie, a na koniec zapytał tak prosto, kto chce iść zaraz na front. Rękę podniosło nas czterdziestu. Na sali zrobiła się grobowa cisza. Nastąpiła konsternacja, bo oto 252 podporuczników nowopromowanych, a tylko 40-tu wyraża chęć pójścia na front. Wzburzony tym faktem Żymierski perorował, że front potrzebuje wielu nowych oficerów, a tu nikt nie chce iść walczyć. Dostało się podobne i to dobrze komendzie naszej szkoły, a szczególnie politrukowi za niewłaściwe polityczne przygotowanie młodych oficerów. W owej czterdziestce, wyrażającej chęć pójścia na front znalazłem się również ja oraz mój brat Wiesław. Pozostali, którzy nie chcieli iść zaraz na front skierowani zostali na formowanie 2 Armii.

Korzystając z wolnej chwili przed wyjazdem na front odwiedziliśmy z Wiesławem naszego wuja Mariana /przed wojną kierownika spółdzielni 12 Pułku Ułanów Podolskich w Białokrynicy/ który stacjonował tu w Chełmie ze swoim oddziałem. Wuj zgodnie ze swoim fachowym przygotowaniem był żywnościowym w pułku piechoty.

Kilka dni później po pobraniu z Komendy szkoły skierowania oraz niezbędnych dokumentów osobistych przygotowaliśmy się do wyjazdu na front, który w tym czasie stał koło Warszawy. Oczywiście pociągi jeszcze wówczas w tym kierunku nie kursowały, to też wraz z kolegami udaliśmy się na rogatkę chełmską, gdzie był sowiecki posterunek regulacji ruchu. Regulującymi ruch były przeważnie sowieckie żołnierki. Komendant takiego punktu regulacji ruchu zobowiązany był do zatrzymania samochodu wojskowego jadącego w kierunku żądanym i umieszczenia w nim jadących służbowo. Podszedłem do ładnej dziewczyny w mundurze w stopniu starszego szeregowego, trzymającej w ręku chorągiewki do kierowania ruchem i poprosiłem ją by kilku naszych kolegów wsadziła do jakiegoś luźnego samochodu jadącego do Lublina. Dziewczyna ładnie i z uśmiechem odsalutowała i powiedziała: "Tak toczno towarzyszcze major!". Co za licho - pomyślałem i trwożnie spojrzałem na moje naramienniki, czy aby koledzy nie spłatali mi jakiegoś figla. Wszystko było w najlepszym porządku lecz okazało się że my mamy na naramiennikach takie gwiazdki jakie w sowieckiej armii mają majorowie i stąd tytułowanie nas majorami. Z podobnym spotykałem się ponownie na froncie, gdzie

właśnie dzięki tej dużej gwiazdce zająłem lepszy dom, który uprzednio chciał zająć sowiecki kapitan. Ustąpił on jednak "starszemu".

W tym dniu mróz był duży, to też śledząc nieruchomo w skrzyni samochodu ciężarowego "Studebaker" porządnie przemarzeliśmy. W Lublinie przesiadliśmy się do samochodu ciężarowego jadącego w kierunku Siedlec. Teraz było nam trochę cieplej, ponieważ rozbawiony dysponent samochodu starszy lejtnant dał nam na rozgrzewkę butelkę samogonu / "skoro jechało aż tylu "majaków"/no i można było się opatulić kocami, które przewoził samochód. W Siedlcach nie omieszkaliśmy odwiedzić państwa Wereszczyńskich, zgodnie z zaproszeniem pana Wereszczyńskiego, gdy był u Witka w Chełmie. Nie obyło się oczywiście bez sutej kolacji trochę zakrapianej i mnóstwo wspomnień z okresu przedwojennego, gdy jeszcze w koszarach mieszkaliśmy właśnie przez ścianę.

Nazajutrz w dobrych humorach i po wielkich trudach dobrnęliśmy jakoś do Zielonej, gdzie mieścił się sztab 1 Armii. Od strony Warszawy dobiegały potężne huki artyleryjskiej kano-nady i widać było ogromne słupy dymu. Na mroźnym powietrzu dym jakgdyby utrzymywał się w miejscu.

W oddziale kadr sztabu armii zdałem dokumenty całej naszej grupy i kazano nam czekać na przydziały. Urzędnicy z oddziału Kadr z przekąsem zwrócili nam uwagę, że należy zgłaszać się rano, a nie gdy jest czas odpoczynku. Popatrzyliśmy na siebie zdumieni, ponieważ uprzedzono już nas wcześniej, że najbar-dziej zadziera ją nosa personalnicy, chociaż na niczym się nie znają i właściwie nic nie robią. Nadąsani kadrowicy chcieli nam na odczepnego znaleźć jakie popadło przydziały. Chciano nas skierować do piechoty na stanowiska dowódców plutonów 45 mm armat przeciwpancernych. Nie pomogły nasze tłumaczenia, że jesteśmy z artylerii ciężkiej i chcemy iść do brygad artylerii ciężkiej. Kapitan personalnik, o wydatnych semickich rysach, oznajmił nam głosem nie znoszącym sprzeciwu, że mamy pójść tam gdzie on zechce. Ku naszemu wybawieniu z tej opresji, jak na za-wołanie, zupełnie przypadkowo, przechodził obok naszą dowódca baterii z Riazania mjr Bohatyrow, który obecnie był w Dowództwie Artylerii 1 Armii. Peskarzyliśmy się jemu, że chcą nas posłać do 45 mm armatek i że prosimy jego o pomoc. Major przy-witał się z nami serdecznie, pogratulował stopni i dosłownie rozwścieczony przydziałami jakie nam dali personalnicy, poszedł

do nich. Niebawem usłyszeliśmy ogromne krzyki majora i posądzenie personalników o sabotaż, ponieważ oni nie wiedzą ile to kosztuje wyszkolenie oficera artylerii ciężkiej. Greził im, że jeżeli nie skierują nas do brygad artyleryjskich to z miejsca zamelduje o tym dowódcy artylerii 1 Armii generałowi Modzelewskiemu, a on już na nich znajdzie sposób jedyny - kompania karana. Wychodząc major mrugnął do nas porozumiewawczo okiem z szelmowskim uśmiechem. Niebawem kapitan-personalnik wezwał nas ponownie do siebie, zabrał poprzednio wydane przydziały i mocno naburmuszony dał nam skierowania do brygad artyleryjskich. Wraz z bratem zostaliśmy skierowani do 3 Brygady Artylerii Haubic z Odwodu Maczelnego Dowództwa, której sztab znajdował się w Jabłonie-Legionowie. W sztabie brygady przyjął brata i mnie osobiście i bardzo przyjemnie dowódca brygady generał brygady Stanisław Skokowski. Był tzw. "ruskim" Polakiem i doskonale mówił po polsku. Mówił, że jego rodzina jak i on pochodzi z pod Berdyczowa na Ukrainie. Chwilę jeszcze porozmawiał z nami, pytając o stosunki w szkole, poczęstował prawdziwą zdobyczną kawą i przydzielił nas do poszczególnych pułków brygady. Kolega z Krzemieńca Jasio Semenetz poszedł do 10-go pułku artylerii haubic, Włodek Kobylański z Dubna - do 11 pułku, natomiast mój brat Wiesław, ja oraz kolega Eligiusz Samberski - do 12 pułku artylerii. Lubiłem tę cyfrę jeszcze z białokrynickich czasów.

Dowódcy pułku, podpułkownikowi Michałowi Karbownikiemu meldowaliśmy się na punkcie obserwacyjnym pułku w rejonie Legionowa. Był to również tzw. "ruski" Polak i też doskonale władał naszym językiem. Zostałem skierowany do 1-szej baterii na stanowisko oficera ogniowego baterii, czyli tego, który na stanowiskach ogniowych baterii kieruje strzelaniem zgodnie z komendami otrzymanymi z punktu obserwacyjnego. Oczywiście były później meldowania u dowódcy dywizjonu oraz na ostatku u dowódcy baterii.

Dowódcą baterii był sowiecki oficer starszy lejtnant/porucznik/ Aleksy Kuźniecowa. Chodził w polskim mundurze, choć był rozkaz, by nie umiejący po polsku, chodzili w sowieckich mundurach. Miał około 30 lat. Był dobronurzy i prostolinijny i bardzo koleżeński. Natychmiast poczęstował mnie suto zakrapianym obiadem, wyznaczył ordynansa i wysłał na stanowiska ogniowe baterii. Była to taka pocziwa rosyjska dusza. Do dziś mi go wspominam. Z punktu obserwacyjnego baterii do sta-

nowisk ogniowych baterii było około 4 kilometrów. Stanowisko ogniowe baterii zrobiło na mnie dodatnie wrażenie. Było doskonale zamaskowane sosenkami i śniegiem. Okopy działowe były wykopane w pełnym profilu, tak że wyglądały jedynie z okapu lufy haubic i tak przykryte siatkami maskującymi. Dowódcami plutonów ogniowych byli: 1-go plutonu ppor. Fiedczenko, a 2-go plutonu ppor. Szczococzkin. Obydwaj byli Rosjanami oraz wspaniałymi kolegami mimo, że obydwaj podlegali mi jako oficerowi ogniowemu baterii. Byli naprawdę lojalnymi podwładnymi i szczerymi, frontowymi przyjaciółmi. Ani jeden z nich do końca wojny i ich odejścia po wojnie do siebie do Rosji, w rozmowach ze mną nie poruszali tematów politycznych i jakgdyby przeczuwali, że ja tych tematów nie lubię. Raz tylko ppor. Fiedczenko, mój równolet, popił sobie solidnie gdzieś za Łowiczem w czasie ofensywy i siedział w kącie pięknej łowickiej chaty i markotny dumał. Był naprawdę smutny. Nikogo w chacie nie było, więc zapytałem co mu jest. Początkowo nieśmiało, a później już otwarcie żalił mi się, że bardzo martwi się o swoją rodzinę pozostawioną gdzieś na Uralu. Ojca jego aresztowano jeszcze w 1938 roku i nikt nie zna jego losu. Jego matkę i dwoje rodzeństwa /siostra 8 lat, brat 10 lat/ wyrzucono z mieszkania w Wołokożamsku pod Moskwą jako rodzinę "wroga ludu" i deportowano do Czelabińska na Uralu. Matka bardzo ciężko pracowała w hucie żelaza na utrzymanie pozostałych dzieci, on zaś przed pójściem do wojska był pomocnikiem stolara w hucie. W 1943 roku powołano go do wojska i w jednostce wojskowej zgłosił się na ochotnika do szkoły oficerskiej artylerii. Po 10-ciu miesiącach szkolenia otrzymał stopień lejtnanta i skierowano^{op} do Polskiej Armii. W ten to właśnie trafił do naszej Brygady i pułku. Gdy już nieco wytrzeźwiał, zreflektował się, że może za dużo mi powiedział i prosił bym tego co opowiadał nikomu nie powtórzył. Serdecznie ucałowaliśmy się z nim i przyrzekłem, że nikt ode mnie nie usłyszy tego co słyszałem. Był moim naprawdę serdecznym przyjacielem frontowym, takim, co to ostatnie koszulę zdjąłby z pleców i mnie dał.

Oglądałem całą baterię, każdy okop działowy, złożone sterty amunicji, ziemianki działonów i rowy łączące. Dla oficera ogniowego baterii oraz dowódców plutonów ogniowych była też piękna i przestronna ziemianka. Wewnątrz trzy łóżka i trochę mebli potrzebnych do życia oraz duży piec żeliwny. Małutkie okienko właściwie nie dawało żadnego światła, tak że w dzień i w nocy paliła się ciągle lampa naftowa. Żeliwny piec miał to

do siebie, że gdy się w nim paliło, wówczas w ziemiance było ciepło, natomiast gdy ogień w piecu wygasł, od razu w ziemiance było chłodno. W dniu mojego przyścia siedział przy piecyku żołnierz i ze stoickim spokojem wkładał powoli ~~do piecyka~~ drewnienka. Każdy dowódca plutonu odpowiadał za swój pluton i w czasie prowadzenia ognia był w rejonie swojego plutonu, ja zaś jako oficer ogniowy baterii miałem oddzielny okop /tuż przy wyjściu z ziemianki/ w którym prócz żołnierza z rozstawionym kątomierzem busolą, siedział również dyżurny telefonista z aparatem telefonicznym i co i raz sprawdzał łączność z dowódcą baterii. Każdy działon do obrony przeciwpancernej posiadał rusznicę przeciwpancerną / systemu Simonowa - pięciostrzałową i systemu Diektariowa - z pojedynczym ładowaniem/. Z rusznic bano się strzelać, ponieważ przy wystrzale mocno kopwały strzelca w ramię. Dla rusznic przeciwpancernych były wówczas wykpane okopy, lecz zajmowane były przez strzelców rusznic dopiero na sygnał "Czołgi!". W każdym okopie była kartka papieru z wyrysowanym szkicem ognia.

Do obrony stanowisk ogniowych każdy pluton posiadał ręczny karabin maszynowy systemu Diektariowa / tafełowy magazynek/. Okop dla rkm i jego zajmowanie, tak jak przy rusznicach ppanc. Przy każdym dziale oraz w okopie oficera ogniowego baterii była tablica z umieszczonymi tam danymi do każdego ognia: a więc numer i rodzaj celu, nastawy /celownik, poziomica, busola/ ilość amunicji i sposób prowadzenia ognia. Z tyłu frontu baterii około 400 metrów, w małym zagajniku znajdowały się ciągniki baterii, amerykańskie samochody "Studebaker". Były to wspaniałe samochody, o czym osobiście przekonałem się, w czasie dalszych działań bojowych. Doskonale pokonywały trudny teren i bezdroża. Każdy samochód posiadał wyciągarkę. Gdy samochód ugrzązał, natychmiast rozwijano stalową linkę, doczepiano ją do byle drzewa, włączano silnik i powoli samochód wychodził z błota. Za stanowiskami ciągników, w odległości około 200 metrów było takie małe chłopskie zabudowanie, a w nim "królestwo" szefa baterii. Głównym elementem szefoskiego miejsca postoju była bateryjna kuchnia polowa, która gotowała posiłki dla całej baterii. Stąd, w termosach noszono posiłki na punkt obserwacyjny. Wadą kuchni polowej wzoru sowieckiego było to, że posiadała tylko jeden kocioł. Kiedy kucharze mieli ugotować np. obiad z dwóch dań, wówczas szef woził ze sobą różne garnki. Ciągnikiem kuchni polowej i całego zaprowadzania baterii był samochód, również amerykański "Ford".

Posiłki, z uwagi na małe przydziały żywności były słabe, a szef baterii mimo swojej przedsiębiorczości, nic nie mógł skombinować. Był surowy zakaz rekwirowania żywności i wogóle wszystkiego i to zarządzenie bardzo skrupulatnie przestrzegano. Naruszyli tego zarządzenia karano bardzo surowo. Było to bardzo słuszne zarządzenie, ponieważ wokół Warszawy ludność była biedna i nie można było zabierać jej żadnej żywności. Grabili ludność Niemcy, później Sowieci, a więc nie mogli już tego czynić swoim Rodakom Polacy.

Bateria nasza, tak jak i inne baterie, wozila ze sobą nienaruszalny zapas amunicji artyleryjskiej tzw. jednostkę ognia, która wynosiła 80 pocisków na działo. Z tego prosty wniosek, że na każdym samochodzie-ciągniku było 40 skrzynek amunicyjnych/po dwa pociski w skrzyni/. W tej jednostce ognia prócz przeważającej ilości granatów odłamkowo-burzących, były też pociski przeciwpancerne, oświetlające, zapalające i dymne. Na zabezpieczenie strzelań do różnych wykrytych celów nie wolno było używać amunicji z nienaruszalnego zapasu a tylko z limitu amunicji dowożonego przez dywizjon dowozu amunicji brygady. Niekiedy w czasie ofensywy były poważne kłopoty zabrania amunicji nienaruszalnej oraz bieżącej. Później, już na terenach niemieckich, każda bateria, za cichą zgodą przełożonych, posiadała zdobyczny samochód niemiecki

Z magazynu pułkowego pobrałem pistolet 7,62 mm systemu "TT" oraz lornetkę polową z 6-cio krotnym powiększeniem oraz niezbędne frontowe wyposażenie mundurowe: futrzany serdak, ciepłą bieliznę, kominiarkę i futrzane rękawice.

Mój brat Wiesław dostał przydział do 3 baterii tego samego dywizjonu co i ja i na identyczne stanowisko. Korzystając z przerwy w strzelaniach, odwiedziłem go. Bateria 3-cia stała w odległości jednego kilometra od nas.

Szykowała się wielka ofensywa styczniowa. Z tego względu, przeważnie nocą, dowożono na stanowiska ogniowe baterii amunicję, a dowódcy baterii, oficerowie ogniowi baterii i działonowi wykreślali tabele do prowadzenia ognia do wyznaczonych celów, a także tabele marszu.

Nasza brygada miała wspierać natarcie 2 Dywizji Piechoty im. gen. Henryka Dąbrowskiego, nacierającej na Warszawę od północy z rejonu Jabłonna - Legionowo, tworząc tzw. Dywizyjną Grupę Artylerii /DGA/. Pozostałe dywizje naszej

1 Armii Wojska Polskiego, tworząc główne zgrupowanie uderzeniowe Armii nacierały na Warszawę z południa z rejonu Góry Kalwarii

Od czoła na Pradze Południe i Północ, obronę trzymała 6 Dywizja Piechoty naszej Armii.

Szczególnie ja oczekiwałem z niecierpliwością dnia 15 stycznia 1945 roku. Była to bowiem operacja wiślańsko-odrzańska, w której po raz pierwszy miałem wziąć udział w walce z Niemcami na froncie jako oficer.

W dniu 15 stycznia lekka mgła spowiła rejon naszego stanowiska ogniowego baterii. Początek artyleryjskiego przygotowania natarcia z tego właśnie względu przesunięto na godzinę 9.30. Artyleryjskie przygotowanie natarcia miało trwać 55 minut, a potem miało nastąpić artyleryjskie wsparcie natarcia metodą wału ogniowego.

Pilnie więc sprawdzałem w działonach tabele prowadzenia ognia oraz sekundomierze, a już szczególnie tabele prowadzenia wału ogniowego. Działonowi byli doświadczeni dowódcami dział i swoje rzemiosło znali doskonale. Wszyscy pochodzili oni z województwa tarnopolskiego, a kapral Dziwiński i kapral Czernuszko, byli działonowymi przed wojną w 12 pał w Tarnopolu.

Sygnałem do otwarcia ognia dla całej artylerii miała być salwa z Katiusz, sowieckich móżdziejy rakietowych.

Niebawem ogniście smugi pocisków z Kati^usz ukazały się na niebie. Nie doszedł do mnie jeszcze potworny ich ryk, gdy moja ręka opadła na znak otwarcia ognia przez nasze działa. Otworzyliśmy więc ogień. Potężny huk wystrzałów i wybuchów dotarł do naszych uszu. Huk był ogłuszający i zlewał się w jedno potężne dudnienie. Jednym uchem słuchałem tej potwornej kanonady, a drugim - czy nie woła mnie do telefonu dyżurny telefonista. Właśnie on teraz wrzeszczał na całe gardło "Czternasty do telefonu!". Ten "czternasty" to właśnie mój numer służbowy. Kryptonimem stanowisk ogniowych naszej baterii był: "Beskid", a więc na froncie byłem w środkach łączności nie podporucznikiem Jerzym Jankowskim, lecz "Czternasty Beskidu". Dowódca baterii pytał mnie co słychać na stanowiskach ogniowych i wogóle jak sobie radzę. Powiedział, że od dymu wybuchów pocisków oraz panującej mgły wogóle nie może stwierdzić skuteczności naszych pocisków, mimo, że do niemieckich okopów tuż za Wisłą nie jest przecież tak daleko. Właściwie z takiej pogody to byliśmy zadowoleni, ponieważ w innym wypadku mieliśmy tu już na karkach Luftwaffe.

W czasie strzelania działonowy trzeciego działka zameldował, że z oporopowrotnika działka wycieka olej wrzecionowy. Bywa tak czasem, przy długotrwałym strzelaniu lufa działka mocno się nagrzewa i uszczelki w oporopowrotniku nie trzymają jak należy i wówczas obserwuje się wycieki oleju. Chwila przerwy i już żołnierze robią lufie działka kompresy ze śniegu, które pomogły lufie działka dojść do siebie. Bardzo przykry wypadek wydarzył się w piątej baterii 2-go dywizjonu naszego pułku. Na stanowisku ogniowym tej baterii było dużo młodych żołnierzy niedawno wcielonych do wojska i nie przeszli oni wystarczającej ilości czasu na szkolenie. Na komendę z punktu obserwacyjnego baterii "ładunek pełny" - a więc wpakowali oni do łuski pocisku do pełna woreczków z prochem. No bo jak była komenda "pełny" to znaczy łuska ma być pełna prochu - tak rozumowali niedouczeni żołnierze. Oczywiście takiego potężnego odrzutu przy wystrzale nie wytrzymał oporopowrotnik - urządzenie przy działku mające hamować odrzut lufy przy wystrzale do tyłu i powracać lufę w pierwotne położenie. Wystrzał wyrwał lufę z kołyski działka i lufa zaryła się w ziemię. Dobrze, że nikomu z obsługi działka nic się nie stało. Znajomy oficer opowiadał mi później, że lufę wyrwano z ziemi dopiero przy użyciu wyciągarek dwóch samochodów.

W nocy z 15 na 16 stycznia 1945 roku wspierana przez nas 2 Dywizja Piechoty rozpoczęła forsowanie Wisły pod Tarchominem. Nasza bateria niszczyła cele w rejonie przeprawy oraz koło Palmir.

Piechota nasza gładko sforsowała Wisłę po lodzie i szybko posuwała się naprzód. Z uwagi na to, że nie było żadnych możliwości przeprowadzenia pułków naszej brygady na drugą stronę Wisły, a 2 Dywizja Piechoty nacierała wzdłuż Wisły na południe, więc postanowiono, że brygada będzie zmieniać kolejne stanowiska na prawym brzegu Wisły posuwając się również na południe.

Na sygnał dowódcy baterii podałem komendę: "Odbój! Przygotowanie do marszu!" i rozpoczęliśmy wyprowadzanie całej baterii, a raczej jej rzutów ogniowych i całego dobytku na pobliską drogę. Trochę czasu zajęło ładowanie niewystrzelonej amunicji, której nie było dosłownie gdzie załadować. W końcu jakoś poradziliśmy sobie. Kolejne stanowiska ogniowe bateria zajęła w Henrykowie.

Z informacji jakie do mnie doszły z punktu obser-

wacyjnego baterii, 2 Dywizja Piechoty podchodziła już do północnych przedmieść Warszawy, a głównie do Powązek. Niemcy w obawie przed dwustronnym okrążeniem - wycofali się - pozostawiając tylko za sobą drobne oddziały osłonowe, które nie stawiały dużego oporu.

16 stycznia 1945 roku o godz. 16.00 nasza piechota zajęła Powązki, Plac Trzech Krzyży i Cytadelę. W tej sytuacji dalsze użycie artylerii na i tak już okropnie zniszczone miasto byłoby zbędne. W związku z tym wszystkie trzy pułki naszej Brygady ześrodkowały się na Pradze. Było już ciemno, tylko na lewobrzeżnej Warszawie słychać było niekiedy salwy karabinowe, z rzadka wybuchy granatów, a niebo nad naszą stolicą było czerwone od żun pożarów. Będąc trochę zmęczonym przysnąłem trochę w kabinie samochodu, a żołnierze przycupnęli przy palących się na ulicach Pragi ogniskach. Pogoda była mroźna i dokuczliwy wiatr przewiewał nasze mundury i płaszcze. Nie mogłem jednak usnąć i podszedłem do jednego dużego ogniska, przy którym grzali się nasi żołnierze. Pochodzili oni głównie z województwa tarnopolskiego: z okolic Zbaraża, Tarnopola, Skakałatu i Czortkowa, a tylko niewielka ilość niedawno wcielonych - z Wileńszczyzny. Niektórzy żołnierze byli już w wieku blisko pięćdziesięciu lat i mogliby być moimi ojcami. Byli też i tacy, którzy brali udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r.

Nazajutrz 17 stycznia cała nasza 1 Armia Wojska Polskiego przesunięta została do drugiego rzutu operacyjnego 1 Frontu Białoruskiego. Walki o wyzwolenie Warszawy zakończyły się. Nie wzięliśmy udziału w słynnej już defiladzie jednostek 1 Armii w Alejach Jerozolimskich, która odbyła się 19 stycznia w Warszawie. W nocy było bardzo zimno. Temperatura powietrza spadła do kilku stopni poniżej zera i dodatkowo wiał bardzo zimny wiatr. Bardzo miłe były spotkania z ludnością Pragi. Zbiedzone i nędznie ubrane nasze dziewczęta mniej więcej w moim wieku obdarowywały nas uśmiechami i wymachiwaniami rąk. Koło naszej kolumny bateryjnej przechodziła spora grupka ludzi z plecakami i tobołkami, kierując się na wybudowany dopiero co przez naszych saperów most pontonowy. Twierdzili, że chcą zobaczyć co się stało z ich mieszkaniem w centrum Warszawy. Podbiegła do mnie młoda dziewczyna, ubrana jak chłopak i dosłownie pocałowała mnie w policzek i zniknęła w tłumie idących. Okazało się, że to wracali ludzie z jakiegoś obozu pracy na Pradze i widocznie chciała się

jakoś odwdzięczyć za wyzwolenie pierwszemu napotkanemu żołnierzowi, którym okazało się jestem ja.

W nocy z 19 na 20 stycznia 1945 roku pułk nasz przeprowiał się przez most pontonowy w oentrum Warszawy. To co ujrzałem na warszawskim brzegu przeraziło mnie. Miasto było kompletnie zburzone przez walki w czasie powstania, przez liczne bombardowania i ostrzały artyleryjskie. Tu i ówdzie dopalały się jeszcze pożary. Pozostały tylko ogromne sterty gruzów i pogorzeliisk, spośród których sterczały tylko w charakterystyczny sposób kominy domów. Śwąd spalenizny wciskał się nawet do kabiny samochodu. Woń ta zawsze i wszędzie przypominała mi później ten niezapomniany przejazd po zgliszczach Warszawy. Grozy widoku dopełniała jeszcze noc i lekka zadymka. Na ulicach leżało pełno porzuconego przez Niemców bojowego sprzętu i ekwipunku żołnierskiego. Wydawało mi się, że przejeżdżam jakimś upiornym kanionem na dnie gruzów lekko przypruszonych śniegiem. Miasto leżało dosłownie umarłe. Jechałem przez całą Warszawę i nie widziałem, o zgrozo, ani jednego całego domu. Czasem musieliśmy się zatrzymywać, ponieważ saperzy musieli usunąć z naszej drogi marszu jakieś ponłatane szyny kolejowe i tramwajowe oraz pajęczynę sieci trakcyjnej.

Wszyscy byliśmy tym dosłownie wstrząśnięci i oburzeni, przysięgając srogi odwet za Warszawę na Berlinie. Osobiście nie wierzyłem, że Warszawa w tym miejscu zostanie odbudowana, no bo kto zdołałby usunąć to morze gruzów. Dziś nie da się tego porównać, co widziałem wówczas w mroźną noc w Warszawie w styczniu 1945 roku.

W tym czasie sytuacja na froncie wyglądała następująco. 47 sowiecka armia nacierała wzdłuż lewego brzegu Wisły mając stosunkowo duże tempo natarcia i mijając Gostynin, Kowal, Brześć Kujawski doszła pod Włocławek. Na prawym brzegu Wisły 61 sowiecka armia z II Frontu Białoruskiego parła na Modlin. W ten to sposób na styku dwóch Frontów powstawała gigantyczna luka, którą z powodzeniem mogłoby wykorzystać nieprzyjaciel. Tę lukę należało czempędzej zamknąć i polecono to uczynić naszej i Polskiej Armii. W ten to właśnie sposób w naszej Armii powstały niejako dwa zgrupowania marszowe. Zgrupowanie ubezpieczające, które posuwało się wzdłuż lewego brzegu Wisły i wzbraniające Niemcom przeprowadzenie się na lewy brzeg. Drugie zgrupowanie - to zgrupowanie marszowe, do które-

go należała również nasza Brygada i nasz pułk. Osobiście byłem zadowolony, że nie będzie potrzeba ustawicznie zmieniać ugrupowań bojowych i tak skokami posuwać się jak żółw do przodu. Wolałem już maszerować.

20 stycznia 1945 roku wyjechaliśmy z Warszawy na szosę Błonie - Sochaczew. Ten marsz był jednak makabryczny. W tym czasie spadły duże śniegi i przez dłuższy czas utrzymywała się niska i mroźna temperatura. Głównych szos oczywiście nie odśnieżano, były one zasypane śniegiem. Jazda po dużych zaspach była okropna, więc nic dziwnego, że tego dnia ujechaliśmy zaledwie 35 kilometrów i ześrodkowaliśmy się na zachód od Włoch. W tym czasie zaczęło mi mocno dokuczać gardło, a raczej same migdały i czułem, że skończy się to anginą. Ale gdzie tu chorewać? Gdy wyjeżdżałem z Chełma Lubelskiego ze szkoły na front, również dokuczało mi gardło, lecz jakoś to przeszło po wątpliwej kuracji alkoholowej. Następnego dnia 21 stycznia ponownie ruszyliśmy naprzód w kierunku północno-zachodnim na Sochaczew i po paru godzinach jazdy, a raczej przepychania się po licznych i głębokich zaspach i odkopywaniu samochodów, dobrnęliśmy wreszcie do miejscowości Cmiszew / 8 km. na północny-zachód od Sochaczewa/. I znów przez cały dzień zrobiliśmy zaledwie 35 kilometrów. Nazajutrz armijni saperzy trochę odśnieżyli szosę i ruszyliśmy dalej.

Wokół było widać tylko zasypane śniegiem lasy i dachy domów. Liczne malunki na chatach wiejskich wskazywały, że znajdujemy się w łowickich stronach.

Na nocleg zatrzymaliśmy się w pięknej łowickiej wsi Złaków Borowy. Chata, w której kwaterowałem była naprawdę piękna. W największej izbie od sufitu zwisał majestatycznie "pająk", misternie zrobiony z bąbułek i słomy, a łóżko zasłane było łowickim, wzorzystym kilimem i całą gamą spiętrowanych małych poduszek. Gospodarz przygotował sutą kolację i własnej roboty bimbrem z melasy. Rozmawialiśmy z gospodarzem do późnej nocy, tembardziej, że pochwalił się, że służył przed wojną w Dubnie, w 43 pułku piechoty.

Nazajutrz znów w drogę. Wieczorem 22 stycznia osiągnęliśmy rejon niedaleko Dobrzynia nad Wisłą.. Tu właśnie kierowcy meldowali jeden przez drugiego, że kończy się paliwo. We wszystkich samochodach baterii baki samochodów były prawie już puste. Takie sygnały do sztabu pułku szły prawie ze wszystkich baterii naszego pułku. Niektórzy wykorzystywali zdobyczą ben-

zynę, lecz były to małe ilości, które nie załatwiły by sprawy w skali np. naszego dywizjonu. W związku z tym zarządzono odpoczynek i reperację uszkodzonego sprzętu, dowóz zaopatrzenia oraz naprawę żołnierskich, mocno już sfatygowanych rękawic.

Powodem takiego totalnego braku paliwa niemal w całej naszej 1 Armii było to, że wszystkie składy materiałów pędnych naszej armii i Frontu, pozostały po tamtej stronie Wisły za Rembertowem. Jedyne mosty pontonowe w Warszawie były bez chwili przerwy zajęte przegrupowaniem się wojsk i naszych i sowieckich, stąd też kwatermistrzowskie samochody puszczano przez most w którejs tam kolejności. Nawet, gdy zdołały już przepłynąć przez Wisłę to liczne zawieje i potężne zasy na szosach uniemożliwiły dotarcie cystern z paliwem do wojsk.

Ogromnie żał mi było naszej piechoty, która pieszo przedzierała się przez te potężne zasy śniegu, podczas gdy my jechaliśmy wygodnie samochodami. Niektórzy piechurzy nie mieli dosłownie siły już iść w tym głębokim śniegu, to też wykorzystywali wolne tempo naszych kolumn i trzymali się za nasze działa. Piechota ponadto wszystko dzwigała na swoich plecach, co też powodowało uciążliwość w marszu.

Z Dobrzynia nad Wisłą zdołaliśmy dojechać tylko do Lubienia i tam nakazano nam czekać na benzynę do 24 stycznia. To czekanie na paliwo rzeczywiście wykorzystaliśmy na naprawę sprzętu i umundurówania oraz odpoczynek. Szef baterii natomiast troszczył się o zabezpieczenie żywności, jak to się nazywa, z zasobów miejscowych, ponieważ żywności też nam nie dowieźli.

Po południu 24 stycznia kwatermistrzostwo pułku zdołało gdzieś uzyskać trochę zdobyczej benzyny, więc trochę dostała jej i nasza bateria. Nazajutrz 25 stycznia ruszyliśmy dalej i wieczorem osiągnęliśmy zgodnie z rozkazem miejscowość Kościelna Wieś - Krotoszyn / 12 kilometrów na północny-wschód od Radziejowa Kujawskiego/.

Nasza bateria zatrzymała się w dość dużym majątku Krotoszyn, już trochę obrabowanym przez człowe oddziały sowieckiej piechoty. Pracownicy majątku pozostali na miejscu. Majątek ten był własnością jednego z naszych ziemian, którego nazwisko uleciało mi już z pamięci. Majątek posiadał dość duże pogłowie trzody chlewnej, więc prawie wszystkie baterie naszego pułku zaopatrzyły się tu w wieprzowinę. Przedsiębiorczy szef baterii zgromadził wokół siebie żołnierzy mających coś

wspólnego w cywilu z rzeźnictwem i rozpoczął "produktowanie" kiełbasy i innych gatunków wędlin, a także pieczenie chleba. Z utęsknieniem oczekiwaliśmy upieczenia pierwszych bochenków chleba, ponieważ jedzenie bardzo niesmacznych sowieckich sucharów już nam porządnie zbrzydło. Właściwie nie były to w pełnym tego słowa znaczeniu suchary, takie jak prze wojnę, lecz zwykły chleb pokrojony na kromki i ususzony. Panujący mróz sprzyjał dobremu przechowaniu i wędlin i chleba.

Mając trochę czasu zdecydowałem się napisać list do moich krewnych mieszkających przed wojną w Luszewie koło Ciechanowa. Pisałem ten list tak na chybił trafił i nie bardzo wierzyłem, że dotrze on do adresatów. Przecież nie było jeszcze żadnej administracji ani też urzędów pocztowych, lecz poprzez naszą pocztę polową list mój doszedł bardzo szybko. Później, gdzieś na terenach niemieckich otrzymałem odpowiedź na mój list pisany z Krotoszyna. Pisała ciotka Stacha. Opisała całą gehennę naszej rodziny w czasie niemieckiej okupacji. Mój wuj /brat ojca/ był w AK i wraz z moją babką został przez Niemców rozstrzelany. Były to więc pierwsze szczyby w mojej rodzinie w tej wojnie.

Miejscowi chłopcy poinformowali mnie, że niedaleko od majątku w lesie widzieli parę dni temu niemiecką kolumnę samochodową z amunicją i wiedzą napewno, że śniegi utrudniły odjazd tej kolumny. Radzili, abyśmy podjechali tam, ponieważ oni się boją tam zaglądać. Pojechaliśmy tam. Drogą przez las dobrnęliśmy przez głęboki śnieg do niewielkiego zagajnika. Z daleka widoczne były brezenty samochodów niemieckich. Z bronią gotową do strzału zbliżyliśmy się do wspomnianych samochodów. Kolumna składała się z jedenastu ciężarówek różnych marek niemieckich. Wokół ani żywego ducha. Widocznie Niemcy zorientowali się, że nie zdołają wyjechać z tego śniegu i przed nacierającymi Sowietami poprostu uciekli. W samochodach tych, niestety, nie było bez zyny tylko narzędzia saperskie oraz umundurowanie zmilitaryzowanej instytucji budowlanej zwanej "Organisation TODT". Prócz tego było kilka skrzyń niemieckich konserw. Z umundurowania tego najwięcej zadowoleni byli kanonierzy. Ich drelichowe mundury były za cienkie na te warunki zimy, a ponadto były już mocno przybrudzone. Znalezione mundury niemieckiej organizacji TODT były koloru khaki i sukienne, a więc pasowały dla nas. Niebawem cała bateria po koniecznych przeróbkach niemieckich mundurów była jednolicie umundurowana w cieplejsze mundury. Niemieckie pasy skórzane z klamrą, na której była szwabska gapa przerabiali

szybko nasi kierowcy. Młotkiem zbijali niemieckiego orła oraz napis "Gott mit uns", a na to miejsce przylutowywali naszego polskiego orzełka. Właściwie to naszym kanonierom pozostały tylko czapki polówki oraz płaszcze wydane jeszcze w 1944 roku przy powołaniu do wojska. Zdobytych niemieckich konserw też nikomu nie oddaliśmy, mimo, że żołnierze z 2-giej baterii twierdzili, że są zatrute. Dodatkowo, z wielkim trudem, udało się nam zabrać jeden z niemieckich samochodów z tej opuszczonej kolumny i przeznaczaliśmy go do wożenia całego zaopatrzenia szefa baterii, które ostatnio namnożyło się. Czego tam szef nie miał ?

27 stycznia ruszyliśmy naprzód, ponieważ znów dodano nam trochę benzyny. Jechaliśmy przez historyczne Płowce oraz przez nie mniej sławną Kruszwicę. W Kruszwicy trochę przystanęliśmy na rynku, ponieważ wiwatująca ludność miasta blokowała nam dalszy przejazd. Obdarowano nas słynnym kruszwickim winem "Złota reneta", które za czasów niemieckich też produkowano. Przypomniałem sobie, oglądając butelkę wina, że przed wojną na wigilię Bożego Narodzenia też w domu było to wino. Chyba w życiu moim nie byłem nigdy tak mocno wycałowany i wyściskany przez kruszwickie dziewczęta jak właśnie wówczas. Zapraszano do domów, lecz my musieliśmy dalej podążać do Inowrocławia.

Po kilkunastu kilometrach oczom naszym ukazał się Inowrocław. Nie przypuszczałem wówczas, że dwa lata później będę tu stacjonował w tej samej jednostce. Do dziś dnia uważam, że był to mój najlepszy garnizon w całej mojej czterdziestoletniej służbie wojskowej.

Zatrzymaliśmy się na inowrocławskim rynku, skąd już pieszo udawaliśmy się na pobliskie kwatery w celu przenocowania. Podobnie jak i Kruszwicy, powitanie nas w Inowrocławiu było nie mniej spontaniczne.

Mnie zabrał na kwaterę jakiś kolejarz. W domu była żona oraz dwie córki. Starsza córka Stefa i młodsza Jola w moim wieku. Rodzice pań przygotowali mi ładny pokój z dużą pierzyną /pani domu mówiła że muszę pod nią się wygrzać po tak ciężkiej wojaczce/. Przygotowano mi ciepłą kąpiel w łazience. Poproszono mnie później na kolację. Po kąpieli widocznie źle zapiąłem haftkę przy kołnierzu, ponieważ łańcuszek z krzyżykiem, który nosiłem, wyglądał z poza kołnierza. To przesądziło, że wszystkie lody u gospodarzy przysły momentalnie i traktowano mnie już jako swojego krewnego. Oczywiście musiałem do późna w nocy opowiadać o wojnie, o Krzemieńcu i o mojej rodzinie

Dziewczęta prześcigały się nawzajem w gośzczeniu mnie. Starsza Stefa bardzo ładnie grała na gitarze i miała ładny głos, Ja natomiast zagrałem im na pianinie /mieli zdobyczne po sąsiedzie Niemcu/ ówczesny przebój Harrisa "Piosenka o mojej Warszawie", która im się nadzwyczaj podobała. Poszedłem w nocy popatrzeć na nasze działa i sprawdzić przy nich wartę. Towarzyszył mi gospodarz-kolejarz. Idąc pobliską ulicą, powiedział mi, że te ładne wille zajmowali Niemcy i uciekli w popłochu pozostawiając wszystko. Postanowiłem tam zaglądnąć i obejrzeć szwabskie mieszkania. Drzwi wejściowe szybko ustąpiły nam. Czego tam nie było? Najwięcej zapamiętałem całe stosy pięknej haftowanej bielizny pościelowej i obrusów. Zawołałem kilku moich żołnierzy, którzy całe naręcza tej bielizny zanieśli do domu moich gospodarzy. Najwięcej zadowolona była gospodyni domu, ponieważ jak twierdziła, w ciągu całej okupacji bielizna posiadana jeszcze z przed wojny, całkowicie wydarła się.

Tu w Inowrocławiu dostałem nowego ordynansa. Był nim kanonier Esterson. Był czterdziestoletnim Żydem, kelnerem z Łodzi z przed wojny. Uchował się tylko dlatego, że uciekł przed Niemcami w 1939 roku i później w głąb ZSRR w 1941 roku. W ten sposób uchował się przed zagładą. Mimo, że wyglądał ofermowato, jak dzielny wojak Szwejk, lecz lojalnie muszę przyznać, że dbał o mnie troskliwie. Dobrze gotował i przyrządzał jedzenie. Prał moją bieliznę. Codziennie, mimo niejednokrotnie bardzo ciężkich warunków frontowych, zawsze przygotował dla mnie ciepłą wodę do mycia, do zębów i do golenia. Raz na dwa tygodnie Esterson urządzał mi nawet kąpiel. Od tamtych czasów minęło równo pół wieku nigdy już potem jego nie widziałem. Mam wyrzuty sumienia, że przy demobilizacji z wojska po wojnie pojechałem na urlop i nie byłem przy jego odejściu. Czynię to dziś i dziękuję mu w tej formie za iście matczyną nawet troskę o mnie tam na wojnie.

31 stycznia 1945 roku z Inowrocławia ruszyliśmy dalej w kierunku na Bydgoszcz. Pożegnanie z gospodarzami było miłe. Gospodyni, tak jak domownika, pocałowała mnie w czoło i przeżegnała, mówiąc, żeby mi się zdawało, że czyni to moja matka. Z pannami pożegnanie też było czułe.

W marszu do Bydgoszczy zdołaliśmy dojechać zaledwie do Złotnik Kujawskich i tu skończyła się benzyna znowu. Robiliśmy najprzeróżniejsze eksperymenty. Wlewaliśmy do zbiorników samochodów czysty spirytus, którego było tu pełno, a silniki

jak nic, tak nic. Owszem silniki chodziły. Pyskały, strzelały, ale ciągnąć nie chciały. Poprostu ten rodzaj paliwa nie nadawał się dla nas. Gaźniki samochodów musiały mieć odpowiednie paliwo. Wszyscy więc orzekli zgodnie, że owszem spirytus nadaje się, lecz do bardziej wzniosłych celów.

Właściwie, to żołnierze nasi nie "polowali" na wódkę, ponieważ zgodnie z przepisami każdy z nich codziennie otrzymywał od szefa baterii regulaminowe 100 gramów wódki. Miarką do tego był kapturek od zapalnika czasowego do pocisków.

Prowadzenie pościgu za nieprzyjacielem w warunkach braku paliwa było bezsensowne. Winę za taki stan rzeczy ponosi dowództwo naszej armii, a właściwie to sztab 1 Frontu Białoruskiego. W jaki sposób wojska miały ścigać nieprzyjaciela bez żywności, benzyny, amunicji i innych rodzajów zaopatrzenia? Stały więc wszystkie zmotoryzowane jednostki naszej armii i w oczekiwaniu na benzynę klęły.

W nocy z 27 na 28 stycznia 1945 roku Dowódcą naszej 1 Armii generał dywizji Stanisław Popławski na swoim stanowisku dowodzenia w Maksymilianowie koło Bydgoszczy otrzymał ze Sztabu Frontu nowe zadanie bojowe. Wynikało z niego, że nasza armia ma przejść niezwłocznie do natarcia w kierunku zachodnim na dwóch kierunkach: północnym i południowym. Nasza brygada miała nacierać w kolumnie południowej wspierając 6 Dywizję Piechoty. Na tym kierunku nacierać również miała 4 Dywizja Piechoty z 5 Brygadą Artylerii Ciężkiej.

W tych dniach poinformowano nas, że za dobre działania naszej brygady w bitwie o Warszawę, brygada otrzymała nazwę "Warszawskiej". Brygada nasza, razem z 2 Brygadą Artylerii Haubic oraz 10 Brygadą Artylerii Ciężkiej wchodziła w skład 5 Dywizji Artylerii Przełamania Odwołu Naczelnego Dowództwa. Czyli, że przydzielano nas zawsze tam gdzie trzeba było coś przełamać, a więc tam gdzie jest najciężiej. Właściwie, to brygada nasza jak i cała Dywizja Artylerii nie wchodziła w skład Armii jako jednostka organiczna, lecz była tylko Armią przydzieloną.

Wspierana przez naszą Brygadę 6 Dywizja Piechoty miała 29 stycznia wyjść na rubież: ZAKRZEWO - DROŻYSKA ŚREDNIE w gotowości do natarcia na Zachód.

Z otrzymanej przez sztab 1 Armii dyrektywy była tylko mała wzmianka o nieprzyjacielu : " Rozbite oddziały nieprzyjaciela cofają się śpiesznie w kierunku zachodnim, próbując stawiać słaby opór na nieprzygotowanych rubieżach". I to wszystko. Dalej mówiło się, że mamy przejść do zdecydowanego natarcia w kierunku: WIELOWICZ, ZAKRZEWO, JASTROWIE, IŁOWIEC, SUCHAN, WIDUCHOWA do rzeki Odry. Tak więc armia nasza miała osiągnąć rzekę Odra w dniu 6 lutego.

Również tego samego dnia dowódca Armii otrzymał ze Sztabu Frontu drugą dyrektywę, bardziej szczegółową i poszerzoną, lecz o Wałę Pomorskim ani słowa, a - ni jednej wzmianki że coś takiego możemy wkrótce spotkać na drodze. Dziwne jest w tej to dyrektywie, że o nieprzyjacielu - ani słowa.

Nie byłem wówczas w 1945 roku znawcą tego zagadnienia, lecz później, w Akademii Sztabu Generalnego, z historii sztuki wojennej, dowiedziałem się wielu spraw. Wobec bardzo głębokiego zadania, przy tak skomplikowanej sytuacji i niejasności położenia nieprzyjaciela, Sztab Frontu obowiązany był dać bardziej szczegółowe wiadomości o nieprzyjacielu, conajmniej na głębokość 2 - 3 dni operacji. Podobno Sztab Frontu wówczas takich danych nie posiadał, co uznać trzeba za skandal. Oczywiście, to wszystko miało później kolosalny wpływ na straty wojenne.

30 stycznia 1945 roku nasza piechota wychodzi na naszą granicę państwową z 1939 roku. Było to na zachód od Koronowa. Tą trasą szedłem i ja. Na samej granicy polskiej Sowieci wybudowali dużą bramę triumfalną. Cała ta brama pokryta była malunkami smoków ziejących ogniem i upstrzonych swastykami. Na górze bramy widniał duży napis w języku rosyjskim i polskim: " OTO ONE - PRZEKLETE NIEMCY".

31 stycznia nasza 4 Dywizja Piechoty im. Jana Kilińskiego, bez wsparcia artylerii, z marszu zdobyła ŻŁOTOW /niemiecka nazwa FLATOW/, znaną stolicę Polonii w Niemczech. Broniły się tam pododdziały 15 Dywizji SS "Lettland" /Łotwa/. Na północ od 4 Dywizji nacierała 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Podeszła ona pod miejscowość PODGAJE /Flederborn/. Na ten właśnie kierunek przerzucono nasz dywizjon do wsparcia natarcia na przygotowane jako punkt oporu PODGAJE. Stało się to tak, ponieważ artylerii 1 Dywizji jeszcze z przyczyn paliwowych nie było.

Próba opanowania Podgajów z marszu nie miała powodzenia. Otrzymaliśmy rozkaz rozwinięcia ugrupowania bojowego baterii i przygotowania się do natychmiastowego otwarcia ognia.

PRZED NAMI STAŁ POMORSKI WAŁ.

Stanowiska ogniowe zająłem w miejscowości KAMIEN / 3 km na zachód od Radawnicy /RADAWNITZ/. W czasie pośpiesznego zajmowania stanowisk ogniowych przyglądała się nam z zaciekawieniem grupa naszych polskich kawalerzystów z 1 Brygady Kawalerii. Moi żołnierze widocznie chcieli zaimponować ułanom kunstem artyleryjskim, więc starali się mocno, aby rozwinięcie baterii w ugrupowanie bojowe wypadło jak najlepiej. Rzeczywiście szybki wjazd na SO i przygotowanie dział do strzelania znalazło uznanie w oczach ułanów, ponieważ bili nam brawa za wspaniałe rozwinięcie baterii do strzelania. W grupie obserwujących nas ułanów dojrzałem znajomą twarz. Był to bardzo dobry znajomy moich rodziców jeszcze z koszar 12 pułku ułanów Podolskich w Białokrynicy oraz nasz sąsiad. Pan Zawadzki był długoletnim podoficerem 12 pułku ułanów, kawalerem krzyża Virtuti Militari za walki w 1939 roku. Obecnie był zmobilizowany i służył w stopniu chorążego w 1 Brygadzie Kawalerii.

Serdecznie przywitaliśmy się jak dawni znajomi. Pan Zawadzki nie mógł wyjść z podziwu, że przecież ostatnio widział mnie jako 14-to letniego chłopca w Białokrynicy przed wojną a dziś już oficera na froncie. Pożegnaliśmy się również serdecznie życząc sobie następnych spotkań na frontowych drogach. I rzeczywiście, z panem Zawadzkim spotykałem się najczęściej. Widocznie drogi naszych brygad splatały się ze sobą.

Natarcia 1 Dywizji Piechoty w kierunku wsi Podgaje nie miały powodzenia. Przed frontem były wyborowe oddziały 15 Dywizji SS "Lettland", które zacięcie broniły głównej szosy prowadzącej z Piły w kierunku nad morze, przez Szczecinek.

Wobec braku wiadomości o nieprzyjacielu, dowódca 1 Dywizji Piechoty gen. Wojciech Bewziuk /mój bezpośredni przełożony po wojnie we Wrocławiu/ nakazał 3-mu pułkowi piechoty przeprowadzenia rozpoznania całego rejonu wsi Podgaje i stwierdzenia się nieprzyjaciela oraz jego stanowisk. Wyznaczono w tym celu do wykonania zadania 4 kompanię 3 pułku piechoty. W zasadzie kompani nakazano zajęcie wsi Podgaje i utrzymanie jej do chwili przybycia całego pułku. Mróz był duży i szczypał mocno w uszy i twarz.

W między czasie zachorował mój dowódca baterii i jako oficer ogniowy baterii byłem równocześnie jego zastępcą. Wezwano mnie na punkt obserwacyjny, abym na czas choroby zastąpił chorego przełożonego. Dopiero na punkcie obserwacyjnym dowiedziałem się, że dowódcę baterii wyznaczono jako wsparcie dla 4 kompanii piechoty idącej na rozpoznanie. Jasnym było, że chory dowódca baterii nie mógł pójść na taką wyprawę. Musiałem jak stałem dołączyć do kompanii piechoty z obsługą mojej radiostacji i kilkoma zwiadowcami w celu wspierania kompanii ogniem, gdy zajdzie potrzeba. Przywitałem się z dowódcą kompanii ppor. Alfredem Sofką i ukończył przede mną szkołę podchorążych w Riazaniu / oraz z moim przyjacielem ppor. Zbyszkim Furgałą, dowódcą plutonu w tejże kompanii. Zbyszek był moim dobrym przyjacielem. Poznaliśmy się z nim w Riazaniu na przepustce w niedzielne popołudnie w parku, gdzie odbywały się potańcówki. Jakoś przyłgnęliśmy do siebie, może ze względu na taki sam wiek oraz zainteresowania. On był piechurem a ja artylerzystą. Nie widzieliśmy się od wyjazdu naszego artyleryjskiego dywizjonu podchorążych z Riazania do Chwałna Lubelskiego w sierpniu 1944 roku.

Kompania w szykach przedbojowych, w kolumnach plutonów i drużyn ruszyła naprzód. Marsz był ciężki ponieważ nogi zapadały się w głęboki, ponad metrowy, śnieg. Minęliśmy punkt obserwacyjny naszej baterii w Grudnie koło elektrowni wodnej na rzece Gwda. / Dziś już tej wsi zupełnie nie ma, a jedynie czynna jest elektrownia wodna/. W lesie za Grudną napotkaliśmy rozbite wozy pancerne oraz leżących martwych żołnierzy sowieckich. Podchodziliśmy lasem do ogromnej bezdrzewnej przestrzeni, ciągnącej się bez mała 1 kilometr aż do wsi Podgaje. Pole było płaskie jak przyskowiowa patelnia i mocno ośnieżone. Jak wyjść na takie nie osłonięte pole i nie być zauważonym przez nieprzyjaciela? Oto było pytanie. W międzyczasie mój radiotelegrafista odebrał sygnał od dowódcy dywizjonu odwołujący mnie ze wsparcia kompanii z uwagi na zmianę podporządkowania naszej brygady. Podobne wsparcie miała zapewnić 1 Dywizja siłami swojego pułku artylerii. Ową decyzję moich przełożonych oznajmiłem dowódcy kompanii ppor. Sofce. Ten rzekł tylko: "Szkoda że Ciebie odwołują. Ogień twoich haubic napewno by nam wiele pomógł gdy nas Szwaby przycisną". Jeszcze tylko uścisk dłoni z ppor. Sofką oraz ze Zbyszkim Furgałą i zawróciłem na swój PO. Musiałem ponownie powrócić na stanowiska ogniowe, ponieważ dowódca baterii jakoś doszedł do siebie.

To co się później stało z kompanią opowiedział mi już po wojnie Zbyszek Furgała gdy w 1958 roku studiowaliśmy w Akademii Sztabu Generalnego w Kambertowie. Gdy zobaczyliśmy się wówczas, padliśmy sobie w ramiona, ponieważ ostatnio widzieliśmy się właśnie owego fatalnego dnia pod Pogajami w 1945 roku. Wiedziałem, że Zbyszek cudem uniknął wówczas śmierci i że żyje. W jedną z wolnych sobót, gdy słuchacze opuszczają na niedzielny weekend mury Akademii, spotkaliśmy się ze Zbyszkiem w kawiarni akademickiej i tam zaczął mi opowiadać całą gehennę 4 kompanii. A było to tak: "Gdy odszedłeś wówczas od nas i cała kompania weszła na tę śnieżną ogromną przestrzeń otrzymaliśmy silny ogień ze wsi. Dużo mieliśmy rannych i zabitych. Nasze sylwetki w płaszczach koloru khaki odbijały się wyraźnie na tle śniegu i stanowiły wyraźny cel na śniegu. Na dodatek i z lewej i z prawej strony zaczęli okręzać nas niemieckie pododdziały narciarzy. Ubrani byli na biało, to też na tle śniegu byli niewidoczni. Byliśmy więc w okrążeniu i co gorsza w otwartym polu, gdzie prowadzenie walki było bardzo trudne.

Przyjeliśmy jednak walkę i liczyliśmy na pomoc naszego pułku oraz na artylerię. Obiecany dowódca baterii z dywizyjnego pułku artylerii nie dołączył do nas.

Niestety ! Łączność radiowa również nam wysiadła, w wyniku przestrzelenia naszej radiostacji. Małe radiostacje dowódców plutonów miały zbyt mały zasięg. Nic więc nie wiedział o nas sztab pułku w Radawnicy. Wysyłałiśmy co pewien czas gońców, lecz żaden z nich nie doszedł do celu. Trudno wyrazić słowami to co się działo po kilku godzinach walki okrążonej kompanii. Kilkunastu było znów rannych i wielu zabitych. Brakowało opatrunków osobistych i amunicji. Plac boju /obecnie rośnie tam las/ pokrywały wielkie krwawe plamy krwi. Na śniegu sprawiało to okropne wrażenie. Krzyki rannych oraz wrzawa walki potęgowały grozę położenia. Ci, którzy walczyli oddawali sanitariuszowi swoje pakiety opatrunkowe. Z boku małego wzgórza czyjeś ręce zbierały kępczyk kamieni polnych, za którym urządzono prowizoryczny punkt zborny rannych. Żołnierze leżeli pokotem i półprzytomni rzeźbili w gorąco. Niektórzy z nich zagarniali rękami śnieg i w ten sposób gasili pragnienie. Wielokrotnie ponawiane przez nas próby przebiecia się do lasu, z tyłu nas, nie udawały się. Wzgórze na tym śnieżnym pustkowiu, porane pociskami i plamami krwi stanowiło jedyną naszą, mało skuteczną osłonę. Podjęliśmy nawet próbę ataku

na bagnety, lecz Niemcy nie przyjęli walki, lecz powitali nas huraganowym ogniem z karabinów maszynowych. Po przeanalizowaniu wszystkich możliwości, podjęliśmy wspólnie z ppor. Sofką decyzję o poddaniu się. Liczyliśmy bowiem, że już jutro najdalej nasze oddziały odbiją nas. Niemcy w pierwszym rzędzie zaczęli dobijać rannych, którzy nie mogli iść o własnych siłach. Zrobiło się naraz przeraźliwie cicho. Wśród krzyków, bicia kolbami karabinów i popychania zostaliśmy zaprowadzeni do stodoły we wsi Podgaje. Było około godziny 19.00 Tych spośród nas, którzy poruszali się o własnych siłach było niewielu - ponad czterdziestu, ze stanu wyjściowego siedemdziesięciu. Niemcy zaczęli wywoływać naszych żołnierzy na przesłuchanie. Po niedługim czasie nasi koledzy, między innymi chorąży Zdzisław Pilawa, powrócili ciężko pobici i zmasakrowani, a nawet z połamanymi kończynami. Niektórych przyniesiono na noszach.

Widząc co nas czeka postanowiliśmy zorganizować ucieczkę. Nie było wyboru. Chcieliśmy dać szansę tym, którzy mogli jeszcze o własnych siłach ratować własne życie. We wsi roziło się od wojsk niemieckich. Drogą w kierunku Szczecinka jechały kolumny wojska. Wyłamaliśmy z trudem drzwi stodoły i unieszkodliwiliśmy wartownika. Z trudem dobrnęliśmy do pola, na którym niedawno toczyliśmy śmiertelną walkę. Leżały tam jeszcze trupy naszych żołnierzy. I w tym właśnie miejscu spotkała nas nowa niespodzianka. Zaalarmowani hitlerowcy zaczęli wystrzeliwać tysiące rakiet oświetlających. Widać nas było jak na dłoni. W pogoni za nami poszły liczne serie z karabinów maszynowych. Nietrudno było bowiem strzelać do ciemnych sylwetek na białym śniegu. Do lasu zdążyłem dobiegnąć tylko ja i kapral Bondziurecki. Ppor Sofka został śmiertelnie ranny na samym skraju lasu. Okrutny los zaprowadził innych kolegów ponownie do niemieckiej niewoli. Ja natomiast pozostałem w lesie w gęstych świerkach, podobnie jak kapral Bondziurecki. Każdy ratował się na własną rękę, nie wiedząc nic jeden o drugim. Pod tymi gęstymi świerkami przesiedziałem całą noc, a mróz dochodził do 19-stu stopni poniżej zera. Wczesnym rankiem żołnierze 5 i 6 kompanii naszego batalionu przynieśli nam zbawienie. Byłem zmarznięty i nieprzytomny. Koledzy nasi, którzy pozostali w niewoli ponownie zostali osadzeni w stodole. W odwet za próbę ucieczki skrępowano im ręce i nogi drutem kolczastym i łańcuchami.

Następnie obłano wszystkich benzyną z kanistrów i podpalam. Zamordowano w ten sposób 32 żołnierzy z 4 kompanii 3 pułku piechoty z 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Według późniejszych badań, rozkaz spalenia naszych żołnierzy wydał oberleutnant Rhode - dowódca batalionu zaporowego i dowódca obrony Podgajów z 15 Dywizji SS "Lettland". "

Na zakończenie swego opowiadania Zbyszek Furgała powiedział mi: "Dobrze chłopie, że wówczas Ciebie odwołali i nie poszedłeś z nami, choć wówczas chcielibyśmy mieć Ciebie i ogień Twoich haubic. Gdybyś z nami został - zginąłbyś niechybnie, a ta przynajmniej żyjesz i kończymy razem Akademię."

Później Zbyszek podobnie jak i ja został pułkownikiem i wykładowcą w Akademii, a teraz jest też w stanie spoczynku.

Dziś gdy piszę o tej makabrycznej historii mam wyrzuty sumienia. Gdybym został z nimi, może mógłbym ich osłonić ogniem i żyłiby. Dlaczego mnie stamtąd odwołano ?

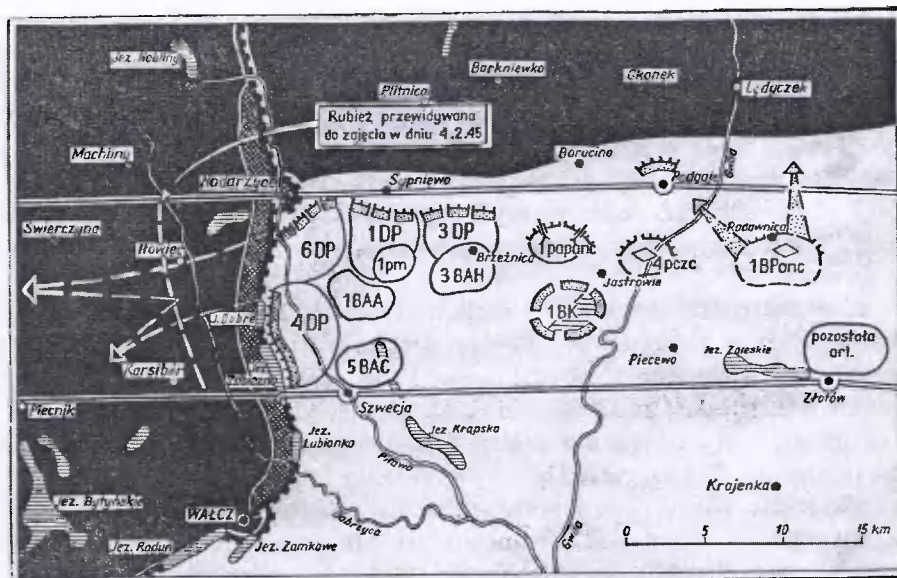
Po zdobyciu Podgajów pojechałem tam i szczegółowo oglądałem to potworne miejsce. Specjalnie wyznaczona komisja zajęła się sporządzeniem protokołu.

Po wojnie w tym miejscu wystawiono pomnik naszym zamordowanym żołnierzom. Tędy, każdego roku ciągną istne karawany wczasowiczów nad morzem. Jadąc śpiewają piosenki i śmieją się, lecz jak twierdzą mieszkańcy obecnych Podgajów, żaden samochód nie zatrzymywał się dla oddania hołdu naszym żołnierzom, choć już kilometr przed Podgajami ogromne tablice informacyjne mówią o miejscu uświęconym krwią żołnierza polskiego. Chciałoby się tu powiedzieć słynne słowa Jerzego Waldorfa wypowiedziane o niepomietaniu przez Polaków o swoich bohaterach: " Co za naród ? "

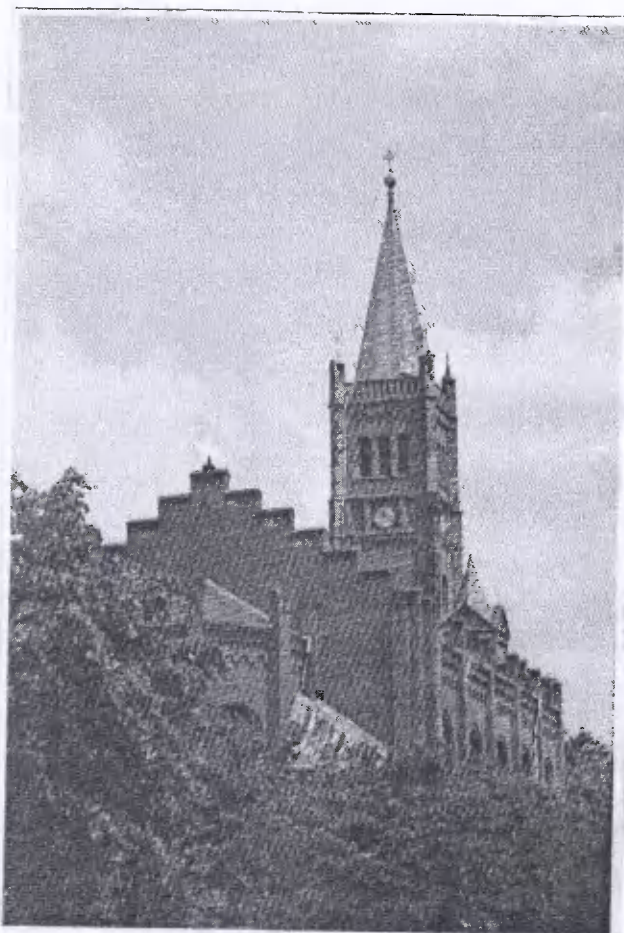
Przed frontem naszej polskiej armii, w całym pasie natarcia stwierdzono obecność całej 15 Dywizji SS "Lettland". W głębi sygnalizowano obecność niemieckiej dywizji "Märkisch Friedland", powstałej z grup bojowych pochodzących ze szkoły podchorążych artylerii z Borne-Sulinowa.

Do Korpusu, w skład którego wchodziła wspomniana dywizja, należały jeszcze 5 Dywizja Strzelców, 163 Dywizja Piechoty oraz 42 Dywizja do zadań specjalnych.

Rozpoczynał się więc osławiony Wał Pomorski, a raczej jego pas przesłaniania, służący opanowaniu natarcia naszych wojsk.



Decyzja dowódcy i zadania 1 armii z dn. 3.II.1945 r.



Kościół w Jastrowiu. To z tej wieży Inga Kroll według powieści Le ona Kruczkowskiego "Pierwszy dzień wolności" prowadziła ogień do naszych żołnierzy.



Mogiła 32 spalonych żołnierzy
w Podgajach

➤ Wyrokiem opatrzości nie znalazłem się w tej mogile.



➤ Wspaniały pałacyk w Nowych Łaskach / wspomnienia na str.94/.
Spalony przez sowieckich żołnierzy uczujących rocznicę Re-
wolucji październikowej.

Wszystkie te dane o nieprzyjacielu znane mi były z otrzymanych biuletynów informacyjnych, wydawanych przez sztab Brygady.

Podane wyżej niemieckie związki taktyczne obsadziły wówczas dogodnie do obrony rubież. Liczne w tym terenie rzeczki, jeziora, zabagnienia i wzgórza sprzyjały zorganizowaniu właśnie w tych miejscach, a nie gdzie indziej, obrony. Niemcy, trzeba obiektywnie przyznać, potrafili doskonale wykorzystać teren do walki. Całe Pomorze zachodnie Niemcy już dużo wcześniej przygotowali do obrony tworząc z każdej miejscowości punkt oporu.

Pogoda znacznie pogorszyła się. Wiatr szarpał mój płaszcz jakby chciał go rozerwać na strzępy. Chłód dobierał się do mnie ze wszystkich stron. Przy 18-to stopniowym mrozie wiał dodatkowo bardzo nieprzyjemny, silny wiatr północny, powodując zawieje i zamiecie. Widzialność, tak bardzo potrzebna dla nas artylerzystów, znacznie została ograniczona. Mając założoną na twarz kominiarkę byłem dosłownie cały oblepiony śniegiem z dużymi sopłami lodu przy twarzy. Para wodna przy oddychaniu poprostu zamarzała.

Pojawił się też nowy - niewidoczny groźny wróg - pola minowe. Miny pod śniegiem były nie widoczne. Wydarzył się też wypadek w naszej baterii z powodu pola minowego. Jadąc przez zaśnieżone pole, jeden z ciągników lekko zboczył z kolein i już uszliśmy głuchy wybuch. Opona samochodu była rozerwana. Jak teraz naprawić koło? Czy w pobliżu nie ma jeszcze innych min? Wszyscy patrzyli na mnie jaka będzie moja decyzja. Kazałem jechać dalej z 300 m i dopiero wówczas naprawić koło.

W trzeciej baterii też wjechało na pole mające być stanowiskiem ogniowym. Tym razem było to pole minowe przeciw piechocie. Gdy tylko kanonierzy zeskoczyli z samochodów do odłączenia dział - rozległy się wybuchy min. Kilku żołnierzy z ranami nóg odwieziono do szpitala polowego. Później wielu z nich nie miało pięt lub palców u nóg.

Przejechaliśmy później przez Jastrowie i wjechaliśmy do małej wsi. Wieś wydawała się jak wymarła. Nikogo nie było żywego, ani ludzi, ani zwierząt. Takie opuszczone, ciche wsie były jak się później okazało, bardzo niebezpieczne. Licho wie co mogło nas w nich spotkać: zasadzkę, miny? Wykorzystując doświadczenie innych nakazałem dokładnie spenetrować całą wieś i dopiero później wjechać tam. Piechota nasza, która napewno przeszła przez tę wieś napewno nie miała czasu na dokładne przejście wsi.

Wieś okazała się opuszczona przez mieszkańców.

Tymczasem 12 pułk piechoty z 4 Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego, w dniu 3 lutego opanował wieś SZWECJA /Freudenfier/ i stwierdził, że na linii NADARZYCE/RAEDERITZ/ oraz jeziora DOBRE, ZBICZNO i SMOLNO i dalej do WAŁCZA /Deutsch Krone/ ciągnie się rubież betonowych schronów i umocnień typu stałego, o nieznannej strukturze i obsadzie. Gdy wieść ta dotarła do wsi, w której kwaterowałem, tak odrazu pomyślałem sobie: że też musi to zawsze mnie spotkać. Wiedziałem, że boje, przy tak umocnionym nieprzyjacielu, będą piekielnie ciężkie i krwawe oraz że poniesiemy ogromne straty.

Skoro już tu, w pasie przesłaniania, tych umocnień było tak dużo, to co dopiero na głównej linii tych betonowych umocnień.

Czym więc był ten tajemniczy i niespodziewanie zagrażający nam drogę Wał Pomorski? Niemcy nazywali go "Pommernstellung" czyli pozycja pomorska.

Niemcy, po dojściu Hitlera do władzy rozpoczęli budowę umocnień typu ciężkiego w różnych nadgranicznych rejonach Rzeszy już w końcu 1933 roku, a prace przy umocnieniach tak na dobre rozpoczęli w latach 1934 - 1936. Strona polska już wówczas zdołała uzyskać szereg ważnych wiadomości o budowanych fortyfikacjach oraz o miejscach ich budowy. Szczególnie cenne wiadomości dostarczyli polskiej stronie licznie zamieszkujący w tych terenach Polacy, których Hitlerowcy angażowali do tych robót fortyfikacyjnych.

Dzięki tym wiadomościom udało się ustalić charakter tych prac, ich dokładne miejsce, a nawet dane taktyczno-techniczne poszczególnych obiektów fortyfikacji. Równolegle z wywiadem polskim, szpiegowską penetracją tych fortyfikacji prowadzili również Sowieci. W związku z tym zachodzi pytanie: dlaczego dowództwo 1 Frontu Białoruskiego nie wiedziało o tych fortyfikacjach i nie podało o nich żadnych wiadomości w dyrektywie operacyjnej dla naszej 1 Polskiej Armii? Moskwa już przed tem posiadała szczegółowe wiadomości o "Pommernstellung", a nawet wydano podręcznik dla sztabów Frontów i Armii, stanowiący dokładny opis pod względem wojskowym Wału Pomorskiego. Dlaczego sztab naszej polskiej armii nie posiadał tego podręcznika i w konsekwencji nacieraliśmy, rzecz można, "w ciemno", tak jak ślepiec badający białą laską miejsce przejścia przez ulicę.

Okazało się dopiero później, że Wał Pomorski stanowił bardzo ważne ogniwo w całym systemie ufortyfikowanego pasa obrony

hitlerowskich Niemiec na Wschodzie. Przedłużeniem Wału Pomorskiego w kierunku południowym był tak zwany "Międzyrzecki Rejon Umocniony", porównywany pod względem swojej mocy i potęgi z francuską Linia Maginota.

W lutym 1945 roku Wał Pomorski pełnił główną fortyfikacyjną rubież obrony Niemiec na kierunku berlińskim i składał się z trzech rubieży obronnych. Pierwszą rubież stanowił pas przesłaniania, w którym obecnie walczyliśmy. Drugą linię stanowił główny pas obrony, rozbudowany na linii DUDYLANY, NADARZYCE, jeziora Dobre, Zbiczno i Smolno, wieś ŻUBIANKA oraz miasto WAŁCZ

Trzecia pozycja obrony stanowiła pozycja ryglowa ciągnąca się od NADARZYCE, przez IŁOWIEC, SWIECZYNEJ skręcała na południe koło ŻABINA, BORUJSKA i ŁOWICZA WAŁECKIEGO.

Poszczególne pozycje i rejony obrony, a nawet poszczególne obiekty fortyfikacyjne, były doskonałe, z pruską pedanterią, usytuowane w terenie trudno dostępnym, przy szerokim wykorzystaniu pasm jezior, mokradeł i ciałnin. Ostatnia, na przykład, pozycja obrony, zwana ryglową, dawała bardzo dogodne warunki do wykonania przeciwuderzeń w kierunku południowym oraz jako rubież do powstrzymania uderzenia nieprzyjaciela w kierunku Kołobrzegu i Szczecina.

Niemcy posiadali dość dużo czasu na szkolenie dywizji stanowiących etatową i wyszkoloną obsadę poszczególnych rejonów fortyfikacyjnych. Jak później nasze rozpoznanie stwierdziło, w pasie natarcia naszej polskiej armii było 35 bojowych schronów betonowych w pełni uzbrojonych i ukończonych, 10 schronów / zwanych bunkrami / nie w pełni ukończonych w różnym stopniu gotowości bojowej i technicznej. Każdy prawie schron bojowy / bunkier / posiadał jedną kazamatę z jednym ciężkim karabinem maszynowym o ścianach grubości od 95 do 110 cm i stropów - 100 centymetrów. Przednią ścianę każdego obiektu fortyfikacyjnego prócz odpowiedniej grubości żelazobetonu, stanowiła płyta pancerna o grubości 150 cm. Na linii głównej Wału Pomorskiego schrony bojowe były połączone ze sobą trzema transejami / okopami /. Przed nimi liczne pola młnowe, sieć koleczasta drutowa w kilku rzędach, potyśkacze, zapadnie oraz niezliczone zwały tzw. spirali Bruno / zwoje drutu koleczastego skrecona w koła i rozciągnięte niczym sprężyna /.

Gdy przeczytałem te wszystkie komunikaty rozpoznawcze opisujące umocnienia Wału Pomorskiego, mimowoli włos zjeżył mi się na głowie. Wiedziałem jakie będą potężne trudności przy

"dłubaniu" tego betonu, rozminowywaniu sposobem artyleryjskim pól minowych / strzelanie granatami odłamkowo-burzącymi do pola minowania w celu wywołania eksplozji min/ oraz niszczenie ogniem innych przeszkód. Dla przypomnienia sobie co mówi Instrukcja Strzelania Artylerii o niszczeniu żelazo-betonowych umocnień wynajdywałem chwilki czasu pomiędzy prowadzeniem ognia.

Była głęboka , mroźna i surowa zima i to jeszcze bardziej w poważny sposób utrudniało walkę. Wszystkie jeziora, zabagnienia, rzeczki i liczne rowy melioracyjne zamarzyły. Z jednej strony ułatwiały ich pokonywanie, natomiast duże zwały twardego śniegu utrudniały jakikolwiek ruch.

3 lutego 1945 roku zajmuję stanowiska ogniowe w rejonie Brzeźnicy, na południe od Kłomina. Stąd mogę już prowadzić ogień na główną linię Wału Pomorskiego. Domarsz do nowego rejonu stanowisk ogniowych był istną drogą przez mękę. Samochody-ciągniki, załadowane po brzegi burt skrzyń ładunkowych amunicją, co chwila grzęzły w ogromnych zaspach. Tylko w jednym miejscu zdążyliśmy się przekopać przez zaspę a już o 100 m dalej czekała nowa ,jeszcze bardziej potężna zaspą. Koła samochodów ślizgały się, mimo założonych na opony łańcuchów, i drogę trzeba było ponadto posypywać piaskiem,który przy dużym wietrze był ciągle zwiewany lub zasypywany. Szczególnie dużo było pracy przy jednym ciągnikóww,który poprostu ześlizbnał się z drogi do rowu wraz z amunicją. Nie mieliśmy dźwigu do podnoszenia tego wszystkiego, i wszystko zależało wyłącznie na sile ludzkich rąk. W końcu po tych wszystkich perypetiach udało mi się dobrnąć do wskazanego rejonu, stanowisk ogniowych i rozwinąć baterię do otwarcia ognia. Kopanie okopów dla dział, niszy amunicyjnych oraz schronów dla ludzi, przy zmarzniętej na dużą głębokość ziemi, stanowiło nowy ogromny kłopot i utratę sił. Najpierw należało usunąć z działobitni śnieg, a następnie łomami i kilofami dłubać oporną zmarzniętą ziemię. Wobec niemożności szybkiego wykopania niezbędnych okopów , zarządziłem jedynie wydrążenie w ziemi otworów pod lemiesze dział / takie opory stabilizujące działo/, a wokół usypać wały śnieżne. Całe szczęście, że cały rejon stanowiska ogniowego był zarósnięty takim małym zakrzaczeniem i sosenkami, więc z biedą stanowiło to jako takie maskowanie. Nie kazałem w tym wypadku kopać stanowisk na wypadek ataku czołgów nieprzyjaciela, ponieważ Niemcy ukryci za betonem nie będą wysyłali na przedpole swoich czołgów. Coprawda przejeżdżający koło moich stanowisk ogniowych dowódca pułku natychmiast skarcił mnie za to.

PRZED NAMI STAŁ POMORSKI WAŁ.



Czyż mogłem przypuszczać, że na mojej frontowej drodze
będą stały takie kolosy? Poradziliśmy sobie z nimi.

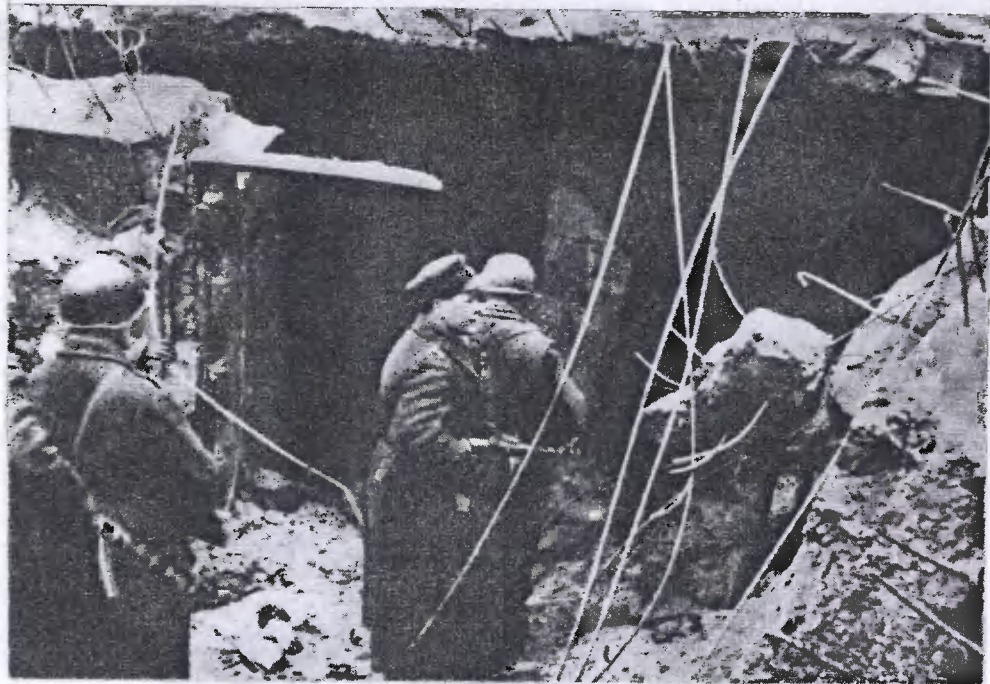


Kopuła pancerna schronu bojowego w rejonie Zdbic

I ten bunkier był bardzo niebezpieczny...



W zdobytym bunkrze



Tędy przeszli nasi...





— Takimi krzyżami znaczyli nasi nasz pomorski szlak.



"Niezwyciężeni" żołnierze Hitlera z Wału Pomorskiego mają wojnę zakończoną. Przemarsz wprawdzie nie triumfalny na Unter der Linden, lecz w eskorcie naszych żołnierzy - kierunek: obóz jeniecki.

Inni popeźnili to samo przewinienie, więc jakoś mi się to upiekło. Łączność przewodowa z punktem obserwacyjnym oddalonym od stanowisk ogniowych o około 5 kilometrów, ciągle się rwała, a nasze radiostacje to pracowały tak, jak to żartobliwie mówiono: "widzę ciebie, ale nie słyszę". Dowódca baterii postanowił więc, aby na połowie trasy kabla telefonicznego urządzić coś w rodzaju placówki. W razie awarii żołnierze z tej placówki wychodzili by na trasę przebiegu kabla i szybko naprawiali awarie. Z jednym telefonistą oraz z dwoma żołnierzami ochrony wyruszyłem na wybór takiej placówki. Idąc ośnieżonym sosnowo-świerkowym lasem natknąłem się niespodziewanie na cudo. Była to zbudowana z drewna leśniczówka z zabudowaniami. Styl zabudowań był prześliczny. Widać było, że to wszystko stawiał niełada artysta. Zarówno dom, jak też stojąca obok stajnia i gołębnik zbudowano z jasnego sosnowego drewna, a dachy kryte były gontem. Całość zabudowań przy ośnieżonych wokół nich świerkach wyglądała jak ze świątecznej pocztówki. Wokół była idealna cisza i spokój, lecz kto może być w tej leśniczówce ?

Razem z żołnierzami zastosowałem stary kawaleryjski zwyczaj. Zbliżając się powoli do zabudowań, raptownie zawróciliśmy i zaczęliśmy szybko uciekać, tak jakgdyby ujrzeliśmy jakiegoś straszdyka. Niestety, nie sprowokowaliśmy tym żadnych strzałów, więc już śmiało podążaliśmy do leśniczówki. Gdy wchodziliśmy do zabudowań granaty i broń mieliśmy w pogotowiu. Licho wie co mogłoby się tam znajdować w środku, i natychmiast przypomniałem sobie słowa dowódcy baterii: "Idź i wybierz placówkę łączności, tylko nie graj chojraka !". Było to bardzo uzasadnione, ponieważ odcięte w rejonie Piły grupki niemieckie żołnierzy przedzierające się na zachód mogłyby spowodować zasadzkę na nas.

Powolnie lustrowałem wewnątrz leśniczówki, gdy z jednej z izb wyszedł stary Niemiec ubrany niby to w mundur leśnika. "Wierdził, że wobec pójścia na front leśniczego, on właśnie ostatnio pełnił obowiązki leśniczego. Żona i córka musiały się obowiązkowo ewakuować stąd, zaś jemu nakazano czekać na sygnał do ewakuacji, więc czekał. Niemiec był mocno przestraszony tym naszym nagłym pojawieniem się. Wpatrywał przypuszczalnie swoich, a tu przychodzą "die Polen". Stary kłaniał się ciągle uniżenie przede mną tytułując mnie "Herr Hauptman" /kapitan/. Niemiec przeklinał wojnę, że zabrała mu syna, który poległ w 1939 roku "bei Lemberg". Chcąc się widocznie nam przypodobać powtarzał wkółko "die Polen sind gut" /Polacy są

dobrzy/.

Jedną z pokoi leśniczówki był bardzo gustownie urządzone. Była to prawdopodobnie kancelaria leśniczego. Na ścianach wisiało pełno poroży jeleni, dziczych szabel, noży, trąbek i rogów. Niemiec twierdził, że ma tylko jedną dubeltówkę, a resztę broni zabrano dla Volkssturmu /takiego szwabskiego pospolitego ruszenia/. Wiedziałem, że Szwab kłamie i napewno ma gdzieś to wszystko zakopane. Dla porządku zaglądnąłem także i do kuchni oraz obszernej spiżarni. Czego tam nie było ! Weki z dziczyzną i polędwicą, słoje z konfiturami i ogórkami oraz grzybami. Każdy słoik miał etykietę, co tam wewnątrz jest i którego roku dokonano zaprawy. Niemiec częstował jakąś nalewką, lecz od Niemca wódki nie przyjąłem. Jeden z żołnierzy, gdzieś tam pokryjomu wypił i w drodze powrotnej na stanowiska ogniowe opowiadał, że to nie wódka a "niebo w gębie".

Zdecydowałem, że w tych zabudowaniach urządzę tę placówkę łączności. Przynajmniej żołnierze będą mieli ciepłe locum i dużo "żarcia". Kazałem żołnierzom ponadto dobrze uważać, by ktoś im nie zrobił przykrej niespodzianki, gdy tak będą się tylko grzali a nie uważali co się dzieje wokół. Z tym Niemcem, jak się później dowiedziałem, to żołnierze mieli trochę kłopotu. Ciągłe chciał gdzieś wychodzić ubierając się przy tym jak na daleką wyprawę. Przezorni moi żołnierze zakuwali go profilaktycznie w znalezione w leśniczawce łańcuchy, szczególnie na noc. Uśmiełem się z tego doskonale. Po powrocie z tej leśniczówki, kazałem szefowi baterii pojechać tam samochodem i przywieźć trochę tych specjalistów. Kolacja z tego powodu w tym dniu była wspaniała. Każdy z dowódców plutonów miał dobry humor. Oto jak dobre jedzenie ma kolosalny wpływ na morale wojska. W międzyczasie ukończono ziemiankę dla mnie oraz dla dwóch dowódców plutonów ogniowych oraz zastępcy dowódcy baterii do spraw politycznych, który ani rusz nie chciał być przy dowódcy baterii na punkcie obserwacyjnym. Był on w stopniu chorążego i oczwście wyznania mojżeszowego. Był zresztą nieszkodliwy i raczej chciał tak bezawaryjnie przeczekać wojnę bez żadnego uszczerbku.

Późnym wieczorem wyszedłem z nieco dusznej ziemianki na powietrze. Było o dziwo cicho, tylko od strony nieprzyjacielskich bunkrów betonowych czasem odezwała się jakaś karabinowa strzelanina, jakaś łuna od rakiet i zaraz to wszystko gasło.

Nad ranem od strony stanowisk ogniowych 3 baterii słychać było jakieś strzały i krzyki. Okazało się, że grupka nie-

mieckich żołnierzy-maruderów zniemacka natknęła się na posterunek stojący przy działach i stąd posypały się strzały. Dla świętego spokoju posłałem tam patrol, by się dowiedział co się tam dzieje. Po godzinie patrol powrócił przyprowadzając ze sobą jeńca. Gdy wprowadzono go do mojej ziemianki, zobaczyłem wątłą postać, porządnie zmarzniętą i głodną w płaszczu koloru feldgrau i furażerką wciśniętą na uszy. Wyglądał naprawdę jak dobry wojak Szwejk. Niemiec stał przede mną na baczność, trzymając palce dłoni wzdłuż szwów spodni i żykał powietrze. Naraz głośnym szwabskim dyszkan-tem zameldował się. Przełykając szybko ślinę i pośszając nie ogoloną grdyką, wyrzucił z siebie: "Ich bin nich Deutsche, ich bin Österreicher" / Ja nie jestem Niemcem, ja jestem Austryjakiem/. Powtórzył to jeszcze raz, bojąc się czy aby zrozumieliśmy kim on faktycznie jest. W końcu widząc, że nie reaguję na jego zeznania, wykrzyknął, sądząc że poprzednio nie zrozumiałem kto on taki: "Austria, nicht Germania !" / Austria a nie Germania/. Następnie powiedział, że z kilkoma żołnierzami przedzierał się lasami na zachód do swoich, kończąc te swoje wyznania jednym zdaniem: "Hitler kaputt". Kazałem wyprowadzić z ziemianki owego rodaka króla walców Johana Straussa i dać mu coś do jedzenia. Po wykopaniu dużej niszki na amunicję do dział kazałem odprowadzić go do punktu zbiórki jeńców.

Na drugi dzień przed południem posterunek obserwacyjny przy stanowiskach ogniowych zameldował, że drogą maszeruje w naszym kierunku jakaś grupa naszej piechoty lecz bez broni. Myślę sobie, - co za nasza piechota bez broni?. Wyszedłem przed ziemiankę. Okazało się, że to maszeruje do domu spora grupa naszych polskich oficerów uwolnionych z niemieckiego Oflagu znajdującym się w pobliżu Kłominie. Był to sławny Oflag II C Gross-Born. W obow-iewie tym było około 6000 oficerów różnych narodowości ze zdecydowaną przewagą Polaków.

Nasi żołnierze również wyszli gromadnie na szosę i zgotowali naszym oficerom, niedawnym jeńcom, dużą owację. Były okrzyki: " Niech żyją nasi oficerowie !" i duże brawa. Z kolei oficerowie odpowiadali: "Bijcie chłopcy dobrze Niemców !" lub też: " Niech żyje polska artyleria !" widząc opodał okopane nasze działa

Wpatrywałem się pilnie przechodzącym chcąc rozpoznać może kogoś z 12 Pułku Ułanów Podolskich. Napewno był w tej grupie major Jabłoński, oficer naszego pułku od chwili uformowania pułku a od 1927 roku zastępca dowódcy 7 pułku strzelców konnych. Wiem ze słów Włodka Jabłońskiego, dziś mieszkającego w USA retmistrza z naszego pułku na Zachodzie, że ojciec jego po zwolnieniu z obo-

zu jenieckiego w Kłominie, zgłosił się do sztabu naszej 1 Armii i poprosił o przydział do walczącej naszej jednostki. Otrzymał przydział i niebawem poległ na Wale Pomorskim. Grób jego prawdopodobnie znajduje się na cmentarzu wojennym w Wałczu. Opowiadał mi to Włodek o swoim ojcu w 1993 roku, gdy był w kraju na Zjeździe Polskich Kombatantów.

W walkach na Wale Pomorskim nasza 1 Armia zdawała swój najtrudniejszy egzamin. Była bowiem największą polską bitwą, w skali związku operacyjnego jakim jest armia, w warunkach bardzo surowej zimy w natarciu na silnie ufortyfikowany rejon.

Obecnie nasza Brygada wspierała natarcie 6 Dywizji Piechoty, nacierającej na prawym skrzydle frontu natarcia naszej Armii. Tu właśnie znajdował się trzykilometrowy, najsilniej ufortyfikowany odcinek Wału Pomorskiego 3 kilometry na północ od NADARZYC/RAEDERITZ/. Opierał się on jednym swoim skrzydłem o rzekę Pilawę, a drugim skrzydłem o głęboki kanał wodny. Szczególnie jeden z żelazo-betonowych bunkrów był imponujących rozmiarów i niezwykle silnej konstrukcji. Przypominał raczej fort w systemie twierdzy, a wokół niego, niejako "ojca", było szesnaście mniejszych schronów żelazo-betonowych.

Uzbrojenie owego bunkra-giganta było niemałe. Jedne szybkostrzelne działo przeciwpancerne i cała masa karabinów maszynowych. Działo zmontowane było w obrotowej wieży. Kilka peryskopów i wizjerów zapewniało doskonałą obserwację przedpola. Specjalnie podwieszane metalowe siatki chroniły schron przed granatami ręcznymi. Dla uzupełnienia tego opisu muszę dodać, że grubość betonowych ścian schronu wynosiła od 190 do 210 cm. Wewnątrz schronu znajdowały się wentylatory elektryczne i ręczne dla wywień dymu od strzałów. Było tam też elektryczne oświetlenie i ogrzewanie, kuchnia z zapasami żywności oraz urządzenia sanitarne. Łączność z pozostałymi schronami zapewniała radiostacja oraz podziemne kable telefoniczne. Bunkry-satelity urządzone były podobnie.

Ten schron gigant, oczywiście oglądałem już po jego zdobyciu i częściowym zburzeniu. Patrząc na ten schron, pomyślałem sobie, że prześladuje mnie jakiś dziwny pech i kieruje mnie zawsze tam gdzie jest najtrudniej, a nie tam gdzie można trochę poleniuchować.

Nie opisuję tu ciągle strzelania naszej baterii, ponieważ jedno strzelanie się kończyło, a drugie rozpoczynałem. Niestety jako oficer ogniowy na stanowisku ognjowym nie mogłem zobaczyć

efektu wystrzelonych, niekiedy bardzo wiele, pocisków. Ze stanowisk ogniowych tego nie widać.

Na sygnał telefoniczny z punktu obserwacyjnego "bateria do dział", obsługi dział, prócz działonu dyżurnego będącego cały czas przy działach, zajmują swoje miejsca przy działach w gotowości do prowadzenia ognia. Były ześrodkowania ogniowe w skali brygady, pułku i dywizjonu do celów odkrytych i ukrytych, z zapalnikami natychmiastowymi lub ze zwłoką, albo też na działanie rozpryskowe w powietrzu, do celów wąskich, szerokich, pojedynczych i grupowych. Dowódca baterii lub też w jego zastępstwie dowódca plutonu dowodzenia, informował mnie zawsze o sytuacji na przedpolu i o rezultatach naszego ognia. Przekazywałem to wszystko obsłudgom dział.

Ognia na wprost do betonowych bunkrów nie prowadziłem ponieważ haubice są nie przystosowane do prowadzenia ognia na wprost, Wprawdzie muszą być gotowe do strzelania, lecz nie posiadaliśmy odpowiednich pocisków do niszczenia betonowych umocnień, to jest pocisków przeciwbetonowych. Tym zajmowały się 152 mm armaty i armato-haubice znajdujące się na uzbrojenia Brygad Artylerii Ciężkiej.

Doskonałe usytuowanie w terenie schronów bojowych chroniło je przed obserwacją nieprzyjaciela tj. naszą. Niemcy w maskowaniu byli swego rodzaju mistrzami. Można było nawet dłuższy czas wpatrywać się przez lornetę nożycową o dużym powiększeniu w teren i nie można było zauważyć schronu. Tak był doskonale zamaskowany i niejako wtopiony w teren. Schrony bojowe miały doskonale zorganizowany system ognia i ogniowe współdziałanie pomiędzy sobą.

Żołnierze z sąsiedniej baterii przynieśli cały pęk niemieckich ulotek propagandowych. Były pisane gotykiem na dość ładnym papierze. Przetłumaczyłem je moim żołnierzom. W ulotkach tych Reichsführer Himmler, jako dowódca Grupy Armii "Wisła" przestrzegał niemieckich żołnierzy, że każde usiłowanie przejścia na stronę wroga /to znaczy naszą/ i poprosi o poddanie, będzie rozstrzelany. Ostatnie zdanie podkreślone było czerwoną linią. Nie wiem jak Himmler chciał rozstrzeliwać swoich żołnierzy za chęć przejścia na stronę naszą, skoro nie mógł on już ich osiągnąć? Pogrożki hitlerowskich dowódców i terror nie mogły już powstrzymać biegu wydarzeń i zbliżającej się nieuchronnie katastrofy.

Główne zadanie przełamania Wału Pomorskiego otrzymała 4 Dywizja Piechoty im. Jana Kilińskiego, a więc nasz sąsiad

z lewej strony. Zacięte i nadzwyczaj krwawe walki toczyły się bez przerwy całą noc. Duże straty ponieśli nasi piechurzy od licznych min ułożonych przed przednim skrajem betonowych umocnień. Wydzielone grupy torujące usiłowały podejść do schronu bojowego jak najbliżej, ponieważ to właśnie gwarantowało jego pewne zniszczenie. Z bliska można było granatami wrzucanymi do otworów strzelniczych lub wentylacyjnych, zmusić załogę do podania się. Załogi niemieckich bunkrów broniły się zjadle. Miały ku temu i możliwości i strach przed dostaniem się w ręce Polaków lub Rosjan.

Nad ranem 4 lutego walki o miejscowość ZDBICE /Stabitz leżącą nad samym jeziorem o tej samej nazwie, rozgorzały z całą zaciętością. Niektórym batalionom np. 12 pułku piechoty zabrakło już amunicji i musiano ją, kosztem dużych strat, donosić tuż pod same bunkry niemieckie.

Na naszym kierunku 14 pułk piechoty z 6 DP dochodził już do NADARZYC. Było ciężko, ogromnie ciężko, chłopcy nasi kładli się w tę pomorską ziemię niczym snopy, w ziemię tak mocno oddaloną od Tarnopola, Zbaraża, Krzemieńca czy Wiśniowca.

Po bardzo ciężkich i krwawych walkach wspieranemu przez nasz pułk 18 pułkowi piechoty udało się w końcu wdrzeć do Nadarzyc, natomiast 12 pułk piechoty z 4 Dywizji piechoty, bezpośredni nasz sąsiad / przez przysłowiową miedzę/ zdołał przełamać linię główną Wału Pomorskiego między jeziorami DOBRE i Zdbiczno. Za ten bohaterski czyn sztandar pułku był wyróżniony Orderem Virtuti Militari.

W tym dniu i u nas na stanowiskach ogniowych było ciężko. Ogień prowadziliśmy niemal bez przerwy. Lufy dział były do tego stopnia gorące, że kanonierzy musieli je okładać śniegiem. Bateria dowozu amunicji z brygadowego dywizjonu dowozu amunicji działała na medal. Amunicji mieliśmy pod dostatkiem. Ze zgrozą myślałem, co ja pocznę biedny z taką ogromną stertą amunicji, gdy otrzymam sygnał do zmiany stanowisk ogniowych. Zdobywczy niemiecki samochód ciężarowy, przy tej dużej ilości amunicji, nie załatwiał sprawy. Nie nadażałem już kwitować jednej partii przywiezionej amunicji i jednocześnie zdawać wystrzelone łuski oraz skrzynki po amunicji. Od tego nieustannego huku przez cały dzień, ciągle mi dzwoniło w uchu.

Z tym zdawaniem skrzynek po wystrzelonej amunicji to też była komedia. Żądano, aby zdawać wszystkie skrzynki po amunicji i nie dawano się oszukać. Nasze tłumaczenia, że skrzynki

ki się rozleciały, nie znajdowały zrozumienia i musieliśmy płacić za nie. Żołnierze brali je prosto do rozpalenia ognia. Paliły się doskonale. Były suche i przepojone dla impregnacji tłuszczem, tak, że nic nie było w stanie zastąpić ich. Musiałem w końcu zaprowadzić duży rygor z tymi skrzynkami, ponieważ niedługo nie starczyłoby mi moich poborów na opłacenie zniszczonych skrzyń.

W przerwie strzelania zjawił się mój nieodłączny ordynans z menażką przysmażonej konserwy i manierką kawy. Z ape-tytem zjadłem całą menażkę konserw, natomiast nie kwapiłem się do picia owej kawy. Mój ordynans Esterson gorąco, jak nigdy, namawiał mnie na łyk kawy. Wypiłem. Twarz Esterzona pokraśniała w uśmiechu. Udzieliłem mu pochwały za to staranie o mnie i za kawę oddzielnie, ponieważ była to prawdziwa kawa. Przywołano mnie do telefonu i nawet nie mrugnąłem porozumiewawczo Esterzonowi okiem, jak to zwykłem czynić wówczas gdy zasłużył on na pochwałę. Biedak, oczekiwał na to mrugnienie a ja szybko zerwałem się z taboretu i pobiegłem do telefonu.

Nad wieczorem tego dnia schwycił spory mróz. Trochę zmarzłem, lecz nie mogłem nawet na chwilę skoczyć do ziemianki ogrzać się, ponieważ co chwilę był sygnał do prowadzenia ognia bądź też ktoś wołał mnie do czegoś. Włożyłem na głowę kominiar-kę, która w okolicy ust pokryła się warstwą lodu od pary wodnej wydychanej przeze mnie. W tej trudnej sytuacji zjawił się u mnie dowódca drużyny samochodowej kapral Brycki z wynalazkiem. Był to mały koksownik skonstruowany przez kierowców z żelaznych prętów. Koksownik był pełen koksu, który zaraz rozpalono. Dymu wogóle nie było, natomiast conajmniej jeden metr od koksownika promieniowało przyjemne ciepło. Do końca zimy nie rozstawałem się z tym koksownikiem. Wkrótce i poszczególne działony zafu-^hdowały sobie podobne koks^owniki.

W nocy z 6 na 7 lutego telefon z punktu obserwacyjnego. Dyżurny telefonista mówi, że dzwoni dowódca baterii, lecz głos jakgdyby nie jego. Rzeczywiście mówił takim jakimś dziwnym głosem, że od razu zrozumiałem, że jest albo chory lub ranny. Powiedział: "Jurka !" - tak zdrobniale z rosyjska mówił do mnie zazwyczaj - "Przyjeżdżaj natychmiast na punkt obserwacyjny, a swoją funkcję przekaz Fiedczence" / to znaczy dowódcy 1-go plutonu ogniowego.

Na punkcie obserwacyjnym był też i dowódca dywizjonu

Okazało się, że zwiadowcy nasmażyli dowódcy baterii pełną menażkę mięsa, a ten nie pomny na to, że choruje przecież i na żołądek i ma wrzody na żołądku, zjadł to wszystko. Wrzody pękły i powstało krwawienie, a także konieczność odstawienia go do polowego szpitala. Kuracja zapowiadała się więc na dłuższy okres czasu, tak przynajmniej zawyrokował dywizjonowy felczer.

Dowódca dywizjonu nakazał mi na okres nieobecności chorego dowódcy baterii pełnić obowiązki. Początkowo tak jakby dreszcz przeszedł przez całe moje ciało i nie mogłem jakoś ochłonąć z wrażenia. Z jednej strony to ogromna odpowiedzialność, natomiast z drugiej strony to przecież marzenie każdego artylerzysty być dowódcą baterii i samodzielnie móc prowadzić ogień. Nawet w najśmielszych marzeniach nie mogłem przypuszczać, że to stało się już teraz. Czy to możliwe, bym jako 19-to letni chłopak z Białokrynicy, mógł naprawdę strzelać z dział do Niemców? Przecież jeszcze rok temu . . . byłem niczym. W każdym razie byłem mocno podekscytowany tym mianowaniem i nawet dowódca dywizjonu mnie spytał czy się czuję dobrze. „Tak, oczywiście, jak nigdy dotąd” - odpowiedziałem.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że narazie to jest tylko zastępstwo i tak naprawdę to niedługo powrócę na stanowisko ogniowe na funkcję dotychczasową - oficera ogniowego baterii. Narazie jednak chciałem trochę postrzelać i popatrzeć własnym okiem na wyniki mojego ognia. Ponadto ciągnął mnie ten nienastanny ciąg - być blisko nieprzyjaciela, dosłownie o krok i zaglądać mu w oczy.

Z dowódcą baterii było rzeczywiście niedobrze. Leżał w takim małym domku na kanapce i cicho pojękiwał. Gdy mu trochę przeszedł ból, zaznajomił mnie z sytuacją, pokazał przedni skraj obrony nieprzyjaciela. Od dowódcy plutonu dowodzenia przejąłem mapę, przyrzędy do przygotowania danych początkowych do strzelania. Słowem to wszystko co się przekazuje nowemu następcy. Ppor. Henryk Kucharski podał mi jeszcze szereg drobnych szczegółów tyczących terminarzy meldunków do przełożonych, dokumentacji itp. Henio Kucharski był z tej samej promocji co i ja, tylko z innej baterii. Pochodził z Sarn na Wołyniu i tam mieszkali jego rodzice, urzędnicy starostwa w Sarnach. Był średniego wzrostu, lat tyle co i ja, a twarz miał dziewczęcą. Jak dorastającą panienka. Dobry to był kolega i przyjaciel frontowy



Chłopak z białokrynickich koszar 12 Pułku Ułanów Podolskich.
Najmłodszy dowódca baterii w Wojsku Polskim, dziewiętnasto-
letni podporucznik Jerzy Jankowski.

Wkrótce musiałem też zameldować się u dowódcy wspieranego batalionu. Dowódca 2-go batalionu 18 pułku piechoty poinformował mnie, że jego saperzy kończą właśnie dwa okopy do strzelania na wprost ze 152 mm armato-haubic z 5 Brygady Artylerii Ciężkiej, które wieczorem zajmą stanowiska ogniowe. Mają one zniszczyć dwa ogromne schrony betonowe, które nie dają spokoju jego batalionowi. Po godzinie 19-tej przyjechały ciągniki z działami. Niebezpiecznie było zajeżdżać na samo miejsce przygotowanych okopów, ponieważ działaka z bunkrów raz dwa załatwiłyby nasze działa z odmownym skutkiem. Działka przy pomocy piechoty toczono do okopów z odległości około 600 metrów. Wreszcie wtoczono je do okopów. Ciekaw byłem jak sobie dadzą radę z tym betonem, ponieważ nie widziałem jeszcze nigdy działania pocisku przeciw-betonowego.

O świcie, gdy tylko można było dojrzeć kontury bunkrów, działa otworzyły ogień. Wnet rozpętało się piekło. To bunkry odpowiadały ogniem za ogień i broniły twardo swojej skóry. Odległość do bunkrów z okopów działowych wynosiła coś około 700 metrów. Sam to mierzyłem bateryjnym zdobyczym dalmierzem. Widziałem, jak dowódca baterii ciężkiej nerwowo gryzł ołówki w zębach i co chwilę zaglądał do lornetki. Przyznaję, że i ja w podobnej sytuacji zachowałbym się podobnie. Patrzyli na to strzelanie i dowódca dywizji piechoty i dowódca brygady artylerii i dowódcy pułków, batalionów, kompanii - wszyscy żołnierze. Odpowiedzialność za wykonanie zadania ogniowego była ogromna. Odgłos pierwszego strzału z działka był potężny. Przecież takie strzelanie prowadzi się na ładunku pełnym, a więc najsilniejszym, dla nadania jak największej siły przebicia. Po pierwszym strzale na schronie bojowym wykwitł wybuch. Chwilowo dym przesłonił skutek. Następny pocisk trafił w podstawę wieży pancernej. Dalsze prowadzenie ognia nie było możliwe z uwagi na odwetową lawinę ognia nieprzyjaciela. Słychać było jak pociski i odłamki pocisków bębnią w tarczę ochronną działka. I ja musiałem schować się głębiej do okopu, aby nie oberwać. Obsługi działka przeczekały ostrzał i ponownie otworzyły ogień. Trzeci strzał pamiętam, trafił w strzelnicę schronu. Po czwartym strzale na schronie zakurzyło się, co oznaczało, że zdjęta została obsypka ziemna i zaczął kurzyć się cement. W sumie potrzeba było jeszcze 5 - 6 strzałów by uważać bunkier niemiecki za rozbity. Podobnie dobrano się i do drugiego schronu. Bohaterami dnia byli narazie

artylerzyści z artylerii ciężkiej. Piechurzy gratulowali im rozważenia bunkrów. Z prawego skrzydła zburzonych schronów nacierała 6 kompania 2 batalionu. Żołnierze mijający okopy dział, gratulowali zburzenia schronów i dziękowali za dobrą robotę. Na kierunku natarcia kompanii pojawił się w głębi nowy schron nieprzyjaciela. Początkowo nikt nie mógł zorientować się skąd pochodzi rażący ogień. Wydawało się, że pociski wylatują gdzieś z pod ziemi. Kompania zaległa i znów byli ranni. Żołnierze naszej piechoty nie posiadali jeszcze odpowiedniego doświadczenia w prowadzeniu rozpoznania i niszczenia schronów. Dowódca plutonu piechoty chorąży Seretny zaczął czołgać się w kierunku schronu. Przedostał się niezauważony na jego tyły. Tu zamaskował się i nie wiedział początkowo co ma robić w tej sytuacji. Nagle zobaczył, że hermetycznie zamykana pokrywa schronu otwiera się, widocznie dla przewietrzenia schronu z dymu od wystrzałów. Chorąży nie namyślając się długo wrzucił do schronu przez otwartą pokrywę granat. We wnętrzu schronu nastąpił głuchy wybuch. W tejże chwili nieprzyjacielski strzał karabinowy zwałił go z nóg. Nadbiegli żołnierze jego plutonu, którzy zaczęli strzelać przez otwory strzelnicze do wnętrza zmuszając załogę schronu do poddania się. Ciężko rannego chorążego odwieziono do punktu medycznego.

Zacięte walki prowadzone przez 6 Dywizję Piechoty całkowicie wiązały siły nieprzyjaciela, uniemożliwiając mu prowadzenie kontrataków i przegrupowania się.

Dla wykorzystania powodzenia natarcia 4 i 6 DP dowódca 1 Armii zdecydował wprowadzić do walki na ich styku 1 Dywizję Piechoty. Pozwoliło to wkrótce na opanowanie szosy Wałcz - Czaplinek /Tempelburg/ i Złocieńiec /Falkenburg/.

Rozpoczęło się też i przegrupowanie artylerii, a więc zmiana punktów obserwacyjnych i stanowisk ogniowych. W dalszej części moich wspomnień pozwolę sobie korzystać ze skrótów nazw części składowych artyleryjskiego ugrupowania bojowego i zamiast nazwy punkt obserwacyjny podawać będą skrót: PO i zamiast stanowisko ogniowe: SO.

Wraz z plutonem dowodzenia samochodem ruszyliśmy do przodu. Podobnie czynili to i inni dowódcy baterii. W lesie przy drodze prowadzącej z Wałcza do Czaplinka napotkałem samochód Studebaker z 5 Brygady Artylerii Ciężkiej z plutonem dowodzenia. W kabinie samochodu siedział dowódca baterii por. Olesiuk. Znałem go jeszcze dosyć dobrze z Riazania, gdzie był w naszym dywizjonie podchorążych, dowódcą 1-szej baterii. Kiedyś pełniłem służbę

wartowniczą w Riazaniu jako dowódca warty, natomiast por. Olesiuk był oficerem dyżurnym szkoły. Widocznie mu się mocno nudziło, ponieważ niemal całą noc przegadaliśmy z przerwami na rozprowadzenie wart na posterunki przez rozprowadzających.

Zdziwiłem się mocno, że zamiast tak jak wszyscy jechać w kierunku Czaplinka, oni skręcają gdzieś na południe w stronę Wałcza. Podjechałem blisko samochodu por. Olesiuka i powiedziałem mu, byśmy na Czaplinek jechali razem. Po drodze jest wiele niebezpieczeństw, więc będzie nam różniej i będziemy silniejsi. Moi zwiadowcy mieli na samochodzie dwa zdobyczne niemieckie karabiny maszynowe MG-34, więc jeden z zapasem amunicji przerzuciliśmy na ich samochód. Por. Olesiuk jednak ponownie zatrzymał się i powiedział, że musi coś sprawdzić niedalego stąd i samochód ich skręcił na południe w kierunku Wałcza. Ja z plutonem dowodzenia, uważnie spoglądając przed siebie i na boki pojechałem w kierunku na Czaplinek.

Nie wiedziałem wówczas, że wydarzy się parę minut później tragedia. Jeden z żołnierzy por. Olesiuka, który wówczas jechał razem z nim samochodem, opowiadał mi po wojnie o tym co zaszło.

Okazało się, że por. Olesiuk cały czas błądził po lesie i nieustannie konfrontował przebytą drogę z mapą, na zachód od Wałcza. W końcu dojechali na skrzyżowanie leśnych dróg, gdzie porucznik znów nie wiedział, w którą stronę mają jechać. Chorąży Ostrycki oraz ogniomistrz Niemcewicz i plutonowy Wandycz radzili, aby jechać prosto, lecz dowódca baterii uparł się, że trzeba skręcić w lewo. Wyjechali w końcu z lasu i z oddali widać było jakieś miasteczko. Ostrycki, jakgdyby coś złego przeczuwając, prosił por. Olesiuka aby się zatrzymać. Naraz ze wszystkich stron dostali ogień z karabinów maszynowych. Ostrycki przywarł do niemieckiego zdobycznego ckm-u, który im podarowaliśmy, ustawiając go na kabinie samochodu. Ktoś krzyknął: "Zasadzka!". Żołnierz jeszcze słyszał komendę Ostryckiego: "Granatami! Jesteśmy otoczeni. To zasadzka. Spróbujcie się ". Nie dokończył słowa, bo seria z karabinu maszynowego przeszła go przez pierś. Zawisnął na burcie samochodu z pistoletem w rękę. Ostrzeliwując się wyskoczyłem z kolegą w krzaki - opowiadał żołnierz. Rzuciliśmy granaty w stronę skąd ogień był największy. Następnie poderwałem się i kilkoma skokami dopadłem zbawiennego rowu. Padłem i zacząłem strzelać z pepeszy. Obok leżał ciężko dysząc mój kolega. Nie

wiedziałem gdzie jest reszta naszych. Musiałem z kolegą nawzajem osłaniać się ogniem i wykonywać skoki do tyłu. Przebiegłem kilka metrów i zaległem. Znow zacząłem strzelać w linię krzaków, skąd błyskało najczęściej. Czekałem na kolegę, lecz zamiast niego zobaczyłem kilka sylwetek w niemieckich mundurach biegnących w stronę naszego, palącego się samochodu. Zmieniłem magazynek w pepeszy i zacząłem ciągnąć po nich seriami. Jeden z Niemców złożył się, celując z pancerfaustu w maskę naszego samochodu. Pozostali coś wrzaszczeni. Opanowałem drżenie rąk, wycelowałem spokojnie i znow przejechałem po nich serią. Widziałem jak po tym Niemiec zwiesił głowę i cały cielskiem zwałił się na ziemię. Zdażyłem jeszcze raz nacisnąć spust pepeszy. Pancerfaust rozerwał się pod Niemcem. Po sekundzie znow nastąpił wybuch. Gdy opadł dym i kawałki darni, zobaczyłem biegnącego w moim kierunku kolegę, który przed tem obrzucił Niemców granatami. Tuż z lewej strony, zza krzaków wypełzło kilku Niemców. Zacząłem strzelać do nich seriami. Tylko kilka metrów zabrakło koledze do mnie, gdy krzyknął do mnie: " Za wzgórek, do lasu, szybciej!". Widziałem jak Niemcy celowali do niego. Odkrzyknąłem do niego aby padł na ziemię. W tej samej chwili kolega potknął się, upadł twarzą do ziemi, a z głowy jego bluznęła krew. Z lasu wypadła następna zgraja Niemców. Biegli tyralierą w stronę naszego samochodu. Teraz zrozumiałem, że już wszystko stracone. Widziałem jak Niemcy podchodzili do ciężko rannych i dobijali ich. Poderwałem się, chcąc dostać się za pagórek do lasu. Dobiegłem do szczytu wzniesienia, gdy usłyszałem nad głową gwizdy pocisków. Biegłem nadal. Raptem poczułem silne uderzenie w prawą nogę. Podbiegłem jeszcze kilka kroków i upadłem. Zacząłem się czołgać. Na plecach czułem gorące poślizgi pocisków. I znow poczułem silne uderzenie, tym razem w lewą nogę. Już wiedziałem, że to koniec. Wszystko stało mi się nagle obojętne i przygarnąłem do siebie gorącą lufę pepeszy. Niestety, w magazynku nie miałem już ani jednego naboju. Wystrzelałem wszystko. Przyłożyłem wargi do śniegu i cichą jęknąłem. Wyszepiałem słowo: "Mamo"!, a potem jak za mgłą stanął mi przed oczami oje cieć, który zginął w 1939 roku. Pomyślałem o braciach i o bracie Zbyszku, walczącym gdzieś na froncie zachodnim. Jak^w kalejdoskopie przesuwały się przed oczami twarze moich kolegów i nagle zdałem sobie sprawę, że przecież już niedaleko koniec wojny. Wtedy wróciła mi chęć do życia. Podniosłem głowę żeby się dalej podczołgać i zobaczyłem jak trzech Niemców stoi nade mną. Jeden piegowaty

i rudy Niemiec kopnął mnie w podbrzusze i wrzasnął: "Verfluchter polnischer Schweinhund !" / Przeklęty polski świński pies/. Przy-
stawił mi swój "Schmeiser" do piersi i kazał wstać. Wiedziałem,
że jak nie wstanę to mnie dobiją, tak jak kolegów. Następnie
zerwał mi z piersi lornetkę polową i uderzył w twarz, tak że znów
upadłem. Poczujęm kpienie, więc znów wstałem zataczając się
i plując krwią. Buty miałem pełne krwi i czułem jak chłupotała
przy poruszaniu stopą. Popychany kolbami ruszyłem w stronę na-
szego wypalonego samochodu. Tuż przy nim zobaczyłem Staszka Jew-
dokimowa i Antka Wandycza. Obok leżeli cicho pojękując; por. Ole-
siuk i Janek Dubasiewicz. Nie mogłem wydobyć głosu z zaciśniętego
gardła. Wzięli mnie pod ręce i popychani przez Niemców poprowa-
dzono nas do pobliskiej stodoły. Tam Staszek zrobił mi opatrunek.
Podszedł do nas jeden z Niemców, jak się okazało Polak z Poznań-
skiego, i zrobił Staszce opatrunek na piersi i mnie również
opatrzył. W tej chwili straciłem przytomność. Gdy wróciła mi
świadomość, znajdowałem się w wagonie kolejowym wiozącym nas do
Stallagu X B Sandbostel pod Hannoverem. Moja matka wywieziona do
Kazachstanu w 1940 roku otrzymała w języku rosyjskim zawiadome-
nie, że zginąłem bohaterską śmiercią w dniu 8 lutego 1945 roku.
Pomimo to wierzyła, że żyję. Po powrocie z niewoli przez cały ty-
dzień trzymała mnie informacja wojskowa i codziennie byliśmy
przesłuchiwaani w jakich okolicznościach pozostaliśmy przy życiu,
gdzie jest nasz dowódca itp. Następnie zrehabilitowano nas. Oto
moja najstraszniejsza historia w życiu. Opowiadający zasępił
się chwilę i powiedział: "Bardzo żałowaliśmy z moim kolegą, że
por. Olesiuk nie pojechał razem z Panem, wówczas oszczędzone by
mi było to straszne przeżycie". Ja też się zadumałem, ponieważ
chciałem pojechać za por. Olesiukiem i razem z nim potem skręcić
na Czaplinek. Opatrzność czuwała nade mną. Tak rozstałem się na
stacji w Gnieźnie z towarzyszem frontowych dróg.

Kiedyś, po wojnie, gdzieś w latach 60-tych, jechałem
na poligon do Drawska na ćwiczenia, właśnie drogą Wałcz - Czapli-
nek. Postanowiłem zajechać na to miejsce tragedii. Szybko odna-
lazłem je. Poza kawałkami pordzewiających już resztek blach ze
spalonego Studebakera niczego już nie znalazłem. Przyroda za-
bliźniła rany wojny.

Na froncie wieść o tej tragedii szybko rozeszła
się wśród artylerzystów 1 Armii. Później zauważyłem, że przy każdej
razowej zmianie ugrupowania bojowego, gdy jechałem na nowy PO
żołnierze moi z bronią gotową do strzelania uważnie rozglądali

na wszystkie strony. Nie musiałem już tak jak przedtem przypominać aby przygotowali amunicję i broń oraz granaty. Zawsze cały samochód był pełen broni naszej i zdobyczej. Okazało się, że rzeczywiście nauka nie idzie w las. Kiedyś zobaczyłem na samochodzie już trzy niemieckie ckm-y MG-34 i zapytałem dowódcę drużyny rozpoznawczej ogniomistrza Kulczyckiego, co to za arsenał? Ten odpowiedział mi: "Panie poruczniku, aby nas nie spotkało to co por. Olesiuka".

Nasz etatowy karabin maszynowy zawsze wożono w pokrowcu i nikt go praktycznie stamtąd nie wyjmował, chyba że do czyszczenia. Teraz był super elegancko naoliwiony i ustawiony na kabinnie samochodu.

Działania rozpoczęte nazajutrz, 9 lutego, nie miały powodzenia. Nieprzyjaciel na kolejnych dogodnych rubieżach starał się uprzykszyć nam żywot i twardo walczył. W rejonie NOWEJ WSI doszło do boju spotkaniowego wspieranego przez nasz pułk 14 pułku piechoty z niemiecką dywizją "BAERWALDE", którą usiłowaliśmy przegrupować swoją grupę pułkową "Schneider" właśnie na nas. Lepiej szło sąsiadom z 4 Dywizji Piechoty, którzy zajęli już KARSIBÓR. Nikt z nas wówczas, na naszym szczeblu, nie wiedział że nad całym 1 Frontem Białoruskim zawisło ogromne zgrupowanie niemieckie w postaci Grupy Armii "Wisła", którą bardzo nieudolnie dowodził sam Himmler. Swoim uderzeniem w skrzydło 1 Frontu Białoruskiego, hitlerowcy zamierzali otoczyć wojska Frontu i zgotować odwet za Stalingrad.

Wreszcie ruszyło. Scigamy nieprzyjaciela dzień i noc, by nie pozwolić mu ani na chwilę zatrzymać się i umocnić. Wiedzieliśmy, że Wał Pomorski jeszcze się nie skończył, i że czeka nas jeszcze pozycja ryglowa.

Jeszcze w czasie walk na Wale Pomorskim, nasza 1 Armia WP otrzymała już zadanie nacierania na Kołobrzeg, oczyszczenia wybrzeża morskiego na zachód od Kołobrzegu, aż do Mrzeżyna i Dziwnowa, zluzowania oddziałów sowieckich z 3 Armii Uderzeniowej oraz zorganizowania obrony wybrzeża morskiego.

Bądźmy więc walczyć nad morzem. Byłem z tego faktu niezmiernie rad, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie widziałem morza. Przeszedłem już zdobywanie dużego miasta /Warszawa/, przekamywanie silnie ufortyfikowanej linii /Wał Pomorski/ a teraz będę zdobywał port morski i bronić wybrzeża.

Szedłem więc historycznym szlakiem Bolesława Chrobrego, przez nasze ongiś ziemie pomorskie, do morza. Narazie

do morza było jeszcze daleko i czekało nas wiele walk i trudów.

Niespodziewanie rano 9 lutego złożyła nam wizytę hitlerowska Luftwaffe. Coprawda 1944 rok całkowicie pogłębił nieuchronny kryzys niemieckiego lotnictwa i całego przemysłu lotniczego, przez ustawiczne, dywanowe naloty bombowe alianckiego lotnictwa, nie mniej jednak Luftwaffe była jeszcze na tyle silna by nam uprzykrzać już i tak ciężkie życie. Należało więc liczyć się z nalotami nie tylko w dzień, ale też i w nocy. Rozpoczęło się od pojawienia się samolotu rozpoznawczego, popularnie zwanego przez naszych żołnierzy "ramą", a to z powodu dwukadłubowego ogona. To już był wyraźny sygnał, że niebawem coś nieprzyjemnego może się wydarzyć. Na punkcie obserwacyjnym, wspólnie ze wspieranym dowódcą kompanii piechoty, wydaliśmy odpowiednie zarządzenia do przygotowania się do odparcia ataku samolotów nieprzyjacielskich. Podzwoniłem też i na stanowiska ogniowe, tak tylko dla przypomnienia, choć napewno i oni widzieli samolot rozpoznawczy i co jego pojawienie się oznacza. Piechota dosyć pomysłowo przysposabiała broń do strzelania do samolotów. Na słupku wbitym w ziemię ustawiano zwykłe koło od wozu i do niego przymocowywano karabin maszynowy, bądź rusznicę przeciwpancerną. Wokół słupka, dla ochrony obsługi kopano okrągły okop. Niebawem pojawiły się samoloty myśliwskie "Messerschmidt-110", które tylko posiadały z karabinów maszynowych po naszych okopach, a następnie zjawiły się lekkie bombowce "Junkers-87" / zwane Stukasami / oraz ciężkie bombowce "Junkers-88". Te ostatnie poleciały gdzieś dalej, a nami zajęły się "Sztukasy". Były to samoloty starego typu, z niechowanym podwoziem i charakterystycznie wygiętymi skrzydłami. Aby nas nastraszyć, samoloty te w ozasie nurkowania włączały syreny alarmowe, które potwornie wyły. To rzekomo miało nas porządnie nastraszyć. Posypały się też, zresztą bardzo niecelnie, bomby oraz coś co mocno gwizdało. Okazało się, że Niemcy mieli już mało bomb i dla psychicznego załamania nas zrzucali podziurawione beczki po benzynie. Wiatr przechodząc przez te otwory w beczkach potwornie wył. Nikt oczywiście tego się absolutnie nie bał i raczej wywoływał pobłażliwy śmiech. Na stanowiskach ogniowych też nie się stało. Piechocińskie karabiny maszynowe zato ujadały przez cały czas nalotu i nawet już po nalocie i gromkich komendach "Przerwij ogień!".

Po tym niestrasznym nalocie samolotów niemieckich, natarcie ruszyło do przodu. Po chwili, gdy tyraliery naszej kompanii skryły się za grzbietem terenowym, również i ja z plutonem dowodzenia ruszyliśmy do przodu, bez przesuwania stanowisk ogniowych. Telefoniści mozolnie, pieszo, ciągnęli linię telefoniczną za nami. Okazało się, że nieprzyjaciel włączył przysłowiowy szybki bieg i porządnie uciekał. Przed wieczorem otrzymałem rozkaz od dowódcy dywizjonu ściągnąć rzut ogniowy do wioski, do której właśnie zbliżaliśmy się. Trzeba było trochę pospać i odpocząć po dwóch dobach ustawicznej walki. Mieliśmy zezwolenie odpoczynku do godziny 8-mej rano następnego dnia.

We wsi było bardzo dużo uciekinierów niemieckich. Chałupy były dosłownie zapchane nimi. Gdy wszedłem do jednego z budynków, ujrzałem tam mnóstwo kobiet z dziećmi, oraz powiał ku mnie zaduch. W tym stanie rzeczy postanowiłem razem z dowódcami plutonów i zastępcą do spraw politycznych przespać się w pobliskiej stodole. W stodole na dużym klepisku leżała ogromna wiązka siana, więc zaraz ułożyliśmy się na niej, przykrywając się z głową pelerynami przeciwdeszczowymi. Dookoła stodoły chodził przez cały czas posterunek, bo podobno lichy nie śpi. Nad ranem, któryś z oficerów zapytał mnie dlaczego mam taką zimną dłoń, i napewno jest mi zimno. Odpowiedziałem, że ręce mam w kieszeniach płaszcza, a inni oficerowie też potwierdzili, że na rękach mają rękawiczki. Zapadło głuche i złowrogie milczenie. Jak na komendę, naraz wszyscy zerwali się na równe nogi patrząc na siano, na którym spaliliśmy. Ktoś odchylił leżącymi obok grabiami siano i naszym oczom ukazały się zwłoki trzech niemieckich żołnierzy. Okazało się, że niemiecka ludność zniosła je do stodoły i przykryła sianem, na którym my ułożyliśmy się. Natychmiast w pośpiechu opuściliśmy tę stodołę. Ciekawe, dlaczego przestraszyliśmy się? Przecież każdego dnia spotykamy się z poległymi naszymi żołnierzami, niekiedy mocno porozrywani od pocisków, przed złożeniem do grobu całujemy ich po ojcowsku w czoło, a tu taki nagły przestrah? Później w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie uczono mnie z psychologii wojskowej, że nie ma takiego człowieka, który by nie bał się śmierci. Każdy normalny, zdrowy człowiek boi się. Ci, którzy potrafią szybko opanować strach - są odważnymi, ci którzy wolniej ten strach opanują - są mniej odważnymi. Bohorzem jest natomiast ten, który szybko opanował strach, lecz asekuracyjnie nie chce ponownie tego przeżywać i zadania nie wykonuje lub poprostu

ucieka.

Pytano mnie kiedyś po wojnie czy bałem się na froncie? Oczywiście, że bałem się i niekiedy moc-no. Śmierć niejednokrotnie ocierała się o mnie. Czasem może niepotrzebnie byłem takim sobie chojrakiem, niepotrzebnie lekceważącym niebezpieczeństwa. Nawet czasem zbyt wiele niepotrzebnej brawury, która nic nie dawała - może poklask znajomych i podwładnych. Niepotrzebne to było. Tak myślę o tym teraz, ale gdy miałem dziewiętnaście lat Bałem się natomiast kalectwa oraz tego, że nie będę mógł powrócić do rodziny, do Białokrynicy w pełni zdrowym. Podobnie jak i ja myśleli również inni oficerowie i żołnierze.

Początkowo, gdy przyszedłem na front ze Szkoły Podchorążych, nie mogłem zupełnie spać, ponieważ trwał nieustanny huk wybuchów i strzałów karabinowych. Tak trwało trzy dni pod rząd. Chodziłem niewyspany i zmarznięty. Później przyszło przyzwyczajenie i nie już nie przeszkadzało mi w spaniu. Odwrotnie. Zacząłem reagować na ciszę. Zazwyczaj nie przynosiła ona nic dobrego.

Obecnie nasza Brygada wspiera 1 Dywizję Piechoty. Stanowiska ogniowe zająłem na północ od Mirosławca /Maerkisch Friedland/. Udaję się do dowódcy 2-go batalionu 2-go pułku piechoty, którego mam wspierać. Jest starszy ode mnie, a dowodzenie batalionem objął po zdobyciu linii głównej Wału Pomorskiego. Przedtem był dowódcą kompanii w tym pułku, a teraz po śmierci poprzedniego dowódcy batalionu, on teraz dowodzi. Historia jakich na froncie wiele. Dowódca batalionu narzeka, ponieważ w batalionie ma zaledwie ~~cztery~~ cztery setki żołnierzy - praktycznie po 60-ciu w kompanii /trzy kompanie piechoty, kompania ckm i kompania 82 mm moździerzy/, nie licząc samodzielnych plutonów.

Wspólnie lornetkami badamy przedpole. W odległości niespełna 1000 m od nas widnieje mały laszek sosnowy, a właściwie zagajnik. Co i raz, do tego zagajnika chyłkiem zmierzają żołnierze niemieccy i po tym z powrotem, również chyłkiem, wychodzą zeń. Dowódca batalionu sądzi, że może znajdować się jakiś sztab niemiecki, a ci dochodzący tam żołnierze mogą być, na przykład, gońcami. Spogląda na mnie milcząc i wiem z góry o co mu chodzi. Z drugiej strony wiem, że nie mogę otwierać ognia z haubic, gdy cel nie jest sprecyzowany. Za takie strzelanie do niewiadomego celu, dowódca dywizjonu może mi "zmyć głowę". Idę jednak na swój punkt obserwacyjny i na własną odpowiedzialność przygotowuję dane do tego niewiadomego celu. Uczono mnie, że cel należy nie tylko widzieć,

lecz także i rozumieć, a ja natomiast cel widzę ale go nie rozumie

Mimo wszystko otwieram ogień. Leci pierwszy pocisk. Gdzie upadnie? Jest! Tylko artylerzyście znany jest ten charakterystyczny chichot pocisku wskazujący czy będzie przed celem czy też za celem. Jest pierwszy wybuch: długi 200 metrów. Skracam celownik i wyznaczam serię baterijną po dwa pociski. Poszły. Zagajnik pokrył się ogniem i dymem i początkowo nie widziałem co się tam dzieje. Cała seria bateryjna w celu, lecz efektu nie widzę. W tym momencie słyszę dzwonek telefonu polowego. Dzwoni dowódca dywizjonu. Z lękiem podchodzę i biorę słuchawkę. "Do czego strzelasz?"-pyta dowódca. Odpowiadam, że dowódca batalionu prosi o obezwładnienie zgrupowania piechoty w zagajniku. Cisza w telefonie i słyszę odkładanie słuchawki. Doskonale, udało się - myślę, lecz dalej nie wiem do czego strzelałem i jaki jest tego rezultat.

Gdy poszliśmy wkrótce do przodu, razem z dowódcą batalionu zaglądamy do tego zagajnika. Na małej polance stoi rozwalona kuchnia polowa, a obok trupy oblane jakąś szwabską zupą, Potwornie wygląda trup ubrudzony kaszą i gulaszem. Całe szczęście, że nie widzi tego dowódca dywizjonu. Byłbym pośmiewiskiem całego dywizjonu na dobry tydzień czasu.

W międzyczasie cały nasz dywizjon wykonuje nawałę ogniową 5-cio minutową na wieś GERBERSDORF. Z daleka widoczne są słupy ognia i dymu we wsi, a raczej w małym miasteczku. Nie chciałbym być teraz tam w Gerbersdorf.

Znów nieprzyjaciel odchodzi, a my powoli za nim. Wjeżdżam z plutonem dowodzenia do Gerbersdorf. Wszędzie pełno dopalających się domostw i okropny las kominów sterczących pośród ruin. Na zakręcie ulicy, pod powalonym słupem telegraficznym i mnóstwem związających drutów telefonicznych widzę dziecięcą wózek. Krzyczę do kierowcy by się zatrzymał. Wyskakuję z kabiny samochodu i biegiem udaję się do owego wózka. Na szczęście nie ma tam dziecka. I ten widok nie wstrząsa mną, ponieważ nie mam na to czasu. Martwię się natomiast o rzut ogniowy, z którym w międzyczasie straciłem łączność. Nie mam też łączności z dowódcą dywizjonu oraz z piechotą. Okropnie się czuję, bo co wart dowódca baterii gdy nie ma z nikim łączności. Jest mi trochę głupio, lecz moje zmartwienie przerywa niemiecka artyleryjska nawała. Szkwały szybkiego ognia lecą znów na Gerbersdorf, z tą tylko różnicą, że tym razem miasteczko okładają Niemcy. Każę kierowcy ukryć samochód za załomem muru, a sam z żołnierzami szukamy

jakiegoś ukrycia. Wybuchy pocisków są bardzo bliskie i czuć zapach trotylu. Tysiące odłamków ze świstem przelatują nad naszymi głowami. Szkło trzeszczy pod nogami, a obok leży trup niemieckiego leutnanta piechoty. Na oczach duże okulary z grubymi szklami, a jego źrenice nieruchomo patrzą w niebo. Obok leżą również dwaj Niemcy - szeregowcy. Żołnierze przynoszą torbę polową oficera. Wyjmuję dokumenty. Był studentem astronomii. Zastanawiam się, po co mu było studiować naukę o gwiazdach i planetach, moglić się nad wyższą matematyką, by tu w niepozornej miejscinie Gerbersdorf znaleźć śmierć.

Doszliśmy wreszcie do ostatniego bastionu Wału Pomorskiego, jakim jest pozycja ryglowa. Nacieramy na BORUJSKO /SCHENFELDT/. Obok jest niemieckie lotnisko. Sadowię się obok hangaru skąd dobrze widać pole z na które idzie właśnie atak naszej piechoty wsparty czołgami z Brygady Pancерnej im. Bohaterów Westerplatte. Nacieranie wykonuje groźne kontrataki. Dowódca kompanii prosi mnie o ogień na korzyść jego kompanii, a szczególnie na widoczne gołym okiem gniazda karabinów maszynowych. Dziś wystrzelałem już sporo amunicji i muszę wobec tego prosić dowódcę dywizjonu o zezwolenie na dodatkowe pociski. Otrzymuję zezwolenie. Znowu wychodzi niemiecki kontratak i stopuję go pięknie rozłożonym w terenie stałym ogniem zaporowym. Dowódca kompanii ściska mnie za to i dodatkowo prosi o zniszczenie karabinu maszynowego tuż koło małego domku. O nie mój bracie - mówię do niego. To jest robota dla artylerii batalionowej i pułkowej, a nie dla haubicy z dowodu Naczelnego Dowództwa. Żał mi dowódcy kompanii, ale takie są wymagania. Prosto dla moich pocisków cel jest mało opłacalny. Ponadto na stanowiskach ogniowych pozostała już amunicja dyspozycyjna dowódcy pułku i brygady i uszczknąć z niej nie mogę ani pocisku.

Bołujska bronią pododdziały 324 pułku piechoty z niemieckiej 163 Dywizji Piechoty. Przed nami nacierał tu nasz 5 pułk piechoty z 2 Dywizji Piechoty, lecz nie z tego nie wyszło. Następnie próbował 4 pułk piechoty z batalionem czołgów i batalionem piechoty zmotoryzowanej z Brygady Pancерnej, a także grupa konna z 1 Brygady Kawalerii. Natarcie to obserwowałem z mojego PO obok hangaru. Byłem świadkiem nieumiejętnego zorganizowanego natarcia i dosłownie pogromu naszych czołgów. Niemcy posiadali na tym ^{odcinku} sporą ilość doskonałych dział przeciwlotniczych 88 mm, które były też wspaniałymi działami przeciwpancernymi. Były to słynne niemieckie działa "acht koma acht". Prędkość początkowa pocisku u tych dział wynosiła 1500m/sek.

Właściwie było to najlepsze działo przeciwpancerne II wojny światowej.

Z chwilą pojawienia się, na płaskiej jak patelnia, równinie naszych czołgów, niemieckie działa natychmiast otworzyły skuteczny ogień z dalekich odległości. Mogły sobie pozwolić na strzelanie z daleka, ponieważ strzał bezwzględny z tego działa wynosił ponad 1000 metrów. /Strzał bezwzględny, to taki strzał przy którym wierzchołkowa toru lotu pocisku nie przekracza wysokości celu/. Praktycznie oznacza to, że każdy czołg, gdy znajdzie się w zasięgu tego strzału, jest trafiony.

Na pobojuwiskach stało pełno naszych palących się czołgów. Winę za to ponosi nasze dowództwo, ponieważ nie wolno bez należytego obezwładnienia środków przeciwpancernych nieprzyjaciela puszczać naszych czołgów. Po wtóre nasi czołgiści też ponoszą winę, ponieważ słynęli z nadmiernego nadużywania trunków. W tym wypadku stwierdzono, że większość czołgistów dla dodania sobie animuszu, też była pijana.

Po tej walce naszej Brygadzie Pancerniej pozostało całych czołgów zaledwie na batalion.

Znów rozpoczęło się znużające wynajdywanie, a właściwie rozpoznawanie celów. Szukałem takich celów, które byłyby opłacalne dla moich haubic. Siedziałem więc jak przysłowiowy kołek w płocie na PO i jak "sroka w kość" wpatrywałem się przez lornetę nożycową w teren po stronie nieprzyjaciela.

Niemcy mocno siedzieli w miejscowościach, na ogólnej linii: HERBERG, NEUHOF, GROSS SABIN /Żabin/. Pułk nasz tworzy obecnie Dywizyjną Grupę Artylerii. Pogoda jest fatalna. Jest mgła i nie dosłownie nie widać i na złość ten siąpiący deszczyk na przemian ze śniegiem. W okopie jest chłód, a zimno przenika do kości, szczególnie jak się jest niewyspanym. Siadam zmęczony i natychmiast na siedząco zasypiam, mimo, że nieprzyjaciel co i raz posyła do nas pociski. Dziwię się co też mogą ci Niemcy widzieć. Jest mgła i tak jak i my nie możemy widzieć. Niedaleko jest taka niewielka grupka domów, niby zaścianek, który pali się właśnie teraz jasnym płomieniem. Nikt nie ratuje dobytku, ponieważ wszyscy mieszkańcy opuścili go. Gdy ściemnia się, widać miliony iskier leśających w niebo z pogorzeliśka. Śwad spalenizny dochodzi do nas.

O jakieś 200 metrów od nas na płycie lotniska stoją niemieckie samoloty, zniszczone na ziemi. Mimo to cała grupa naszych żołnierzy kręci się koło nich. Po kilku minu-

tach słychać z pobliskiego lotniska przeraźliwy krzyk mojego zwiadowcy. Sądziłem, że może wszedł na minę i został porządnie poturbowany. Jego przeraźliwy krzyk na to wskazywał. Gdy wraz z innymi zwiadowcami podbiegłem do wraków samolotów, skąd słychać było krzyk, zobaczyłem bombardiera Zenczaka wiszącego na samoloci z głową gdzieś w kabinie samolotu. Okazało się, że Zenczak wdrapał się po skrzydło i podszedł do kabiny pilota. Tam zobaczył mnóstwo dziwnych przycisków i rozpoczął, jako ciekawski, przyciskać nie kolejno kolorowych przycisków. Po naciśnięciu któregoś z rzędu przycisku - owiewka kabiny pilota z hukiem z tylnego położenia poszła do przodu i przycisnęła tułów Zenczaka. Uśmieśliśmy się dobrze z tego, lecz Zenczak dostał za takie samowolne oddalenie się poza PO, porządną burę. Nie martwiłem się więc kto ^wdzisiaj, mokrą i nieprzyjemną noc, będzie dyżurował. Delikwent sam się znalazł. Już nie wiem po raz który poucziałem skład osobowy plutonu dowodzenia z ppor. Heniem Kucharskim, by niepotrzebnie nie chodzili tam, gdzie się ich nie pośle, ponieważ mogą oberwać porządnie guza, jak to dosłownie miało miejsce z Zenczakiem.

Tymczasem nasze dywizje szły do przodu, a 2 Dywizja Piechoty opanowała LIPIE i LASKI, a także taki mały przysiółek NOWE LASKI /Neu Iatzig/. Narazie z mojego dotychczasowego PO już niewiele widziałem, z uwagi na to, że piechota poszła do przodu. Dzwoniłem do dowódcy dywizjonu z prośbą o wyrażenie zgody na zmianę punktu obserwacyjnego. Niebawem przyszło zezwolenie na zmianę nie tylko PO lecz i SO. Dołączyłem do dowódcy wspieranej kompanii i pojechałem do tyłu wybrać stanowiska ogniowe. Gdy tylko dobrze rozglądałem się w terenie już nadjechały działa. Byłem już spokojny o rzut ogniowy, to też zaraz postanowiłem powrócić na PO. W powrotnej drodze chciałem zajechać do wspomnianego przysiółka Nowe Laski, ponieważ skończył się mi już papier na dokumentację bojową i sądziłem, że w którymś domu dostanę go.

Gdy podjeżdżałem do Nowych Lasków, tuż za kępą dużych i rozłożystych topoli ujrzałem piękny mały pałacyk. Pomyslałem sobie, że gdzie jak gdzie, ale w tym pałacyku napewno zdobędę dużo dobrego papieru. Drzwi wejściowe były zamknięte, lecz pomysłowy kierowca natychmiast je otworzył. W pałacyku nie było nikogo, nawet nasza piechota tu nie zaglądała. Idąc ze zwiadowcą po pokojach trzymałem broń w pogotowie. W hallu pałacyku stały walizy, widocznie w pośpiechu nie zdołano już ich zabrać. Napewno w samochodzie zabrakło już miejsca dla ludzi. Dalej były w pałacu różne schody przykryte chodnikiem, podesty, sypialnie. Na

ścianach portrety antenatów, a dołem ciemna, dębowa boazeria. Dalej w amfiladzie było kilka pokoi: palarnia oraz gabinet z i piękną biblioteką. Od podłogi do sufitu same tylko półki na trzech ścianach, a na nich Brockhauzy, Laroussy, Kant, Schoppenhauer, Tokstoj i Francuzi. Dużo ekonomii i humanistyki: Goete, Schiller, a nawet znienawidzony przez hitlerowców Heine. Nie brakło też hitlerowskich "biblii" pisanych szwabachą, jak: "Mein Kampf" i "Propylaeen Weltgeschichte". Te książki ostatnie stanowiły w Niemczech swego rodzaju świętość umysłową Trzeciej Rzeszy. W sumie jednak wspaniała biblioteka i uosobienie spokoju oraz pewnej izolacji od świata zewnętrznego i wojny. Oglądałem książki z zaciekawieniem. Większość książek oprawiona była w czerwone, ozdobne płótno, a grzbiety w skórę ze złożoną tytulaturą. W milczeniu oglądałem mapy i różne atlasy. Zabudowania pałacu troszeczkę przypominały mi styl zamku Zbaraskich w Biażokrynicy. Z nad półek zwisały potężne poroża jelenia, a obok wypchana sowa gapiła się na mnie wybałuszonymi oczami.

Chciało mi się tu usiąść i zagłębić się w czytaniu. Zachęcał do tego wygodny, skórzany fotel. Znalazłem oczywiście sporo wspaniałego papieru maszynowego ze znakami wodnymi oraz co dla mnie w tej sytuacji było cenne : mapę szerokiej okolicy w skali 1:25.000, na której naniesione były dobra miejscowego arystokraty.

Kiedyś po wojnie zajechałem w czasie ćwiczeń do tego pałacyku, aby popatrzeć jak się ma po 20-tu latach po wojnie. O zgrozo ! Był spalony. Mieszkający obok ludzie repatrianci z Nowogródzczyzny opowiadali, że że cały majątek do 1946 roku był użytkowany przez Sowieców, a pałacyku mieściło się ich kierownictwo majątku. Podobno w listopadzie 1945 roku tak hucznie świętowali rocznicę rewolucji październikowej i tak się mocno popili że w konsekwencji pałacyk spłonął. I wpuść tu człecze świnie do salonu !

Z nowego mojego PO widoczność była wspaniała, a co najważniejsze w tej zimowej przykłej sytuacji, tuż pod wzgórzem małe gospodarstwo, którym zawładnął już przed piechotą mój pluton dowodzenia. Do dowódcy kompanii z mojego PO mam tylko około 150 metrów. Dalej do okopów naszej piechoty teren porośnięty takimi rachitycznymi krzaczkami. Za naszymi okopami równina, płaska jak patelnia. To było naszym przekleństwem, ponieważ nikt nie śmiał pokazać się bez maskowania swojej osoby. Niemieccy strzel-

cy wyborowi zaraz czekali na delikwenta, który nie krył się porządnie. Od ich ognia zginęło wielu naszych żołnierzy z piechoty.

Znów przedmiotem mojego zmartwienia są stanowiska ogniowe. W nocy znów bateria dowozu amunicji z Brygady dowiozła całą masę skrzyń z amunicją. W sumie dostałem 105 skrzyń, a więc 210 pocisków, a przecież każde działo ma już nienaruszalny zapas w postaci 40-tu skrzyń. Oficer ogniowy biadoli co ma z taką sterłą amunicji robić i radzi mi natychmiast wystrzelać ją. Ponadto drugim moim zmartwieniem jest kompletny brak wiadomości od rodziny. Wiemy z bratem tylko to, że w styczniu repatriowali się z Biażokrynicy, lecz nie wiemy dokąd. Takim punktem informacyjnym pomiędzy mną i bratem a rodzicami miał być najmłodszy brat Bogdan, który pozostał w Oficerskiej Szkole Broni Pancernych w Chełmie Lubelskim jako instruktor. On właśnie miał nas informować o losach rodziców. Narazie Bogdan milczał.

Ostatnio ze sztabu pułku przyszło zarządzenie, że każdy oficer ma prawo dwa razy w miesiącu przesłać do swojej rodziny zamieszkałej w ZSRR paczki o wadze 10 kilogramów każda. Była też specjalna instrukcja jak taka paczka powinna być zapakowana i jak adresowana. Na paczce należało nakleić specjalnie wydawany kupon o wyglądzie banknotu pieniężnego. Oburzającym było to, że te paczki nie wolno było wysyłać do Polski a tylko do ZSRR. Złościło to nas, lecz nic nie mogliśmy zaradzić na tę niesprawiedliwość. Skorzystali z tego wyłącznie oficerowie Rosjanie, którym oddawaliśmy swoje kupony. Ja oddawałem je ppor. Fiedczence który wysyłał je do swojej matki do Czelabińska. Nad wieczorem jak grom z jasnego nieba nadszedł rozkaz zmiany ugrupowania bojowego. Zapytany szef sztabu dywizjonu kapitan Nikitin, co mam zrobić z taką górą amunicji na stanowiskach ogniowych, odpowiedział mi lakonicznie: "Usiądź i płacz".

Nowe moje stanowiska ogniowe znajdują się 5 kilometrów na wschód od miejscowości ŻABIN / Gross Sabin/, natomiast punkt obserwacyjny przy drodze z NEU HOF do ŻABINA /1,5 km. od Żabina/ - współrzędne PO: X= 22400, Y= 73660.

Te dokładne współrzędne prostokątne mojego PO zawdzięczam dokumentacji bojowej baterii, którą zachowałem do dnia dzisiejszego. Wykonywałem ją własnoręcznie. Kiedyś po wojnie, gdy pułk nasz stacjonował w Gnieźnie / był to 1946 rok/ przyszło zarządzenie zniszczenia dokumentacji bojowej każdej baterii. Co za głupota? Zameldowałem o zniszczeniu dokumentacji, a w rzeczywistości zabrałem ją do domu i przechowuję do dziś dnia.

Na punkt obserwacyjny przyjechał ze stanowisk ognio-
wych mój zastępca do spraw politycznych chorąży Artur Wajda
i opowiadał co się stało na stanowiskach ogniowych po otrzymaniu
ode mnie komendy :Odbój ! Przygotowanie do marszu!". Ciągniki
dział oraz zapasowy, zdobywczy niemiecki samochód terenowy, zała-
dowane były po brzegi skrzyniami amunicji i ledwo szły po dro-
dze. Całe szczęście, że był mróz i koła samochodów nie grzęzły
w piasku i błocie. Moją zastępcę do spraw politycznych wyko-
rzystywałem w zasadzie jako nieetatowego kwatermistrza baterii.
Wspólnie z szefem baterii oraz drużyną gospodarczą, troszczył
się on o zdobycie żywności, ugotowanie strawy i dostarczenie
jej w termosach na punkt obserwacyjny. Dostawy żywności z kwa-
termistrzostwa pułku dochodziły do nas nieregularnie. W tej sytu-
acji zdecydowałem pobierać tylko z magazynów pułkowych suchary,
kawę w kostkach oraz konserwy. Pozostałe produkty, podobnie jak
inne baterie w pułku, braliśmy z tak zwanych zasobów miejscowych
Biliśmy więc świnie i jałówki na mięso, w młynach mąkę, a w roz-
bitych niemieckich sklepach - cukier i inne środki spożywcze.
W zasadzie byliśmy samowystarczalni. Nie brakowało nam również
i smakołyków w postaci konfitur, czekolady, najprzeróżniejszych
wysokiej marki trunków, a także papierosów i kawy. Tak było do
końca wojny. Kiedyś szef baterii zameldował mi, że żołnierze
nie chcą już pobierać przydziałowej wódki, w postaci 100 gra-
mów dziennie, ponieważ mają wspaniałe francuskie koniaki i wina.

Obecnie wspieram 3 kompanię 1-go batalionu 6 pułku
piechoty z 2 Dywizji Piechoty im. gen. Henryka Dąbrowskiego.
Z punktu dowodzenia kompanii do mojego PO mam zaledwie 200 m,
więc siedzę u siebie, pozostawiając ppor. Henia Kucharskiego
z piechotą. Na swoich "śmięciach" jest wygodniej. Mój ordy-
nans donosi mi co parę godzin prawdziwą kawę w termosie lub
herbatę z konfiturami, a więc mam pełny luksus. Ponadto, aby
zasłużyć na pochwałę, robi również doskonałe kanapki, którymi
częstuje wszystkich żołnierzy na PO.

Spanie również mam doskonałe w domku podgórą. Od czasu
do czasu zapraszam tam na przekąskę i umycie się, dowódcę kom-
panii. W piechocie ciepły posiłek przywożą dopiero o zmroku,
więc ciepła ~~strawa~~ strawa w ciągu dnia lepiej poprawia humor.
Nasi żołnierze donoszą również naszym piechutom do okopów cie-
płą kawę. Dowódca kompanii był dosłownie wniebowzięty, gdy
mój ordynans doniósł mu w termosie kawę z koniakiem.

Nasza piechota ceni więc sobie to nasze nie tylko ogniowe współdziałanie.

Niemcy nie mają już doświadczonych w walkach żołnierzy, a wcieleni niedawno do ich szeregów 17-to i 18-to letni chłopcy z Hitlerjugend nie znają jeszcze żołnierskiego rzemiosła. Wykopali na przykład na przeciwko naszego PO duży okop, wyrzucając wykopaną ziemię na przedpiersie okopu nie maskując tego. Na białym tle śniegu ta ciemna smuga ziemi doskonale ich demaskuje i widać dokładnie cały zarys ich okopu. Gdzie się podziało to dobre niegdyś niemieckie maskowanie? Wykorzystuję taki podarunek i dokładnie posyłam im poczęstunek z kilku pocisków co dwie godziny.

Przed wieczorem moi zwiadowcy przynieśli mi piękny podarunek w postaci małego pistoletu maszynowego produkcji włoskiej "Baretta" oraz doskonałą lornetki polowej o ośmiokrotnym powiększeniu. Była to lornetka o symbolu AB-31 i stanowiła wspaniały produkt holenderskich mistrzów z Gandawy. Tak przynajmniej widniało na firmowej tabliczce. Prosto w 1940 roku Niemiec zabrał ją Holendrowi, teraz nasi zbrali Niemcom, a teraz ten piękny produkt gandawskich szlifierzy służy mnie.

24 lutego 1945 roku w południe na Żabin nacierał tym razem 2 batalion 4 pułku piechoty wspólnie z 1 batalionem 6 pułku piechoty. Po silnej nawale ogniowej na dwie miejscowości: Żabin i Żabinek /Klein Sabin/ obydwaj bataliony w tyralierach ruszyły do przodu z zbliżyły się na 200 metrów do tych wsi. I o te 200 metrów rozgorzała zacięta walka trwająca wiele godzin.

Dopiero późnym wieczorem udało się uchwycić południowy skraj wsi. W nocy walki nie ustawały. Z powodu nieprzeniknionej ciemności, prócz rakiet i ognia z karabinów maszynowych, nic nie było widać. Z lewej strony wsi Żabin jest pasmo wzniesień, a jedno z nich, wzgórze 186, góruje nad innymi. Były to tak zwane Smożne Góry. Ponieważ z mojego PO znów widoczność była coraz bardziej zła, postanowiłem z kilkoma zwiadowcami i telefonistami przejść się na to właśnie wysokie wzgórze, z którego prawdopodobnie będę mógł wszystko zobaczyć. Wszystko - to znaczy i tyły Niemców. Na wzgórzu lekko zalesionym takimi małymi krzaczkami zastałem dowódcę plutonu dowodzenia 3 baterii ppor. Akulicza.

Nad naszymi głowami przelatywały coraz częściej serie karabinów maszynowych, które strzelały pociskami smugowymi. To wskazywało, że Niemcy nas widzą i postanowili pozbyć

się intruzów, którzy zagląдают im na tyły. Niemcy zdawali sobie doskonale sprawę, że boczny wgląd w ich całe ugrupowanie skazuje ich na zagładę. Widocznie nasi zwiadowcy kryli się niedobrze, bo za chwilę mieliśmy już na naszych karkach nawałę pocisków ze 119 mm moździerzy. W pewnej chwili rozpętało się piekło. Nie byliśmy zupełnie okopani, a pociski niebezpiecznie zaczęły rozrywać się z charakterystycznym chichotem tuż koło nas. Każdy szukał na gwałt jakiegoś schronienia, jeżeli nie na całą sylwetkę, to chociaż na głowę. Wyglądało to bardzo śmiesznie, gdy wsadaliśmy nasze głowy do różnych wykrotów, ale nam w tym czasie nie było do śmiechu. Te ostrzały trwał jakieś pół godziny i nie wiem jak wyszliśmy z tego cała. Potem niemiecki ogień raptownie się urwał. Widocznie Niemcy sądzili, że po takim ogniu żywa dusza tam się nie utrzyma. Poza zniszczoną radiostacją z 3 baterii i poturbowaną naszą lornetą nożycową nic nikomu się nie stało. W 3 baterii nie martwiono się z powodu straty radiostacji, ponieważ, jak już wspomniałem, były one podłej jakości. Radiotelegrafści nazywali te radiostacje: "Ja ciebie widzę ale nie słyszę".

Po powrocie na nasz PO ordynans ni z tąd ni z owąd odezwał się: "Niech pan porucznik zdejmie płaszcz, to go zaszyję!" Wzruszyłem ramionami, nie wiedząc o co mu chodzi. Pokazał więc mi dziurę w moim płaszczu. W torbie meldunkowej miałem blok meldunkowy, tabele strzelnicze i takie tam potrzebne drobiazgi. Blok meldunkowy tylko trochę ucierpiał, natomiast w tabelach tkwił taki pokąźnych rozmiarów odłamek moździerzy. Dopiero teraz obleciał mnie strach, że przecież w najlepszym wypadku oberwałbym w tylną część ciała. Zwiadowcy moi też mieli dziury w płaszczach.

Wreszcie zdecydowane natarcie naszej piechoty pozwoliło wyprzeć Niemców z Żabina i Żabinka i natarcie ruszyło. Wspierany teraz 4 pułk piechoty skierował natarcie na Wierzchowo ~~W~~Virchow/, które 3 marca wpadło w nasze ręce. Tam też spotkałem dawno nie widzianego dowódcę dywizjonu. Przy okazji zapytałem się go o zdrowie dowódcy baterii kapitana Kargalskiego, którego z pękniętymi wrzodami zabrano do szpitala. Ten odpowiedział mi: "Co się tak stęskniłeś za swoim Kargalskim? Dalej się leczy i nie wiadomo czy szybko powróci. A ty mój drogi dowódź. Jechałem przez twoje stanowiska ogniowe i widziałem, że nie założyli siatek maskujących na działa".

A masz - pomyślałem sobie. Po co się pytasz? Jeszcze oberwałeś za złe maskowanie stanowisk.

Nastąpiła odwilż. Padał deszcz ze śniegiem, a później

sam deszcz. Żołnierskie płaszcze mocno nasiąkły wodą i stały się ciężkie. Dodatkowo dawały się we znaki insekty. Przemoczonego umundurowania zwykły żołnierz nie miał gdzie wysuszyć i trzeba było we własnym zakresie pomyśleć o zorganizowaniu coś w rodzaju suszarni. Ciągły ruch do przodu uniemożliwiał zorganizowanie czegoś takiego. Mnie również dokuczały niemiłosiernie wszy. Próbowałem bardzo często zmieniać bieliznę, lecz to niewiele pomagało. Wszy wchodziły nie tylko na bieliznę, lecz także w mundur, pod podszewkę. Było tego świństwa całe roje i nie można było tego wyplenić. Mnie dodatkowo dokuczał jeszcze gdzieś od żołnierzy nabyty świerz. Wieczorem trudno było wytrzymać. Dokuczały i wszy i świerz.

Pogoda się w końcu poprawiła. W miejsce deszczu przyszedł lekki mróz. Było pochmurnie i wietrznie. W lewo od nas trwał jakiś zacięty bój. Później dowiedziałem się, że tam pod Wielobokami i Swierczyną miała miejsce ostatnia szarża polskiej kawalerii w II wojnie światowej. Szwadron porucznika Staraka szarżował na niemiecką piechotę z dużym powodzeniem. Przy spotkaniu się z nim później nad Odrą, pogratulowałem mu tego wyczynu. Powiedział wówczas on do mnie tak: "A co, nie mówiłem ci abyś rzucił te swoje armaty i przyszedł do nas?".

Tak więc padła ostatecznie ostatnia zapora Wału Pomorskiego. Była to największa polska bitwa w skali armii toczona w warunkach surowej zimy na rejon ufortyfikowany. W tej bitwie nasza polska armia poniosła duże straty. Zabitych zostało 3130 żołnierzy, rannych było 5905-ciu, zaginionych - 1957-miu i chorych - 349. Ogółem straty wynosiły 11,341 żołnierzy co odpowiada stanowi osobowemu pełnej dywizji piechoty. Armia nasza przełamała silnie ufortyfikowaną pozycję, zdobyła wiele sprzętu bojowego, zabito tysiące żołnierzy niemieckich, a ponad 2000 wzięto do niewoli. Prócz różnych wskaźników rozmachu operacyjnego i strategicznego znaczenia bitwy, istnieją też i wskaźniki niewymierne. Tymi niewymiernymi wskaźnikami są liczne indywidualne przykłady bohaterstwa i poświęcenia żołnierza polskiego.

NA DRODZE STAŁ KOŁOBRZEG.

Boje stoczone przez 1 Armię Wojska Polskiego o przełamanie Wału Pomorskiego, z uwagi na ich szczególny charakter, skalę operacyjną, jak też uzyskane w tych działaniach rezultaty - stawiają bitwę o Wał Pomorski w rzędzie największych bitew stoczonych przez Polaków w latach II wojny Światowej.

W wyniku sukcesu Polaków, dowództwo niemieckie straciło główną rubież osłony rejonu koncentracji wojsk Grupy Armii "Wisła" przeznaczonych do przeciwuderzenia. Głęboki wyłom, który wytworzyliśmy w obronie niemieckiej, spowodował skierowanie przez dowództwo Grupy Armii "Wisła" do rejonu włamania, dokonanego przez Polaków, znacznych sił.

Sukces § Armii WP miał bezpośredni wpływ na działania wojsk sowieckich walczących w tym czasie o Piłę i Wałcz. Wyjście Polaków na tyły Niemców groziło okrążeniem zupełnym wojsk niemieckich w tych miastach. W tym stanie rzeczy poddano te miasta.

Pokonaliśmy Wał Pomorski, a w mojej baterii nie ma już "chłopców malowanych". Są strudzeni, niewyspani, a piętno kolegów poległych w walkach na ich rękach, odciskało się na ich twarzach.

Czasami trudno mi było pogodzić się wówczas, że żołnierz, który przecież tak niedawno stał koło mnie i rozmawiał ze mną, naraz osunął się blady na ziemię trafiony kulą strzelca wyborowego. Wiedziałem, że ten pocisk przewidziany był dla mnie, a nie dla niego. Strzelcy wyborowi, przede wszystkim mają zadanie unicestwić oficerów nieprzyjaciela. Widziałem śmierć natychmiastową, gdy żołnierz, tak jak ten koło mnie, nie wydał nawet jęku, lecz widziałem też i ciała ludzkie w niedalekiej odległości ode mnie, poszarpane i okrwawione. Widziałem agonię wśród potwornych cierpień i mąk, gdy biedny żołnierz prosił mnie i niemal błagał: "Panie poruczniku niech mnie pan ratuje!" a ja byłem bezradny, ponieważ nie było już dla niego żadnego ratunku. Takie śmierci przeżywałem jako dziewiętnastolatek najwięcej.

Za Wie_z zehowem spotkałem przypadkowo na szosie kolegę z Krzemieńca - Głuskiego. Był ze mną w Riazaniu, nie w artylerii lecz w kawalerii. Teraz jako podporucznik ułanów siedział na wysokiej chudej klaczy z niemieckim rzędem końskim. Koń był mocno zgrzany i koło pyska miał całe kłęby piany, którą mnie opluwał. "Zsiądź z konia to pogadamy" powiedziałem do niego. On natomiast z nutą dumy powiedział do mnie w ten sposób: "Jak się ma dwadzieścia lat, stopień podporucznika i pięknego konia, t

to się z niego nie schodzi" Chciałem zarozumiałcowi dać porządną nauzkę, lecz zrezygnowałem i tylko odparłem: " Spływaj z tą chudą szwabską chabetą. Prawdziwy oficer ułanów ma modze wędzidłowe i munsztukowe, Ty zaś jak ekonom tylko wędzidłowe. Nie psuj renowy ułanów". Pojechał sobie i już go więcej, do dziś dnia, nie widziałem.

Marcowe roztopy rozmiesiły wszystkie drogi na północno-zachodnim Pomorzu. Cofający się w nieładzie Niemcy starali się nas zatrzymywać, organizując na drogach odwrotu barykady, niszcząc mosty i przepusty i organizując w miejscowościach punkty oporu. Pościg za nieprzyjacielem mimo to trwał nieustannie i w dzień i w nocy. W nocy koło Złocienca w nasze ręce wpadła grupa Niemieckich żołnierzy. Najstarszy z nich feldwebel tłumaczył mi, że spodziewali się spotkać Rosjan w ich futrzanych czapach, a tu ujrzeli żołnierzy w rogatywkach. Odrazu zorientowali się, że to Polacy. Wyznaczyłem kaprała Stopyrę i jeszcze dwóch telefonistów, aby odprowadzili jeńców do punktu zbiorczego jeńców, który zazwyczaj organizowała piechota.

Ze wsi Bobrowo miałem jechać z całą baterią przez Złocieniec do Połczyna Zdroju /Bad Poltzin/. Mój marsz się opóźniał, ponieważ brak było kaprała Stopyry i dwóch żołnierzy konwojujących jeńców. Po dobrej godzinie wreszcie zjawili się. Wszyscy mieli jakieś takie opuszczone głowy, a kapral nie meldował wykonania zadania. Kazałem go zawołać. Obrugałem go dlaczego nie melduje o odprowadzeniu jeńców. Zapytałem następnie co zrobili z jeńcami i gdzie ich zdali. Odpowiedział: "Tak jak było mówione, do piechoty". "No i co dalej, gdzie pokwitowanie?" - odpowiedziałem. Milczał. "Co dalej!" Krzyknąłem już ze złością. "Miał takie na kołnierzu, co mi dom spalił" - odrzekł spuszczaając głowę.

Wiedziałem już co się stało. Niemców zaprowadzili w głąb lasu i tam rozstrzelali, aby wyglądało na to, że uciekali. Zapowiedziałem Stopyrze, że go ukarzę. Na najbliższym postoju kazałem go za karę zamknąć w piwnicy. Całą noc wyśpiewywał piosenki. Rano serce mi zmiękło i nakazałem przyprowadzić go. Jeszcze raz zrobiłem mu porządną reprimendę i kazałem wracać do plutonu. Zapytałem czy się na mnie gniewa. Odpowiedział: takim trochę lwowskim akcentem: "Ta jak to się gniewać, też pan porucznik przecież mój krajan". Roześmiałem się na to i wiedziałem, że będą mi za ten incydent wiercić przysłowiową dziurę w brzuchu, ale jakoś się rozpląnęło w ferworze dalszych walk.

W nocy zerwała mnie z łóżka strzelanina. Okazało się, że

wartownik stojący na warcie usłyszał jakieś podejrzane szmery i kroki, więc gdy po słowach: "Stój ! Kto idzie?" nikt nie odpowiadał - wystrzelił kilka razy. Myśleliśmy, że to może Niemcy przedzierający się z okrażenia do swoich. Okazało się później, że była to luzem chodząca krowa, która nie usłuchała wartownika, że ma się zatrzymać i szła dalej. Takich bezpańskich krów mnóstwo wówczas chodziło po polach i osiedlach. Żołnierze nasi robili czasem kawały, zakładając krowom na głowy hitlerowskie czapki oraz zawieszając na szyji niemieckie odznaczenia.

Nazajutrz 5 marca 4 pułk piechoty opanował Złocieniec /Falkenburg/. Za Bolesława Krzywoustego Złocieniec był miastem granicznym i w XIV wieku podporządkowany był archidiecezji gnieźnieńskiej. W 1431 roku władający Złocieniem oddali swój gród w opiekę Władysławowi Jagielle i była tu polska załoga. W 1657 roku 5 kwietnia Złocieniec widział wojska hetmana Czarnieckiego, a 5 kwietnia 1945 roku Złocieniec oglądał nas.

Dojeżdżamy do Połczyna Zdroju. Tu doszły nas wieści o przebiegu Konferencji Jałtańskiej. Politrucy milczeli, lecz żołnierska poczta zaraz doniosła, że w Jałcie sprzedano nas Sowiетom, że moje i moich żołnierzy rodzinne strony nie będą już w granicach Polski. Oburzenie wśród żołnierzy było powszechne, lecz każdy wiedział, że przecież to musi się zmienić. Jest przecież nasz rząd w Londynie i nie pozwoli na grabież naszych ziem. Nie wyobrażałem sobie tego, że mógłbym już nigdy nie powrócić do Białokrynicy.

Trudno opisać co się dosłownie działo na wszystkich drogach wiodących w kierunku morza i Kołobrzegu. Rozbite i wykrwawione oddziały niemieckie lasami przedierały się w kierunku morza w nadziei, że tam właśnie znajdą bezpieczne schronienie przed nacierającymi naszymi wojskami. Wszystkie drogi rozbitków prowadziły do Kołobrzegu, miasta-twierdzy i jedyne go wówczas portu, w którym jak sądzili niepoprawni optymiści, czekały na nich barki i statki ewakuacyjne.

Na drogach odwrotu działy się dantejskie sceny. Tysiące ludzi, wozów, stada bydła, wszystko przemieszane z uciekającymi oddziałami hitlerowców, pędziło dniem i nocą do rzekomo nie zdobytej twierdzy. " Nikt i nigdy nie zdobył i nie zdobędzie Kolbergu" - łągało ustami Goebbelsa niemieckie radio.

W Połczynie Zdroju w domu tamtejszego aptekarza zdobyłem obszerny folder o Kołobrzegu. Siedząc w samochodzie wertowałem jego kartki. Właściwie, to o Kołobrzegu słyszałem

jeszcze przed wojną, w gimnazjum na lekcji historii, ale nie po za tym. Folder był z 1938 roku, a więc wiadomości w nim zawarte były jak najbardziej aktualne. Niemcy pisali w folderze, że pierwsza wzmianka o Kołobrzegu pojawiła się około 1000 roku, że założono tam biskupstwo podległe arcybiskupowi w Gnieźnie. Ponadto, że podobne biskupstwa założono również we Wrocławiu i Kamieniu Pomorskim. Oczywiście w owym folderze nie podano tego, że wszystkie te biskupstwa leżały w państwie polskim za czasów Bolesława Chrobrego. Schowałem ten cenny opis Kołobrzegu wraz z planem miasta. To nie, że był pisany po szwabsku, ale to zawsze opis.

Na drogach napotykaliliśmy całe kolumny wozów ludności cywilnej, której nakazano ewakuowanie się przed zbliżającymi się Polakami i Rosjanami. Na wozach wieźli ze sobą cały dobytek a do wozów doczepione były krowy. Nędznie to wszystko wyglądało. W czasie mrozów i zamieci wiele zwłazszcza dzieci i starców zmarzło na śmierć. Żał mi była zwłazszcza dzieci, ale przecież w 1939 roku tak samo uciekali nasi, Polacy. W przydrożnych rowach można było spotkać świeżo usypane mogiły tych nieszczęśników i rozrzucony dobytek z wozów. Barykadowali oni drogę przejazdu wojskom niemieckim, to też brutalnie spychali swoich ziomków razem z wozami do rowu.

W tym dniu nasza armia otrzymała nowe zadanie. Zgodnie z nim Armia miała osiągnąć rubież: Karlino, zachód Kołobrzeg i przejść do obrony frontem na północny-wschód. Siłami naszej polskiej Armii należało zlikwidować okrążone koło Świdwina /Schivelbein/ resztki 10 Korpusu SS i do 6 marca ześrodkować się w rejonie Sławoborze. Zadanie było trudne, ponieważ wynikało z niego, że mamy działać na styku dwóch frontów: 1-go Białoruskiego i II Białoruskiego.

Do wykonania powyższego zadania naszą 3 Brygadę Haubic przydzielono na wsparcie 6 Dywizji Piechoty, która 7 marca miała osiągnąć rubież: zachodni brzeg rzeki Parsęta i zachodnie przedmieścia Kołobrzegu - frontem na wschód. Miało to na celu uniemożliwienie odejścia oddziałom niemieckim na zachód.

Jakie siły znajdowały się w Kołobrzegu tego wówczas nikt z nas nie wiedział.

Tymczasem pościg trwał nadal. Tuż za Połczynem moi żołnierze odkryli niemiecki, wojskowy samochód ciężarowy, zamaskowany pod zwałami siana i słomy. W kabinie samochodu leżał

niemiecki tornister wojskowy i hełm, a w skrzyni ładunkowej jakieś skrzynie. Z boku samochodu stała prawie, że nowa niemiecka kuchnia polowa. Najpierw całość oglądnęliśmy z daleka, obawiając się, że Niemcy mogli pozostawić nam jakąś niespodziankę z materiałami "rozrywkowymi", jak żartobliwie żołnierze nazywali materiały wybuchowe. Okazało się, że jest to samochód z prowiantem i to nie dla Mannschafu/szeregowych/ lecz samochód niemieckiego oficerskiego kasyna i to z wysokiego szczebla. Najwięcej cieszył się ze zdobyczy szef baterii, a szczególnie z kuchni polowej. Nasza, dotychczasowa kuchnia polowa, sowieckiej produkcji, była jedнокotłowa i nie była dla nas dobra. Jeżeli szef chciał ugotować np. obiad z dwóch dań, wówczas był problem w czym to gotować. Przekazaliśmy więc ją plutonowi dowodzenia dywizjonu, a my natomiast wzięliśmy niemiecką. Niemiecka kuchnia była czterokotłowa z kotłami podgrzewanymi gorącym olejem. Można na niej było szybko ugotować np. obiad, a ugotowany posiłek utrzymywał przez dłuższy okres czasu wysoką temperaturę. Na samochodzie niemieckim w skrzyniach, prócz zwykłych produktów, jak: mąka, mięso, wędliny itłuszcz były też i rarytasy: prawdziwa kawa, herbata cejlońska, skrzynka wysokiej marki koniaków oraz pudeł z cygarami i czekoladami. Kazałem szefowi baterii zabrać ten niemiecki samochód, przeładować na nasz produkty, a z braku u nas kierowcy, podarować go kwatermistrzowi pułku. Odtąd zagwarantowaliśmy sobie u niego dogodną wdzięczność. Odtąd w kabinie samochodu miałem stale papierosy Juno oraz kilka tabliczek czekolady. Koniaku wówczas nie lubiłem, ponieważ uważałem że nieco on trąci denaturatem. Właściwie to i papierosów wówczas hałogowo nie paliłem, tak tylko dla fasonu. Skoro inni palili, to dlaczego nie ja.

Jechaliśmy całą kolumną baterii szosą przez niewielki las, a ja studiowałem właśnie plik map, gdy kierowca momentalnie zahamował z krzykiem "Niemcy !" Przy tym hamowaniu poleciałem głową na szybę samochodu i na szczęście nic mi się nie stało. Popatrzyłem na szosę przed siebie. Rzeczywiście, w odległości 200 m szła przed nami grupa Niemców z bronią gotową do strzału. Gdy tylko nas dostrzegli, natychmiast rzucili broń na ziemię, a sami założyli ręce na kark na znak poddania się. Ciągłe coś wrzeszczeli, lecz z tej odległości nie można było zrozumieć o co im chodzi. Zatrzymałem całą kolumnę baterii, a pluton dowodzenia zajął stanowiska w rowie po obu stronach szosy w gotowości do otwarcia ognia na moją komendę. Niemcy gdy tylko podeszli do nas bliżej krzyczeli po francusku : "Vive la Pologne!", "Vive la France !".

Moi żołnierze zaczęli tych francuskich Niemców rozbrajać. Wszyscy oni byli raczej niskiego wzrostu ze złowrogimi błyskawicami na kołnierzach mundurów i czarnymi opaskami na rękawach z gotyckimi napisami "Charl le Magne" /Karol Wielki/.

Jeden przez drugiego usiłowali mi coś tłumaczyć po francusku, lecz ja francuskiego zupełnie nie znałem. Rejwach przy tym zrobił się taki jak na żydowskim jarmarku, to też musiałem krzyknąć na cały głos "Cisza!". Kazałem niezwłocznie zawołać kanoniera Marchlika z 3-go działonu, który tuż przed wojną powrócił razem z rodziną z Francji. W międzyczasie przypomniałem sobie, że jeszcze przed Wałem Pomorskim, w jednym z komunikatów rozpoznawczych była wzmianka o faszystowskiej, francuskiej dywizji SS. Niebawem zjawił się Marchlik i zaczął tłumaczyć to co mówili. Twierdzili, że pochodzą z Alzacji i zostali przymusowo wzięci przez Niemców do Wojska i do SS, a oni przecież nie chcą wojny, chcą powrócić do swoich domów i że są przyjaciółmi Polaków. Ten twór powstał z francuskiego Legionu oraz francuskiej 7 Brygady SS. Nominalnym ich dowódcą był Francuz, natomiast faktycznym Niemiec.

Zakazałem moim żołnierzom fraternizowania się z tymi faszystami francuskimi z 33 Dywizji Grenadierów Pancernych SS "Charle le Magne". Nakazałem zaprowadzić ich do najbliższego punktu zbiórki jeńców. Łapaliśmy ich dalej na trasie marszu, mimo, że aż nieprzyzwoicie przymilali się do nas sądząc, że nie wiemy o ich ss-wskim pochodzeniu.

Większość tej faszystowskiej dywizji, po jej rozbiciu przez naszą Armię, nie usłuchała swoich mocodawców i wybrała drogę na zachód, a więc do aliantów zachodnich. Tam zamierzali poddać się. Nie wiedzieli jednak o tym, że sądy francuskie zgodnie z rozkazem generała de Gaulla skazywały ich wszystkich na karę śmierci za zbrodnie jakich dopuścili się jeszcze we Francji.

Im bliżej Kołobrzegu, tym więcej wpadało w nasze ręce jeńców. Pewnego razu przyprowadzono do mnie dwóch wyrostków w mundurach "Hitler Jugend". Mieli ze sobą rowery, a do ram rowerów przymocowane pazcerfausty. Niemcy sięgali już w wyniku totalnej mobilizacji nawet do nieletnich wyrostków, tworząc z nich rowerowe grupy niszczycieli czołgów. Widocznie zauważyli w moim geście jakiś nieprzychylny dla nich ruch, ponieważ obydwaj ci "żołnierze" uderzyli w głośny płacz. Widocznie myśleli po moim geście ręką, że żołnierze mają ich z mojego rozkazu rozstrzelać.

Nakazałem wypuścić tych dwóch wyrostków wolno. Dopiero później dowiedziałem się, że żołnierze moi przed ich puszczeniem wolno, po ojcowsku dali im na tyłek 25 pasów. To tak dla oduczenia wojowania i grabienia cudzej własności.

O ile dla nas artylerzystów ten szybki pościg za nieprzyjacielem nie był tak bardzo uciążliwy, ponieważ jechaliśmy samochodami, o tyle dla naszej piechoty był niezmiernie trudny. Nasi piechurzy byli bardzo mocno zmęczeni. Aby ulżyć zmęczonym nogom dosiadali rowerów i wkrótce całe kompanie upodobniły się do przedwojennych kompanii cyklistów. Ponadto zaprzęgano konie zdobywcze do wszystkiego co ma koła i tym jechano naprzód. Co to były za wehikuły ! Karawany, bryczki, karety.

5 marca wspierana przez naszą brygadę 6 Dywizja Piechoty osiągnęła rubież CIEMNIK - ROŻANIN i zmierzała dalej na REDŁO i SŁAWĘ .

Droga do upragnionego morza była niezwykle ciężka. Nie tylko pogoda dawała się nam we znaki, lecz nieprzyjaciel też stawiał na kolejnych, dogodnych rubieżach swojego odwrotu, silny opór. Na szosach ustawione były barykady, zawały leśne i wszelkiego rodzaju przeszkody. Wszystko to oczywiście było zaminowane i często bronione ogniem kilku tylko żołnierzy niemieckich. Na szosach były często ustawione grube betonowe słupy o wysokości 5 metrów, a pomiędzy nimi grube bale drewna splecione drutem kolczastym i zaminowane. Niebezpieczne było podchodzić do takiej barykady. Przecież w szkole podchorążych uczono mnie, że przeszkoda nie broniona - nie stanowi przeszkody. Objazdy tych barykad zajmowały bardzo dużo czasu i wysiłku.

Noc spędziliśmy w Redle. Podążając bliżej do Kołobrzegu napotykaliliśmy znów liczne kolumny niemieckich uciekinierów na wozach. Najbardziej żał mi było małych dzieci. Opatulone przez matki, nie wiedząc co to za wojsko ich mija, machały do nas rączkami. A ile tych dzieci i starców nie dojechało do celu swojej podróży?

Ten niemal bez końca płynący potok ludzi i zwierząt a także rozbitego niemieckiego wojska zmierzał do Kołobrzegu, zapełniał jego place i ulice. Wkrótce około 80.000 uciekinierów cywilnych znalazło się w obrębie miasta.

Los Kołobrzegu już wówczas był przesądzony, a położenie jego mieszkańców bardzo tragiczne. Komendant twierdzy kołobrzesckiej generał Hermann podobno trzeźwo oceniał sytuację

i bezcelowość jakiejkolwiek obrony miasta, co też zadokumentował podaniem się do dymisji. Hitler przyjął to za akt tchórzostwa i nakazał generała rozstrzelać. Nowym komendantem kołobrzesckiej twierdzy został mianowany pułkownik Fullriede, który swoje urzędowanie rozpoczął od rozstrzelania kilkudziesięciu żołnierzy i cywili za rzekome sianie defetystycznych wiadomości. Kołobrzeg więc miał być broniony, lecz żywności dla broniącej się załogi miasta oraz ludności cywilnej prawie że nie było.

Dostawy jej morzem były grubo niewystarczające. W tej tragicznej pod względem aprowizacji sytuacji, komendant obrony zdecydował, aby wszystką napływową ludność wysłać marszem pieszym w kierunku zachodnim, gdy jeszcze nie zamknął się pierścień okrążenia. Sądzone, że w ten sposób odciążą się - ilość gęb do jedzenia. Do zachodnich przedmieść miasta całą kolumnę ludności cywilnej eskortował oddział SS, aby nikomu nie przyszło na myśl pozostania w mieście. Kolumna ludności wyszła już w całości z miasta i minęła odległe rogatki Kołobrzegu, gdy przed nią, od strony zachodniej słychać było liczne strzały armatnie oraz chrzęst gąsienic czołgów. Tymczasem 45 Brygada Pancerna z sowieckiej 1 Armii Pancerniej, w godzinach rannych 4 marca 1945 r. opanowała ROZCIĘCINO i ZIELENIEWO, położone na zachód od Kołobrzegu. Gdy ewakuująca się ludność niemiecka ujrzała sowieckie czołgi, w popłochu opuściła swoje wozy i panicznie pieszko na przełaj przez bagniste i podmokłe tereny zaczęła uciekać do Kołobrzegu. Obrona miasta w obawie, by na karkach ludności cywilnej nie dostały się do miasta wojska sowieckie, rozpoczęła gwałtowną strzelaninę. Ta obustronna strzelanina, niemiecka i sowiecka, stała się masowym grobem ludności cywilnej. Z jednej strony strzelanina szła od Sowietów, z drugiej zaś strony strzelała obrona miasta. Na mokradłach wokół Kołobrzegu od strony zachodniej leżało mnóstwo zwłok ludności niemieckiej. Były to dosłownie tysiące, tysiące zwłok przeważnie kobiet, dzieci i starców. Później zachodni Niemcy odwetowcy twierdzili, że to Wojsko Polskie rozstrzeliwało niewinną ludność niemiecką.

Chociaż śnieg już stajał, lecz słońce nadal kryło się za grubą zasłoną chmur. W dodatku zaczął siąpić taki nieprzyjemny deszczyk, bardziej jesienny niż wiosenny.

Z danych rozpoznania można było wysnuć jedyny wniosek, że Kołobrzeg będzie stanowił dla nas nielada orzech do zgryzienia.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz bardziej do miast

Pochmurny, mglisty dzień chylił się ku końcowi. Wspierany 16 pułk piechoty z 6 Dywizji Piechoty zgrupował się we wsi GOSCINIA i szykował się dalej do Kołobrzegu. Sztab Dywizji naciskał pułk by jak najszybciej zająć pozycję od zachodu miasta, w celu uniemożliwienia wywozu z miasta drogą morską sporych ilości uzbrojenia, sprzętu i innych dóbr materialnych. Zwiadowcy pułku nawiązali już kontakt z czołgistami 45 Brygady Pancerniej. Od czołgistów dowiedziano się, że Kołobrzeg broni się, a oni już od 4 marca próbują atakować zachodnie dzielnice miasta. Z uwagi na dużą ilość niemieckich niszczycieli czołgów, czekali na podejście piechoty. O sytuacji w mieście wiedzieli niewiele. Z obserwacji wynikało, że panuje w mieście chaos i rozprężenie. Jakies bliżej nie rozpoznane, zorganizowane pododdziały broniły krańców miasta, prawdopodobnie po to, by osłonić ewakuację morzem. Port był czynny, a na redzie stały niemieckie okręty wojenne oraz duże transportowce. Być może hitlerowcy uciekali także na zachód drogą lądową przez nieszczelną obronę sowieckich czołgistów.

Dowództwo sowieckiej brygady pancerniej było narazie pod wrażeniem znacznych strat w czołgach i żywej sile. Właśnie przed zmierzchem czołgiści próbowali jeszcze jednego natarcia prosto na północ, wzdłuż dzisiejszej ulicy Trzebiatowskiej. Stracili pięć czołgów trafionych panzerfaustami. Większość udało się wyciągnąć spod ognia, ale ludzie zginęli. Od wschodu walczy o miasto 272 Dywizja Piechoty sowieckiej, mocno wykruszona, lecz bez większych rezultatów.

Tak więc sowieccy czołgiści o sytuacji w mieście, a szczególnie o siłach w nim znajdujących się wiedzieli prawie nic, i jeszcze mniej mieli do przekazania nam na linii obrony. Zgodzili się jedynie na przydzielenie batalionom 16 pułku piechoty przewodników, którzy mieli wskazać w ciemnościach przebieg pierwszej linii obrony. Było to z gruntu złe, a właściwie najgorsze przekazanie danych o nieprzyjacielu jednostce, która ich luzowała. Pod tym względem bałagan w sowieckim wojsku panował ogromny.

W miarę zbliżania się do miasta droga stawała się coraz bardziej grząska i bagnista. Zrezygnowani żołnierze naszej piechoty wchodzili do rówów pełnych wody, usiłując budować prowizoryczne stanowiska strzeleckie. Z trudem wyciągali z bagna obłożone buciory. Gdy tylko piechur ruszył łopatką ziemię, natychmiast do wykopanego dołka podchodziła woda.

Gdzie jest nieprzyjaciel? co kryje ciemność na przed-

polu - nikt nie wiedział. Niespodziewanie z lewej strony zaterkotał niemiecki cekaem. Już po trzasku wiedziałem, że to szwabski. Wnet otworzyły ogień następne cekaemy, już ze wszystkich stron. Na oszołomionych niezwykłością sytuacji żołnierzy, wyszedł w dodatku silny kontratak niemiecki z lewego skrzydła. Sądząc po sile ognia, nacierała conajmniej niemiecka kompania. Tego było już za wiele. Ostrzeliwując się przed niewidocznym w ciemnościach nieprzyjacielem, którego pociski zaczęły już padać w zbyt niebezpiecznym pobliżu, piechota nasza, a z nią i ja, wycofaliśmy się drogą, która przyszlismy. Zatrzymaliśmy się dopiero przed WIĘCEMINEM, gdzie w ciemnościach powstało wiele zamieszania. Tu broniła się w drugim rzucie batalionu 7 kompania, jako tako okopana w grząskim gruncie.

Kontratak niemiecki w końcu odparto ze stratą czterech rannych naszych żołnierzy. Nie pozostawało mi nic innego tu do roboty i postanowiłem zająć się swoimi sprawami, tym bardziej, że prowadzenie ognia z haubic w takich nieprzenikniętych ciemnościach, bez jakiejkolwiek obserwacji miało się z celem. Wraz z kilkoma zwiadowcami i telefonistami wróciłem do ZIELENIEWA.

Pierwszy batalion 16 pułku piechoty, który jakimś dziwnym zmysłem potrafił w tych ciemnościach odnaleźć właściwą drogę, dotarł do GRZYBOWA. Nie zastał tu już sowieckich czołgistów, którzy nie czekając na zdanie swojego odcinka naszym piechurów, poprostu porzucili swoje stanowiska i wycofali się. Wszyscy to oceniali, łącznie z sowieckimi oficerami w naszym wojsku, jako zwykłe draństwo. Do Bałtyku był jeszcze jednak pełny kilometr. Zajęcie tego odcinka w ciemności było niewykonalne i postanowiono zaczekać do świtu.

Zameldowałem telefonicznie dowódcy dywizjonu co się aktualnie dzieje w naszej piechocie i na przedpolu i zająłem się urządzaniem mojego punktu obserwacyjnego. Nasza piechota była pełna optymizmu i przewidywała, że jutro oczyści całkowicie miasto

Kołobrzeg, miasto portowe, liczyło przed wojną 35 tys. mieszkańców. Ze zdobytego wcześniej folderu skwapliwie skorzystałem z planu miasta w skali 1: 25 000. Coprawda była to mapa cywilna bez siatki kilometrowej, nie mniej jednak była ważna i musiałem ją chrnić przed przełożonymi.

A więc stałem przed prastarym słowiańskim grodem. Odkrycia archeologiczne pochodziły z drugiej połowy X wieku /wały i mury o konstrukcji hakowej typowej dla Słowian/ tj. z czasów gdy Mieszko I jednoczył nasz kraj. Papież Sylwester II wy-

znaczył Kołobrzeg na biskupstwo podległe arcybiskupstwu w Gnieźnie. Kołobrzeg w tych czasach nie musiał być małą miejsciną, ponieważ ówczesne przepisy kościelne mówiły, że na stolicę biskupią nadają się tylko miasta znaczne.

Pierwsze udokumentowane ślady walk o Kołobrzeg datują się z czasów Bolesława Krzywoustego, który od tego miasta rozpoczął przyłączanie Pomorza do Polski. W następnych wiekach toczyły się o Kołobrzeg walki w czasie wojny 30-to letniej w XVII wieku, 7-mio letniej w XVIII wieku oraz w 1807 roku. W 1807 roku Kołobrzeg był oblegany przez wojska francuskie. W składzie wojsk oblegających był też nasz polski 1 pułk piechoty pułkownika Antoniego Sułkowskiego. Obroną Kołobrzegu dowodził wówczas major graf von Gneisenau, szef sztabu Blüchera. Właśnie do tych walk nawiązywała obecnie hitlerowska propaganda. Nakręcono najdroższy w III Rzeszy film pod tytułem "Kolberg". Jego premiera odbyła się w dniu 30 stycznia 1945 roku, czyli że jeden miesiąc przed rozpoczęciem naszej 1 Armii walk o Kołobrzeg. W filmie tym wzięła udział cała plejada niemieckich aktorów oraz prawie 200.000 statystów. Pod Berlinem wzniesiono dekoracje Kołobrzegu. Wszystko to zmierzało do udowodnienia przed światem, że Kołobrzegu jeszcze nikt nie zdobył i nie zdobędzie.

Gdy to przeczytałem, pomyślałem sobie: "Ano zobaczymy". W latach przedwojennych kapał Kołobrzeg bogactwem zwożonym z całego świata. Później w czasie wojny była to grabież krajów podbitych. Gdy zachodni Alianci rozpoczęli swoje słynne dywanowe naloty na przemysłowe ośrodki III Rzeszy, wówczas ludność z tych zrujnowanych miast napływała do Kołobrzegu, jako miasta na dalekich tyłach. Siedziała tu prawie cała ludność Zagłębia Ruhry, Hamburga i Bremy.

Dla dodania sobie animuszu, hitlerowcy malowali na ścianach bloków mieszkalnych ogromnymi literami różne napisy mające na celu podbudowanie ich ducha bojowego, jak np.: "Kolberg bleibt deutsch"/Kołobrzeg zostanie niemiecki/.

Żołnierze moi wykopali już punkt obserwacyjny, częściowo przykrywając go przed deszczami, ja zaś zająłem do swojej dyspozycji mały domek dróżnika, w którym ordynans natychmiast zaczął gospodarować.

Po zorganizowaniu obserwacji na PO poszedłem do wsi Zieleniewo na taki mały rekonesans. Cała prawie wieś zajęta była przez oddziały 6 DP. Koło jednego z domów zauważyłem małe zbiegowisko żołnierzy. Zagadnałem jednego z nich, co to się stało? "To ten do naszych strzelał!" odpowiedział, wskazując na

leżącego we krwi żołnierza niemieckiego. Szwab był ogromny, z rudym zarostem, a całym nim wstrząsały przedśmiertne konwulsje. Rękami jak szponami darł ziemię i kopał nogami. Dookoła stała duża grupa naszych żołnierzy i przyglądała się temu w skupieniu. Okazało się, że Niemiec ten schował się przed naszymi w stodole i obecnie, z ukrycia, strzelał do naszych żołnierzy z karabinu strzelca wyborowego. Kiedy nasi go wykryli, strzelił sobie w łeb.

Niedaleko tego zbiegowiska dojrzałem ogniomistrza z 4-tej baterii naszego pułku. Miał całą stopę okrwawioną i mocno kulał. Jakiś odłamek trafił go niedawno. Pomogłem mu dokuścić do punktu opatrunkowego, którego flaga z czerwonym krzyżem powiewała w pobliskim domu.

Był to punkt opatrunkowy 16 pułku piechoty. W największej izbie panował półmrok, a przy świetle karbidówek dwóch lekarzy w białych kitlach, mocno pochłapanych ludzką krwią, dokonywały natychmiastowych, niezbędnych operacji i opatrunków, które w tych prymitywnych warunkach były możliwe do przeprowadzenia. Jęki nieszczęśliwych wystraszyły mnie na dobre. Było tu pełno zaduchu z ropiejących ran. Wszędzie ciała wyciągnięte na drutach i przygotowane do ewakuacji do szpitali polowych. Obok kubły z odciętymi ludzkimi kończynami. Tężapach spoconych ciał, krwi kału i jodoformu pozostanie mi do końca życia. Było też i kilku żołnierzy konających, którzy z Bogiem na ustach pięknie rozstawali się z życiem. Zdałem czempredzej ogniomistrza "łapiduchom" i natychmiast odszedłem z tego okropnego miejsca. Długo jeszcze widziałem w pamięci obraz tego punktu opatrunkowego w pobliżu pierwszej linii.

Powróciłem na mój PO i zgodnie z rozkazem dowódcy dywizjonu rozpocząłem wstrzeliwanie tak zwanych celów pomocniczych. Dane z wstrzelania tych celów służyły do udokładnienia nastaw do strzelania do innych celów o warunki meteorologiczne, balistyczne i techniczne. Wybuchy moich pocisków były jakieś takie dziwne. Właściwie były to chlupnięcia. Okazało się, że wpładały one w podkołobrzeskie mokradła i wznosiły całe fontanny błocka. Właściwie, to jeszcze w życiu moim, ani wcześniej, ani później takiego okropnego błocka nigdzie nie widziałem jak tu pod Kołobrzegiem. Wszyscy byliśmy utyłkani tym błockiem, a gdy wyszło ono na naszych płaszczach, wówczas tworzyło taką skorupę. Oglądany później w latach 70-tych film o walkach pod Kołobrzegiem pt. "Jarzębina czerwona" wiernie oddaje atmosferę tamtych walk oraz to okropne błocko.

W marcu 1945 roku Kołobrzeg odgrywał w hitlerowskich planach znaczną rolę. Stanowił ważne ogniwo w łańcuchu baz morskich, którego utrata oznaczałaby przerwanie komunikacji morskiej z Kurlandią. Dlatego Niemcy zważywszy na ważność miasta ogłosili Kołobrzeg twierdzą, co oznaczało, że będzie broniony do ostatniego żołnierza. Właściwe prace nad umocnieniem Kołobrzegu do obrony, rozpoczęto w jesieni 1944 roku. Od północy Kołobrzeg osłonięty jest przez morze, natomiast od strony lądu okala go zabagniona dolina o szerokości 1 kilometra z głębokimi rowami melioracyjnymi. Owa dolina w okresie roztopów była prawie niedostępna. Miasto przecinają od południa na północ dwie rzeki: Więceminka i Parsęta, obie głębokie, a na wiosnę wezbrane. Z kierunku południowo-zachodniego, tam właśnie gdzie byłem, miasto okalały kompleksy koszar wojskowych /tzw. czerwonych i białych/, dalej od zachodu podmokłe łąki, nie mniej bagnisty las, dalej wały strzelnicy wojskowej, cmentarz, bagnisty park, a w nim nad samym morzem fort "Kleist Schanze". Umocnienia inżynieryjne miasta rozbudowano w postaci trzech pozycji obronnych, opierających się skrzydłami o morze. Pierwsza biegła skrajami przedmieść i składała się z obudowanych okopów. Za transzejami znajdował się głęboki rów przeciwpancerny, o szerokości 6 metrów, częściowo zalany wodą. Drugą linię biegnącą kwartałami miasta stanowiły liczne barykady i zawały. Trzecia, wewnętrzna, biegnąca od kąpieliska do Parsęty, znajdowała się poza naszą strefą obserwacji.

Nieprzyjaciel, jak wówczas liczone, posiadał w Kołobrzegu nieliczną załogę, około wzmocnionego batalionu wojska, stąd do likwidacji okrążonego nieprzyjaciela i zlikwidowania miasta jako portu, dowódca 1 Armii WP wyznaczył tylko dwie dywizje piechoty / 3 i 6 DP/. Pierwsze walki wykazały jednak, że nieprzyjaciel jest bardzo mocny i wówczas skierowano do miasta dodatkowo jeszcze jedną dywizję piechoty /4 DP/ oraz całą niemal artylerię armii. Jak później się okazało, nieprzyjaciel posiadał w Kołobrzegu ponad 12.000 dobrze uzbrojonych żołnierzy. Ponadto przez cały okres walk, Niemców wspierały niemieckie okręty wojenne, wyposażone w działa o kalibrze 280 mm włącznie, w tym dwa ciężkie krążowniki, 3 niszczyciele oraz cała plejada innych mniejszych okrętów /trałowców, dozorowców, barek desantowych i ścigaczy.

Wszystkie te środki walki nieustannie ostrzeliwały każdy nasz ruch.

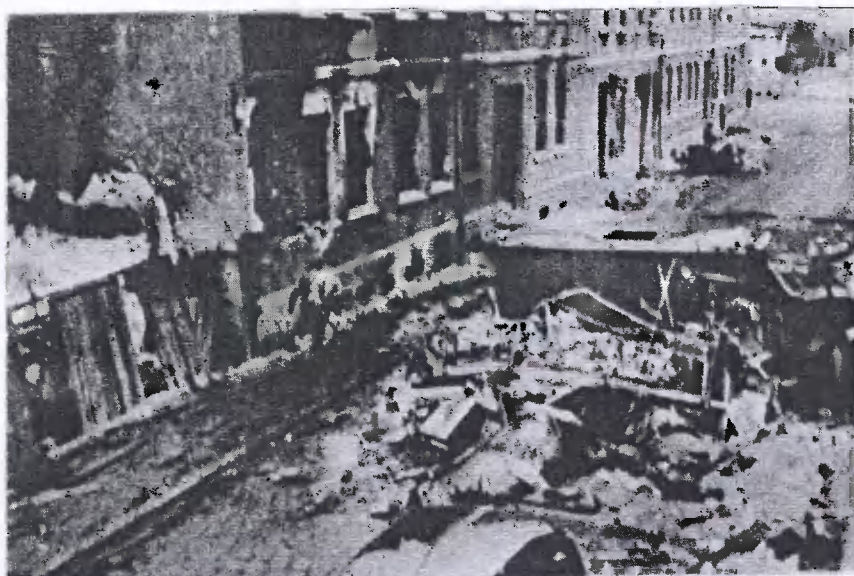
Wieczorem nieprzyjaciel był taki jakiś niespokojny

i nie wiadomo było co zamierza. Wyszedłem z okopu PO. Na niebie były fajerwerki kolorowych rakiet sygnałowych oraz huczały wybuchy niemieckich moździerzów. To tu, to tam, odzywały się nasze cekaemy "Maksimy" oraz odpowiadające im niemieckie "Spandau-y". Szczególnie piękne były serie z wielkokalibrowych karabinów naszych nowych strzelających amunicją smugową. Wydawało się, że lecą kolorowe paciorki i nagle giną gdzieś w chmurach. Okazało się, że w rejonie tzw. czerwonych koszar nasz 14 pp zaczął mocno nadeptywać Niemców na nogi i stąd to nerwowe ostrzeliwanie się.

Długo jeszcze w nocy grzmiały te wybuchy, a w rejonie tzw. "białych" koszar szalał ogromny pożar. Było ciemno i łuna wysoko wyrzucała ogromne języki ognia. Wyglądało to strasznie.

Wrażenie w tym dniu było moc, to też dałem, jak zwykle, kilka wskazówek co do dyżurów na PO, a sam udałem się na spoczynek. Przecież nasz dowódca pułku wielokrotnie pouczał, że dowódca, aby był wydajny w dzień w walce musi być wyspany i wypoczęty. Wziąłem sobie do serca owe przykazania dowódcy, opatuliłem się kocami i płaszczem i sądziłem że sen łada chwila nadjdzie. Myślałem o naszych piechurach, którzy w tym czasie, gdy ja grzeję się pod kocami, oni leżą w błocku przemarznięci, bez możliwości ogrzania się i umycia. Współczułem ich losowi i jednocześnie byłem zadowolony, że nie zostałem oficerem piechoty. Przecież ich dowódcy plutonów i kompanii, podobnie jak i ich zwykli żołnierze siedzą w tym błocie. W dniu 9 marca, po krótkiej nawale ogniowej nasza piechota ruszyła, lecz bez powodzenia. Wyniki natarcia były nikłe, a to głównie z powodu dużego przemęczenia żołnierzy. Od szeregu dni pułk pozostawał bez odpoczynku i snu, a to mocno wyczerpywało siły żołnierzy. Piechurzy dosłownie padali z nóg. Walcząc i maszerując nasza piechota poniosła wysokie straty. W 16 pułku piechoty wynosiły one 215 poległych i 555 rannych. W sumie ubyło z pułku 770 żołnierzy. To znaczny ubytek. Niektóre pododdziały posiadały już tylko 50% etatowego stanu, a nie rzadko plutonami dowodzili, nieprzygotowani do tej funkcji, podoficerowie, pomocnicy dowódców plutonów.

Nasze pułki nie posiadały wogóle żadnego doświadczenia w prowadzeniu walk w dużym mieście i stąd ponosiły duże i krwawe ofiary. Patrzyłem na to swoimi oczami i bolałem bardzo. Tyle już naszej polskiej krwi wsiąknęło w tę pomorską ziemię.

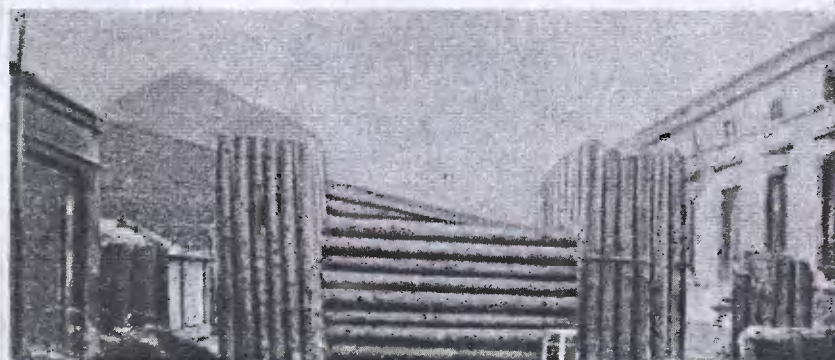


Jedna z barykad na ulicach Kolobrzegu w rejonie działania 3 batalionu 18 pp

Kolobrzeg, marzec 1945. Tędy nacierał 1 batalion 18 pp



Kolobrzeg, marzec 1945. Barykady przeciwczołgowe na ulicach miasta





W taktyce walki w mieście mówi się, że powinno wyznaczać się grupy szturmowe, wzmocnione różnymi specjalnymi pododdziałami. Wkrótce w tej sprawie nadszedł do pułku piechoty ze sztabu dywizji rozkaz. Nakazywano sformowanie w pułku dwóch grup szturmowych, każda w składzie: batalion piechoty, dwa plutony saperów, bateria 45 mm działa ppanc., bateria 120 mm moździerzy oraz pluton dowodzenia z artylerii wsparcia. W naszym wspieranym 16 pułku piechoty rozpoczęto formowanie tych grup. Znow miałem szczęście wojenne i trafiłem właśnie do takiej grupy szturmowej jako dowódca baterii artylerii wsparcia. 16 pułk piechoty miał przejść na odcinek natarcia bezpośrednio przylegający do morza. Ucieszyłem się z tego bardzo, ponieważ nadarzała się okazja po raz pierwszy zobaczenia morza. Zajmowanie odcinka przez 16 pp nie odbyło się bez kanonady niemieckiej artylerii okrętowej. Potężne gejzery wybuchów wyrzucały całe ogrody błota na dużą wysokość i zdawało się że nie ma przed tym już żadnej obrony. Kaliber dział niemieckich był bardzo duży. W nocy i ja zmieniłem mój PO na kierunek 16 pp nad morzem. Zająłem taki mały domek ogrodnika w KOSTRZEWIE /Pretmín/. Tuż za domkiem wznosiły się piękne ciepłarnie z dużym kominem, a dalej miejski cmentarz. Obok mnie usadowił się punkt obserwacyjny i baterii. Było cicho i spokojnie, i tylko od czasu do czasu otrzymywałem solidną nawałę ogniową niemieckiej artylerii. Pociski niebezpiecznie rwały się w pobliżu. Dwa duże pociski spadły na ciepłarnie ogrodnika. Wspólnie z dowódcą 1-szej baterii dyskutowaliśmy, co też może być przyczyną tak punktualnego ostrzeliwania nas. W końcu doszliśmy do wniosku, że komin ciepłarni jest temu winien. Stanowi on doskonały punkt orientacyjny dla niemieckiej artylerii. Niebawem nadjechało działo z 1-szej baterii i pierwszym celnym strzałem zburzyło komin, który w dodatku na nieszczęście ogrodnika, zawalił całkowicie ciepłarnie.

Od tej chwili mieliśmy względny spokój i nikt naraźnie nie niepokoił nas.

Z tego miejsca do brzegu morza miałem około 1500 m lecz w żadnym wypadku nie mogłem sobie pozwolić na opuszczenie punktu obserwacyjnego i wyruszenia na wycieszkę krajoznawczą.

Obiecowałem sobie, że uczynię to napewno jutro. Niech się robi co chce, a ja muszę w końcu zobaczyć owo morze.

Po południu było już zupełnie cicho, więc postanowiłem rozpoznać najbliższe położenie i okolice. Wszedłem na ulicę, przy której stały piękne wille. Stąd żadna aleja prowadziła do centrum miasta. Oczywiście nie wychylałem się na ulicę, lecz szedłem na tyłach tych żadnych domków, przez ogrody. Gdy tylko ktoś pokazał się na ulicy, natychmiast dostawał się pod silny ostrzał z karabinów maszynowych. Spróbowałem przejść na drugą stronę ulicy, lecz musiałem się szybko cofnąć. Odpryski pocisków fruwały w różne strony i jeden taki mały odłamek zadzwieczał na moim hełmie. Wille były urządzone ze smakiem. Po ich umeblowaniu, oraz po obrazach o tematyce marynistycznej, zorientowałem się, że musieli tu mieszkać marynarze, napewno oficerowie marynarki wojennej lub handlowej.

Kuchnie tych marynarskich willi były szczególnie piękne zaopatrzone w różne towary kolonialne. W niewielkich pokojach stały piękne meble i panował idealny porządek, tak jak gdyby gospodarze domu gdzieś na chwilę wyszli. Idący za mną mój ordynans co i raz to cmokał z podziwu. Ciekawe, że w żadnej z tych willi nie widziałem żadnego portretu Hitlera, bądź swastyki. Z tej wycieczki mój ordynans wracał obciążony w specjalny z kuchni marynarskich. Na plecach dzwigał ponadto taki duży worek podróżny na pościel. Gdy zapytałem go co tam niesie, odpowiedział: "Pan porucznik ciągle mnie ochrzania, że Estersohn daje do przykrycia do spania takie marne koce, więc niosę te niemieckie z wełny wielbłądziej, poco piechota ma to zabrać do okopów?". No cóż, rozumował słusznie.

Wieczorem prowadziłem ogień do celu nieobserwowanego, którego spólrzędne podała mi sztab dywizjonu. Podobno ta nawała ogniowa poszła na kołobrzeski port.

Nazajutrz rano, poszedłem wreszcie zobaczyć morze. Idąc tam byłem trochę podekscytowany. Po wejściu na wydmy, idący za mną zwiadowcy raptem krzyknęli: "Panie poruczniku, miny!" Rzeczywiście leżały tu miny, lecz przewody były od nich powyłęczone. Na wszelki wypadek bombardier Kamiński rzucił na te miny takie wieko od skrzynki na ryby i nic nie wybuchło. Podczołgałem się dalej i usłyszałem ogromny szum wody, a przede mną falowała nie kończąca się przestrzeń wody. Leżałem na piasku wydmy jak oczarowany. Daleko na morzu, na wysokości portu kołobrzeskiego, stały okręty wojenne i duże transportowce, do których dopływały małe stateczki i barki. To Niemcy wywozili z Kołobrzegu wszelkie dobro, tylko nie ludzi, których trzymali na rozkaz Fuhrera, aby Kołobrzegu nikt nie mógł zdobyć.

W dole na piasku plaży walały się części marynarskiego umundurowania, a na wodzie belki i deski podrzucane przez fale. To co wówczas z widoku morza zapamiętałem najwięcej, to nie kończący się szum fal i spienione, białe grzywy fal morskich. Leżący obok mnie zwiadowcy na głos zachwycają się widokiem morza. Jeden z nich mówi do mnie: "Panie poruczniku, gdy opowiem to moim, i całej wiosce, że widziałem prawdziwe morze, to mi napewno nie uwierzą." Skąd mieli ci biedni chłopcy : z podolskiej czy wołyńskiej wsi oglądać wcześniej morze? W najśmielszych marzeniach nie przypuszczali, że to się ziści.

Bombardier Kamiński podczołgał się do brzegu wody, by nabrać manierkę wody morskiej. Gdy zapytałem go poco mu ta woda, odrzekł: "Muszę spróbować panie poruczniku czy jest słona, i chłopaki także, a na stanowiskach ogniowych chyba będę musiał wydawać chłopakom po małej łyżeczce". Rzeczywiście, obsługi dział na stanowiskach ogniowych morza nie zobaczą. Gdy zwiadowcy próbowali morską wodę czy jest słona ja wyjąłem zawczasu noszoną w tobie polowej, chorągiewkę biało-czerwoną, zdjętą przeze mnie z błotnika naszego samochodu plutonu dowodzenia. Postanowiłem, że gdy dojdę tylko do morza, wówczas muszę tam zatknąć nasz polski proporzeczek. Szybko znalazłem kawałek metalowego prętu i za chwilę chorągiewka załopotiała na wietrze wiejącym od morza. W tym momencie pomyślałem tak sobie: - „Bardzo długie lata nie było jej tutaj, na tej ziemi, naszej prastarej ziemi”-.

Na punkt obserwacyjny wróciłem trochę zmęczony no i zauroczony morzem. Później, już po zdobyciu Kołobrzegu, widziałem naszych wąsatych żołnierzy, którzy niczym dzieci, wchodzili w butach do morza, próbowali czy woda tam słona i cieszyli się z tego faktu jak dzieci. Napewno będą opowiadali swoim wnukom, jak doszli do morza, że wchodzili do wody i próbowali jak też ta woda jest słona.

Nazajutrz dowódca batalionu przesuwając swój punkt dowodzenia dalej w kierunku portu i blisko morza, więc i ja muszę podążać za nim. Zająłem następny domek za sztabem batalionu, tuż przy strzelnicy wojskowej położonej nad samym morzem. Poszedłem zobaczyć i tę strzelnicę, czy jest lepsza od strzelnicy 12 Pułku Ułanów Podolskich, w lesie "Dębinka".

Kulochwyty strzelnicy niemal dotykał plaży. Za kulochwytem, na plaży leżało mnóstwo martwych niemieckich żołnierzy. Piasek obficie poplamiony był krwią, szczególnie tam gdzie ludzie byli mocno poszarpani przez pociski. Kilku żołnierzy

niemieckich miało rozprute wnętrzności, a trzewia walały się po piasku. Kiedyś po wojnie pojechałem z żoną i dziećmi na wakacje do Kołobrzegu. Poszliśmy się kąpać na plażę. Mimo, że wszędzie był piękny piasek, żona moja koniecznie chciała wybrać miejsce do plażowania koło kulochwytu wspomnianej strzelnicy, tam gdzie leżało tyle rozszarpanych niemieckich ciał. Moje perswazje, by przejść trochę dalej od tego miejsca, nie miały powodzenia. Później, gdy opowiadałem im co tam było w czasie wojny na tej plaży, nic to mojej familii nie ciekawiło, grunt, że woda była fajna, i tyle.

Kołobrzeg, we wszystkich dni walk w nim, spowity był w dymie palących się domów, w mgłę i pożarach. Tak samo jak Warszawa w dniach powstania.

Dowódca dywizjonu dzwonił do mnie codziennie, pytając się co słyhać i jak się czuję? Dziś też dzwonił, lecz widocznie wstał lewą nogą z łóżka, ponieważ na moją odpowiedź, że wszystko w porządku, odpowiedział mi: "Tylko ty mi uważaj, by fryce ci nosa nie odstrzelili. Melduj natychmiast, gdy w twoim sektorze obserwacji pojawi się jakiś statek czy okręt. Bądź przygotowany stale do strzelania do okrętów. Będę sprawdzał to". Chodziły słuchy, że w nocy niemieckie okręty podpływają bliżej do brzegu i wyładowują wojsko i zaopatrzenie. Polecikłem ppor. Kucharskiemu zorganizowania ciągłej obserwacji morza, a szczególnie widocznego od nas portu. Sam zaś zająłem się kierunkiem lądowym.

Po południu przybiegł do mnie goniec od dowódcy batalionu i prosił, bym zaraz przyszedł na ich punkt dowodzenia ze środkiem łączności do baterii. Wiedziałem, że szykuje się jakieś strzelanie. Niebawem wyruszyłem tam z kilkoma zwiadowcami i telefonistami. Szedłem przez cmentarz położony nad samym brzegiem morza. Dziś jest tam park. Na cmentarzu były piękne granitowe nagrobki ze złocnymi, gotyckimi literami. Wiele nazwisk na nagrobkach miało wybitnie polskie pochodzenie, jak np: "Maslinsky Ignatz", "Reschotkowsky Stanislaw" itp. Okazuje się, że i naszych tu nie brak. Gdy dotarłem na punkt dowodzenia batalionu, dowódca batalionu zawołał do mnie: "Chodź prędko! Coś ciekawego dla twoich dział zobaczysz!". Rzeczywiście przed jednym z bloków stało kilka samochodów ciężarowych na które Niemcy ładowali jakieś skrzynie. Zraz kolumna ruszyła. Podzwoniłem na stanowiska ogniowe, by byli gotowi do strzelania. Kolumna samochodów skręcała łukiem na drogę, która wiodła dosłownie przed naszym nosem, jakieś 300 metrów.

Dowódca batalionu wydał rozkaz dowódcy kompanii ckm by przygotowali się do strzelania do kolumny samochodów i zapytał mnie czy nie możemy posłać tam kilka pocisków. Niestety, mimo chęci, nie mogłem otworzyć ognia, ponieważ kolumna jeszcze bardziej się przybliżyła i zachodziła obawa, że moje pociski będą raziły naszą piechotę. Cel był zbyt blisko naszych piechurów. Gdy samochody zbliżyły się na skuteczną odległość dla ciężkich karabinów maszynowych, na komendę dowódcy kompanii, otworzyły huraganowy ogień. Niestety, tylko jeden samochód został trafiony, a pozostałe zwiększyły prędkość i zniknęły za blokami domów. W nocy piechurzy zaglądali do trafionego samochodu. Były to widocznie przenosiny jakiegoś niemieckiego szpitala polowego, ponieważ samochód przewoził jakieś urządzenia rentgenowskie, autoklawy z narzędziami chirurgicznymi oraz pościel dla chorych. Nad nami szybowały na morze ciężkie pociski naszej ciężkiej brygady, lecz widok na morze przesłaniał nam falochron. Ponadto, jak zwykle wieczorem morze spowite było we mgle. Przy okazji dowódca batalionu wręczył mi zdobyczny, niemiecki dalmierz. Piechota nie potrzebowała tego przyrządu, tembardziej, że dalmierz wymagał zdolności stereoskopowego widzenia, a specjaliści tego rodzaju piechota nie posiadała. Kazałem natychmiast ściągnąć ze stanowisk ogniowych kanoniera Małka, który był przedtem w artylerii plot i chwalił się, że był dobrym dalmierzystą. Po raniemiu i wyleczeniu trafił do mojej baterii. Małek okazało się być doskonałym dalmierzystą. Podawał dokładne odległości do wskazanych celów i czułem, że będę miał pożytek z tego chłopaka oraz z dalmierza.

Nazajutrz, 13 marca, mgła jak nożem uciała, momentalnie zniknęła i widoczność na morze była idealna. Wnet też odezwał się telefon od dowódcy dywizjonu. Nakazał mi być w gotowości do strzelania do okrętów, gdy tylko zbliżą się ku brzegowi. Narażenie odległość do kilku z nich wynosiła około 18 kilometrów. Dalmierzysta stale podawał odległość do okrętów, lecz wiedziałem, że jest ona nie dokładna, ponieważ dalmierz dokładnie podaje odległość do 5-ciu kilometrów. Na dalszych odległościach podana przez dalmierz odległość jest mocno niedokładna. Dowódca dywizjonu podał mi ponadto wiadomość, że tylko moja bateria ma PO nad morzem i stąd tylko ja mogę z całego pułku prowadzić ogień do okrętów.

W międzyczasie wertowałem instrukcję strzelania artylerii a szczególnie te paragrafy, które mówiły o strzelaniu do celów morskich. Na szkoleniu w szkole podchorążych te tematy podawano nam pobieżnie, bo kto mógł się spodziewać, że przyjdzie nam właśnie prowadzić ogień do niemieckich okrętów.

Mam trochę "pietra", ponieważ jeszcze nigdy do okrętów na morzu nie strzelałem, a dowódca dywizjonu zaznaczył, że tylko moja bateria ma punkt obserwacyjny nad samym morzem i w związku z tym ja zostałem wyznaczony do niszczenia okrętów z całej naszej brygady. Łydki mi się trochę trzęsły tak jakgdyby to wszystko co się dzieje w Kołobrzegu zależało wyłącznie ode mnie i że zwycięstwo przyjdzie wówczas jeżeli ja zniszczę okręty. To właśnie kiełkowało w mojej głowie wówczas na PO.

Podobno moje strzelanie miał obserwować nie tylko dowódca pułku, lecz także i dowódca brygady ze swojego punktu. Któryś z moich zwiadowców pochwalił się prawdopodobnie komuś z piechoty, że to "nasz dowódca baterii będzie niebawem strzelał do niemieckich okrętów", ponieważ wielu oficerów piechoty z dowódcą batalionu na czele przyszli mi niby to "pokibisować".

Dalmierzysta co chwilę podawał monotonnym głosem odległość: "jedenaście tysięcy", "dziesięć dziewięćset" itd. Przeszła już godzina obiadu, a ja dalej jak kołek w płocie tkwiłem na moim PO, a kibice również. Czułem ten ogromny ciężar odpowiedzialności na moich barkach.

W zasadzie wszystko miałem już na PO przygotowane. Na przedpiersiu okopu, na takim niby to stoliku, leżał sekundomierz, mapa z przenośnikiem i cyrklem /przyrządy artyleryjskie do określenia danych początkowych z mapy do strzelania/, tabele strzelnicze i podręcznik instrukcji strzelania. Donośność moich haubic wynosiła 11.800 metrów, natomiast odległość ze stanowisk ogniowych na mój punkt obserwacyjny - 5.000 metrów. Wyglądało więc, że mogę rozpocząć strzelanie gdy dalmierzysta krzyknie, że jest 6.000 metrów do okrętów. Sądziłem, że dowódca dywizjonu będzie obserwował moje strzelanie ze swego PO, lecz właśnie zjawił się wraz dowódcą 1 i 3 baterii. Nie przyszedł na mój PO, lecz aby mnie swoją osobą nie peszyć, poszli sobie do okopu piechoty jakieś 40 metrów ode mnie.

Płynęły w kierunku brzegu dwa niemieckie transportowce. Wszyscy widzowie obserwowali je lornetkami i wykrzykiwali swoje uwagi. Czułem nadał tę odpowiedzialność oraz oczekiwania przełożonych abym niemiecki statek posłał na dno. Mówiono, że to mnie właśnie przypadł ten zaszczyt, że jako pierwszy z trzech naszych pułków artylerii w Brygadzie, otworzę ogień do okrętów. Nagle, tak na moment przyszła mi na myśl Białokrynica, i że to prawie rok temu poszedłem do wojska. Gdyby mi ktoś wówczas powiedział, że za rok będziesz strzelał jako dowódca

baterii artylerii do okrętów niemieckich na morzu, to kazałbym mu się stuknąć palcem w czoło. Nagle z krótkiego zamyślenia się wyrwał mnie mój ordynans Esterson, przynosząc w menażkach obiad. Zakląłem coś i przegoniłem go z punktu obserwacyjnego. Esterson jak to Esterson, musiał coś przy tym powiedzieć: "Nu, jak pan porucznik chce tak na głodnego zestrzelić tego okrętu, to co z tego wyjdzie?". Chociaż rzuciłem mu na odchodnym jakąś niecenzuralną wiązanekę, to jednak pomyślałem, że Esterson ma rację. Przecież mimo, że toczy się wojna, żyć trzeba, a tym bardziej trzeba jeść.

Obok mnie ~~na~~ siedział przy małym stole ogniomistrz Kulczycki i pod dyktando ppor. Kucharskiego nanosił na stolik ogniowy położenie statków. Stolik ogniowy to kawał arkusza brystolu naciągniętego na mokro na deskę rysowniczą, z wyrysowaną tuszem siatką kilometrową / w skali: 1 kilometr = 4 centymetry/

W miarę przybliżania się niemieckich statków i podawania na głos przez dalmierzystę odległości do nich, teraz dodatkowo włączył się jeszcze zwiadowca mierzący za pomocą kątomierza-busoli kierunek z PO do statków.

Po kilku takich odczytach pozycji statków mogłem już wyznaczyć punkt wyprzedzenia, tj. taki punkt, w którym moje pociski spotkają się na drodze statków. Szybko obliczyłem dane początkowe i podałem komendę na stanowiska ogniowe. Ostatnie słowo komendy brzmiało: "Zapalnik z długą zwłoką, ładować!".

Zdenerwowanie z miejsca zniknęło i wpadłem już w zwykły rytm strzelania. Zerknąłem jeszcze szybko do tabel strzelniczych aby zobaczyć na czas lotu pocisku do punktu wyprzedzenia. Gdy dalmierzysta wykrzyknął odległość gdy statki zbliżyły się już prawie do punktu wyprzedzenia podałem komendę: "Salwą ognia!"

Teraz wraz z innymi wpatrywałem się w akwen morski i mój domniemany punkt wyprzedzenia. Tylko artylerzyście znany jest ten mały lęk, gdzie pociski upadną?. Wreszcie są wybuchy. Potężne wytryski wody ukazały się tuż za statkami, a więc mam was. Wprowadzam małą poprawkę w odległości regulowaną szybszym podaniem komendy "ognia", do nowego punktu wyprzedzenia. Wyznaczyłem już teraz po cztery pociski na ~~działo~~ ^{działę}, ponieważ przechodziłem już na ogień skuteczny, w odróżnieniu od poprzedniej salwy kontrolnej.

Seria bateryjna o swoim czasie poszła. Raptem odezwał się radosny krzyk siedzących obok PO "kibiców" - "Traf-

ne ! Trafne !". Nawet ja sam nie widziałem jeszcze moich wybuchów, a tu już okrzyki o celnej mojej serii. Oficerowie piechoty ze ogrymnym zadowoleniem krzyczęli do mnie: "Dołóż mu jeszcze". Rzeczywiście jeden ze statków mocno zadymił, natomiast drugi raptownie zmienił kurs i zaczął się oddalać w morze. Poprawiłem jeszcze raz i statek przechylił się na jedną burtę. Statek zaczął stawiać zasłonę dymną licząc, że uda mu się jakoś naprawić awarię i kolesie wyciągną go holem z pola ostrzału. "O nie!" pomyślałem sobie i znów dałem komendę, tym razem po sześć pocisków na działo. Wtem gdzieś z lewej strony ukazały się ogromne wytryski wodne i ktoś usiłował też strzelać do mojego celu. Wtem wpadł do mnie na PO zdenerwowany dowódca dywizjonu i zażądał połączenia go przez centralę dywizjonową z dowódcą pułku. Zdenerwowany meldował dowódcy pułku, że 5 Brygada Artylerii Ciężkiej, prawem kaduka strzela do "naszego" zniszczonego już celu i że niech mądralę znajdą sobie inny cel, a nie "Nasz". Okazało się więc, że to nie tylko mój cel ale i nasz. Z miejsca mój PO zaroił się od składających mi gratulacje. I piechota i przełożeni, i koledzy oraz podwładni. Byłem tego popołudnia bohaterem dnia i prawie wszyscy w naszej brygadzie oraz w wspieranym 16 pułku piechoty mówili tylko o mnie, Stałem się raptem sławny i każdy był już prawie moim znajomym i przyjacielem. Ja zaś chodziłem dumny jak paw, jakgdybym był pogromcą całej Kriegsmarine. Pierwszy raz widziałem tak wesołego dowódcę dywizjonu i nawet ~~opowiadał~~ ^{opowiadał} kawały. Dzwonił też dowódca pułku: "Zasłużyłeś na nagrodę. Pistolet z Ciebie" - powiedział.

Znów zjawił się mój Esterson, tym razem dzwigając coś w chlebaku. Z uroczystą miną wyciągnął z chlebaka butelkę koniaku i z braku kieliszków - musztardówki. Wychyliłem z dowódcą dywizjonu i z kolegami szklanki do samego dna. Znów się wtrącił Esterzon ze swoim: "Czy podać obiad?". "Tak - odpowiedziałem - ale dla wszystkich". Biedny Esterson podrapał się w głowę i poszedł przynieść ten obiad.

Cała noc przeszła dosłownie na oblewaniu mojego sukcesu. Dosłownie morze alkoholu wlałem w siebie z przełożonymi / bo mój sukces - to też ich sukces / i z kolegami.

Rano miałem porządnego kaca. Tyle wódki bowiem co wypilem wczoraj, nigdy jeszcze w życiu nie wypilem. Statku, do którego strzelałem wczoraj nigdzie nie było widać. "Nie zniknął - odpowiedział dyżurny zwiadowca - widać jego końcówki masztów". Podeszedłem do lornety nożycowej i rzeczywiście z wody ster

czały maszty zatopionego okrętu. Cieszyłem się jak nigdy, że udało mi się posłać tego szwaba na dno do diabła. Wiele było radości również na stanowiskach ogniowych. Dowódca pułku powiedział żołnierzom, że zarobili na medale i nakazał na tarczy każdego działka wymalować białą farbą sylwetkę okrętu. Nikt przecież z naszego pułku ani też z brygady nie miał tego na tarszy działka.

Wraz z dobrą nowiną musi iść w parze i zła. Właśnie dowiedziałem się, że w dniu wczorajszym zginął mój serdeczny kolega z podchorążówki ppor. Adam Szadurski, z 3 pułku artylerii lekkiej z 3 Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta. Pochodził z Łucka. Niemiecki pocisk moździerzowy trafił podobno bezpośrednio w niego i rozszarpał go na kawałki. Jego szczątki zostały pochowane na cmentarzu wojennym w Zieleniewie koło Kołobrzegu. Po wojnie, ilekroć byłem służbowo w Kołobrzegu na kontroli w jednostkach, zawsze znalazłem czas by na jego grobie położyć chociażby mały kwiatek.

Nasza piechota ruszyła naprzód w kierunku portu, lecz do portu jeszcze daleko, a nieprzyjaciel wcale nie myśli opoddaniu się. Podejście do morza jest niemożliwe z uwagi na nieustanny ostrzał z karabinów maszynowych nieprzyjaciela strzelających ogniem krzyżowym. Artyleria okrętowa też nie daje nam ani chwili wytchnienia i okłada nas ciężkimi pociskami, które wykopują lejce jak kratery wulkanów. Dodatkowo jakieś zjadliwe działko przeciwlotnicze małego kalibru zasypuje nas odłamkami. Siedzę więc nieruchomo ze zwładowcami w tak naprędce wykopanym płytkim okopie i nie mogę doprawdy wytknąć głowy. Szwaby uwzięły się na nas i gdy tylko ktoś się wychyli, natychmiast zasypują nas ogniem. Po kilku minutach na łopatkę saperskiej zawiesiłem mój hełm i wytknąłem na zewnątrz okopu. Natychmiast był strzał i wgniecenie blachy w hełmie. Do nieprzyjaciela jest niedaleko, zaledwie 150 metrów i słychać nawet ich gardłową mowę.

Z nad morza płynęły mgły i niskie chmury. Natarcie ruszyło o godzinie 10.00 jakoś niemrawo i nie miało żadnego powodzenia. Ledwo nasza piechota podniosła się do ataku a już lawina ognia karabinów maszynowych przygniotła ich do ziemi. Ruszyła więc nasza artyleria i ta głównie strzelająca na wprost. Z każdego niemal okna budynków strzelają cekaemy. Pojedynczy strzelcy wyborowi siedzą nawet na starych, i dużych topolach rosnących koło budynków. Polowali oni na każdego, kto tylko pojawił się w polu ich widoczności.

Próbowano nawet wzywać Niemców do kapitulacji przez

radio. Ze sztabu dywizji przyjechały na naszym kierunku urządzenia głośnomówiące za pomocą których nawoływano Niemców: "Deutsche Soldaten. Kommen sie zu uns. Das Krieg ist schon fertig. Hitler kaputt !" Nie pomogły te radiowe nawoływania do poddania się, ponieważ wydawało się że nieprzyjaciel jakby bardziej jeszcze nasilił tempo ognia.

W godzinach popołudniowych wiatr od morza napędzał na ląd coraz bardziej gęste chmury. Zasnuły one nasze stanowiska i całe przedpole. Przyroda kładła więc dymną jakoby zasłonę na obydwie walczące strony. Wykorzystał to por. Janicki, dowódca kompanii piechoty i poderwał swoich chłopców do natarcia. Tę przeklętą zupełnie odkrytą przestrzeń udało się w ten sposób przebyć przy stosunkowo małych stratach własnych.

Dalej znajdowały się budyneczki niemieckich magazynów amunicyjnych, pełnych pocisków do 81 mm moździerzy. Nadawały się one doskonale do naszych 82 mm moździerzy, gdyż były tylko 1 mm mniejsze od naszych. Trzeba było tylko dodawać niewielki ładunek dodatkowy by uzyskać żadaną odległość strzelania.

Niemcy opuścili owe magazyny lecz dalej strzelali do nas z wałów pobliskiej strzelnicy. Okazało się, że przed sobą mamy 91 batalion forteczny, batalion Volksturm oraz pododdziały marynarzy.

16 pułk piechoty został wzmocniony plutonem miotaczy ognia. Pluton ten posiadał cztery plecakowe i 160 fugasowych /wybuchowych/ miotaczy ognia typu FOG-2. Była to potężna siła ognia do walki na bliską odległość i wspaniała do wykurzenia nieprzyjaciela z bunkrów i budynków. Fugasowe miotacze ognia posiadały zbiorniki o pojemności 25 litrów, mieszczące tyleż mieszanki zapalającej, a zasięg ognia ich sięgał do 100 metrów. Były one odpalane za pociągnięciem sznurka z ukrycia. Mieszanka zapalająca do miotaczy składała się z benzyny, mazutu i specjalnego proszku.

Tam po raz pierwszy widziałem stosunkowo z bliska działanie tych miotaczy. Na przeciwko naszego PO w odległości 50 - 60 metrów stał duży dwupiętrowy budynek. Niemal każde jego okno zionęło ogniem karabinów maszynowych. Widowym znakiem tego były worki z piaskiem poukładane w oknach. Mieli oni nad nami tę przewagę, że z okien drugiego piętra mieli doskonały wgląd w nasze stanowiska. Na sygnał dany przez dowódcę kompanii zadziały miotacze ognia. Kilkanaście fugasów dosłownie plunęło ogniem, a raczej strumieniami jaskrawego płomienia, oślepiając i parząc

hitlerowców. Widać było jak wyskakują jak z procy z budynku i tarzają się w ziemi usiłując zgasić palące się na nich umundurowanie. Reszta mniej poszkodowanych Niemców umyka do tyłu co sił w nogach. Po paru minutach nasza kompania piechoty opanowała ten wysoki budynek. Moi chłopcy śmiali się, że Szwaby napewno teraz smarują pyski oliwą chcąc ulżyć sobie.

Podchodzimy do cmentarza leżącego tuż nad morzem. Dziś rozciąga się na tym miejscu park. Niemcy strzelają do nas wykorzystując jako ukrycia grobowce. Prosto wyrzucili na zewnątrz trumny swoich ziomków i sami weszli zamiast trumien do grobowców. Rzeczywiście trudno ich stamtąd wykurzyć. Później i my podobnie wykorzystywaliśmy grobowce na tymże cmentarzu. Zwiadowcy wynieśli z pieczary dużego grobowca trumny i my tam wprowadziliśmy się.

Walka o Kołobrzeg przybrała już charakter ciągły. Trwają w nocy i w dzień. Przyszła wreszcie jasna i ładna pogoda. To z kolei ułatwiło sytuację niemieckiej artylerii okrętowej, która znów zarzucała nasze stanowiska tonami żelaza. Przyleciały też nam na pomoc nasze samoloty szturmowe "Iły" z białoczerwonymi szachownicami. Nasze samoloty mimo zwariowanej kanonady niemieckich środków przeciwlotniczych, atakowały port oraz stojące na redzie statki. Opędzając się przed naszymi szturmowcami, niemieckie krażowniki miały mało czasu na ostrzeliwanie nas.

Po południu tego dnia powtórnie nadawano przez radiokomunikaty radiowe do Niemców o poddanie się, tym razem ze zdobyczej radiostacji i wziętej do niewoli obsługi tejże radiostacji. Nasz apel o poddanie się i tym razem pozostał bez odpowiedzi.

W nocy była również piękna pogoda i nawet świecił księżyc. Wykorzystało to lotnictwo niemieckie i rozpoczęło zrzucanie dla swoich pojemników na spadochronach z amunicją i żywnością. Nie wszystkie pojemniki zrzucane były celnie, ponieważ część z nich wiatr zniósł na naszą stronę. Okazuje się, że wzbrosiliśmy Niemcom na przybliżenie się do portu statków z zaopatrzeniem więc wykorzystują do tego lotnictwo.

15 marca pogoda znów była mglista i pochmurna. Niemcy broniąc dojścia do portu, nasiskani już byli z dwóch stron: z zachodu i z południa. Dowódca batalionu dał zadanie jednej z kompanii zdobycia za wszelką cenę cmentarnej kaplicy oraz budynków położonych tuż za cmentarzem. Były to bardzo silne punkty oporu nieprzyjaciela. Udało się nam, ponieważ celnymi pociskami nasza bateria rozwaliła tę kaplicę, którą kompania natychmiast ośadziła. Dowódca batalionu żartując powiedział mi, że mam tam

już kreskę, pokazując palcem na niebo.

Gdy tylko zdołaliśmy obezwładnić jeden punkt oporu natychmiast odzywał się nowy. Zasypany byliśmy pociskami z karabinów maszynowych, z małego działka a nawet ze sprzężonego wielkokalibrowego karabinu przeciwlotniczego. To mówiło, że gdzieś tu musi być silny bunkier niemiecki. Krzaki i drzewa zasłaniały nam obserwację. Dowódca batalionu przez gońca prosił o ogień. Nie widziałem celu więc pełzając posuwałem się do miejsca dowódzenia dowódcy batalionu. Frzede mną oraz moimi zwiadowcami czołgającymi się za mną wyrosło duże bajoro, a raczej takiej mazi, której nie można było ominąć. Zanurzaliśmy się w tę mazi i wyglądaliśmy jak żaby.

Wreszcie dojrzałem ten bunkier. Tak, to był tak zwany Kleist Schanze. Tak przynajmniej widniało napisane na planie miasta, który zdobyłem jeszcze w Połczynie-Zdroju. Był to stary schron bojowy jeszcze z XVIII wieku. Było zbyt blisko od naszej piechoty i obawiałem się, że moje pociski mogą uderzyć w swoich. Dowódca batalionu zgodził się co do tego ze mną i wysłał tam saperów z ładunkami wydłużonymi. Udało się im niepostrzeżenie dostać na tył schronu, zabić gapiowatego wartownika i dostać się do środka. Trotyż wnet zrobił swoje i schron był nasz.

Ubytki ludzkie w piechocie były bardzo duże. Nasi nie mieli jeszcze odpowiedniego przeszkolenia do walk w mieście więc ofiar było dużo. Do batalionu, który wspieraliśmy przybyło właśnie uzupełnienie, ponieważ stan osobowy kompanii przypominał już raczej stan plutonu. Żołnierze z uzupełnienia mieli jeszcze mniej obycia frontowego oraz niezbędnych nawyków zachowania się w walce, szczególnie na pierwszej linii. Objuczeni potężnymi plecakami z wszelkim zbieranym "dobrem", które może się przydać po wojnie na wsi, płacili obfity haracz. Oni to padali najczęściej ofiarami niemieckich strzelców wyborowych. Kilku z nich, młodych chłopaków poznoszono właśnie z pierwszej linii i ułożona narazie przed pochówkiem przy moim PO. Biednie wyglądali ci nasi młodzi chłopcy. Twarze zbiełały i otwarte oczy patrzące nieruchomo w niebo. Ciężko ogląda się nieżywych naszych żołnierzy. Dziś, gdy jeden ze znajomych powiedział w przedziale pociągu, że jego dwudziestoletni brat zginął pod Kołobrzegiem, siedzący obok pasażerowie powiedzieli: "Po co poszedł walczyć za komunę!"

W nocy z 17 na 18 marca było niespokojnie. Czuło się taki niepokój u nieprzyjaciela. Niemcy przypuszczając, że Polacy szykują się do generalnego szturmu, rozpoczęli liczne kontrataki

pododdziałów Volkssturmu i marynarzy. Oczywiście odparto je ze znacznymi stratami szczególnie wśród Volkssturmu.

Ciągle obawiałem się niemieckiej artylerii okrętowej, która szaleńczo wzmogła ostrzał terenu przez nas zajmowanego, a ich pociski kalibru 280 mm przy wybuchu wrywały leje o średnicy jak bomba tonowa. Niemieckie okręty nie nękane zupełnie przez sowiecką flotę bałtycką robiły sobie co tylko chciały, wiedząc że z lądu niewiele im złego zrobimy. Ich obserwatorzy na lądzie dokładnie kierowali ich ogniem. Gdy tylko rozpoczął się ostrzał z morza, natychmiast dawałem komendę mojemu plutonowi dowodzenia "padnij!" i tak trwaliśmy aż do zakończenia ostrzału. Czasem gdy po takim nalocie artylerii okrętowej wstawaliśmy, byliśmy porządnie przysypani ziemią od wybuchów.

Tymczasem nasza piechota zdobyła "Kleist Schanze", a Niemcy teraz właśnie rozpoczęli zasypywać go lawiną żelaza.

Nagle telefon od dowódcy dywizjonu, żebym otworzył ogień do łódek i motorówek, które płyną do brzegu wzdłuż basenu portowego, widocznie do ewakuacji żołnierzy z lądu na statki. Przypomniałem właśnie dowódcy, że przecież kiedyś zrugnął mnie za strzelanie, jak to on się wyraził "da. byle motorówki".

Teraz dał mi pełną swobodę na zużywanie amunicji, widocznie po moim sukcesie przy strzelaniu do statku.

Czułem, że to nadchodzą już ostatnie chwile dla Niemców w Kołobrzegu. Dobry wgląd na basen portowy przesłaniał mi duży bunkier "Heyden Schanze", więc za parę minut już tam byłem z moim plutonem dowodzenia. Początkowo piechurzy nie chcieli nas tam wpuścić, lecz gdy zagroziłem, że będą musieli z procy strzelać do łódek w basenie, wówczas mnie wpuścili.

Otworzyłem ogień baterii pociskami na rozprysk, co w tej sytuacji powinno odnieść dobry skutek. Kilkanaście pocisków, które rozerwały się 20 metrów w powietrzu nad lustrem wody, z miejsca przepłoszyło stado łódek i motorówek, które zawróciły.

Jakiś szwab "kamikaze" mimo ostrzału włączył chyba największy bieg w silniku motorówki i pędził jak oszalały do brzegu, widocznie po jakiegoś ważnego Szwaba. Złatwił go po chwili celny strzał z piechocińskiej ręcznicy przeciwpancernej.

Od wczesnego świtu niemiecka artyleria okrętowa ponownie rozpoczęła swój koncert. Dobrze, że chronił mnie niemiecki fort "Heyden Schanze". To było wyraźnym sygnałem, że Niemcy w ten sposób chcą ułatwić oderwanie się od nas ostatniego swojego oddziału i motorówkami przetransportować na statki.

Ostatnich skrawków portu bronili niemieccy marynarze. Oni też dla zmylenia nas, że już chcą się od nas oderwać, wysłali na nas kontratak Volkssturmu. Wyszedłem na chwilę z portu aby zaczerpnąć świeżego powietrza i trochę rozglądać się, ponieważ przez wąskie szczeliny obserwacyjne z bunkra niewiele się widzi. Tu natknąłem się na szefa artylerii 16 pułku piechoty majora Wiktolda Zalewskiego, który powiedział do mnie: "Ty pilnuj tylko morza, a ja już zajmę się tymi kontratakami Volkssturmu".

Wtem, dosłownie z odległości około 150 metrów zobaczyłem jak niemieccy marynarze wyszli z okopów. Zdejmowali oni buty i płaszcze i wchodząc tyłem do morza ostrzeliwali się z pistoletów maszynowych. Gdy tylko woda zaczęła im sięgać do szyji, zaczęli płynąć do oczekujących ich motorówek.

Na to tylko czekałem. Już wcześniej miałem załadowaną baterię pociskami z zapalnikami na rozprysk w powietrzu. Pociski rwały się na wspaniałej wysokości rażąc zuchwalców. Mnóstwo odłamków od moich pocisków tworzyło na wodzie tysiące małych fontan. Okładałem tam Niemców cały czas wydłużając stopniowo celownik co 50 metrów. Chyba niewielu dopłynęło z nich do zbawczych łodek. Stojące na redzie kołobrzesckiej niemieckie okręty oczekujące na ewakuujących się rozbitków okładała z powodzeniem i dość mocno nasza 5 Brygada Artylerii Ciężkiej.

Niedaleko Latarni morskiej stał dwupiętrowy dom z czerwoną cegłą, a na nim powiewała biała flaga na znak poddania się. Skrzyknąłem moich zwiadowców i poszliśmy do tego budynku licząc, że ze strychu domu będzie o wiele lepszy widok na morze niż z plaży. Wtem otwierają się drzwi budynku i wychodzi z nich z białą chustką w rękę oficer niemiecki. Energicznie zameldował mi on poddanie się całej dowodzonej przez niego grupy. Niemcy wychodzili z budynku trzymając uniesioną wysoko broń i składali ją na ziemię. Zdejmowali przy tym również pasy z ładownicami i bagnetami. Po zdaniu broni stanęli w dwuszeregu, a oficer po gardłowym podaniu komendy / "Stilgestand !" / (baczość) meldował o zdaniu broni. Jakże w tej chwili żałowałem, że tego widoku nie mogą zobaczyć moi rodzice. Wszystkich tych jeńców oddaliśmy piechocie.

Poszedłem nad morze. Co się tam działo? Jedni strzelali na wiwat, inni myli się wodą morską, a wszyscy bez wyjątku próbowali czy woda w morzu jest naprawdę słona.

Mój telefonista kanonier Rydziński, taki dwudziestoltni chłopak z pod Zbaraża stał zauroczony patrzył na morze. Po-

wiedział wówczas do mnie podobnie jak telefonista Edzio z filmu o walkach w Kołobrzegu "Jarzębina czerwona" - "Panie poruczniku! Jak Boga kocham, prawdziwe morze!". Mówił to z takich przejęciem i zachwytem, że poklepałem go po przyjacielsku po plecach. Mówił dalej: "W mojej wsi wcale nie uwierzą, że byłem nad prawdziwym polskim morzem i piłem naprawdę słoną wodę". Wspaniali byli ci nasi chłopcy. Ja też się cieszyłem i z morza i z tego, że walki się zakończyły.

Wśród dziesiątków zburzonych miast jakie mi przyszło oglądać, Kołobrzeg był doszczętnie zniszczony. W gruzach legło około 90 % budynków. Był to ponury i przygnębiający widok. Setki czarnych od dymu starców, kobiet i dzieci, mocno wynędzniałych wychodziło ze swoich ukryć na ulicę. Okropnie wyglądał mocno poharatany kołobrzegi dworzec. Kilkadziesiąt rozbitych przez pociski wagonów kolejowych stało się grobem dla mieszkających tam uciekinierów. Obok platformy kolejowej siedział nasz żołnierz, wąsaty, i karmił z menażki małą, może pięcioletnią niemiecką dziewczynkę. Na mój widok żołnierz się zerwał, stanął na baczność i jak gdyby się usprawiedliwiał, że karmi to zbiedzone niemieckie dziecko. Chciałem tego żołnierza szczerze ucałować za jego dobre serce. Tylko Polak potrafi mieć takie serce dla małych dzieci, chociażby były to dzieci wroga.

Po południu, już prawie wieczorem, na kołobrzegskiej plaży, tuż niedaleko fortu "Munde" / / dziś na tym forcie stoi latarnia morska / odbyła się uroczystość zaślubin z morzem. Cała nasza brygada ze sztandarem stała ustawiona pułkami. Dalej 3 i 4 Dywizje Piechoty, również ze sztandarami i orkiestrami.

Żołnierze stali bez nakryć głowy, unosząc dwa palce do góry jak do przysięgi. Wszyscy głośno i z przejęciem wymawiali słowa ślubowania: "..... Przynajmymy, że będziemy Ciebie wiernie strzec, nie szcując krwi ani życia. Jesteś naszym polskim morzem i nikomu już Ciebie nie oddamy". Początkowo sztandarowe weszły do morza i zanurzyły ich płaty w wodzie. Następnie kapral z 3 Dywizji Piechoty Franciszek Niewidziajko wszedł do morza i rzucił do fal pierścionek.

Dziś na miejscu, gdzie stały oddziały do ślubowania stoi pomnik upamiętniający tamte dni.

Tak zakończył się jeszcze jeden, jakże ważny epizod frontowy, w moim młodym żołnierskim życiu. Epizod walk o prastary polski gród i port.

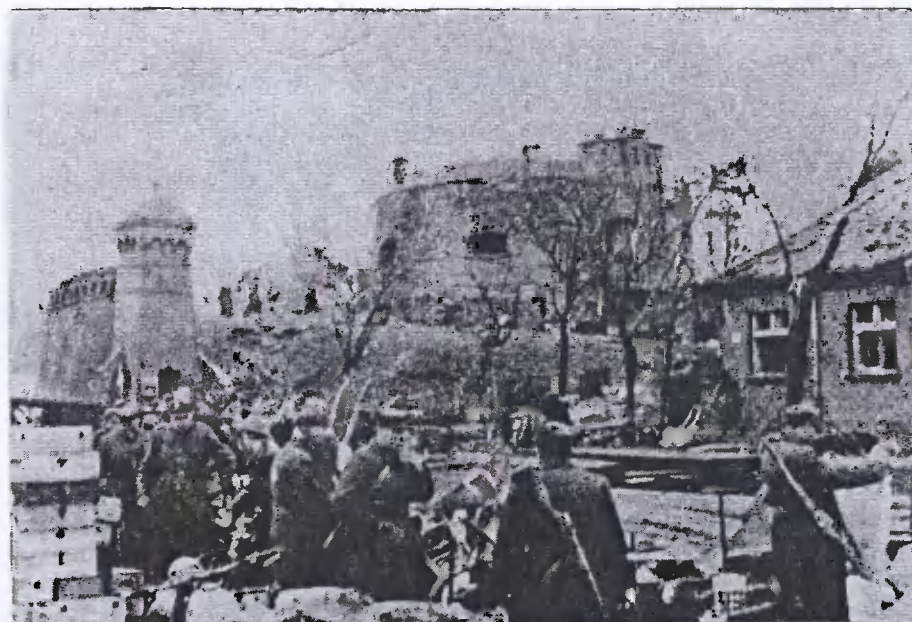
Kołobrzeg, marzec 1945. Jedna z barykad na drodze do partu, wtedy nacierał 18 pp



Kołobrzeg, marzec 1945. Jedna z barykad na ulicach miasta



Ostatni bastion Festung Kolberg fort Munde padł przy mojej wydatnej pomocy, a raczej moich haubic.



Zołnierze 3 brygady artylerii haubic w Kołobrzegu. Marzec 1945 r.

Żołnierze naszej Brygady tuż po zdobyciu fortu Munde. Dziś na tym forcie stoi w kołobrzeskim porcie latarnia morska.

Kolumna jeńców niemieckich



Ci, którzy uwierzyli słowom Goebbelsa, że Kołobrzegu jeszcze nikt nie zdobył.

Nie wiem dlaczego, ale polubiłem to miasto bardzo, mimo że wyglądało ono wówczas okropnie i po wtóre dostatkem tam porządnie w skórę z uwagi na potworne błoto i krwawe walki. Całe miasto legło niemal w ruinie. Kiedy po wojnie, jako Szef Wydziału Szkolenia Wojsk Rakietowych i Artylerii Pomorskiego Okręgu Wojskowego jechałem tam służbowo na kontrolę szkolenia, zawsze znalazłem chwilę czasu, aby pójść śladami moich frontowych ścieżek. Wówczas na nowo odżywały tamte chmurne i krwawe dni.

Nie tylko ja polubiłem to miasto. Skandynawowie nazywali Kołobrzeg "Riwierą Północy", a Wojciech Młynarski w swojej słynnej "Balladzie o Kołobrzegu" porównuje kołobrzeskie morze do dziewczęcych modrych oczu.

W 1995 roku, w 50-tą rocznicę zdobycia Kołobrzegu i zaślubin Polski z morzem zostały zorganizowane wspaniałe uroczystości. Organizatorami był prezydent miasta Kołobrzegu oraz Komitet Porozumiewawczy Organizacji Kombatanckich w Kołobrzegu. Otrzymałem zaproszenie na te uroczystości. Trzy dni pobytu tam były przewspaniałe. Tylu znajomych z tamtych dni. Był apel poległych na cmentarzu wojennym, który doprowadzono do należytego wyglądu. Była więc okazja do zapalenia znicza na grobie mojego kolegę i podchorążówki, podporucznika Adama Szadurskiego oraz poległych z mojej baterii.

W Kołobrzegu osiedliło się sporo żołnierzy z mojego frontowego pułku. Nie widziałem ich od chwili demobilizacji w 1945 roku. Teraz po 50-ciu latach oczywiście nie poznałbym ich, tembardziej że byli już wówczas starsi ode mnie. Na bankiecie dla zdobywców Kołobrzega spotkała mnie miła niespodzianka. Przy moim wejściu na salę podbiegło do mnie kilku nieznanym mi kombatantów i rozpoczęło podrzucanie mnie do góry "na hura". Okazało się, że są ^{to}byli moi żołnierze z wojny, z naszego 12 pułku artylerii haubic. Oczywiście nie poznałem ich, ponieważ są to dziś 80-cio letni panowie. Rozmowom oraz wspomnieniom nie było końca. Wszystkim uczestnikom walk o Kołobrzeg prezydent miasta wręczył pamiątkowe, piękne srebrne pierścionki.

Tak więc Niemcy walkę o Pomorze Zachodnie przegrali definitywnie. Jak my Polacy wypadliśmy w walkach o Kołobrzeg Czy ten egzamin wypadł pomyślnie? Obiektywnie trzeba powiedzieć że zarówno na Wale Pomorskim jak w czasie walk o Kołobrzeg mie-

liśmy kilka błędów. No cóż ! Nie ma ludzi nieomylnych, lecz patrząc na te walki obecnie, wydaje się, że można byłoby tych błędów uniknąć. Że można byłoby zadania wykonać sprawniej i bez niepotrzebnych strat, oraz szybciej. Spore byłoby tych "ale", bez których nie obywa się żadna walka i to nie tylko u nas Polaków. Przecież 1 Polska Armia była armią młodą, zaledwie ośmio miesięczną, bowiem powstała dopiero w lipcu 1944 roku. Była również armią młodą z uwagi na wiek swoich żołnierzy. Przecież ja miałem wówczas zaledwie 19 lat i byłem najmłodszym dowódcą baterii w Polskiej Armii. Gdzie miałem zdobyć doświadczenie walk w mieście lub w natarciu na rejon ufortyfikowany jakim by Wał Pomorski ? Uważam, że nasza armia, mimo wielu obiektywnych trudności, walczyła dobrze i w stosunkowo krótkim czasie przyswoiła sobie trudną sztukę zwyciężania. W następnej operacji berlińskiej tych błędów było już mniej.

Operacja zachodnio-pomorska naszej polskiej armii była zakończona. Trzeba było się przygotować do nowych walk

Nazajutrz, 19 marca nasza Brygada otrzymała nowe zadanie. Sztab pułku wydał już zarsądzenie do marszu w kierunku zachodnim.

Bateria jak zwykle ustawiła się do marszu w środku kolumny dywizjonowej. Tuż obok naszej kolumny stał o dziwo niezniszczony komin mleczarni. Jakiś śmiałek z 1 baterii, po metalowych szczeblach wdrapał się na sam czubek komina i coś wykrzykiwał. Ktoś z kolumny zapytał go co widzi z takiej wysokości, a ten wesołą odpowiedzią: " Jak to co ? Sztokholm". Siedziałem z kierowcą w samochodzie i mimowoli parsknęliśmy śmiechem. Uważałem ten kawał jako dobry prognostyk do dalszych walk. To dobrze, że żołnierze mocno przemęczeni dwutygodniowymi ciężkimi walkami w mieście mieli dobry humor. Nie wiedzieliśmy co najbliższej przyszłości nas czeka i jakie niespodzianki przygotowują nam hitlerowcy nad Zalewem Szczecińskim. A co będzie później ? Któż to wie. W takich sprawach Francuzi mówili zawsze: " Qui vivre werra " /kto dążyje - zobaczy /.

Według otrzymanego nowego zadania ze Sztabu Frontu nasza 1 polska armia miała zająć obronę przeciwdesantową wybrzeża morskiego i niedopuszczyć do wysadzenia przez Niemców de-

santu morskiego na odcinku od Kołobrzegu do Dziwnowa, a następnie wzdłuż Zalewu Szczecińskiego do Stepnicy. Razem szerokość obrony Armii 320 kilometrów.

Zadanie naszej brygady polegało na wykonaniu marszu po marszrucie TRZEBIATOW /Treptow/, PRZYBIERNOW /Pribernow/, do STEPNICY /Stepenitz/ nad Zalewem Szczecińskim. Mamy wspierać obronę 1 Dywizji Piechoty i niedopuszczać do opuszczania Szczecina przez statki, barki oraz inne pływające środki.

Niebawem osiągnęliśmy STEPNICĘ. Nasz pułk miał przejść do miejscowości GĘSIERZYNO /Ganserin/ nad samym Zalewem i zająć stanowiska do strzelania na wprost i niszczyć ogniem płynące ze Szczecina na pełne morze statki i barki ze sprzętem i wojskiem. Szczecin był już oblegany przez wojska sowieckie i jedyną drogą ucieczki dla Niemców była tylko droga wodna do Świnoujścia przez Zalew Szczeciński.

Dla wyboru stanowisk ogniowych wszyscy dowódcy baterii z plutonami dowodzenia wyjechali przed kolumnę pułku. Po ich wyborze wróciłem do m. STEPNICA by już samemu porównać kolumnę. Nie dojeżdżając do STEPNICY jest takie sobie skrzyżowanie dróg, a tuż w pobliżu wiatrak i po drugiej stronie szosa do MIŁOWA-cmentarzyk. Dojeżdżając do tego skrzyżowania widzieliśmy duży jego ostrzał przez artylerię okrętową z Zalewu. Trochę przycichło więc ruszyłem dalej. Gdy byliśmy już na skrzyżowaniu znów trafiliśmy pod niemiecką nawałę z okrętów wojennych. Pociski padały bardzo gęsto, a wybuchy były potężne. Niemcy widocznie zobaczyli ruch na szosie więc skrzyżowanie dróg obrali za środek swojej nawały. Zdecydowałem przeczekać ten grad pocisków. Samochód ukryliśmy pod takim małym domkiem, sami zaś pobiegliśmy pod wiatrak. Był on murowany i dawał jako taką ochronę przed odłamkami. I tu właśnie stało się nieszczęście, które pozostawił ślad do końca mojego żywota. Jeden z odłamków trafił mnie w lewą łopatkę i szyję, natomiast inne odłamki trafiły w mur wiatrak, a odpryski muru na moją twarz. Ranny był również jeden zwiadowca i dwóch telefonistów. Na całe szczęście były to ranienia lekkie. Natychmiast przeniesiono mnie na drugą stronę szosy pod osłonę muru cmentarnego i tam ogniomistrz Kulczycki zrobił mi prowizoryczny opatrunek. Chciał nawet wyciągnąć odłamek, który był prawie na wierzchu, lecz nie pozwoliłem mu grzebać w ranie. Opatrzono również i innych rannych. Gdy nadjechała cała kolumna baterii poleciałem by ppor. Kucharski przejął narazie ode mnie

dowodzenie. Wkrótce nadjechał lekarz naszego dywizjonu ppor. Aratowski i ponownie zaczął mnie opatrywać. Powiedział, że mam szczęście, ponieważ to tylko lekkie ranienie, tym bardziej, że odłamek jest widoczny i zaraz go wyciągnie. Wydawało mi się, że całe plecy moje są zdrętwiałe i jest ogromna rana, a oni mnie tylko pocieszają. To wyciąganie odłamka z łopatki oraz z szyji było potwornie bolesne. Aratowski uprzedził mnie lojalnie, że to poboli mocno tylko przez dwie sekundy, a mnie się wydawało, że żałe plecy mi zdzierają. Podobno nawet wśszczałem z bólu, ale pocieszono mnie że jestem mocno wytrzymały. Wyciągnięcie odłamka było konieczne. Obwiązano mnie porządnie opatrunkami i lekarz chciał mnie zabrać do pułkowego punktu medycznego, gdzie będę sobie wylegiwał na noszach w dużym samochodzie sanitarnym /nota bene zdobyczym/. Była to taka sobie podęczna izba opatrunkowa. Cieszyłem się, że nie będę musiał iść do szpitala i jak rzekła siostra medyczna Ania /pomocnica lekarza dywizjonowego w stopniu plutonowego/ za tydzień tylko mała ranka pozostanie.

W Gęsierzynie, gdzie były stanowiska mojej baterii oraz stanowisko dowodzenia naszego dywizjonu, uprosiłem jakoś lekarza oraz dowódcę dywizjonu, bym mógł dalej leczyć się w baterii, tym bardziej, że na opatrunki mogą nawet chodzić pieszo do punktu medycznego w tej samej wsi.

Zgodzono się i zaraz znalazłem się w baterii. Starszy sanitariusz zaraz troskliwie zajął się mną, natomiast pozostałych rannych przewieziono do polowego szpitala 1 Dywizji Piechoty. Początkowo rany mnie piekły, lecz na drugi dzień strupy przyschły i ból minął. Wobec tego wybrałem się na stanowiska ogniowe baterii aby dać oficerowi ogniowemu wskazówki do strzelania na wprost. Teraz zamiast zwiadowcy ciągle towarzyszył mi nasz sanitariusz, tak jak we wszystkich armiach świata zwany łapiduchem.

Punkt obserwacyjny wybrałem na wieży kościelnej, skąd można było już zawczasu alarmować baterię o pojawieniu się na torze wodnym statków nieprzyjaciela. Stanowiska ogniowe były nad samym lustrem wody. Działony z miejsca przystąpiły do okopywania dział i budowę ukryć dla obsługi i amunicji. W niszach amunicyjnych złożono pociski odłamkowo burzące i przeciwpancerne. Działa ponadto wspaniale zamaskowano siatkami i darnią.

Nieco w prawo od frontu baterii na morzu, w odległości około 800 metrów od brzegu znajdowała się wyspa nawigacyjna /Leithölm/ z dwoma małymi latarniami sygnalizacyjnymi, które teraz nie były czynne. Wszystkie więc płynące ze Szczecina na pełne

morze statki i barki obowiązkowo musiały płynąć między baterią a tą wysepką. Teoretycznie więc żaden statek nie mógł przepłynąć nie trafiony. Mieliśmy każdy statek na odległości strzału bezwzględnego, tj. takiej odległości, przy której wierzchołkowa toru lotu pocisku nie przewyższa wysokości celu. Przekładając to na język prosty dziwnym by było, gdyby jakiś pocisk był niecelny.

Z dywizjonu otrzymaliśmy sporą ilość naboży sygnałowych/rakiet/ do oświetlania celów w nocy.

Po drugiej stronie Zalewu Szczecińskiego, w odległości około 3 kilometrów od nas, tuż na drugim brzegu była wieś Trzebież / Gross Ziegenort/ ze stacją kolejową tuż nad wodą.

Zwiadowcy z porucznikiem Kucharskim usadowieni na wieży kościoła mieli za pomocą telefonu alarmować baterię o pojawieniu się statków. Obok kościoła ewangelickiego była też plebania którą zająłem wraz z plutonem dowodzenia. Jak na małą wieś to plebania była wspaniała, a wręcz luksusowa. Początkowo chciałem ją zabrać na swoją kwaterę dowódcy dywizjonu, lecz jak raz wszedłem tam, gdy siostra robiła mi opatrunek, więc zrezygnowałem. Gdyby nie moja rana napewno nie mieszkałbym w tej plebanii. Po drugie miałem tylko krok na wieżę kościelną w razie strzelania baterii.

Kolacja w tym dniu była wspaniała, a to głównie dzięki pani pastorowej, która zostawiła nam doskonale zaopatrzoną spiżarnię. Najwięcej zadowolony był z tej spiżarni mój ordynans Esterson, ponieważ mógł tam zabłysnąć swoim kulinarnym mistrzostwem.

Znow nie dawała nam spokoju artyleria okrętowa, i to co najmniej z krążowników, ponieważ od każdego ich wybuchu ziemia dosłownie się trzęsła i wydawało mi się, że lada moment plebania runie. Okładali nas porządnie, a najbardziej z tego uszkodzonym był dowódca dywizjonu, ponieważ jeden z tych pocisków doszczętnie rozbił jego samochód stojący przy jego kwaterze.

Oczywiście w żadnym domu nie było z tego powodu szyb, a najbardziej żał mi było pięknych witraży w kościele, które po tej strzelaninie rozprysły się. Również nie było we wsi prawie całej dachówki na dachu.

Dzięki dobrym piwnicom w domach gdzie kwaterowali nasi żołnierze, nikomu nic się nie stało. Kiedyś po wojnie w czasie ćwiczeń prowadzonych w tym rejonie zjechałem popatrzeć jak też wygląda obecnie Gęsierzyno. Oczywiście wszystko było ładnie odbudowane, kościół był czynny / katolicki/, a na obok położonej łące, gdzie były potężne leje po okrętowych pociskach stał dziś

strach na wróble. Żołnierska kurtka mundurowa z 1945 roku na strachu pełnika swą ostatnią wartość na wyzwolonej pomorskiej łące.

Dzień 21 marca minął właściwie bez echa. Moje działa nie strzelały, za to mnie potwornie dokuczała rana na szyji oraz na plecach. Mój ordynans uspakajał mnie, że to że boli, to właśnie oznaka gojenia się rany. Wiedziałem, że to wierutna bujda, lecz chciało mi się wówczas w to wierzyć.

Wątpiłem czy wogóle już kiedykolwiek dane mi będzie postrzelać po niemieckich okrętach. Dzień był jakiś taki senny, słowem nijaki. Taki stan ducha na froncie jest bardzo niebezpieczny, ponieważ upada dyscyplina. Dowódca dywizjonu zadzwonił do mnie kurtuazyjnie najpierw pytając się o zdrowie, a później że "Twoi żołnierze chodzą po chałupach i coś tam szabrują. Zagon ich natychmiast do roboty, a nie to ja im zaraz znajdę zajęcie!".

Powlokłem się na stanowiska ogniowe. Rzeczywiście w każdej obsłudze działa brakowało po kilku żołnierzy, a działownikom nie umieli wytłumaczyć mi dokąd poszli. Po godzinie żołnierze zjawili się na stanowiskach ogniowych, a każdy z nich dzwigał wypchany czymś plecak. Gdy kazałem pootwierać plecaki, wysypały się z nich cywilne ubrania. Zjawisko okazało się niebezpieczne. Uważano bowiem, że żołnierz może wziąć od osób cywilnych to wszystko, co jest mu konieczne do prowadzenia wojny. Nawet jedzenie - bo to też niezbędne aby prowadzić walkę. Natomiast wszystko inne co żołnierz weźmie, a nie jest mu potrzebne do prowadzenia walki, jest zwykłym maruderstwem, grabieżą i jest to karane, choćby nawet nie było właściciela tych rzeczy.

Musiałem więc przeprowadzić z żołnierzami pogadankę w tej sprawie. Zaznaczyłem, że do końca wojny jest jeszcze daleko i wożenie ze sobą zbędnych do walki rzeczy jest zbyt ciężkim obciążeniem. Powiedziałem, że w dniu zakończenia wojny pozwolę każdemu żołnierzowi baterii zabrać kilka rzeczy cywilnych jako podarunek dla ich zbieżonych wojną rodzin. Obietnicy solennie dotrzymałem.

Dzień 22 marca był jakiś taki ponury i ciemny. Wydawała się, że znów przyjdzie nuda jak dnia poprzedniego. Pokręciłem się trochę po mojej kwaterze, a sanitariusz od lekarza pułku przewiązał mi rany. Robił to bardzo fachowo i z przejęciem i ceniłem to w nim. Wtem odzywa się telefon z wieży kościoła, gdzie znajduje się mój PO. "Panie poruczniku! Proszę szybko na PO, bo coś dużego płynie od strony Szczecina". W biegu zakładałem płaszcz z pasem i pistoletem i szybko do pobliskiego kościoła. Na wieży

Podporucznik Kucharski pokazał mi majaczące we mgle jakieś płynące góry, które powoli zbliżały się. Zaraz wydałem komendę dla baterii: "Do boju! Przeciwpancernymi i odłamkowo-burzącymi ładować!". Już poprzednio wyznaczyłem, by pierwszy pluton ładował pociski przeciwpancerne, natomiast drugi pluton pociski odłamkowo burzące. Obawiałem się tylko, aby stojąca z mojej prawej strony 1-szy bateria nie zdradziła się tylko swoimi wystrzałami, przecież cel szedł z lewej strony. Nie powinni przecież strzelać po przekątnej. Holownik z załadowanymi barkami powoli zbliżał się, sapiąc i wyrzucając z komina kłęby dymu. Cały holownik i ciągnięte przez niego barki, dla zamaskowania, przykryte były siatkami maskującymi i gałęziami, Gdyby to wszystko stało przy brzegu to można by tego niezauważyć. Przez lornetkę widziałem nawet numer holownika wymalowany na jego burcie, natomiast ludzi nie było widać. Podałem dla baterii ogólny celownik i punkty cełowania dla każdego działka. Chciałem jednocześnie otworzyć ogień do holownika oraz przez każde działko do trzech holowanych barek.

Gdy holownik znalazł się tuż na linii strzału trzeciego działka, podałem komendę: "Ognia!". Dla holownika otwarcie przez nas ognia było dużym zaskoczeniem, ponieważ bateria była też doskonale zamaskowana. W tym byliśmy nie gorsi od Niemców. Kanonada mojej baterii grzmotem przerwała ciszę. Cały holownik oraz barki spowite były dymem i z wieży kościoła trudno mi było dojrzeć efekty ognia. Każdy działonowy prowadził ogień do oddzielnego celu, a oficer ogniowy tylko ogólnie kierował ogniem działek. Nawet z wieży kościoła słychać było jego nieregularne komendy: "Dziwiński! Dołóż mu jeszcze trochę!". . . /Dziwiński - to działonowy drugiego działka/. Już gołym okiem widoczne były spustoszenia na barkach. Tylko kilku ludzi, nawet nie w mundurach, wyskakiwało z barek do wody na wyrzucone przed tem koła ratunkowe.

Dowódca 1-go działka kapral Czernuszko widocznie strzelał pociskami przeciwpancernymi poniżej linii wodnej, ponieważ pierwsza za holownikiem barka zaczęła zanurzać się w wodę tworząc swoistą kotwicę dla holownika i pozostałych barek. Widocznie nie było tam śmiałka, któryby odciął hole. Holownik jak podziurawiony garnek zaczął odwracać się do baterii rufą. Holownik właściwie był już wrakiem, lecz pozwoliłem dowódcy 1-szej baterii aby go dobił. Jednak holownik ten był niezatapiałny. Tyle pocisków trafiło w niego, a on się palił ciemnym płomieniem i nadal utrzymywał się na wodzie.

Był to chyba już ostatni niemiecki transport wodny ze Szczecina, ponieważ już więcej takiej frajdy nie mieliśmy.

23 marca dowódca dywizjonu oznajmił wszystkim, że w południe odbędzie się odprawa dowódców dywizjonów i baterii u dowódcy pułku. Musi to być to coś ważnego, skoro dowódca pułku chce nas oglądać. Na odprawie dowódca pułku oznajmił nam, że cała brygada ma natychmiast zwinąć ugrupowanie bojowe i udać się na dwutygodniowy odpoczynek do rejonu GRYFIC /GREIFENBERG/. Krzyżęte to zostało gromkimi brawami i okrzykiem "Hura!", tak że dowódca pułku musiał temperować nasze młode temperamenty przywołaniem nas do porządku i powagi odprawy.

Cieszyłem się z tego powodu potrójnie. Raz, że będę mógł porządnie wreszcie wyleczyć moje rany, które dopiero teraz zaczęły ropieć i podwójnie boleć. Po wtóre, zbliżały się Święta Wielkanocne. Po trzecie, że otrzymaliśmy z bratem Wiesławem list od rodziców z Zamościa, no i będzie można trochę odpocząć i spokojnie pospać.

Pułk nasz otrzymał zadanie wykonania marszu do miejscowości GRĄDY /GRANDSHAGEN/ leżącej 7 kilometrów na północny-zachód od GRYFIC. Trasa marszu wiodła przez niebrzydkie miasto Gryfice i zaraz wjechaliśmy do Grąd. Było to taka sobie niemiecka wieś z pałacem i folwarkiem jakiegoś pruskiego junkra. W pałacu oczywiście usadowił się sztab pułku oraz sztaby dywizjonów z kwatermistrzostwem pułku. Część baterii rozłokowała się we wsi, moja natomiast bateria tuż za wsią w małej kotłowni. Trzeba było więc zająć się kopaniem ziemianek. Jadąc z Gryfic do Grądów, widziałem w miejscowości Przybiernów niewielki tartak ze składem desek, więc zaraz wysłałem tam wszystkie samochody baterii po deski i belki. Okazało się, że tartak fabrykował baraki, jakie często oglądaliśmy w czasie wojny, i właśnie na obszernym placu leżało pełno części baraków w postaci gotowych ścian, podług itp. Zwieźliśmy co się dało do naszej kotlinki i wkrótce powstały takie na pół baraki i na pół ziemianki. Były one bardzo wygodne, bo prócz części baraków, żołnierze przywieźli również trochę niezbędnych mebli oraz takich luksusów jak dywany, firanki oraz obrazy.

Jasne ściany barako-ziemianek lśniły w słońcu, a wewnątrz pachniały pięknie żywicą. Dla mnie, oraz dowódców plutonów przywieziono takki mały baraczek. Był on bardzo wygodny i powiedziałbym, nawet ładnie wyposażony wewnątrz. Jak na warunki frontowe był to luksus.

Nazajutrz idąc do sztabu dywizjonu rozmieszczonego w pałacu, zobaczyłem sporą grupę Niemek zmiatających podwórze pałacowe, pod kierunkiem ogniomistrza z kwatermistrzostwa pułku.

Jedna z tych Niemek coś usiłowała tłumaczyć ogniomistrzowi, lecz to była taka rozmowa jak u dziada do obrazu. Gdy podszedłem bliżej zobaczyłem młodą Niemkę w wieku mniej więcej moim, o niepospolicie pięknej urodzie. Na imię miała Inga. Wykłóciła się z ogniomistrzem, żeby dał im lepsze miotły do zmiatania a nie drapaki. Niemki przystąpiły dalej do zmiatania, a ja uciałem rozmowę z piękną Ingą. Przyjechała tu z Zagłębia Ruhry, gdzie były duże bombardowania i zaraz po zakończeniu działań wojennych chciała wracać w rodzinne strony. Widywałem ją później kilkakrotnie i zawsze śmiejąc się ukazywała rzędy śnieżnobiałych zębów. Nie wiem dlaczego nie potrafiła wymówić mojego prostego nazwiska, dlatego zawsze zwracała się do mnie mówiąc: "Herr Leutnant Georg" /Pan porucznik Jerzy/. Był to taki miły przerywnik w czasie walk.

Równolegle do przygotowania miejsc zakwaterowania kwatermistrzostwo urządzało pranie żołnierskiej bielizny, naprawę umundurowania i obóvia, naprawa i konserwacja broni i samochodów oraz innego sprzętu bojowego. Czas dwutygodniowego odpoczynku należało wydajnie wykorzystać.

Z brygady odszedł dotychczasowy jej dowódca generał Stanisław Skokowski na stanowisko dowódcy 5 /naszej/ Dywizji Artylerii Przełamania. W skład tej dywizji, jak już poprzednio wspomniałem wchodziła nasza brygada, 2 Brygada Artylerii Haubic oraz 10 Brygada Artylerii Ciężkiej. Na zwolnione miejsce dowódcy naszej brygady przyszedł ze stanowiska zastępcy Komendanta Oficerskiej Szkoły Artylerii w Chełmie, dobrze mi znany generał Eugeniusz Laszko.

Nadchodzące Święta Wielkanocne postanowiliśmy przygotować tak, by były one chociaż w części podobne do tych w domu, w gronie rodziny. Z wyżywieniem nie mieliśmy absolutnie żadnych trudności. Były nawet delikatesy w postaci czekolady, kawy, kakao, doskonałych papierosów i trunków. Znalazły się też i portugalskie sardynki.

Sztab pułku nakazał w każdej baterii przygotować święcone, które miał poświęcić kapelan brygady ksiądz major Miozok. Oczywiście zarządzenie wymieniało dokładnie co winno wejść w skład święconego i ile tego powinno być na stole. Przewidywano: pięto kiebasy, dwa jajka obrane ze skorupki, kawałek chleba oraz przybra-



Ze świąteczną wizytą w 3-ciej baterii
u mojego brata / od lewego: mój brat Wiesław, ppor. Wania
Pietrow, Rosjanin, czasem bardziej serdeczny niż nasi,
lekarz dywizjonu ppor. Aratowski, Rosjanin, oraz ja /



"Rodzinne" zdjęcie z bratem w czasie wielka-
nocnego odpoczynku .

nie. Całość miała być ułożona na stole przykrytym białym obrusem.

Przyszedł dzień 1 kwietnia, pierwszy dzień świąt wielkanocnych. Pogoda była iście wiosenną, a słońce przygrzewało jak w lipcu. Raniutko na dużym placu we wsi ksiądz kapelan odprawił mszę polową dla całego pułku, a następnie chodził do wszystkich baterii święcąc przygotowane potrawy. W innych pułkach brygady tj. w 10 i 11 pułku uczynił to już wczoraj w wielką sobotę. Podczas święcenia dzielił się również z wyznaczonymi żołnierzami symbolicznym święconym jajkiem. Kapelan i my wszyscy życzyliśmy sobie szybkiego zakończenia wojny i powrotu do swoich rodzin i rodzinnych stron. Osobiście wątpię, czy moi żołnierze w przeszłości mieli tak sute i powiedziałyby luksusowe święta.

W czasie świątecznego śniadania życzyłem przy wspólnym stole całej baterii dobrego zdrowia i dobitcia znieprawionego wroga. Szef dosłownie wychodził z siebie by to świąteczne śniadanie wypadło jak najlepiej. Na stole dosłownie nie brakowało niczego. Niejednemu z moich żołnierzy przyszły wspomnienia z rodzinnych stron i nie jeden pokryjomu wycierał niby to swędzące oko.

W południe na zbiórce całego pułku nastąpiło wręczanie odznaczeń za przeszłe walki. I mnie spotkało wyróżnienie. Zostałem odznaczony za walki na Wale Pomorskim oraz w Łobozbrzegu, Krzyż Walecznych oraz Srebrny Medal Zasłużonym na Polu Chwały. Medal ten na rewersie ma krzyż Virtuti Militari, natomiast na awersie napis: "Zasłużonemu na Polu Chwały". Wstążka do medalu jest w kolorze wstążki Virtuti Militari, lecz w odwrotnym ułożeniu niebieskiego i czarnego koloru. Pamiętam, że później w swoim baraku długo oglądałem się z tymi odznaczeniami w lustrze.

Wieczorem na wolnym powietrzu odbyła się prelekcja amerykańskiego filmu muzycznego pt. "Serenada w dolinie słońca". Film ten oglądałem po raz pierwszy i podobał mi się bardzo.

Wieczorem, po filmie dowódca dywizjonu zaprosił wszystkich oficerów dywizjonu na uroczystą kolację świąteczną oraz związaną z wręczonymi odznaczeniami. Kolacja była wspaniała i najlepszy obecnie hotel "Orbis" nie powstydziliby się

Wysłałem również wraz z bratem życzenia świąteczne do rodziców w Zamościu. Szczęśliwie doszły i obecnie załączam je

We wtorek po świątach wezwano mnie do dowódcy pułku. Dziwiłem się co to może być i w myśli przebiegały mi wydarzenia ostatnich dni, lecz przecież nic nie przeszkrobałem, ani też nic szczególnego nie wydarzyło się w baterii. Okazało się,

że dowódca baterii jest do tego stopnia chory na wrzody żołądka, iż do linii już nie powróci i musi nadal leżeć w szpitalu. Dowódca pułku pogratulował mi mianowania na dowódcę baterii. Byłem dumny jak paw i cieszyłem się z samego choćby tylko faktu, że byłem najmłodszym, zaledwie dziewiętnastoletnim dowódcą baterii w wojsku polskim. Nie słuchałem już pouczeń dowódcy pułku jakie to mnie czekają pilne i odpowiedzialne obowiązki na stanowisku dowódcy baterii i czemprędzej wyleciałem jak z procy z pałacu w którym mieścił się sztab pułku.

Dni odpoczynku miały przyjemnie i miło. Rozleniwiałem się już do tego stopnia, że niewyobrażałem sobie, że trzeba będzie znów rozwijać baterię w ugrupowanie bojowe, czołgać się, chronić od nieprzyjacielskich pocisków itp. Było teraz cicho i żaden rozrywający się pocisk nie mącił spokoju.

Odpoczynek nasz zbliżał się, niestety, bardzo szybko ku końcowi i wiedzieliśmy, że wejdziemy niebawem znów do walki i chyba już walki ostatniej.

Nazajutrz wezwano do sztabu pułku kreślarzy z baterii i dywizjonów do wykonania pilnych prac. Wtajemniczeni zdradzili, że kreślarze nasi wyrysowują dla każdej baterii nową marszrutę gdzieś na południe.

Dywizje naszej polskiej armii zostały już luzowane przez oddziały 2 Frontu Białoruskiego. Dowiedzieliśmy się, że nasza armia weźmie udział w ostatniej, kończącej wojnę operacji, w operacji berlińskiej.

Rano o świcie dowództwo pułku wysłało grupę rozpoznawczą i pododdział regulacji ruchu na nakazaną brygadzie marszrutę. Kreślarz z mojej baterii powiedział mi, że mamy osiągnąć las w rejonie paru kilometrów na wschód od miejscowości SIEKIERKI /ZOEKERICK/ nad Odrą.

Okazało się, że każdy rodzaj wojsk naszej armii miał oddzielną marszrutę. W pułku wrzało jak w ulu. Wszyscy przygotowawali się do nowej walki, a przede wszystkim marszu. Przygotowywano białe płachty na tarcze ochronne dział, aby jadący za działem pojazd nie najechał na lufę, ponieważ marsz miał odbywać się przy całkowitym maskowaniu świateł. Zapalone miały być tylko przy samochodach tzw. notki tj. małe lampki pozycyjne. Szef baterii przygotowywał na każdy samochód termosy z kawą. Technik samochodowy dywizjonu kilkakrotnie sprawdzał silniki samochodów i dawał ostatnie wskazówki kierowcom. Jednym słowem przygotowania do marszu były w pełni.

NAPRZOD ! NA BERLIN !

7 kwietnia 1945 roku rano odbyła się w sztabie pułku odprawa wszystkich oficerów. Na czołowej ścianie sali wisiała ogromna mapa z wyrysowaną marszrutą, rejonami odpoczynku i końcowym rejonem ześrodkowania. Obok na arkuszach brystolu widniały tabele marszu, a więc ugrupowanie w marszu, jego tempo, wskazówki do bojowego zabezpieczenia działań/ maskowanie, rozpoznanie, obrona plot i ppanc i ubezpieczenie bezpośrednie kolumny. Dowódca pułku podpułkownik Michał Karbownik swoim basowym głosem podawał poszczególne punkty rozkazu bojowego do marszu, a szef sztabu pułku major Aleksander Tarasiewicz wodził wskaźnikiem po mapie.

Wymarsz z dotychczasowego rejonu ześrodkowania miał nastąpić jutro rano o świcie tj, 8 kwietnia przez:GRYFICE /Greifenberg/, PŁOTY /Plate/, NOWOGARD /Neugard/, MASZEWO /Masse/ STARGARD SZCZECIŃSKI / Stargard/, PYRZYCE/Pyritz/, BANIE /Bau/ oraz KLUCZEWO /Klitzow/, gdzie miał nastąpić odpoczynek.

Wieczorem na lufach naszych haubic żołnierze wymalowali napisy: " NAPRZOD NA BERLIN", "POMSCIMY GRUZY WARSZAWY" itd.

Nazajutrz była ładna słoneczna pogoda, to też wszystkie środki przeciwlotnicze były w pełnym pogotowiu. Do tego celu używaliśmy przeważnie zdobycznych niemieckich karabinów maszynowych MG-34. Na zwisających taśmach amunicyjnych na przemian były pociski smugowe i przeciwpancerne. Przy takiej pogodzie i w jasny dzień nalot niemieckiego lotnictwa był więcej jak pewien i trzeba było się do tego należycie przygotować.

Asfalt na szosie był suchy to też kolumna naszego dywizjonu mknęła bardzo szybko, osiagając na licznikach samochodów nie rzadko cyfrę 70, to jest 70 mil na godzinę. Oznaczało to, że nasza prędkość marszu na niektórych dogodnych odcinkach drogi wynosiła 95 kilometrów na godzinę. Nigdy już później po wojnie nasze jednostki wojskowe na ćwiczeniach nie jeździły tak prędko.

Po południu tego dnia osiągnęliśmy KLUCZEWO. Po przenocowaniu, nazajutrz 9 kwietnia dalszy marsz. Marsz tym razem mieliśmy odbyć w nocy z 9 na 10 kwietnia. O godzinie 21.00 wyfuszaliśmy na marszrutę. Stało się tak dlatego, że poprzedniego dnia lotnictwo niemieckie silnie atakowało kolumny naszego armijnego kwatermistrzostwa, gdzie były liczne straty. W przewidywaniu, że może znów nastąpić nalot, nakazano marsz nocny. Ruszyliśmy przez ROW /Riffen/, TRZCINSKO ZDROJ / Deutsche Schoen-

fliess/, STOŁECZNĄ /Stolzenfelde/ do WARNICY/ Warnitz/. Marsz był trudny, ponieważ noc była bezksiężycowa, bezwietrzna a tumany kurzu całkowicie zasłaniały widok. Nie widać było nawet na 2 metry przed samochodem. Dla lepszej widoczności drogi trzeba było podnieść do góry szyby w kabinach samochodów. Cały kurz i pył osiadał na nas i na żołnierzach siedzących na skrzyniach samochodów. Wyglądaliśmy wszyscy jak duchy i widać było tylko białka oczów i białe zęby. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Zdarzył się jednak w mojej baterii wypadek. Kierowca kanonier Brycki nieopatrznie uderzył maską samochodu w jadące przed nim 1-sze nasze działo, uszkadzając o lufę chłodnicę samochodu. Na szczęście awarię udało się szybko usunąć.

O godzinie 6.00 rano 10 kwietnia osiągnęliśmy wyznaczony rejon ześrodkowania w lesie CHEŁM DUŻY, 5 kilometrów na zachód od WARNICY.

Byliśmy więc nad Odrą, dokładnie na kierunku Perlina. Stąd właśnie mamy rozpocząć operację berlińską. Niedaleko stąd znajduje się historyczna miejscowość - CEDYNIA. To tu właśnie brat Mieszka I, Czcibor, w 972 roku 24 czerwca rozbił całkowicie Niemców, którzy pod wodzą margrabiego Hodona wtargnęli na naszą ziemię. Niemcy zwabieni przez naszych w zasadzkę, ponieśli dotkliwą klęskę. Była to pierwsza w naszej historii bitwa kawaleryjska.

Wkrótce otrzymałem od dowódcy dywizjonu rozkaz rozwinięcia baterii w ugrupowanie bojowe. PO wybrałem na wzgórzu w miejscowości ŁYSOGÓRKI StARE /Alt Litzegerick/ tuż nad samą Odrą. Dziś pod tym wzgórzem jest ogromny cmentarz wojenny żołnierzy 1 Armii Wojska Polskiego.

Stanowiska ogniowe, dla zabezpieczenia możliwie dużej donośności haubic, były stosunkowo blisko, bo zaledwie 3 kilometry na północny wschód od PO, w roslym zagałniku sosnowym.

Na wiosnę 1945 roku Niemcy hitlerowskie już dogorywały, nie mniej jednak nie chcieli złożyć broni. Slogan: "Odra rzeką losu niemieckiego" miało służyć powszechnej mobilizacji ludzi do obrony hitleryzmu przed nadchodzącą katastrofą. Powołuje się nawet do regularnej armii 15-to letnich podrostków. Niemcy gonią ostatkiem sił, a przecież jeszcze niedawno wystawiły najpotężniejszą i najsprawniejszą siłę zbrojną świata. Tak potężnej maszyny wojennej jeszcze świat nie widział. Teraz owa maszyna już jest niemal w ruinie.

Do rozbudowy obrony wzdłuż Odry Niemcy przystąpili jeszcze w styczniu 1945 roku, natychmiast po przełamaniu ich frontu na Wiśle. Do połowy kwietnia zdołali na kierunku berlińskim przygotować silną i głęboko urzutowaną obronę, składającą się z tak zwanej Odrzańskiej Rubieży i Berlińskiego Rejonu Umocnionego. Odrzańska rubież tworzyła trzy pasy umocnień typu polowego rozbudowanych na głębokość 20 - 40 kilometrów.

Szczególną uwagę przywiązywano do obrony Berlina. Miał on być ostatnim miastem-twierdzą, której Hitler kazał bronić do ostatniego żołnierza.

Teraz nieprzyjaciel był za Odrą, a Odra w tym czasie była szeroko rozlana - jak morze. Sprawilo to przygnębiające wrażenie i pytanie: jak tu pokonać tak mocno rozlaną przestrzeń wodną? Widziałem już rzeki szersze i większe, ale teraz przedem rozpościerał się bezmiar wodny. Trudno nawet było zorientować się gdzie jest właściwa rzeka, a gdzie rozlewiska i zalewy. Całość miała szerokość ponad jeden kilometr. To już wskazywało na to, że forsowanie rzeki będzie piekielnie trudne. Dodatkowo, wiosenne roztopy spowodowały, że cała wschodnia dolina rzeki nie chroniona wałem przeciwpowodziowym, została całkowicie zalana. Tu i ówdzie widniały tylko liczne wysepki i mokradła powodujące niemożliwość ich pokonywania nawet na bardzo lekkich łodziach, nie mówiąc już nic o aspekcie psychologicznym. Psychologicznym dlatego, że praktycznie drugiego brzegu nie było widać. Jak tu pokonać to "morze" nikt narazie nie wiedział.

Rozpocząłem prowadzić rozpoznanie terenu i wykrywanie celów. Przed nami broniły się oddziały 5 Dywizji Strzelców, 606 Dywizji do Zadań Specjalnych oraz 25 Dywizji Zmotoryzowanej. Wszystkie te oddziały i związki taktyczne wchodziły w skład 10 Korpusu "Oder" z 9 Armii niemieckiej.

Przed nami "Nibelungen Stellung" zbudowana, jak już poprzednio wspomniałem, z trzech pasów. Każdy pas trzy pozycje. Pierwsza pozycja to rów ciągły o pełnym profilu z ogromną ilością stanowisk ogniowych dla ckm, dział ppanc i rowów łączących. Rów ten w zasadzie przebiega na wale przeciwpowodziowym. Zbudowano też w nim drewniane schrony bojowe. Druga pozycja przebiega od PAULSHOF, przez NEU RUDNITZ, NEU LITZGERICKE, aż po KARLSHOF. Trzecia pozycja - od HERRENWIESE, przez ADLIG REETZ, ALT REETZ do ALT MAEDWITZ. Drugi pas obrony rozbudowali Niemcy wzdłuż Starej Odry /Alte Oder/, oddalony od pierwszego o 25 km.

Cały obszar położony pomiędzy Odrą i Starą Odrą pokryty był licznymi rowami odwadniającymi, które mogą dodatkowo powodować trudności w manewrze. Tu również, w tym międzyrzeczu wszystkie miejscowości były przygotowane do obrony okrężnej i stanowiły silne punkty oporu. Ponadto wszędzie Niemcy naszpikowali teren różnego rodzaju minami oraz przeróżnymi zaporami z drutu kolczastego. Mosty przez liczne w tym terenie kanały były pozrywane, a wszelkie objazdy, ze względu na bardzo grząski teren, były prawie niemożliwe.

Powszechna świadomość Niemców, że obroną Odry stanowi ostatnią ich deskę ratunku, i której pod żadnym pozorem opuścić nie można, spowodowało, że wszystkie broniące się hitlerowskie oddziały złożyły specjalne ślubowanie. Ślubowali, że nie będą się bronić do ostatniego naboju i nie oddadzą się do niewoli. Każdy niemiecki żołnierz obejmujący posterunek na pierwszej linii powtórzał slogan "Główna linia obrony Niemiec to Odra".

W tym czasie każdy dowódca baterii otrzymał zadanie przygotowania słupa granicznego, który śladem Chrobrego, mieliśmy wbić na brzegu Odry po jej przekroczeniu. Chłopcy moi na SO natychmiast z ogromną werwą i zapałem zabrali się do roboty. Dwóch żołnierzy, którzy przed wojną byli cieślami, wyciosali słup graniczny według podanego im przeze mnie rysunku. Belkę tę porostu wycięli ze stodoły. Pomalowali słup w biało-czerwone pasy, a baterijny "artysta" wymalował na czubku słupa orła i napis "Rzeczpospolita Polska". U dołu słupa widniało moje nazwisko. Każdy z żołnierzy z zaciekawieniem oglądał słup i doradzał to i owo, aby jak mówili "nasz słup był najładniejszy". Aby narazie słup nie pobrudził się, troskliwie owinięto go w jakieś płótno. Jednym słowem ze słupem obchodzili się jak z Hajkiem. Byli też i tacy, którzy prosili mnie abyśmy nasz słup zakopali gdzieś pod Berlinem, aby Polska była duża.

Wśród tych ceregieli ze słupem granicznym, raptownie nad nami ukazał się niemiecki samolot rozpoznawczy "Fieseler-Storch" podobny do ruskiego "kukuryżnika". Zewsząd strzelano do niego, więc niebawem bledział.

Podstawa wyjściowa naszej piechoty do forsowania rzeki była bardzo wygodna, ponieważ była na zalesionych wzgórzach leżących ponad lustrem wody na wysokości około 30 - 40 metrów.

Wejście na mój PO, położone na dominującym wzgórzu tuż nad samą Odrą, było mocno utrudnione. Gdy tylko jakiś śmiałek bezwiednie, bez maskowania się, pokazał się w polu widzenia Niemców, momentalnie otrzymywał silny ogień z zza Odry. Szczególnie polowaniem na naszych żołnierzy zajęli się niemieccy strzelcy wyborowi tzw. z angielska - snajperzy. Aby zaradzić temu

żołnierze musieli całą niemal noc kopać rów łączący. Dowódca dywizjonu radził mi, abym przesunął PO bardziej na północ, w stronę Siekierok /Zoeckerick/ o jakieś 800 metrów, lecz żał mi było tego doskonałego PO, szczególnie wspaniałego widoku na Odrę. Coprawda i sprawy bytowe odegrały tu swoją rolę. Tuż pod wzgórzem stał mały, ale zadbane domek, który stwarzał dobre miejsce do odpoczynku i gotowania posiłków. Jedynym mankamentem domku były jego okna wychodzące na Odrę. Postanowiłem wziąć przykład z jednej z baterii 5 Brygady Artylerii Ciężkiej. Kazałem ściągnąć ze stanowisk ogniowych stolarzy, którzy korzystając z pobliskiego tartaku, zbili taką porządną skrzynię o wymiarach 2,5 na 2,5 metra i wysokości 2 metry. O zmroku cały pluton zabrał się do kopania dołu na samym szczycie wzgórza, aby pod osłoną nocy można było do tego dołu zanieść ową skrzynię i zakopać ją. Nad ranem skrzynię lekko przysypano ziemią i zamaskowano. Był to elegancki właściwie pokój, w którym swobodnie można było prowadzić obserwację i strzelanie. W suficie był taki otwór 50 na 50 centymetrów w który wstawiona była lorneta nożycowa, wystająca ponad poziom ziemi o 10 centymetrów.

Niebawem wstrzelałem nakazane cele pomocnicze, które pozwalały na określenie poprawek balistycznych, meteorologicznych i technicznych. Owe poprawki, wprowadzone do danych określonych do poszczególnych celów, dawały dokładny ogień nawet bez konieczności wstrzeliwania celów.

Nasza polska armia miała po artyleryjskim przygotowaniu sforsować Odrę, Starą Odrę, przełamać taktyczną strefę obrony nieprzyjaciela, a następnie rozwinąć natarcie w ogólnym kierunku na Klosterfelde, Sachsenhausen, północne przedmieścia BERLINA, KREMMEN, FRIESACK oraz ARNEBURG nad Łabą. Szczególnie ważnym zadaniem naszej armii było odcięcie niemieckich wojsk zgrupowanych w Meklemburgii oraz wzięcie udziału w okrążeniu i zdobyciu stolicy III Rzeszy.

Wspierana przez naszą brygadę 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, z batalionem amfibii, miała przed rozpoczęciem

częciem artyleryjskiego przygotowania i forsowania, przeprowadzić rozpoznanie walką siłami jednego batalionu piechoty. Batalion ten miał opanować przyczółek na lewym brzegu Odry w rejonie zburzonego mostu kolejowo-drogowego CHRISTIANSBAUE.

Krótką nawałą ogniową brygady poprzedziła natarcie batalionu. Niemcy jakgdyby przeczuwając co się święci, spuścili tany i woda zalała podstawę wyjściową do ataku. Rozpoznanie walką nie powiodło się, a jedna z kompanii piechoty, która ulokowała się na małej odrzańskiej wysepce, w chwili przyboru wód musiała ratować się i płynąć w stronę naszego brzegu.

Noc z 15 na 16 kwietnia dobiegała końca. Jakaż była krótka i zarazem długa. Długa dla żołnierzy oczekujących na otwarcie ognia i rozpoczęcie ataku, krótka dla tych, którzy bez chwili wytchnienia przerzucali na promach działa i czołgi.

Niedługo świt i początek artyleryjskiego przygotowania natarcia. Byłem dumny, że to mój rodzaj wojsk jako pierwszy zawsze rozpoczyna walkę. Świt według kalendarza zacznie o godzinie 3.45. Artyleryjskie przygotowanie natarcia będzie trwało 30 minut. Na odcinku 1 Dywizji Piechoty średnia gęstość artylerii na 1 kilometr frontu wynosiła 119 luf, a więc nie była duża. Po drugiej strony Odry broniło się około trzech batalionów piechoty nieprzyjaciela, wspieranych przez 60 dział i moździerzy oraz 14 czołgów. Odcinek natarcia i forsowania rzeki w 1 Dywizji Piechoty wynosił 3 kilometry.

Srodki desantowe były więcej niż skromne, to też zastanawiałem się w jaki sposób wraz z plutonem dowodzenia pokonam Odrę. Drugim zmartwieniem moim była łączność. Posiadane trzy radiostacje były zawodne i głównie musiałem polegać, podobnie jak i inni, na łączności przewodowej. Jak więc ciągnąć kabel przez rzekę ?

Tuż przed natarciem odczytano we wszystkich kompaniach, eskadrach i bateriach naszej armii rozkaz dowódcy 1 Frontu Białoruskiego marszałka Żukowa. Był to specjalny rozkaz do polskiej armii. Żukow mówił, że "Nastał czas podsumowania strasznych zbrodni dokonanych na ziemiach polskich przez hitlerowskich ludobójców. Nastał czas ich ukarania. Sztandary bojowe Waszych jednostek owiane są chwałą wielu zwycięskich bitew, chwałą odniesionych zwycięstw. Swaim potem i krwią zdobyliście prawo do rozgromienia berlińskiego zgrupowania nieprzyjaciela i uczestniczenia w szturmie Berlina. Dzielni żołnierze ! Wzywam Was do wykona-

nia zadania bojowego, do rozgromienia wroga z właściwą Wam dzielnością i umiejętnością, z honorem i z chwałą. Od Was zależy, by gwałtownym uderzeniem pokonać ostatnie linie obronne i zmiażdżyć wroga. Naprzód na Berlin !".

Jak grom z jasnego nieba przyszedł rozkaz dowódcy dywizjonu, tym razem w kategoriycznej formie, abym przesunął mój PO na kierunek natarcia wspieranego przez nasz pułk pułku piechoty. Uczyniłem to bardzo szybko, ponieważ początek artyleryjskiego przygotowania zbliżał się. Szybko wybrałem PO na dachu murewanego domu we wsi Siekierki, tuż nad brzegiem rzeki. Już nie wiem kto doniósł mi, że został ranny mój starszy brat Wiesław. Ulżyło mi, gdy dowiedziałem się, że była to lekka rana w nogę.

Tylko moi zwiadowcy zdążyli ustawić na strychu domu przyrządy do obserwacji, gdy tuż przed domem wybuchł pocisk z niemieckiego 119 mm moździerza. Drugi pocisk uderzył w przeciwnie od nas kraniec strychu czyniąc dużą wyrwę w dachu. Stałem na szczęście za kominem i nic mi się nie stało, natomiast dwóch moich telefonistów zostało rannych. Leżeli cicho pojękując a ogniomistrz Kulczycki wraz ze mną robili im prowizoryczne opatrunki. Całe szczęście, że w pobliżu był punkt opatrunkowy 1 pułku piechoty. Okazało się, że moi telefoniści urodzili się w przysłowiowym czepku, ponieważ po założeniu im fachowego opatrunku odesłano ich do baterii.

W poniedziałek 16 kwietnia 1945 roku o godzinie 3.00 w pasie działania głównych sił 1 Frontu Białoruskiego rozwiniętych na przyczółku kostrzyńskim, rozpoczęło się dwudziestominutowe, niezwykle silne artyleryjskie przygotowanie z dużą aktywnością lotnictwa. Było jeszcze ciemno, ale Sowieci zgromadzili na tym kierunku dużą ilość przeciwlotniczych reflektorów i z chwilą natarcia zapalili je. Niemcy byli kompletnie zaszokowani tym niespotykanym dotąd sposobem walki. Byli poprostu kompletnie oślepieni dużym blaskiem silnych reflektorów. Nic nie widzieli i o to chodziło.

O godzinie 4.14 przeszedł do natarcia nasz lewy sąsiad - sowiecka 47 armia.

Palę nerwowo papierosa za papierosem, a rozmowa z podporucznikiem Kucharskim jakoś się nie klei. Była godzina 3.30, a więc jeszcze kwadrans do rozpoczęcia naszego polskiego artyleryjskiego przygotowania natarcia. Wygląda na to, że 30-to minutowe przygotowanie zakończy się prawie równo ze świtem.

Dzwonię na stanowisko ogniowe i pytam czy u nich jest wszystko przygotowane do otwarcia ognia. Właściwie to nie wiem po co tam dzwonię, ponieważ 20 minut temu dzwoniłem pytając się o to samo, a ponadto nie dalej jak 10 minut temu dzwonił oficer ogniówy baterii z meldunkiem o gotowości baterii. O ile jestem spokojny o samo artyleryjskie przygotowanie forsowania, bo to zwykle ześrodkowania ogniowe wykonywane zgodnie z czasem, o tyle artyleryjskie wsparcie natarcia wykonywane w postaci walu ogniowego jest trochę skomplikowane. W wale ogniowym jest sześć linii głównych / nazwy: "Ryś", "Lew", "Pantera", "Tygrys" "Niedzwiedź" i "Wilk" / a pomiędzy nimi linie pośrednie oddalone w głąb od linii głównych o 100 metrów. Ogień na liniach głównych prowadzi się tak długo, dopóki nie dostaniemy sygnału od piechoty na przeniesienie ognia. Na liniach pośrednich ogień prowadzi się przez dwie minuty i samodzielnie przenosi się ogień na następną linię główną i tak dalej. Boję się czy w porę otrzymam sygnał od piechoty na przeniesienie ognia i nie ostrzelam własnej, już i tak przetrzebionej własnej piechoty.

Dookoła jest mgła i właściwie to nic nie widać. Zastanawiam się jak w takiej sytuacji prowadzić mam ogień skoro nie będę obserwował własnych wybuchów. Czyżby mi przyszło działać po omacku, jak ślepiec? Jak będę poprawiał mój ogień skoro go nie będę widział? A może moje pociski spadną nie na Niemców, a na naszych?

Z tego powodu martwili się też i inni, nie tylko ja. Martwił się też i dowódca armii generał dywizji Stanisław Popławski /tak później pisał w swoich pamiętnikach/.

Po chwili powiał zbawienny wiatr i mgła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozstała się.

Nagle z lewej strony zagrział potężny ryk. To stojące w pobliżu moich stanowisk ogniowych "Katusze" /rakietowe moździerze/ oddały salwę, dając tym samym sygnał do otwarcia ognia przez artylerię. W tym momencie świat jakby skołowaciał. Potężny, już potem nigdy do końca wojny nie spotykany, huragan artyleryjskiego ognia wchodził siłą w bębunki uszu. Huk był nieprawdopodobnie silny. Nie widać już było pojedynczych wybuchów, a jedynie ciągłą strefę ognia po drugiej stronie Odry. Całość zlewała się w jeden potężny huragan. Tysiące błyskawic o różnym natężeniu głosu i jaskrawości, tworzą ani na chwilę nie gasnącą gigantyczną kunię i czarny gęsty dym. Ponad 1000

polских dział pluje na wroga. Dla tego chociażby widoku warto było pójść na front.

Moja bateria prowadzi ogień do celów planowych / to znaczy do celów zawczasu przygotowanych, określonych w dokładny sposób z ustalonym sposobem ostrzeliwania powierzchni/ Nr. 25, 25 A, 16 i 17. Obezwładniam i niszczę baterie artylerii nieprzyjaciela: cele 12 / $x=51510, y=43200$ /, cele 13 / $x=51350, y=44870$ / oraz cel 14 /bateria 105 mm haubic $x=51930, y=47450$ /.

Pocisków wystrzelonych przez moją baterię zupełnie nie widzę. Dziwię się po co uczono mnie w szkole podchorążych dokładnego obserwowania własnych pocisków i poprawiania ognia, skoro sam największy mędrzec nie wiedziałby które to są pociski moje, skoro strzela 1000 dział.

Równocześnie z rozpoczęciem artyleryjskiego przygotowania - pierwszorzutowe bataliony 1-go pułku piechoty ruszyły z podstawy wyjściowej w stronę rzeki. Teren za Odrą był zupełnie niewidoczny od dymu od wybuchów. Dym jak na złość tak jakby stanął w miejscu.

Falę szturmową tworzyły dwie kompanie samochodów-amfibii, a za nimi, na łodziach saperskich przeproważyły się następne rzuty piechoty kościuszkowskiej. Grupa szturmowa osiągnęła już przeciwległy brzeg na odcinku o szerokości 500 metrów. Cały czas śledzę to przez lornetę nożycową. Stopniowo lądowały za nimi bataliony piechoty z 1-go i 2-go pułku piechoty. Morderczy ogień licznych karabinów maszynowych nieprzyjaciela przynosił duże szczyrby w naszych szeregach. Szczególnie mocno dostawało się naszej piechocie. Całe artyleryjskie przygotowanie forsowania wydało mi się jakieś krótkie i zaraz pewno rozpoczniemy wał ogniowy. Nagle telefon z dywizjonu. Wału ogniowego nie będziemy prowadzić ponieważ nie będzie można dobrze obserwować naszej piechoty i sygnałów od niej i w zamian za to będziemy wspierali piechotę metodą ześrodkowań ogniowych na zapotrzebowanie piechoty.

Bateria zniszczyła skupienie taborów i piechoty nieprzyjaciela / $x=50950, y=44930$ /, oraz plutonowy punkt oporu nieprzyjaciela / $x=49940, y=45810$ /. Wystrzelałem już 182 pociski i nie martwiłem się o nie ponieważ bateria dowozu amunicji z brygady systematycznie dowoziła nam ją.

Nasza artyleria torowała drogę piechocie i czołgom, zalewając dosłownie pozycje Niemców lawiną ognia, krusząc schrony drewniano-ziemne i niszcząc przeszkody.

Angielski pisarz wojskowy Ryan, autor znanej książki

o walce naszej brygady spadochronowej generała Sosabowskiego pod Arnhem pt. "O jeden most za daleko", pisał w swojej książce "The Last Battle" /"Ostatnia bitwa"/ o forsowaniu Odrę przez naszą polską armię. Autor trafnie charakteryzował uczucia naszych żołnierzy w owym czasie: "Byli wśród nich żołnierze, którzy widzieli swoje wsie starte z powierzchni ziemi ogniem niemieckich dział swoje zboża spalone, swoje rodziny wymordowane rękami niemieckich żołnierzy. Natarcie to miało dla nich charakter szczególny. Przez cały czas żyli nadzieją, że nadejdzie czas odwetu. Teraz atakowali z furją

Rzeka Iusu narodu niemieckiego - jak patetycznie nazywał Odrę Goebbels - leżała u naszych stóp i przekraczaliśmy ją właśnie.

W 1 Dywizji Piechoty pierwszy rzut natarcia stanowiły 1 i 2 pułki piechoty. Prawoskrzydłowy 2 pułk piechoty forsował Odrę w rejonie zniszczonych mostów Christiansaue i już o godzinie 7.00 uchwycił niewielki przyczółek. 2-gi batalion tego pułku musiał forsować Odrę pod bardzo silnym ogniem nieprzyjaciela, ponieważ jak to zwykle bywa, nieprzyjaciel po naszym przygotowaniu artyleryjskim częściami doszedł do siebie i uruchomił ocalałe środki ogniowe a także wprowadzał nowe. Silny ogień prowadzili Niemcy szczególnie z filarów mostu, powodując ogromne straty zarówno w ludziach jak też i w środkach przeprawowych. Do godziny 8.30 opanowano wał przeciwpowodziowy na odcinku 300 metrów. Były też liczne kontrataki nieprzyjaciela, które na wezwanie wspieranego 3-go batalionu 1 pułku piechoty likwidowałem

ogniem zaporowym. Ogień ten na odcinku o szerokości 300 metrów bateria prowadziła do jednej linii z pełnym reżimem. Przez tę ścianę ognia Niemcy nigdy nie odważyli się przejść. Każdy ogień zaporowy miał swoją nazwę od żywiołów przyrody, np. "Burza", "Huragan", "Ulewa" itp. Pod koniec dnia opanowano przyczółek oraz wyloty mostów zniszczonych.

1 pułk piechoty forsował Odrę w rejonie SIEKIEREK, prawie na wprost od mojego PO i pod koniec dnia zajął rubież wzdłuż toru kolejowego między BIENENWERDER a ZOECKERICER LÖGSE.

Ogólnie cała 1 Dywizja Piechoty pomyślnie sforsowała rzekę na odcinku o szerokości 2 kilometry na głębokość 1,5 kilometra. Do wykonania zadania dnia było jeszcze daleko, ale najważniejsze już osiągnięto - sforsowano szeroką jak morze Odrę. Forsowanie miała dywizja trudne, ponieważ otrzymała ze

szczebla armii zaledwie jeden batalion saperów. No cóż, i w tym wypadku potwierdziła się trafność francuskiego powiedzenia, że "nawet najładniejsza dziewczyna świata nie może dać więcej niż posiada". Pod wieczór była już w rejonie Siekierok jedna przeprawa promowa 16 tonowa oraz dwie 6-cio tonowe. Budowano też przeprawę promową w rejonie mostów Christiansaue. Niestety, wszystkie przeprawy promowe 1 Dywizji znajdowały się pod mocnym ogniem broni maszynowej nieprzyjaciela, nie wspominając już o niemieckiej artylerii i lotnictwie.

Główne uderzenie nasza armia wykonywała z przyczółka w rejonie GOZDOWIC. Był to przyczółek sowieckiej 47 armii. Dowódca tej armii za żadne skarby nie chciał puścić naszych dwóch dywizji na ich przyczółek. Dopiero na naszą interwencję dowódca Frontu marszałek Żukow, nakazał dowódcy 47 armii udostępnić ich przyczółek.

Nazajutrz, 17 kwietnia, otrzymałem z samego rana rozkaz przeprowadzenia się wraz z plutonem dowodzenia na drugą stronę rzeki. Rzut ogniowy pozostawał nadal na dotychczasowych stanowiskach ogniowych, ponieważ zasięg ognia pozwalał jeszcze na pełne zabezpieczenie wsparcia piechocie. Po wtóre nie było jeszcze mostu.

Największym moim zmartwieniem było to jak mam rozwiązać problem łączności. Posiadane trzy radiostacje nie gwarantowały ciągłej łączności, to też z konieczności musiałem polegać na łączności przewodowej. Ale jak tu przeciągnąć kabel przez tak szeroką przeszkodę wodną? Wprawdzie w szkole podchorążych uczono mnie, że można kabel telefoniczny przeciągać po dnie rzeki o ile dobra jest izolacja kabla. Niestety, mój kabel telefoniczny był już trochę podniszczony, a szczególnie izolacja, stąd wątpliwości o jego sprawność w wodzie.

Zdecydowałem się przeprowiać przez Odrę tuż przy filarach zniszczonych mostów: kolejowego i drogowego, w rejonie Christiansaue. Przekonał mnie szef łączności dywizjonu, radząc, aby z uwagi na słabą izolację kabla, przeciągać go na sterczących w wodzie filarach mostu.

Z całym plutonem dowodzenia wyszedłem nad brzeg poszukując jakiegoś środka przeprowowego. Właśnie obok przeprowiał się jeden z pułków naszej 6 Dywizji Piechoty. Ich kapelan ze stulą na ramieniu i z krzyżem w ręku błogosławił nim naszych żołnierzy. Sylwetka księdza raźniej podziałała na nas, tymbardziej

że wokół rwały się pociski niemieckiej artylerii. Już samo przeprowadzenie się przez tak mocno rozlaną Odrę stanowi swego rodzaju wyczyn, a tu jeszcze trzeba to wykonywać pod silnym ogniem artylerii i zawiszać kabel na zniszczonych rusztowaniach mostu leżących w wodzie.

Na dodatek madleciały właśnie niemieckie samoloty. Dwa niemieckie samoloty Messerschmitt-110 zrzucały na nas lekkie i bomby / niecelnie/ i trochę posiadały z broni pokładowej. Nieprzyjacielowi nie uszło to bezkarnie. Przeprowadzając się piechota otworzyła do samolotów huraganowy ogień z broni maszynowej. Niemieckie lotnictwo jeszcze dwa razy w tym dniu niepokoiło naszą przeprawę. Udało mi się dostać składaną łódź saperską z obsługą do przeprowadzenia nas na drugi brzeg. Przechyliły łodzi od wybuchów pocisków były bardzo duże, lecz w końcu po wielkich trudach udało się nam zaczepić kabel o wystające z wody kratownice mostu.

Obserwowałem ciekawy sposób dostarczania przez piechotę amunicji artyleryjskiej dla swoich dział i moździerzy na drugą stronę rzeki. Każdy żołnierz zabierał ze sobą jeden pocisk i po przeprowadzeniu się składał go na wyznaczony stos.

Na przeciwległym brzegu dostaliśmy się znów w sam środek niemieckiej, artyleryjskiej nawały ogniowej. Na brzegu, prócz nas, wyładowywały się z promów liczne tabory konne piechoty. Gdy ogłuszający huk wybuchów powalił nas na nadbrzeżny piasek wiedziałem, że straty będą duże. Pocisk niemieckiej haubicy trafił w sam środek wozu taborowego piechoty. Opadający kurz i dym odsłonił potworny widok. Oczywiście wóz rozbity był na drobne drzazgi, a wśród pogiętego żelastwa i rozbitych skrzyń z żywnością, tarzały się konie z zaprzęgu z niesamowicie rozprutymi brzuchami. Wnętrzości końskie wypływały na przybrzeżny piasek. Woźnica, a raczej jakaś krwawa miazga drgała konwulsyjnie obok. Za chwilę woźnica skonał, natomiast żal mi było okropnie rannych i cierpiących koni. Jeden koń patrzył na mnie takim błagalnym wzrokiem, że mimowoli odwróciłem twarz, aby nie widzieć tego potwornego widoku. Nikt nie kwapił się aby biednym zwierzętom ulżyć męki. Przed wojną w koszarach 12 Pułku Ułanów Podolskich widziałem kiedyś konia, który złamał obydwie nogi i jak go zastrzelono z pistoletu. Wyciągnąłem machinalnie moje parabellum i nie patrząc na konia strzeliłem w jego ucho. Męki konni skończyły się. To było okropne przeżycie tego dnia. Dopiero później uświadomiłem sobie, że przecież to wszystko odbywało się zaledwie o 30 metrów ode mnie

Przez kilka następnych dni, w chwilach zadumy, ciągle miałem przed oczami błagalne oczy, rozpiętanego przez pocisk na pół konia.

Przechodzący obok tego krwawego wydarzenia dowódca 2 batalionu i pułku piechoty kpt. Wejno wyrwał mnie z zamyslenia i poprosił o zniszczenia uciążliwego dla jego batalionu gniazda niemieckich karabinów maszynowych usadowionego w pobliskich murowanych zabudowaniach zamienionych obecnie w silny punkt oporu. Niemcy byli tam silnie umocnieni i siali stamtąd duże spustoszenie wśród naszej piechoty. Ogień z tych zabudowań był iście piekielny. Siedziałem razem ze zwiadowcą i radiotelegrafistą w dużym leju po bombie i nie mogłem nawet wychylić głowy, a zdawałem sobie sprawę z tego, że z tego miejsca nie będą mogli prowadzić ognia. Kilkakrotnie ponawiane przez nas wyjścia z tego leja wzbraniane były natychmiast ogniem karabinów maszynowych. Chyba Szwaby przewidywali, że chcę im solidnie dołożyć z haubic i nie pozwalali mi wyjść z leja. Po chwili względnego spokoju, po wielkich trudach jakoś doczołgałem się z moimi żołnierzami do biegnącego w pobliżu rowu melioracyjnego, niestety w połowie zalanego wodą. Brnąc po kolana w wodzie wyszukałem jakie takie miejsce gdzie mogłem przygotować dane do strzelania. Wnet odpowiednia komenda poszła na stanowiska ogniowe. Radio nawalało, więc ciągle w użyciu był telefon. Mimo, że spory kawał kabla telegraficznego leżał na dnie Odry, nie mniej jednak słyszalność stanowisk ogniowych była znośna. Wkrótce moje pociski z dzikim chichotem poszybowały na zabudowania i Niemców. Poprawka była niewielka i znów poszła seria bateryjna. Cel został wspaniale pokryty serią i niemieckie karabiny maszynowe narazie ucichły. Wnet płomienie objęły dachy zabudowań i nasza piechota ruszyła do przodu. Siedzący o 100m ode mnie dowódca batalionu ze swoim sztabem pokiwał z zadowoleniem ręką podnosząc do góry kciuk na znak, że bateria zrobiła dobrą robotę.

Stodoła w zabudowaniach, dokąd niedawno strzelaliśmy dymiła ciemnym dymem, który kładł się przy ziemi i przesłaniał nam całą widoczność. Niemiecka artyleria z rejonu Neu Kistrinchen, jakgdyby w odwecie, rozpoczęła znów ostrzeliwanie naszego rejonu. Przydusiła nas na pewien czas dół ziemi, lecz znów pełzając wycofaliśmy się na bardziej suche miejsce. Marzyłem aby gdzieś wysuszyć nasiąknięty wodą płaszcz i mundur. Na domiar złego uaktywniło się również szwabskie lotnictwo. W prawo od

nas przeleciało kilka Messerschmidtów - 110 i skierowało się gdzieś na wschód za Odrę.

Na komendę dowódcy dywizjonu bateria wzięła udział w ześrodkowaniu ogniowym do baterii nieprzyjaciela.

Podczas gdy my gromiliśmy Niemców nad Odrą, 9 Armia amerykańska uchwyciła kilka przyczółków na łapie pod Magdeburgiem. Jej dowódca gen. Simpson kategorycznie domagał się od Eisenhowera zezwolenia marszu na wschód w kierunku Berlina. Rozkazu takiego nie otrzymał bowiem wiadano, że zgodnie z postanowieniem konferencji jałtańskiej, teren Niemiec na wschód od Łaby ma przejść po wojnie pod okupację sowiecką. Amerykanie myśleli więc praktycznie: po co narażać przy końcu już wojny własne wojska na duże straty, skoro zdobyty teren ma przypaść Sowietaom. No cóż, podeszli by Amerykanie pod Berlin, starcili by około 100.000 żołnierzy i musieli się wycofać z powrotem za Łabę. To przecież nie był żaden biznes.

Żołnierze mojego plutonu dowodzenia c*o* i raz, peczęt kowo nieśmiało, dopytywali się kiedy wreszcie nasza bateria będzie mogła zakopać s*ł*up graniczny. S*ł*up był pieczołowicie przygotowany na stanowiskach ogniowych, podobnie jak to miało miejsce w innych bateriach i kompaniach piechoty. S*ł*up według odgórnych wytycznych miał być zakopany za Odrą. Krzypuszczaliśmy, że obydwie Odry będą należały do nas, więc zwlekałem z zakopaniem tego s*ł*upa. Narazie jednak nie było mowy o uroczystości zakopania s*ł*upa, ponieważ niemiecki ogień nie pezwalał na taką imprezę.

Rozlewiska pomiędzy Odrą i Starą Odrą powodowały ograniczenia ruchu samochodów. Ruch mógł odbywać się wyłącznie po twardych drogach. Każdy śmiałek, gdy tylko zjechał na pobocze drogi grząsał w błocie. Coprawda pola zalane były wodą tak na głębokość 5 - 10 cm. lecz bywały też i topiele. Z drugiej zaś strony jazda po utwardzonych drogach też nie była bezpieczna, ponieważ chytrzy Niemcy zaminowali je niemal wszędzie. Nie zważając na to wielu kierowców-śmiałków jechało po kawalersku po szosie i wylatywało w powiedrze, mimo ostrzeżeń naszych saperów.

Uciążliwości tego terenu nie ominęły również i mnie. Samochód ciężarowy plutonu dowodzenia marki CheVrolet niebacznie zjechał z drogi i ugrząsał aż po osie. Kierowca samochodu na moje pretensje z tego powodu, tłumaczył się, że chciał samochód

zamaskować w kępie wierzb. Amerykanie produkując samochody przewidzieli, że możliwe jest ich ugrzażnięcie w błocie, to też wyposażyli prawie każdy samochód w wyciągarkę. Żołnierze zaczepili jeden koniec stalowej liny o stojące w odległości od samochodu drzewo i po zapuszczeniu silnika samochód powoli sam wywłóknął się z grzęzawiska.

Niemcy cofali się na całym froncie, nie mniej jednak najmniejsze nawet zabudowanie zamieniali niemal w twierdzę. Mimo to nasza piechota umiała sobie radzić z takimi twierdzami. Ruszyliśmy wreszcie naprzód. Nie ujechaliśmy jednak daleko, ponieważ na drodze stał samochód naszej piechoty z doczepioną kuchnią polową. Nie można było wyprzedzić tego samochodu, bo znów groziło by to ugrzażnięciem w błotnistej mazi. Wreszcie samochód piechoty ruszył do przodu. Podczas postoju zawieruszył się gdzieś mój sierżant Kulczycki, więc musiałem poczekać na niego. Zaraz, ruszył, gdy ten się zjawił, lecz znów o kilometr dalej postój, ponieważ samochód piechoty z kuchnią wyleciał właśnie na minie. Maska samochodu była mocno pokiereszowana, podoficer oraz kierowca samochodu byli szczęśliwie tylko ranni. Chwaliłem owo zawieruszenie się gdzieś na poprzednim postoju Kulczyckiego. Niechybnie w czasie jazdy wyprzedziłbym ów kuchenny samochód piechoty i sam wpakowałbym się na minę. Jednak opatrznosc czuwała nade mną. Po zobaczeniu rozwalonego samochodu odeszła mi chętka zwymyślenia Kulczyckiego za samowolne oddalenie się.

Przed wieczorem ostrzelałem na prośbę piechoty skrzyżowanie szos / x=49940, y=45810/, na którym błyskały jakieś zagadkowe i dziwne światła. Zapadł wnet szybki wiosenny wieczór. Przed nami widać było tylko całe mrowie kolorowych rakiet i ulatujące gdzieś w niebo serie pocisków smugowych z karabinów maszynowych.

Obok zabudowań jakiegoś folwarku spotkałem dowódcę dywizjonu. Przełożony radził mi abym się nieco przespał. Nic właściwie godnego uwagi nie działo się więc przełożony uważał że podwładny musi być dobrze wyspany, aby nazajutrz gotowy był w pełni do działań. Podobno jutro mamy zmienić podporządkowanie i przejść do wsparcia 2 Dywizji Piechoty im. gen. Henryka Dąbrowskiego.

Zatrzymałem się w takich schludnych zabudowaniach. Powiadomiłem i przełożonego i moje stanowiska ogniowe gdzie jestem i przygotowałem się do zasłużonego odpoczynku.

Nie mogłem narazie zasnąć, ponieważ z kuchni dobiegały jakieś smakowite zapachy. Zdjąłem z siebie zbyt ciężkie oficerskie oporządzenie / pas z poprzeczką, torba polowa, mapnik, lornetka polowa, pistolet i taki mały pistolet maszynowy/. Całe szczęście, że nie trzeba było dzwigać zbyt ciężkiej maski przeciwgazowej, które szef baterii przechowywał gdzieś w swoich skrzyniach. Położyłem się jak długi na wygodnym tapczanie w oczekiwaniu na kolację. Wreszcie zjawił się mój ordynans kanonier Esterson obwieszczając, że ciepła woda do mycia i golenia już czeka w kuchni. Wszedłem do kuchni, a tam żołnierze kończyli już wlewanie wody do znalezionej gdzieś małej wanny blaszanej. Myślałem, że z zadowolenia ucałuję tego niskiego Żydkę za taką frajdę, jaką jest na froncie kąpiel. Przyjemnie rozkoszowałem się ciepłą wodą zapominając o tym, że tuż za oknem jest wojna. W między czasie moi zwiadowcy wytrzasnęli gdzieś czystą bieliznę, a mój mundur i szczególnie płaszcz był czyszczony i suszony. Przyniesiono wreszcie i kolację. Usłyszałem jakiś harmider na podwórzu i wnet żołnierze doniesli mi, że właśnie kapelan brygady pobłądził w ciemnościach i pyta o drogę do sztabu brygady. Wnet do pokoju wszedł kapelan prosząc o mapę. Ponieważ nie znałem położenia sztabu brygady poradziłem kapelanowi aby zjadł ze mną kolację, przespał się i dopiero nazajutrz wyruszył na poszukiwania sztabu. Zgodził się z moją propozycją i za chwilę razem spożywaliśmy kolację. Wieczór po kąpieli mojej był trochę chłodny więc na taką okazję wypiliśmy z kapelanem butelką koniaku.

Niemieccy gospodarze domu byli bardzo potulni i przesadnie grzeczni, a w rzeczywistości mocno przestraszeni. Gdy tylko dowiedzieli się, że jest też w ich domu katolicki ksiądz kapelan, z miejsca gdzieś powynajdywali najlepszą poście. Kapelan wytłumaczył bauerowi, że my nie walczymy z niemiecką ludnością, ale mamy mocno na pieńku z Hitlerem i jego bandą. Nie muszą się więc nas obawiać.

Taktowne i poprawne zachowanie się naszych żołnierzy w stosunku do niemieckiej ludności a szczególnie naszego gospodarza zaowocowało tym, że nazajutrz rano Frau Bauerin zaskoczyła i kapelana i mnie filiżankami prawdziwej gorącej kawy.

Niebawem oficer ogniowy baterii zameldował przez radio, że rzut ogniowy baterii stoi właśnie w kolumnie na przeprawie w gotowości do przejścia przez most pontonowy.

Tym właśnie meldunkiem przerywa łączność i odłącza aparat. Znów zaistniał wypadek w baterii dowodzenia pułku. Fryzjer pułkowy uraczył się wieczorem zdobyczym winem i w okropnych męczarniach skonał. To był jeszcze dodatkowy dowód, że Niemcy pozostawiają przykre niespodzianki na które łaszczą się maruderzy, przeważnie pijacy i alkoholicy.

Zmieniając dotychczasowe miejsce postoju, właśnie jadę samochodem i rozglądam się i w lewo i w prawo, gdzieby tu wybrać stanowiska ogniowe i punkt obserwacyjny. Stanowiska ogniów były pilne, ponieważ rzut ogniowy stał już w kolejce na przeprawie. Do dziś dnia pokutuje we mnie to rozglądanie się w prawo i w lewo od trasy jazdy i wybieranie rejonów stanowisk ogniowych. Zamiast podziwiać piękne widoki ja wybieram stanowiska ogniowe gdy już jest 50 lat po wojnie. To też jest choroba tej wojny.

Z opresji wyratował mnie oficer ze sztabu brygady. Mówił bym się na martwił o stanowiska ogniowe. Przecież wokół jest woda, więc stanowiska należy wybrać poprostu na samej drodze u wylotu wsi. Rzeczywiście była tuż za wsią taka droga do nikąd, że moje stanowiska ogniowe nie będą nikomu przeszkadzały. Wysłałem natychmiast zdobyczym motocyklem ppor. Kucharskiego na skrzyżowanie dróg w pobliżu miejscowości Neu Litzegerick /4848 d/ gdzie miał spotkać nasz rzut ogniowy i zaprowadzić go na wybrany dopiero co rejon stanowisk.

Chcąc jeszcze raz oglądnąć rejon stanowisk poszedłem tam by udokładnić miejsce pierwszego, kierunkowego działka, stanowiska karabinów maszynowych i rusznic ppanc do obrony SO oraz miejsca środków ciągu tj, samochodów ciągników. Idąc w butach gumowych przez bardzo płytkie rozlewiska / 5 - 10 cm, głębokości/ naraz wpadłem do niewidocznego głębokiego rowu melioracyjnego w którym zanurzyłem się po szyję. Wydrapałem się jakoś z tej pułapki i ociekając wodą skierowałem się do pobliskiego domu aby się wysuszyć. Suszenie płaszcza, munduru, a szczególnie jedynej w baterii mapy, tabel strzelniczych i innych ważnych dokumentów, które posiadałem w torbie polowej, trwało dosyć długo.

Gdy mundur był już trochę przesuszony udałem się na mój punkt obserwacyjny na skraju wsi Neu Wustrow. Ta niewielka wieś, tak jak i inne, wygląda jakby leżała na wyspie, ponieważ wokół były rozlewiska. Niemcy cofając się otwierali wszystkie możliwe śluzy, liczne w tym terenie, i zatapiali co się dało.

Do nieprzyjaciela jest stosunkowo blisko. Siedzi

narazie cicho na odległej od nas o 800 m stacji kolejowej Neu Rudnitz, a następnie wzdłuż toru kolejowego aż do Alt Reetz. Z tej to właśnie miejscowości, jakby na pobudkę ostrzelano nas bardzo silnym ogniem. Sąsiednie budynki palą się, a dym znów na złość nam siele się po ziemi w kierunku nieprzyjaciela, zasłaniając go. Śwad spalenizny czuje się wszędzie. Nawet całe moje umundurowanie czuć dymem. Moi zwiadowcy usadowiwszy się na szczycie wysokiego transformatora pilnie wypatrywali opłaczalnego dla haubic celu. W końcu udało się im wykryć niemiecką baterię która tak niemilosiernie okładała nas od samego rana. Rzeczywiście było widać ze szczytu transformatora miarowe błyski z rejonu wsi Alt Reetz, co nieuchronnie demaskowało nieprzyjacielską baterię. Mierząc odległość dalmierzem do nieprzyjacielskiej baterii, przy okazji, zaobserwowaliśmy i drugą baterię nieprzyjaciela. Współrzędne wykrytych baterii natychmiast zostały przekazane do sztabu dywizjonu. Były to baterie 105 mm haubic. Wkrótce liczne wybuchy w rejonie wykrytych baterii świadczyły o tym, że baterie drugiego dywizjonu stojące bliżej niż my, zajęły się niszczeniem baterii nieprzyjaciela.

Na dodatek tego wszystkiego znów pokazała się dogorywująca już Luftwaffe. Grupy po 3 - 4 samoloty wściekle atakowały skupiska naszej piechoty, a i nam się przy okazji obrywało również. Mimo huraganowego ognia karabinów maszynowych skierowanego do atakujących samolotów, te nic sobie nie robiły z naszego ognia i dalej z lotu koszącego waliły do nas ze wszystkiej broni pokładowej. Po chwili poszły wszystkie szyby w budynku, w którym mieliśmy nasz PO oraz połowa dachówek na dachu. Niestety, tak jak to śpiewało się we wrześniu 1939 roku, tak i teraz "naszych orłów widać nie było", a powinni byli nas osłaniać.

Po południu warunki obserwacji znów się popsuły. Lekka mgła spowiła ziemię, a na dodatek Niemcy palili stogi słomy i siana by dym wiejący na nas czynił nas ślepyimi.

Nadszedł blady świt 18 kwietnia. Znów ruszyliśmy trochę naprzód, a nieprzyjaciel broni się już wzdłuż wału przeciwpowodziowego na Starej Odrze. Moja bateria wspiera obecnie 3 batalion 5 pułku piechoty z 2 Dywizji Piechoty. Ostrzał prowadzony przez nieprzyjaciela z wysokiego wału przeciwpowodziowego całkowicie przydusił naszą piechotę do ziemi i nie ma mowy o jakimkolwiek ruchu do przodu. Ja z moim dowódcą plutonu dowodzenia oraz zwiadowcami i telefonistami również leżymy na mokrej ziemi

jak wspierany przez nas batalion. Przez lornetkę widać dokładnie, że Niemcy dobrze okopali się w wysokim wale przeciwpowodziowym, mają liczne karabiny maszynowe z których prują po nas jak do kaczek. Przeczolgałem się do sporego leja po bombie, który nie zdążył jeszcze nabrać podskórnej wody. Do wału na Starej Odrze jest chyba z 200 metrów. Gdzieś z rejonu Neu Gaul artyleria niemiecka bardzo mocno ostrzeliwuje naszego sąsiada z lewa. Bateria prowadzi ogień według współrzędnych podanych przez sztab dywizjonu. Na podstawie mapy mogę tylko zorientować się, że ogień nasz idzie mniej więcej na rejon Alt Ranft. Zaraz po zakończeniu strzelania otrzymuję meldunek oficera ogniowego baterii, którego głos nic dobrego nie wróży. Okazało się, że czwarte działo, a raczej jego lufa została rozerwana przez pocisk. Bateria prowadziła ogień do Alt Ranft, a odległość do celu była dość duża. Z tego też względu pociski dżłankowo-burzące wystrzeliwane były na 1-szy ładunku. Był to jeden z najmocniejszych ładunków po ładunku pełnym. Amunicyjny działa, żołnierz, który niedawno przybył do baterii jako uzupełnienie, poprostu pomylił pociski i zamiast odłamkowo-burzącego załadował pocisk przeciwpancerny - kumulacyjny. Pocisk przeciwpancerny może być wystrzeliwany z haubicy jedynie na ładunku czwartym, o czym świadczą nawet kartki w skrzyniach amunicyjnych przypominające o tym obowiązku. Przy wystrzeleniu pocisku ppanc. na ładunku pierwszym spowodowało rozerwanie się pocisku w lufie i w konsekwencji zniszczenie lufy. Oczywiście natychmiast pojechałem na SO i powiadomiłem o wypadku dowódcę dywizjonu. Na SO baterii wszyscy chodzili zmartwieni, lecz wielkim szczęściem było że nikt z obsługi działa nie odniósł najmniejszego szwanku. Całą obsługę działa osłoniła tarcza ochronna działa. Oficer ogniowy, którym był Rosjanin, ppor. Pietrow, miał głowę na karku i natychmiast zniszczył kartki w skrzyniach amunicji ppanc. mówiące o obowiązku wystrzeliwania tych pocisków jedynie na ładunku 4-tym. Niebawem na SO baterii zjechało się wielu zwierzchników i każdy z miną wielkiego znawcy wysłuchiwał mojego meldunku o wypadku. Był dowódca pułku z zastępcą do spraw politycznych i zastępcą do spraw technicznych, zbrojmistrzem, dowódcą dywizjonu z politykami oraz nieodłączny w podobnych wypadkach oficer informacji pułku por, Kuziej. Ten zaraz węszył sabotaż. Był to oczywiście pracownik NKWD usadowiony w naszym wojsku.

Działo oglądano długo, a następnie amunicję. Medytowano co też mogło być przyczyną wybuchu pocisku w lufie.

Dziwiono się, że w skrzyniach amunicji ppane. brak jest kartek mówiących o obowiązku strzelania tymi pociskami jedynie ładunkiem czwartym. Zgodzono się wreszcie, że winę ponosi fabryka amunicji za niewyposażenie skrzyni z pociskami ppane. odpowiednimi kartkami ostrzegawczymi. Wzięto również pod uwagę nieodpowiednie wyszkolenie ładowniczych dział przez pułk zapasowy. Wszystko o dziwo zakończyło się protokołem niejako rozprzeszającym baterię i nakazującym szefowi uzbrojenia pułku wystosowanie specjalnego pisma do fabryki amunicyjnej w sprawie brakujących kartek. Powiadomiono mnie również, że za parę dni otrzymam nowe działko. Na odjeźdnym dowódcą pułku jeszcze raz zwracał uwagę oficerowi ogniowemu baterii, by ^{nie} miał baczniejszą uwagę na strzelające obsługi dział. Ppor Pietrow z całą powagą wysłuchiwał pouczeń dowódcy pułku a do mnie zrobił szelmowskie perskie oko. A więc upiekło mu się.

Gdy tylko powróciłem na PO nasza piechota posunęła się naprzód uchwytując wał przeciwpowodziowy na Starej Odrze. Konsekwentnie więc i ja przeniosłem swój PO na wał. Z 3-ciej baterii mającej swój PO o 300 m. w prawo ode mnie przyszedł odwiedzić mnie mój brat Wiesław. Opowiadał mi o szczegółach wypadku na SO mojej baterii, gdy naraz zerwał się huragan ognia artyleryjskiego. Ogromna lawina ognia i stali spadła na sam wał oraz rejon tuż za wałem. Skoczyliśmy we dwójkę do małego dołka i mocno przytuliliśmy się do siebie aby nie oberwać od całej masy latających wokół i niesamowicie gwizdzących odłamków. Wątpiłem mocno czy z tego straszliwe go ostrzału wyjdziemy żywi, ponieważ pociski padały coraz bliżej na wyrzucając ogromne masy ziemi do góry. Z boku obserwowaliśmy cwałujący po drodze zaprzęg 45 mm armaty. Konie wystraszone artyleryjską nawałą nieprzyjaciela spłoszyły się i ciągnęły za sobą przewracając się ustawicznie działko. Zaprzęg wkrótce zniknął za dużą kępą drzew. Ostrzał nieprzyjacielski raptownie ustał. Po drodze biegła obsługa działka, której konie przed chwilą szalały ze strachu i powlokły owe nieszczęśliwe działko. Droga przebiegała obok miejsca gdzie ukryliśmy się przed ostrzałem. W dowódcy tego działka poznaliśmy kpr. Stefana Szymanka z majątku w Białokrynicy. Poradziliśmy mu gdzie ma szukać swojej zguby.

19 kwietnia rano 2 Dywizja Piechoty rozpoczęła forsowanie Starej Odry. Silna nawała ogniowa naszej artylerii torowała naszej piechocie podejścia do rzeki. Wszystkie przeprawy przez Starą Odrę były oczywiście przez Niemców zniszczone. Gdy dowódca wspieranego batalionu ruszył naprzód, ja również podrwałem swój

pluton dowodzenia do marszu naprzód. Szybko przebiegliśmy po kładce bojowej, zatopionej umyślnie przez saperów naszych na głębokość 5 - 10 cm. w celu zamaskowania kładki i uniemożliwienia zniszczenia jej przez lotnictwo nieprzyjaciela. Znaleźliśmy się na lewym brzegu Starej Odry. Nieprzyjaciel nie pogodziwszy się z utratą ważnej przeszkody wodnej stawiał zacięty opór. Wykonywałem w tym czasie różne ognie aby pomóc naszej piechocie w marszu naprzód. Ogień wykonywałem już czterema działkami, ponieważ wczoraj przywieziono mi je w zamian za zniszczone.

Ruszyłem tuż za dowódcą batalionu do przodu. Wchodziliśmy na drogę prowadzącą przez niewielkie zakrzaczenia. Nagle z zakrętu drogi, ze stojącej obok stodoły wybiegło trzech Niemców i zaczęło uciekać przed nami. Jeden z nich biegnąc zatrzymywał się i siał w naszą stronę z karabinu maszynowego. Zatrzymałem natychmiast samochód by zwiadowcy mogli dobrze wycelować. Spokojnie, jak na strzelnicy celowaliśmy do uciekających Szwabów. Po chwili dwóch z nich padło na ziemię, a trzeci widząc co się święci - zatrzymał się podnosząc ręce do góry. Krzyczał przed tem w niebogłosość: "Nicht schiesen, nicht schiesen ! " / Nie strzelać! /

W ten to sposób zdobyliśmy zupełnie nowy, jeszcze ze świeżą fabryczną oksydacją karabin maszynowy MG-34. Zwiadowcy zabrali Niemca, który trząsał się jak w febrze, natomiast jego kumple z którymi ucłekał, mieli już wojnę z głowy.

Nasza piechota skręciła nagle przed dużą miejscowością w lewo, dążąc w kierunku dużego masywu leśnego. Nie mogłem jechać samochodem przez zorane pole więc zdecydowałem jechać prosto do pobliskiej miejscowości Alt Ranft. Ciekawiło mnie również i to, poprzedniego dnia moja bateria wykonywała ogień właśnie na Alt Ranft, więc ciekawiło mnie jaki był skutek mojego ognia., i czy tam mocno "narozrabiałem".

Wraz z plutonem dowodzenia już pieszo i ostrożnie wchodziliśmy do tej sporej osady. Drużyna rozpoznania szła kolumną z lewej strony drogi wzdłuż zabudowań i domów, natomiast drużyna telefoniczna i radio - wzdłuż drugiej strony drogi. Broń była w pogotowiu, bo nie wiadomo co może nas tam spotkać za niespodzianka. Tu i ówdzie dopalały się ruiny domów - to moje dzieło. Wszędzie złowroga cisza i ani żywego ducha. Czyżby wskutek naszego wczorajszego ognia wszystkich mieszkańców ewakuowano ?

Na środku drogi nasz pocisk haubiczny rozbił duży samochód straży pożarnej, która niewątpliwie jechała aby gasić pożar. Ciekawe, że w kabinie samochodu leżały dwa panzerfausty.

Dochodziliśmy do takiego jakgdyby placu w osiedlu, gdy naraz z wysokiego, dwupiętrowego domu przy placu wysypał się cały rój dziewcząt, które z radosnym krzykiem biegły w naszą stronę. Okrzyki były w polskim języku. Niebawem otoczył nas dookoła radosny gwar naszych dziewcząt, które były wywiezione na roboty i tu właśnie pracowały w niewielkim zakładzie pracy produkującym makaron dla wojska. Okrzykiem "Niech żyje nasze Wojsko Polskie" towarzyszyło totalne obcałowywanie nas wszystkich przez dziewczęta. Cieszyły się z wyzwolenia oraz z widoku polskich żołnierzy jak małe dzieci. Prócz naszych polskich dziewcząt były też i Szeszki, Jugosłowianki i Francuski, które też nam nie żałowały buziaków. Dla takiego spontanicznego i pięknego powitania warto było marznąć na mrozie, czołgać się w błotnistej brei, być zmoczonym do suchej nitki i być trapionym przez wszelkiego rodzaju uciążliwości wojny. Nie było wiele czasu aby pogawędzić z naszymi dziewczętami, które gorąco zapraszały nas na piczestunek i nawet nocleg. Nie dziwiłem się wcale ich zachwytu, gdy ujrzały nas, ponieważ byliśmy pierwszymi żołnierzami polskimi jakich zobaczyły po 1939 roku.

Przelot grupy niemieckich samolotów przypominał nam, że wojna toczy się nadal i musimy nadal ścigać nieprzyjaciela w kierunku folwarku BERGTHALKRUGE.

Dopiero po minięciu ALT RANFT uświadomiłem sobie, że jako dowódca popełniłem niewybaczalny błąd. Cały bowiem pluton dowodzenia ze mną jako dowódcą baterii na czele zajął się rozmowami z dziewczętami nie patrząc na boki i cóż się dzieje przed nami. Najmniejszy nawet oddział Niemców mógł nas skosić na śmierć. Zaledwie kilku strzelców wyborowych mogło nas powystrelać jak kaczki. Powiniennem wystawić ubezpieczenie i dopiero całować się z dziewczętami. Jeszcze długo wyrzucałem sobie tę niefrasobliwość. Przecież odpowiadałem nie tylko za siebie lecz i za powierzonych mi ludzi.

Wskutek dotkliwych strat poniesionych w walkach o główny pas obrony, dowództwo niemieckie ze 101 Korpusu Armijnego nie mając już żadnych odwodów, nie było już w stanie zorganizować obrony drugiego pasa. W tej sytuacji Niemcy postanowili wycofać się i przygotować nową rubież obronną gdzieś dalej, na dogodnej przeszkodzie naturalnej.

Ten właśnie odwrót nieprzyjaciela wykorzystaliśmy w pełni nasza polska armia i 20 kwietnia rano przeszła do zdecydowanego pościgu. Opanowano HACKELBERG, GRUNTAHL i szereg drobnych

miejsowości. Działania przybrały charakter walk straży tylnych, cofających się wojsk niemieckich, które usiłowały zatrzymać nacierających jak burza naszych żołnierzy.

21 kwietnia 1945 roku przełamana została obrona na linii KATCHEN - NEU GERSDORF - KRUGE . Właściwie to zamiast na zachód, nacieraliśmy w kierunku północno-zachodnim. Cieszyliśmy się, że właśnie w ten to sposób przegrupowują nas prościutko na kierunek Berlina.

22 kwietnia, łamiąc opór straży tylnych nieprzyjaciela, cała nasza 1 Armia Polska wyszła nad kanał Hohenzollernów. Niemcy zdążyli jednak zniszczyć wszystkie przeprawy przez kanał, a na próby sforsowania kanału z marszu odpowiadali piekielnie silnym ogniem.

23 kwietnia podeszliśmy pod miejscowość znaną pod złą sławą - pod ORENIENBURG. Dziś moje imieniny. Rano gdy tylko obudziliśmy się, rozległ się chóralny śpiew mojego plutonu dowodzenia "Sto lat". Ppor. Kucharski - dowódca plutonu złożył mi życzenia imienionowe wręczając bardzo miły upominek w postaci pięknej artyleryjskiej busoli produkcji Zakładów Zeissa oraz butelkę koniaku. Przyszedł również i mój brat Wiesław, który podarował mi ładny zegarek oraz wspaniałą pas oficerski z poprzeczką i taką samą kaburą na postolet.

Była trzecia dekada kwietnia, a na łąkach ciągnących się aż do Berlina było żółte od kaczeńców. Tak właśnie wyglądała wiosna w Biażokrynicy, a raczej na łąkach tuż przed wsią. Kaczeńce tworzyły taki ładny żółty kobierzec, a na nich niestety nasi zabici żołnierze, próbujący sforsować kanał. Chciałoby się powiedzieć, że żółte kaczeńce na podberlińskich łąkach piły tę samą polską krew co czerwone maki na Monte Cassino.

Nasze kleszcze wokół Berlina zaciskały się śmiertelnie. Po drodze ciągle mijaliśmy wiele cywilnych wozów konnych pozostawionych na drogach przez ich właścicieli, uciekinierów niemieckich z Prus Wschodnich. Niekiedy stały całe bezpieczeństwa kolumny wozów. Żal było tylko biednych koni, które unieruchomione uprzęgą nie mogły pożywić się trawą. Nasi żołnierze z piechoty uwalniali te konie, biorąc oczywiście do swoich taborów dobre konie. Poratowali się też i nasu kawalerzyści, którzy wreszcie pozostawili małe konie mongolskie, a doczekali się prawdziwych taborowych koni. Żałośnie wyglądał wyrzucony na pobocze drogi dobytek z wozów. Widocznie ktoś tu czegoś szukał i pozostawił okropny nieład i bałagan.

Spoglądając na mapę, przypomniało mi się, że gdzieś

to tu powinien znajdować się złej sławy niemiecki obóz koncentracyjny. Jadę na północne przedmieście Oranienburga, które nazywa się SACHSENHAUSEN, by naocznie, po raz pierwszy, zobaczyć to niemieckie bestialstwo. Nigdy dotąd nie oglądałem obozu koncentracyjnego.

Idąc, piechurzy pokazali mi drogę do obozu. Z oddali widnieje duża brama obozu na której widnieje napis "JEDEM DAS SEINE" /Każdemu tyle na ile zasłużył/. Wjeżdżam na teren obozu i z miejsca owiąknę mnie zaduch śmierci.

Obóz robi wrażenie małego miasteczka, nad którym złowrogo wznoszą się wysokie kominy krematorium. Cały teren pokryty jest plataniną różnych baraków obozowych. Tuż za obozem piękne osiedle małych domków. To osiedle esesmanów i oprawców. Granicę obozu stanowi wysoki na trzy metry mur z czerwonej cegły, a na murze metalowe wsporniki z drutem kolezastym na fajansowych izolatorach, przez które płynął poprzednio prąd elektryczny. Co 100 - 150 metrów przy murze wznoszą się wieże strażnicze z reflektorami, a za Niemców też i z karabinami maszynowymi. W obozie tym przebywali więźniowie różnych narodowości: Żydzi, Polacy, Belgowie, Francuzi, Rosjanie, Czesi, Hiszpanie, Grecy, Jugosłowianie. Oczywiście, tak jak wszędzie, najliczniejszą grupę stanowili Polacy. Pomijając Żydów, był to głównie obóz dla więźniów politycznych. Wówczas, oglądając ten obóz, nie wiedziałem, że zginął tu Komendant Główny Armii Krajowej gen. Grot-Rowecki.

Obóz liczył około 50.000 więźniów, a warunki w nim były makabryczne. Dzielne wyżywienie to 200 gramów lichego chleba, rzadka na obiad zupa z brukwi, a na śniadanie i kolację - lura zwana kawą. Śmiertelność w obozie była zastraszająco wysoka. Codziennie rozstrzeliwano i wieszano setki więźniów, a komory gazowe i krematoria czynne były całą dobę bez przerwy.

Zaraz po wyzwoleniu obozu 22 kwietnia większość więźniów, mogąca poruszać się o własnych siłach, opuściła obóz tegoż dnia, a pozostali tylko chorzy i kompletnie wyczerpani fizycznie. Właśnie tych ostatnich przyszło mi oglądać. Wygląd większości z nich był straszny. Nie chciało się poprostu wierzyć że to ludzie ludziom zgotowali tak straszny i okrutny los. Ich skóra była dosłownie przezroczysta, którą wypychały kości. Zachodzę do jednego z baraków. Powiało jakimś przykrym odorem. Na przy- czy leżało kilku byłych więźniów i płacząc uśmiechali się do mnie, unosząc do góry ręce. Kilku z nich zwlokło się z barłogu

i podeszło chwiejącym krokiem do mnie. Jeden z nich miał na całym ciele jakiś ropiejący liszaj, inni wrzody ogromnych rozmiarów. Dotykali mojego munduru oraz części bojowego ekwipunku i przez ży uśmiechali się. Jeden z nich Francuz powiedział do mnie, że są szczęśliwi, że to właśnie Polacy ich wyzwolili i na końcu wzniosł okrzyk podtrzymany przez innych: "Vive la Pologne!". Jeden staruszek po polsku, cichym głosem, wykrzykiwał: "Niech żyje polski oficer". Wzruszyłem się tymi dowodami przyjaźni oraz nad ich okropnym losem. Niechybnie, gdyby nie szybkie wyzwolenie obozu, wszyscy by oni byłiby uśmierceni. Przyznaję, że takich okropności nigdy jeszcze dotąd ani później nie oglądałem. Podobnie widokiem ludzi-Szkieletów byli wzruszeniem moi żołnierze idący za mną.

Gdy rozmawiałem z więźniami, weszły właśnie siostry naszego czerwonego krzyża i prosiły, aby w żadnym wypadku nie dawać tym wycieńczonym ludziom żadnej żywności, ani też nawet chleba. Takie jedzenie zabiłoby ich. Za siostrami żołnierze - sanitariusze wnosili do baraków wiadra z rozciętym wodą roztworem przypominającym mleko. Można było natomiast dawać więźniom papierosy. Jeden z moich żołnierzy pobiegł do naszego samochodu i przyniósł cały karton niemieckich papierosów marki "Juno".

Opuszczając obóz wiele wzruszony i oburzony na niemieckie bestialstwa. Mimowoli pomyślałem sobie, że też musiało się to mi przydarzyć w dzień moich imienin. Po powrocie z obozu opowiadałem oficerom i żołnierzom baterii to co tam widziałem. Wszyscy byli oburzeni na niemieckie zbrodnie. Nocleg miałem w prześlicznej miejscowości w podberlińskich lasach WANDLITZ. Osiedle składało się z super eleganckich i stylowych willi należących do hitlerowskich notabli. Tu właśnie w dni wolne przyjeżdżali ze swoimi Frau na weekendy. Urządzenia willi / dla ciekawości zwiędziłem ich chyba z dziesięć / były precudowne. Wille okolone były ogródkami w których właśnie kwitły magnolie. Oczywiście willa, którą zająłem na noclego to poprostu bajka. Ledwo skończyłem oglądanie tego cuda, gdy przed willą zatrąbił klakson. Wyglądając przez okno aby zobaczyć kogo to tak bawi naciskanie klaksonu i czempredziej zbiegłem na dół aby zameldować się dowódcy pułku, który tedy właśnie przejeżdżał. Rozpytując się o sytuację w baterii, dowódca pułku oznajmił mi, że wkrótce znów zmieniamy podporządkowanie i przyjdzie nam kogoś innego wspierać ogniem naszych haubic. Dowódca pułku mrugnął humorystycznie okiem do mnie i powiedział: "A taki domek to napewno chciałbyś mieć? Po wojnie będziemy mieli takie."

Niestety, po wojnie też takiego domku nie dorobiłem się. Byłem trochę przemęczony i z miłą chęcią przebrałem się jak nigdy na froncie w piżamę i natychmiast usnąłem wspaniałym małżeńskim łożu. Mój ordynans, gdy przyszedł wieczorem z kolacją został obrzucony małymi poduszkami, aby mi nie przeszkadzał spać.

Nazajutrz obudziłem się rześki i czułem się jak skowronek. Po oblucjach w stylowej łazience czułem się odmłodzony mimo moich dziewiętnastu lat. Świeciło ładne słońce, wiosna była w pełni i cały świat wyglądał weselej. Nawet strzałów słychać było mniej. Po wojnie w tejże miejscowości NRD-owcy urządzili ośrodek wypoczynkowy dla NRD-owskich wysoko postawionych osobistości i nikogo ze śmiertelników tam nie wpuszczano.

A jednak narazie nie podporządkowano nas komu innemu i nadal wspieraliśmy 1-szą kościuszkowską dywizję. Brygada nasza otrzymała zadanie zabezpieczenia pod względem ogniowym prawej granicy naszej 1-szej Armii. Granica przechodziła po kanale RUPPNER. Nazajutrz jak grom z nieba wiadomość, że jednak podporządkowano nas 2 Dywizji Piechoty, która ma również zabezpieczać prawą granicę Armii. W ten to sposób nasza 1 Polska Armia stanowiła zewnętrzny pierścień okrążenia Berlina i sygnalizowano nam, że najprawdopodobniej jutro-pojutrze możemy spotkać się z idącą z północy na pomoc Berlinowi Grupą Steinera. A tak wogóle to dopiero teraz hitlerowcy ocknęli się i zaczęli po niewczasie organizować pomoc dla oblężonego Berlina. Z południa z rejonu Sudetów szedł Feldmarszałek Schoerner, z zachodu 12 Armia gen. Wena a z północy zapowiadany Steiner. Nazajutrz sytuacja była już jasna i przejrzysta. Steiner ze swoją grupą pancerną szedł prosto na nas. Odtąd oczy całej naszej armii zwrócone były na 2 Dywizję Piechoty i naszą 3 Brygadę Haubic, które podejmą bitwę spotkaniową na kanale RUPPNER.

Obergruppenfuhrer Felix Steiner był naszym "Ostarym" znajomym jeszcze z końca lutego tego roku z Pomorza Wschodniego. W czasie bitwy naszej armii o przełamanie Wału Pomorskiego Steiner był dowódcą 3 Korpusu Pancernego SS.

Grupa Steinera składała się głównie z 25 Dywizji Grenadierów Pancernych i innych pomniejszych oddziałów. Przy naszym podejściu Grupa Steinera zdołała uchwycić na południowym brzegu kanału RUPPNER niewielki przyczulek. Właśnie ten niewielki przyczulek stawał się teraz nielada problemem i zagrażał nam. Mając w swych rękach mosty i przeprawy przez kanał, a szczególnie w rejonie GERMENSDORF, nieprzyjaciel pakował na zajęty przez

siebie przyczułem świeże siły. Tuż przed nami rozpoznano bataliony z 35 pułku z 25 Dywizji Grenadierów Panc. oraz drobne oddziały 3 Dywizji Piechoty Morskiej.

25 kwietnia Steiner po silny przygotowaniu artyleryjskim uderzył na nas. Najpierw przyleciało ich lotnictwo i obrzucało nas bombami kasetowymi. Następnie ruszyło artyleryjskie przygotowanie. Stoję na moim PO i prowadzę stały ogień zaporowy, chcąc w ten sposób oddzielić piechotę nieprzyjaciela od jego czołgów. To pozwoli nam najpierw załatwić się z bezbronnymi czołgami, a później przyjdzie kolej na piechotę. Widocznie ogień zaporowy naszego całego dywizjonu pomieszał Szwabom szyki, ponieważ zeszli już z transporterów opancerzonych i wolno, tym razem już pieszo, zmierzali ku nam. Nie wytrzymują presji tyły naszej piechoty. Ich tabory konne galopem kierują się na południe. Wspierany przez nas batalion z 5 pułku piechoty chwieje się na swoich pozycjach i widać już artylerię batalionową, która zmienia swoje SO do tyłu. Powoli i piechota cofa się. Konsekwentnie ja zmieniam swój PO do tyłu. Nie będę przecież zgrywał tu Orдона. Cofam się po raz pierwszy i ostatni w tej wojnie. To bardzo nieprzyjemne uczucie. Zajmuję mój nowy PO na skraju wysokopiennego sosnowego lasu, skąd mogę lepiej kierować ogniem baterii. Nie zdążyłem jeszcze należycie usadowić się w takim leśnym wykrocie, gdy spadła na nas lawina ognia artyleryjskiego. Zostaliśmy dosłownie przygwożdżeni do ziemi. Każdy z nas chował głowę swoją gdzie tylko mógł. Ten potworny ostrzał trwał niemal 20 minut i wydawało się, że to była dobra godzina. Potem jak nożem ogień ustał. Okaleczone i powyrywane z korzeniami sosny tworzyły swoistą zaważę leśną. Uległa również zgruchotaniu i moja radiostacja. Nie byłem specjalnie tą stratą zmartwiony, ponieważ posiadane przeze mnie radiostacje były liche. Ciągłe się psuły i właściwie pożytek z nich był żaden. Nakazałem ppor. Kucharskiemu sprawdzić stan plutonu dowodzenia. A jednak stało się. Dwóch moich radiotelegrafistów poległo. Podeszedłem do miejsca gdzie leżeli. Wszyscy byli mocno przygnębieni, ponieważ wojna tuż tuż kończy się, a oni musieli umrzeć. Młodzi chłopcy pochodzili ze wsi. Jeden z pod Zbaraża, drugi z pod Horodenki. Szczególnie żał mi było kanoniera Grzechniaka. Był to bardzo młody chłopak, w moim wieku, z taką dziewczęcą białizną.

Gdy kiedykolwiek przechodził koło mnie i oddawał honory, zawsze się uśmiechał. Teraz już nie ma moich chłopców. Zastanawiam się co ja teraz napiszę ich rodzicom? Czy też utarty w tych wypadkach slogan, że "syn Państwa w ciężkich walkach pod Berlinem zachował się po bohatersku i poległ za Polskę", czy też tak więcej od serca.

Biłem się z myślami jak napisać matce kan. Grzechniaka, wdowie, która miała go tylko jednego. To bardzo trudny i niewdzięczny obowiązek dowódcy pisania do rodziców i oznajmiania im o śmierci syna. Nawet dziś, gdy piszę te słowa, widzę jak przez mgłę uśmiechniętą twarz Grzechniaka.

Nasze lotnictwo wykonało bardzo silne uderzenia na nacierające oddziały niemieckie i spowodowało ich odrzucenie aż za kanał Ruppiner. Mieliśmy więc trochę czasu aby pochować naszych poległych. Na skrzyżowaniu dróg, w miejscu dobrze uwidocznionym na mapie żołnierze wykopali groby. Owinięto poległych w płaszcze i peleryny. Powiedziałem do żołnierzy przez ściśnięte gardło kilka słów. Coś niesamowitego dławilo mnie w gardle i czułem, że za chwilę wybuchnę płaczem. Opanowałem się jednak szybko - przecież moi żołnierze patrzyli. Wszyscy w zadumie stoją bez hełmów nad mogiłami, Nie tylko mnie lecz i żołnierzom płyną łzy z oczu. Całują ich w czoło i robię nad każdym znak krzyża świętego. Spuszczone ciała do gróbu i każdy rzuca garść piasku na nich. Wkrótce stoją dwa regularne kopczyki. Jeszcze tylko naprędce sklecone dwa krzyże z zawieszonymi hełmami. Czy może być piękniejszy pogrzeb nad pogrzeb żołnierza poległego na polu walki ?

Przyglądający się tej ceremonii pogrzebowej jakiś przygodny sowiecki lejtnant podszedł do mnie i powiedział mnie więcej tak: "Przepraszam Was, ale przyglądałem się pogrzebowi waszych żołnierzy. Wy Polacy umiecie robić to tak pięknie, że mnie walczącemu aż z pod Kurska zrobiło się bardzo smutno. U nas nie potrafia robić tego tak pięknie i wzruszająco jak Wy to robicie".

Zmieniam bardzo szybko to moje obecne pechowe miejsce, jeszcze tylko zaznaczenie na mapie miejsca grobów, i w drogę. Przechodzę trochę w prawo, jakieś 800 metrów. Nieprzyjaciel już zdążył otrząsnąć się z nalotu naszych samolotów i znów rozpoczyna ostrzeliwanie nas. Na długo zapamiętam tę przeklętą wieś GERMENS-DORF.

Natarcie grupy Steinera w konsekwencji naszej uporczywej obrony definitywnie załamało się. Zdobyli tylko niewielki przyczulek na prawym brzegu Ruppiner Kanał i to wszystko. Grupa Steinera zadania nie wykonała. Hitler podobno na wieść o tym wściekał się na swego SS-owskiego pupilka i natychmiast zdjął go ze stanowiska dowódcy Grupy. Resztki Grupy podporządkowane wojskom 41 Korpusu Pancernego z Armii gen. Wenca. Byliśmy więc dla Niemców zbyt twardym orzechem do zgryzienia i właściwie tworzy-

rzyliśmy mocny zewnętrzny pierścień okrążenia Berlina,

Z dala widać było Ruppinerkanal. Był z obydwu brzegów obwałowany wysoką groblą. W pobliskiej wsi żołnierze odkryli ogromny skład amunicji i broni Grupy Steinera. Szczególnie dużo było panzerfaustów. Wkrótce każdy żołnierz z plutonu dowodzenia opanował dobrze strzelanie z tej nadzwyczaj skutecznej broni ppanc.

Zmieniłem swój PO do miejscowości o dziwnej nazwie: FERLORENORT / czyli po niemiecku zapomniane miejsce/. Rzeczywiście już z samego wyglądu wyglądało tu jakgdyby było to miejsce zapomniane. Domy były bardzo ponure i ani żywego ducha. Z PO do kanału RUPPNER mam tylko 300 m. Po drugiej stronie kanału znajduje się miejscowość SOMMERFELD. Przychodzi noc i zanosiło się, że będzie spokojna i w końcu będę mógł się nareszcie wyspać. Po 22-giej nadleciały niemieckie samoloty i rozpoczęły rzucanie małych bombek kasetowych i zwykłych granatów. Było to denerwujące, ponieważ te naloty trwały mniej więcej do rana i rejony zrzutu tych bombek co i raz zbliżały się do nas. Jedna z bombek uderzyła w końcu w róg domu, w którym mieliśmy swój PO, ale nikomu nic się nie stało. Po drugiej stronie kanału zwiadowcy moi obserwowali duży ruch samochodów. Jedne jechały z JOHANNISTAHL do SOMMERFELDT inne natomiast w przeciwną stronę.

O świcie nieprzyjaciel trochę się ożywił i znów rozpoczęła się obustronna strzelanina. Obudziła się też i niemiecka artyleria i rozpoczęła ostrzeliwanie naszego rejonu pociskami na rozprysk. Kiepscy byli to jednak artylerzyści, ponieważ pociski wybuchały zbyt wysoko i nikomu krzywdy nie robiły.

O ile artyleryjska kanonada nie robiła nam nic złego, o tyle rozpoczęli swoją działalność liczni snajperzy niemieccy. Kto tylko wyszedł z domu już był przez nich nawet celnie ostrzeliwany. I było tak na przemian. A to pokazywały się niemieckie samoloty, a to znów kogoś zranił niemiecki snajper. W końcu przysłówiu stało się zadość: "Nosił wilk razy kilka". Jeden z atakujących nas samolotów leciał lotem koszącym zbyt nisko i zawadził skrzydłem o linię wysokiego napięcia. Wybuch był naprawdę piękny.

Po południu nadszedł ze sztabu pułku rozkaz dowódcy armii Nr. 0019 o postępowaniu z niemiecką ludnością. Rychło w czaj zorientowały się sztabowe wygi że walczymy przeciw już od stycznia na terenach dawniej należących do Niemiec, a rozkaz ukazał się dopiero teraz, w sercu Niemiec. Rozkaz był bardzo ostry

i groził surowymi konsekwencjami tym, którzy nie odróżniają niemieckich żołnierzy od niemieckiej ludności cywilnej. Chodziło głównie o gwałty dokonywane przez żołnierzy na Niemkach. Niektórzy walczyli z niemieckimi kobietami zamiast z niemieckimi żołnierzami. Ale podobne problemy wynikały w każdej wojnie od stworzenia świata.

Znów wspieramy nie 1 Dywizję Piechoty lecz 3-cią. Pierwsza dywizja Piechoty wraz z naszą bliźniaczą 2 Brygadą Haubic poszły do walk w Berlinie. Nie zazdrościłem im, ponieważ nie ma nic gorszego jak walki w dużym mieście, gdzie bardzo łatwo jest oberwać. Sytuacja bojowa wówczas nie wyglądała tak pięknie jak to się opisuje dzisiaj.. W Berlinie toczyły się ciężkie i krwawe walki już w centrum miasta. U nas na północ od Berlina sytuacja była jeszcze bardziej złożona. Wściekle atakowała nas z zachodu Armia generała Wena, która za wszelką cenę chciała opóźnić nasz marsz naprzód, aby jak największa ilość wojsk niemieckich mogła przejść na stronę zachodnich naszych aliantów. Hitlerowskie jednostki zachowały jeszcze dużą zdolność bojową. Za 14 października lutego niemal stała tam 9 Armia amerykańska.

Front w tym czasie nie był ciągły, w dodatku z podberlińskich lasów wychodziły silne niemieckie grupy bojowe nie zniszczone przez naszą piechotę w pierwszym uderzeniu i za wszelką cenę usiłowały przedostać się za Łabę do Amerykanów. Czuli napewno pismo nosem, że lepiej jest u Amerykanów w okolicy jenieckim niż u Ruskich na dalekiej Syberii. Każdy kto nie znał wówczas dokładnie sytuacji bojowej, miał wrażenie że walczy w okrążeniu. Wszędzie bowiem, jak pluskwy, wychodziły niemieckie grupy żołnierzy i prowadziły strzelaninę. Odgłosy walki słyszać było bowiem ze wszystkich stron.

Skończył mi się właśnie papier na dokumentację bojową i tylko w pobliskiej miejscowości mogłem go zdobyć. Wybrałem się więc z dwoma zwiadowcami, naprzekaj przez pola do wspomnianej wsi. Około 400 m przed miejscowością usłyszałem gwizd pocisku nad głową. Potem drugi i trzeci strzał. Schowałem się ze zwiadowcami do rowu i idziemy nim w kierunku wsi. Przed wsią podnoszę na kiju mój hełm, który natychmiast został nadwreżony przez celny strzał. Nie chciałem ryzykować wyjścia z rowu i postanowiłem przeczekać tę chwilę, aż snajper zajmie się kimś innym. Bombardier Zeńczak, który mi towarzyszył podczołgał się naprzód i dopadł młodego Niemca, który z za stodoły urządził sobie polowanie na nas. Serią z pepeszy przerwał igraszki Niemca.

Piechota idzie naprzód więc i my konsekwentnie za nimi. Marszruta całego naszego dywizjonu wiedzie przez przedmieścia Berlina. Było to przedmieście TEGEL. Rzeczywiście, na drogowskazach były napisy : "Berlin Mitte 11 km". Jedziemy spaloną ulicą a w oddali widać potężną kunię z czarnym dymem. Pomyślałem sobie, że przecież w dniu 1 września 1939 roku w białokrynickich koszarach wygrażałem Berlinowi, że srogo na nim się zemszczę za tę wojnę. I czy mógłbym wówczas marzyć o tym, że moje wówczas marzenie dołożenia Berlinowi za pięć lat ziści się ? Że będę widział na własne oczy pałacy się i walący w gruzy Berlin ? Że będę mógł mu dołożyć ? Ciarki przeszły koło mnie, gdy uświadomiłem sobie, że oto jestem w samym legowisku hitlerowskiej bestii.

Goniec od dowódcy dywizjonu powiadomił mnie, że nowe ugrupowanie bojowe mam rozwinąć w pobliżu małego miasteczka FLATOW, wręczając jednocześnie szkic mapy z naniesioną sytuacją. Tam mamy wesprzeć natarcie 3 Dywizji Piechoty im Romualda Traugutta w kierunku na LINUM.

Tuż za Berlinem, po drodze marszu, widziałem pałac Ribbentropa w SONNENBERGU. Pałac ukryty był wśród lasu. Wprawdzie nie było to mi po drodze, kazałem oficerowi ogniowemu baterii prowadzenie baterii do nakazanego rejonu, a ja z plutonem dowodzenia postanowiłem zobaczyć ten pałac własnymi oczami. No bo być w Rzymie ?" Pałac stał wśród bukowego drzewostanu, który dotykał sporego jeziora. Zatrzymuję się przed samym pałacem aby oglądnąć to cudo. Pałac okala wysokie metalowe ogrodzenie. W samym pałacu podziwiam betonowy schron na głębokości 10 m pod ziemią. Komnaty pałacu są wspaniałe. Piękną jest również duża sala gimnastyczna, gabinet lekarski z przeróżną fachową aparaturą /zabrałem kilka opatrunków polowych/, pożacane serwisy, trofea myśliwskie oraz biblioteka.

Dozorcą tego pałacu był rosyjski białogwardzista. To on właśnie opowiadał mi co tu się działo za "dobrych" szwabskich czasów. Moi chłopcy chodzili po pałacu mocno urzeczeni tym co oglądali. Ani ja, ani też i oni nie oglądali jeszcze w życiu takiej wspaniałości. Coprawda niedaleko żaby oglądałem pałac kolejnego hitlerowskiego mandaryna - Goebbelsa. Był jeszcze wspanialszy od pałacu Ribbentropa.

Narazie jednak byłem świadkiem głośnej kłótni pomiędzy porucznikiem - lekarzem z naszego szpitala polowego, a sowieckim kapitanem, który zabraniał żądować mu na samochód

owe piękne urządzenia medyczne oraz najprzeróżniejsze leki. Tu jeszcze raz wyszło szydło z worka, czyli nacjonalizm rosyjsko-sowiecki. Sowiecki kapitan wykrzykiwał, że to jest zdobycz sowiecka, że te urządzenia medyczne zostały przez Niemców ukradzione z jednego ze szpitali w Rosji. Znalazł się też i jeden z naszych żołnierzy, który przyjechał z naszym porucznikiem-lekarzem. Doskonale mówił po rosyjsku, ponieważ pochodził gdzieś z Syberii i tak odpalił sowieckiemu kapitanowi po rosyjsku: "A ty skąd się wziąłeś taki mądry? Pleciesz same głupoty. Czyś ty widział u nas w Rosji takie rzeczy? U nas na Syberii nawet w partyjnej klinice takiego czegoś nie ma i nie było. Pracowałem przecież przed wojną w służbie zdrowia i wiem dobrze że pleciesz same głupstwa." Wmieszałem się w to wszystko i powiedziałem również po rosyjsku do kapitana: "Tu jest pas natarcie naszej polskiej armii. Wysłał nas twój dowódca armii by zabrać wszystko z tego ambulatorium. Pojedziesz z nami i wytłumaczysz to naszemu dowódcy armii, że nam Polakom to się nie należy." Kapitan spokorniał natychmiast. Pomamrotał coś pod nosem i nagle ulotnił się niewiadomo gdzie.

Takie sceny z Rosjanami zdarzały się obecnie na porządku dziennym. Sądziłem, że to oni są tylko zwycięzcami i cała zdobycz im się tylko należy. Nasi jak to mówią, nie dali sobie napluć w kaszę w większość takich wypadków. Podobnie było i nazajutrz, gdy szef baterii wywachał gdzieś na małej stacji kilka wagonów i cystern. Postawił natychmiast koło wagonów trzech żołnierzy na warty i pojechał do zakwaterowania baterii by ściągnąć samochody do zwiezienia produktów jakie tam znalazł. Pojechałem więc razem z szefem i trzema samochodami zabierając beczki na benzynę. Przeczuwałem, że i tym razem zjawią się po łup również "sojusznicy". Gdy moi żołnierze przepompowywali benzynę z ~~tych~~ cystern do beczek 200 litrowych, pojawił się również, tym razem sowiecki lejtnant z pięcioma żołnierzami sowieckimi. Podszedł do mnie i tytułując mnie majorem powiedział mniej więcej tak: "W imieniu naszego dowódcy dywizji macie natychmiast zaprzestać pompowanie benzyny, ~~bo~~ ponieważ te wagony należą do naszej dywizji." Roześmiałem się na całe gardło i powiedziałem lejtnantowi, że nie zna sytuacji bojowej. Ta właśnie miejscowość leży w pasie polskiej armii i że jeżeli w ciągu 5-ciu minut nie zniknie stąd nakażę moim żołnierzom otworzyć ogień do frontowych maruderów i złodziei. Jednocześnie kazałem kapralowi, tak na niby, przekazać z radiostacji sygnału o pomoc. Lejtnant słysząc to, coś tam powiedział do swoich i też jak niepyszni ulotnili się. Okazuje się, że gdy na Rosjan zgóry nakrzyczy się to na-

tychmiast opuszcza ich pewność siebie, podwijają jak lis ogon pod siebie i umykają.

W wagonach towarowych znalazłem istne cuda i smakołyki. Były to specjalne paczki żywnościowe dla niemieckich lotników dla podtrzymania niby to ich kondycji fizycznej. W każdej takiej paczce była butelka koniaku, z 20 tabliczek czekolady, sporo najprzeróżniejszych cukierków witaminizowanych oraz konserw, biszkopty, prawdziwa kawa ziarnista oraz karton niemieckich papierosów. Opróżniłem dwa wagony dla mojej baterii, a inne wagony wspaniałomyślnie ofiarowałem pozostałym bateriom naszego dywizjonu. Gdy tylko wysłany żołnierz powiadomił ich o zdobyczy, zjawili się tak prędko jak na alarm.

Gdy szef baterii odjechał do rejonu stanowisk ogniowych ze zdobyczą, ja udałem się z plutonem dowodzenia na PO. Na zakęcie drogi kierowca zaczął raptownie hamować z piskiem hamulców. Tuż przed maską samochodu, na środku szosy stał niemiecki, żołnierz. Był przeraźliwie chudy i w dodatku rudy. Miał na sobie całe żołnierskie oporządzenie i karabin. Gdy tylko nas ujrzał / początkowo myślał zapewne, że to jadą jego szwabscy kamraci / rzucił prosto na asfalt karabin i podniósł ręce do góry. Bojąc się, że to może jest jakaś zasadzka, zwłaszcza, że przestraszony szwab rozglądał się podejrzliwie na boki, . Ale nic się nie działo. Nawas Szwab defiladowym krokiem podchodzi na trzy metry do mnie, trzaski głośno kutami i na cały głos melduje " Herr Leutnant, bitte gehorsamst in Gefangenschaft bleiben zu dürfen" /Panie poruczniku proszę posłusznie o zezwolenie pójścia do niewoli/. Roześmiałem się na ten komiczny widok i kazałem zaprowadzić go do piechoty. Minąłem duże osiedle FLATOW i skierowałem się na północ, na duże skrzyżowanie szos tuż za osiedlem. Tuż za skrzyżowaniem był wysoki pagórek, z którego doskonale było widać wieś LINUM, na którą nacierała wspierana przez nas dywizja. Po chwili przejechały obok nas trzy nasze czołgi T-34, wyrzucając grudki asfaltu na boki. Zjechały z szosy i beztrako, przez płaskie pola jechały wprost na wieś Linum. Chyba to głupcy - powiedział ogniomistrz Kulczycki. Rezultat tej kawalerskiej jazdy naszych czołgistów nie był trudny do odgadnięcia. Rzeczywiście po chwili odezwały się niemieckie działa 88 mm plot /doskonałe do zwalczania czołgów/ i nasze czołgi paliły się . A jednak nasi czołgisti nie wyciągnęli absolutnie żadnych wniosków z pogromu, jakie urządzili im Niemcy na Wałę Pomorskim. No cóż, na głupotę nie ma rady.

Natarcie 1 batalionu 8 pp idzie wolno i tak ja-
koś niemrawo. Widocznie widniejące tuż przed wsią okopane "Panter
napędziły naszym piechurów strachu. Dostaję nagle telefon, że na
stanowiskach ogniowych jest dowódca dywizjonu i nakazuje mi na-
tychmiastowy przyjazd na SO. W myślach zastanawiam się co też to
mogło się stać. Czyżby znów moi ogniowcy co nawalili i że za chwi-
lę dostanę burę od przełożonego. Jadę przez Flatow i za chwilę
jestem już na drodze, gdzie stoją moje haubice. Dowódca dywizjo-
nu, któremu melduję swój przyjazd, ma jakąś roześmianą twarz i nie
widać również po minie oficera ogniowego, że coś niedobrego się
nie stało. Dowódca dywizjonu wyjmuję coś z torby polowej i przy-
pina mi do munduru. Patrzę a to krzyż Walecznych i srebrny medal
"Zasłużonym na Polu Chwały". "Masz drugi Krzyż Walecznych
i ten srebrny medal" powiedział dowódca dywizjonu. "Za walki na
na Odrze to dostałeś. Wniosekowałem Virtuti, ale nie dali". Nie
wiem skąd znalazł się nagle napełniony kieliszek i wypiliśmy za
te moje i oficerów z SO odznaczenia. Odjeżdżając do innej ba-
terii, dowódca dywizjonu powiedział: "Żaba niedaleko, więc sta-
raj się".

Powracam na moje PO. Na małym rynku w miejscowości
Flatow widzę kilka naszych koni kawaleryjskich i kręcących się
koło nich oficerów i ułanów. Kierowca zwalnia prędkość, a ja
obserwuję, czy wśród kawalerzystów nie dostrzegę kogoś znajomego.

Z boku od tej grupy kawalerzystów stoi inny, lecz sylwetka
jego jest jakaś znajoma. Tak to pan chorąży Zawadzki, dobry zna-
jomy z białokryhickich koszar. Padliśmy sobie w objęcia.
Jak zwykle zdawkowe "Co słychać?" Na odjezdnym krzyknął do mnie
"Pamiętaj, już niedługo koniec tego wszystkiego, chcę Ciebie wi-
dzieć całego!". Ucałowaliśmy się serdecznie na odjezdnym i w
drogę.

Natarcie piechoty utknęło. Nieprzyjaciel silnie
umocnił wieś LINUM, przekształcając każdy dom niemal w fortecę.
Z mojego PO na wzórzu 45,5 / kwadrat 4856/ widzę wiele celów,
lecz amunicji mam niewiele. Właśnie najbliższej nas widzę taki
malutki okop, a z niego wychylają się dwa baniaste niemieckie
hełmy. Jest to ich ubezpieczenie bojowe. Denerwuję się tym bez-
czelnym wyglądem Niemców z okopu i gapienie się na nas. Zwia-
dowcy co i raz meldują: "Panie poruczniku! Znów wyglądają!".
Zdenerwowany podałem telefonem komendę na baterię: "Bateria
do boju". Potem poszła komenda: celownik, kórunek, poziomica ...

i pocisk. Poprawiłem trochę i sądziłem, gdy przejdę do serii bateryjnej natchmiast nakryję pociskami ten mały okop ze Szwabami. Rzeczywiście seria poszła. Dym, kurz i początkowo właściwie to nie było nic widać. Moi zwiadowcy niczym kibice na meczu piłki nożnej sprzeczali się - oberwali czy też nie oberwali. Jeden nawet ze zwiadowców wykrzyknął: "Ale im pan porucznik dołożył". Gdy opadł kurz i dym dwa baniaste szwabskie hełmy znów wychyliły się z okopu. Myślałem, że ze złości chwyci mnie paraliż. Nie zważając na niewielką ilość amunicji na SO, dałem komendę po trzy pociski na działo. Znów zakotłowało się prawie że w samym celu. Po rozwianiu się dymu, hełmy znów pokazały się. W końcu doszedłem do wniosku, że nie ma co się irytować. Poszło już na ten cholerny mały cel ponad 20 pocisków, lecz trzeba sobie uzmysłwić, że ten mały okop to taka mała studzienka ~~xx~~ metr na pół metra i można by strzelać do celu cały dzień to i tak dopiero przypadkowy pocisk w ramach rozrzutu pocisków trafi bezpośrednio w cel. Tylko bowiem strzał bezpośredni mógłby ten cel zniszczyć.

Swoją złość przeniósłem więc na inny cel. Był to okopany czołg /widocznie z zepsutym silnikiem/ tuż przy dłuższej ścianie stodoły. Tym razem nie dam sobie w kaszę napluć. Kazałem załadować dwa pociski zapalające i po stodołę. Zapaliła się i kopciła długo ciemnym dymem. Wkrótce dym zaczął się ku naszej ucieksze ścielić przy ziemi ogarniając również okopany czołg. Zwiadowca obserwujący cel przez lornetę nożycową krzyknął, że w czołgu otworzyła się kłapa wjazdu na wieży i Niemcy uciekają w popłochu z czołgu. Okazało się, że dym tak mocno już dopiekał Szwabom, że musieli z czołgu uciekać. Stodoła zajęła się wkrótce dużym płomieniem i dach zawalił się nakrywając sobą też blisko okopany czołg. Mogłem więc zaliczyć również na swoje konto zniszczony czołg.

Po południu nasza piechota wdarła się do wsi Linum zajmując większą część wsi. Przeniósłem się więc też do wsi. Niektóre zabudowania już dopalały się. Na jednym z podwórsek leżał niemiecki żołnierz w kałuży krwi, trzymający kurczowo w dłoni karabin z nasadzonym bagnetem. Podszedłem do Niemca i odebrałem mu karabin. Niemiec na ten widok patrzył na mnie z przerażeniem sądząc, że chcę go pchnąć bagnetem. Napewno przypomniał sobie, że tak robił zawsze i on i jego kamraci. Odrzuciłem karabin na ziemię i poszedłem sobie dalej.

We wsi aż roi się od niemieckich plakatów propagandowych. Najczęściej spotykanym sloganem na owych plakatach było zdanie "Steig oder Sibirien" ./Zwycięstwo albo Sybir ./ . Widocznie

Niemcy przewidywali gdzie się niedługo znajdą.

Na dużym placu wewnątrz wsi, na trawniku leżało kilku zabitych naszych piechurów. Właśnie podjechała taka konna platforma i sanitariusze zaczęli wrzucać na nią zwłoki żołnierzy tak jak kłody drzewa. Strasznie to wyglądało, dlatego krzyknąłem do sanitariuszy głośno, by z większą powagą obchodzili się z zabitymi towarzyszami broni. Jeden z sanitariuszy widocznie nie zauważył mojego stopnia, tylko obrzucił mnie stekiem wyzwisk. Zbliżyłem się i chwyciłem go za poły zielonego fartucha, i powiedziałem: "Co wyście przed chwilą powiedzieli?". Ten zachnął się chcąc coś mi odburknąć na odczepnego, lecz nie zdążył. W pełni złości pięścią zaciśniętą w kułak zdzieliłem go w twarz aż przewrócił się na trupa. Momentalnie szybko wstał i powiedział tylko: "Tak jest".

Przechodzący obok zastępca do spraw politycznych naszego pułku kpt. Poźniak powiedział mi tylko, : "Trzeba było obywatelu poruczniku dołożyć mu jeszcze bardziej za to haniebne rzucanie naszymi zabitymi żołnierzami."

Za wsią Linum idąc polną drogą napotkaliśmy mały zagajnik wińzbowy. Poczekaliśmy chwilę aż przyjedzie nasz samochód, obserwując idącą naszą piechotę. Żołnierze byli bardzo zmęczeni. Niektórzy z nich byli już pod wąsem i wyglądali na 40-to latków. Kolumna piechoty rozciągnęła się bardzo. Głos jakiegoś ich dowódcy podganiał kolumnę. Słuchając tego głosu, zachodziłem w głowę, gdzie ja już ten głos słyszałem. Musiał to być ktoś znajomy. Gdy ów naganiający zbliżył się do mnie poznałem w nim Władka Polaczka, z Andrugi Wielkiej, który na stałe pracował w folwarku w Białokrynicy. Przywitaliśmy się z nim serdecznie. Był sierżantem i szefem kompanii i to on tak sforował swoich żołnierzy.

Na szlaku bojowym spotykałem wielu dobrych znajomych z przed wojny. Byli to żołnierze 12 Pułku Ułanów Podolskich lub też pracownicy majątku w Białokrynicy, z którymi pracowałem razem w czasie okupacji hitlerowskiej.

Mija 29 kwietnia. Rozbita w rejonie Havellandischer Grosser Hauptkanal i pod Linum niemieckie oddziały, osłaniając się silnymi ariergardami i wykorzystując silnie umocnione miejscowości, wycofywały się śpiesznie na zachód. Za wszelką cenę dążyli oni do przeprawienia się przez Łabę i poddanie się Amerykanom. Wiedzieli co ich czekać będzie w wypadku dostania się do niewoli sowieckiej.

Cała nasza polska armia, za wyjątkiem 1 Dywizji Piechoty walczącej w Berlinie, przeszła do pościgu.

Obecnie gdy trwał już pościg, można było jechać już kolumną całej baterii. Bardzo rzadko w czasie walk jest możliwość zebrania całej baterii, ponieważ większość znajduje się na stanowiskach ogniowych, natomiast pluton dowodzenia z dowódcą baterii na punkcie obserwacyjnym.

Na krótki odpoczynek zatrzymaliśmy się w pobliżu niewielkiego lasku. Jak to bywa zawsze na krótkich postojach, żołnierze rozbiegli się na stronę dla swoich potrzeb. W pewnej chwili ci co poszli do lasku biegiem bieгли spowrotem krzycząc, że w lasku są Niemcy. Zabrałem ze sobą tylko pluton dowodzenia aby zobaczyć co to są za Niemcy. Obecnie żołnierze niemieccy masowo poddawali się do niewoli, więc i tym razem przypuszczałem, że będą się poddawali. Ci moi żołnierze co uciekli z lasku twierdzili, że Niemcy mieli poskładane karabiny w kozły, a obok leżeli śpiący żołnierze. Gdy tylko wszedłem do lasku, natychmiast zagrzmiała Uważaj! niemiecka komenda: "Achtung ! Stielgestand !" / Uważaj. Bacznosc / Niemcy jak na komendę podrwali się z ziemi i stanęli nieruchomo w postawie zasadniczej. Natychmiast podszedł do mnie krokiem sprężystym feldwebel /sierżant/ i złożył mi regulaminowy meldunek, że kompania któregoś tam Infanterie Regiment /pułku piechoty/ chce się oddać do niewoli. Gdy przechodziłem przed frontem żołnierzy niemieckich to meldowali mi, a raczej przedstawiali się, np. Obergefreiter Kugel itd. Kazałem całej niemieckiej kompanii złożyć całość oprządzenia na ziemi, założyć ręce na kark i wychodzić na szosę. Tam po sformowaniu kolumny jenieckiej i wystawiwszy konwój kazałem odprowadzić kompanię do punktu zbiórki jeńców. Kompania liczyła około 70-ciu żołnierzy. Broni pozostawili dużo. Prócz zwykłych karabinów i trzech karabinów maszynowych MG-34 złożono całe stopy ekwipunku: tornistry, pasy, bagnety, maski gazowe i koce. Obok lasku płynął mały strumień, więc poszedłem tam, ponieważ niemiecki feldwebel poinformował mnie, że leży tam ciężko ranny niemiecki oficer nie z ich jednostki. Rzeczywiście tuż nad brzegiem strumienia leżał młody oberleutnant z urwaną jedną nogą powyżej kolana. Widocznie pocisk artyleryjski mu ją urwał. Zdziwiło mnie, że niemiecki oficer jest spokojny. Coprawda palił papierosa, lecz krwi było niewiele. Wokół niego leżało pełno niedopałków co wskazywało, że leżał tu już długo. Rana na nodze była jakaś ciemna i wewnątrz niej było pełno poruszających się robaków. Wstrząsnęły mną ciarki. Kazałem naszemu żołnierzowi zawołać naszego lekarza dywizjonowego, który cały czas trzymał się z samochodem sanitarnym mojej baterii. Do chwili przy-

bycia lekarza rozmawiałem z nim. Zwracał się do mnie początkowo tytułując mnie jako Herr Oberleutnant, a już później jako Herr Kollege. Pytałem czy długo tu już leży. Odpowiedział, że dwa dni. Podobno krzyczał aby mu żołnierze niemieccy pomogli, lecz żaden z nich nie zapytał : czym może pomóc rannemu. Gdy przyszedł nasz lekarz z miejsca stwierdził, że Niemiec będzie żył, ponieważ nie ma gangreny. Uratowały go poprostu te właśnie obrzydliwe robaki. Zapytałem Niemca czy go mocno boli a ten odpowiedział: że trochę / bischen/. Nasz lekarz zabrał oficera niemieckiego do samochodu sanitarnego i powiedział, że odwiezie go do szpitala polowego. Po założeniu prowizorycznego opatrunku Niemiec zaczął gorąco dziękować. Powiedział, że postąpiłem po rycersku i jak prawdziwy oficer w stosunku do rannego nieprzyjacielskiego oficera.

Ciekaw jestem, czy gdyby mnie spotkał ten los co jego, czy on by postąpił podobnie? No cóż, Niemiec nie był groźny a mnie nakazywał tak obowiązek i chrześcijański i oficerski.

Nadszedł piękny, słoneczny dzień 1-go maja. Od samego rana od zachodu grzmiała silna strzelanina. Nie mogłem tego pojąć. Z jednej strony masowo się poddają, a z drugiej stawiają silny opór wiedząc, że to już przecież koniec. Okazało się, że przed nami pojawił się nowy nieprzyjaciel. Był to 41 Korpus Pancerny z 12 Armii generała Wenca. Okazało się, że Korpus ten o dziwo do ostatniej chwili zachował pełną gotowość bojową i ukompletownia. Nie udało się korpusowi pomóc Berlinowi, więc koniecznie chcieli przedrzeć się za Łabę by tam ratować swoją skórę u Amerykanów. Front nie był ciągły i co chwilę z różnych stron pokazały się przedzierające się na zachód pododdziały nieprzyjaciela. Ciężkie walki z tymi przedzierającymi się grupami toczył sąsiad nasz z prawa, nasza polska 6 Dywizja Piechoty. Walki szły o wielką, podziemną fabrykę amunicji.

Arcykomiczne było wejście naszego 2 dywizjonu do miasta Rhinow. Mimo silnej strzelaniny z obydwu stron, w mieście nadal pracowały urzędy i sklepy. Podobno pod karą nakazano im pracować tak, jakgdyby zupełnie nie było wojny, więc pracują.

Przed samą rzeką Havelą teren stawał się bardzo podmokły, a więc i ruch odbywał się z konieczności tylko po szosach i utwardzonych drogach.

2 maja z rana nadeszła radosna wieść. Berlin zos-

stał zdobyty. Wreszcie padło znienawidzone przez nasz naród miasto, z którego wyszedł rozkaz do podboju naszej Ojczyzny. Narazie nie mieliśmy żadnych wiadomości co się stało z samym Hitlerem oraz z innymi hitlerowskimi bożami.

Wszystkie nasze dywizje wyszły więc na brzeg Haveli. Stanowiską ogniową mam pod m. PRITZEN, a punkt obserwacyjny tuż za wsią GULPE. Tak jakos dziwnie płynie ta Havela. W jednym miejscu jest to kanał, a w drugim miejscu rozlewisko jak jezioro. Nasi saperzy będą mieli pełne ręce roboty z budową przepraw na tak trudnej rzece, a Niemcy jak to już poprzednio bywało, wszystkie mosty i przeprawy przez rzekę wysadzili w powietrze. Najgorzej było z ogromną ilością odnóg rzeki, że człowiek bez mapy zginąłby w tym terenie jak w jakiś labiryncie. Pocieszaliśmy się tylko, że to już zaledwie 20 kilometrów do Łaby.

Zdobywanie przyczółków na zachodnim brzegu Haveli trwało do wieczora 2 maja. Wszyscy gromadzili nad brzegiem wszystkie etatowe i podręczne środki przeprawowe, niekiedy bardzo prymitywne, ale grunt aby mogły nas przenieść na tamten brzeg.

Rozpoznanie stwierdziło, że za rzeką znajdują się znow inne niż dotąd oddziały niemieckie - jakieś bataliony szturmowe z 243 Brygady Szturmowej. Wieczorem 2 maja znów zmieniono naszej Brygadzie podporządkowanie. Z uwagi na to, że pomiędzy nacierającą naszą 3 i 4-tą Dywizją Piechoty wytworzyła się luka, zdecydowano właśnie w tę lukę wprowadzić z drugiego rzutu armii 2 Dywizję Piechoty. Właśnie do tej ostatniej dywizji przydzielono na wsparcie naszą trzypułkową brygadę haubic. Wszyscy mamy już takie przeświadczenie, że oto zbliża się nieuchronnie koniec wojny i jest to już ostatnie w tej wojnie podporządkowanie do wsparcia ogniem. Oby!

Jest ciemna noc z 2 na 3 maja. Na koniec tego wszystkiego moi zwiadowcy przyprowadzili jakiegoś niemieckiego oficera, który im bezczelnie stawiał się. Wprowadzono młodego hauptmana /kapitana/, który butnie oznajmił, że żadnych zeznań nie będzie składał. Twierdził, że wojna nie jest jeszcze przegrana. Butnie skrzeczał, że: "Byliśmy pod Stalingradem, nad Wołgą. Teraz wy doszliście do Berlina i Łaby. Ale ich Führer w tych właśnie dniach użyje tajną szraszną broń, która zmiecie was z powierzchni ziemi".

W złości przerwałem ten hitlerowski bełkot i będąc mocno rozdrażniony tą wypowiedzią wykrzyknąłem mu po niemiecku, żeby doszło to wszystko do jego mózgowicy: "A czy ty hitlerowski durniu wiesz, że wasz Berlin już jest rozbity? Że waszego bandyty Hitlera już nie ma na tym świecie, a całe dowództwo hitlerowskie

jest już w niewoli". "To propaganda" - odpowiedział Niemiec. Nie dyskutowałem dłużej z tym durniem i kazałem odprowadzić go do punktu zbornego jeńców. Szwab chciał jeszcze na odchodnym coś powiedzieć, ale moim gromkim "Raus !" zmusiłem go do potulnego odejścia.

Miałem jeszcze kilka podobnych spotkań z młodymi niemieckimi oficerami, do szpiku kości zarażonych hitlerowską propagandą, którzy wstępne "pranie mózgów" przeszli w Hitler Jugend. Tych już niestety nic nie mogło nauczyć trzeźwego patrzenia na otaczający świat.

Nadjechał niebawem goniec ze sztabu dywizjonu z plikiem wytycznych co do spotkania się z zachodnimi sojusznikami. Były tam wskazówki co można robić, a czego nie, co można mówić a z czym się nie uzewnętrzać oraz jakie są sygnały radiowe oraz optyczne na wypadek spotkania się z wojskami amerykańskimi. Zgodnie z poleceniem zaznajomiłem z tymi wytycznymi cały stan osobowy baterii.

Ostatni odcinek bardzo ciężkiego terenu do Łaby przebyliśmy w iście rekordowym czasie. Wszyscy co sił w nogach gnali do Łaby jak mahometanie do Mekki. Było to w zupełności zrozumiałe. Po tylu latach wojny i nieszczęść każdy chciał jak to było możliwe najszybciej umoczyć ręce w wodach Łaby. Niekiedy wyglądało to dosyć komicznie i bez należytego ubezpieczenia przed możliwymi atakami Niemców, którzy stanowili jeszcze dużą siłę,

Cały dzień 3 maja, dzień naszego święta narodowego, zszedł nam na walkach z drobnymi oddziałami niemieckimi, które nie wiedziały wówczas co mają właściwie robić. Rozkład armii hitlerowskiej był już aż nadto widoczny. Już sam wygląd niemieckich szeregowych oraz oficerów wskazywał, że to już nie ta armia, która w 1941 roku wkraczała do Białokrynicy i Krzemieńca.

Spoglądam na mapę. Do Łaby pozostał mi zaledwie kilkometr drogi. Poganiam moich zwiadowców i telefonistów, a samochody jadą inną, bardziej utwardzoną drogą. Za parę minut później widać już wał przeciwpowodziowy okalający brzeg Łaby.

Z lewej strony mijam dużą wieś SCHARLIBBE leżącą już właściwie nad samą rzeką. Jest blady świt 4 maja 1945 roku. Wdrapujemy się na dosyć stromy wał przeciwpowodziowy i uradowani patrzymy jak zauroczeni na Łabę. Chłopcy moi krzyczą "Hurraa !" rzucając na bok hełmy. Karczę ich za tę niefrasobliwość, ponieważ wojna się nie skończyła.

Punkt obserwacyjny wybieram w jakimś wykrocie na wale przeciwpowodziowym i łączę się przez radiostację z dowódcą dywizjonu meldując o zajęciu punktu. W prawo ode mnie wychodzą na wał plutony dowodzenia 1 i 3-ciej baterii naszego dywizjonu. Widzę z daleka mojego brata Wiesława, który kiwa do mnie ręką w właściwie kciukiem palca do góry, wzniesionym.

Sygnał dowódcy pułku nakazuje dowódcom baterii zbiórkę na polanie na wschód od SCHARLIBBE w celu wyboru wzorowych stanowisk ogniowych, które mieli oglądać Amerykanie. Cała kolumna dział naszego pułku, jak na defiladzie stoi na szerokiej asfaltowej szosie, a my wybieramy owe wzorowe stanowiska ogniowe, jakgdyby to było w owym czasie najważniejsze.

Nagle na szosie zaczęły się rwać pociski. Zaczęły padać na całą kolumnę naszego pułku. Tu i ówdzie widać palące się nasze ciągniki Studebakery i latających wokół nich naszych żołnierzy. Całość nawały ogniowej spada jednak na nasz drugi dywizjon, na 4-tą i 5-tą baterię. Boję się, bo tam przecież poszedł mój dowódca plutonu dowodzenia po części zapasowe do naszej radiostacji. Proszem Heńka Kucharskiego, aby pozostał na PO, że to przecież koniec wojny i radiostacja nie będzie nam potrzebna, ale on się uparł i poszedł.

Momentalnie zorientowaliśmy się, że to strzela niemiecka bateria 105 mm haubic gdzieś z rejonu KLIETZ. Napewno ich obserwator siedzący gdzieś na wieży kościoła dojrzał całą kolumnę artylerii stojącą sobie na szosie co stanowiło smakowity kąsek dla baterii nieprzyjaciela.

Wszyscy biegą na pomoc naszym rzutom ogniowym. Jeden z żołnierzy z drugiego dywizjonu biegnie w moją stronę i krzyczy: "Panie porczniku, tutaj - nieszczęście!". Patrzą na moje działa i samochody, lecz wszystkie są niedraśnięte, więc co to może być? Zziębnięci biegą dalej. Po głowie chodzą mi różne domysły, a może coś przytrafiło się mojemu bratu Wiesławowi? Dobiegam do grupki żołnierzy pochylonych nad żołnierzem, który leży na skraju przydrożnego rowu. Gdy ci rozstąpili się ujrzałem leżącego w krwi Heńka Kucharskiego. Dostał dużym kawałkiem odłamka w klatkę piersiową i mocno krwawił. Jeszcze żył. Oczy miał zamknięte i tak charcząco oddychał. Nadbiegł lekarz pułku i niestety stwierdził, że to już agonia. Uklękłem nad moim przyjacielem i ogromne łzy kapały na jego mundur i twarz. Wszyscy, którzy stali koło mnie też płakali. Ręce a raczej jego palce raz się zamykały a raz otwierały. Trafił na

moją dłoń i zacisnął ją. Był nieprzytomny i napewno nie wiedział, że to jestem ja. Po chwili skonał. Długo klęczałem nad nim i żył jak grochy kapały na ziemię. Przecież to już koniec wojny i czy naprawdę musiało go to spotkać? Nie mogłem się uspokoić i miałem wyrzuty sumienia, że nie natrzymałem go gdy szedł po tę część do radiostacji. Nadszedł dowódca dywizjonu. Chwilę stał w zadumie a później powiedział do mnie: "Trzeba zająć się pogrzebaniem naszego kolegę".

Pułk nasz w ostatniej minucie wojny poniósł w wyniku tej nawały ogniowej nieprzyjaciela duże straty. To była niefrasobliwość naszego dowództwa pułku, by na szosie ustawić jak do defilady całą kolumnę pułku, podczas gdy wojna jeszcze się nie skończyła.

Przyjechał samochód plutonu dowodzenia i zabrał zwłoki Heńka do baterii. W małym łasku, przy charakterystycznym skrzyżowaniu szos, przy SCHARLIBBE, przygotowali moi zwiadowcy grób. Białutki piasek z wykopanej mogiły wskazywał, że tu złożymy ciało mojego wiernego przyjaciela. Przyniesiono go na noszach. Cała bateria oraz wielu oficerów z innych baterii pułku przyszło oddać ostatnie honory naszemu poległemu koledze. Jest też i dowódca pułku ze sztabem, są i sztabu dywizjonów. Kanonier Maliński, który był w cywilu kościelnym, odmówił krótką modlitwę za zmarłych. Powiedziałem kilka słów o koledze, lecz coś mnie dźawiło w gardle, i właściwie nieskończyłem swego krótkiego przemówienia. Włączył się dowódca pułku mówiąc wiele o Heńku i jego walce w naszym pułku. Przyszedł obecnie dla mnie moment najgorszy, i nie do pozazdroszczenia. Uklękłem przy Heńku,łożyłem na jego czole znak krzyża i pocałowałem go w czoło. Żołnierze unieśli na płachcie brezentowej ciało i złożyli je w mogile. Trębacz odegrał hasło Wojska Polskiego, a bateria oddała trzykrotną salwę honorową. Stojąca niedalego od miejsca pochowania 5-ta bateria nabojami ślepyimi oddała salwę z haubic. Ziemia głucho leciała na ciało, aż uformowała się kopczyk. Wkopano również brzozy krzyż z metalową tabliczką. Po południu bateria uporządkowała gruntownie okolice i bezpośrednio poblizę grobu i zapaliła duży znicz zrobiony z hełmu.

Wszyscy cieszyli się, że to właściwie jeszcze nieformalny ale jest koniec wojny, a ja chodziłem smutny i właściwie nic do mnie nie dochodziło. Zastanawiałem się co mam napisać rodzicom Heńka do Sarn na Wołyniu. To był mój obowiązek jego przełożonego powiadomić o śmierci na polu chwały. Pisanie nie szło mi. Zużyłem już kilkanaście arkuszy papieru, ponieważ wydawało mi się, że nie-

właściwie ująłem chwilę śmierci ich syna. Heniek był jedynakiem i wyobrażałem sobie co czują jego rodzice, gdy czytają mój list oraz urzędowe pismo ze schematyczną formułką " Syn państwa poległ na polu chwały w dniu ... koło miejscowości w walce o wolność Ojczyzny.

Heniek dużo opowiadał mi o sobie, o swojej rodzinie. Jego ojciec był urzędnikiem starostwa w Sarbach, zaś matka nauczycielką w szkole powszechnej. Nie miał rodzeństwa. Do wojska wcielono go mniej więcej w tym czasie co i mnie. Był starszy ode mnie o niecały rok. Chodził przed wojną do gimnazjum, a w czasie sowieckiej okupacji do dziesięćmiesiątki. Trafiliśmy razem do Szkoły Podchorążych w Riazaniu. Był w 3-ciej baterii. Był moim wspaniałym kolegą i przyjacielem frontowym. Takim na śmierć i życie. Gdzieś w czasie walk na Wale Pomorskim, gdy grzaliśmy się w .. ziemiance, opowiadał mi, że ma w Sarnach dziewczynę, i gdyby zginął, to prócz rodziców .. mam także powiadomić jego dziewczynę.

List do rodziców oraz do dziewczyny Heńka starałem się napisać jak najbardziej serdecznie - tak od serca. Później gdy po zakończeniu wojny stacjonowałem w Gnieźnie, żołnierz od oficera dyżurnego powiadomił mnie, że jest do mnie jakiś pan. Gdy podszedłem pod pomieszczenia oficera dyżurnego pułku, podszed do mnie wysoki postawny pan i przedstawił się: "Przepraszam pana porucznika, jestem Kucharski, ojciec Heńka". Padliśmy sobie w ramiona. Zaprosiłem pana Kucharskiego do mnie do pokoju i tam w szczegółach opowiedziałem o śmierci Heńka. Prosił mnie o to pan Kucharski, bym w opowiadaniu tym niczego nie uronił. Miał to dokładnie powtórzyć swojej żonie, która złożona chorobą nie mogła przyjechać do Gniezna. Wręczyłem panu Kucharskiemu odznaczenia Heńka, oraz .. jego rzeczy osobiste. Przed wieczorem pan Kucharski odjechał.

Jeszcze długo po wojnie ciągle w moich myślach ważne miejsce zajmowała osoba Henia. Dziś, gdy piszę te słowa, ponownie przeżywam tę śmierć przyjaciela boleśnie, ze łzami w oku.

Sztab pułku ponownie przypomniał nam o sygnałach na spotkanie Amerykanów. Niespodziewanie pojawili się żołnierze amerykańscy na naszym brzegu rzeki. Byli to szeregowi, którzy przypłynęli przez łabę na pontonie, ot tak aby zobaczyć sojuszników. Byli z 405 pułku piechoty ze 102 Dywizji Piechoty 13-tego Korpusu 9-tej Armii USA dowodzonej przez generała Williamsa.



Oto cudem uratowane zdjęcie z Amerykanami nad Iabą przed oczami pułkowego informacyjnego /enkawudzisty/. Z lewej moi żołnierzy, dalej dwóch żołnierzy amerykańskich oraz moja osoba/.



Grupa moich żołnierzy z żołnierzem amerykańskim.

Żołnierze amerykańscy zachowywali się swobodnie. Byli bardzo dobrze umundurowani, a ich umundurowanie i całość parciańskiego oporządzenia było niezwykle funkcjonalne i lekkie. Porozumiewaliśmy się takim żołnierskim narzeczem. Trochę słów, a reszta to gesty. Amerykanie poszukiwali na pamiątkę znaczki z trupią czaszką jaką nosili SS-mani i gotowi byli dać co tylko niemal chcemy za te znaczki. Takie to amerykańskie dziwactwo. Amerykanie przyczepiali je . . . w rzędzie u dołu spodni. Oczywiście poczęstowali nas wspaniałymi amerykańskimi papierosami, wręczając mi nawet cały ich karton, oraz Whiski. Smażowała mi tak jak przysłówkowa nalewka na pluskwach. Pojawił się też mój brat Wiesław , który zrobił mi kilka zdjęć z Amerykanami. Wiesławowi skończył się niebawem film w aparacie fotograficznym, więc nawet Amerykanin pomógł mu założyć nową rolkę. Po jakimś czasie pojawił się oficer informacji pułku por. Kuziej. Był to Rosjanin i napewno funkcjonariusz NKWD, którego nikt w pułku nie lubił, z Rosyjskimi oficerami włącznie. Nawet gdy nadchodził do grupy rozmawiających oficerów, sami Rosjanie dawali znać, że "Kuziejowe niebezpieczeństwo/tak mawiali/ zbliża się." Kuziej zapytał mojego brata dlaczego robił zdjęcia z Amerykanami, gdy tego robić nie wolno. Brat mój odpowiedział, że pierwsze słyszy o takim głupim zarządzeniu, że przecież Amerykanie to nasi sojusznicy. Kuziej był jednak nieprzejednany i zażądał od brata by podał mu aparat fotograficzny. Otworzył aparat , naświetlił film i poszedł sobie. Działo się to przy Amerykanach, którzy patrzyli ze zdziwieniem na się dzieje. Widocznie pojęli w czym rzecz, ponieważ jeden z nich pokazując migiem na Kuziejowa pokazał stukanie się w czoło.

Zdjęcia z Amerykanami jednak przetrwały. Po zrobieniu szeregu zdjęć poprostu film w aparacie skończył się i trzeba było założyć drugi, w czym Amerykanin pomagał Wiesławowi. Kuziej naświetlił więc nową rolkę filmu, na której żadnych zdjęć nie było. Zdjęcia mam do dziś dnia.

A tak wogóle to utrudniano nam kontakty z Amerykanami, którzy już masowo przypływali na naszą stronę Łaby. Wielu z Amerykańskich żołnierzy byli pochodzenia polskiego i rozmawiali z nami, rzecz jasna, po polsku. Tego nasi politycy i informacyjni bali się najwięcej. Amerykanie czując to, masowo przywozili nam całe kartony przeróżnych amerykańskich papierosów, czekolady, kawy Nesca oraz spiritualia z whisky na czele. Ucztowano więc pod każdym przybrzeżnym

krzakiem. Nie mogli więc twardogłowi pogodzić się, że ich naka-
zy zabraniające spotkania z Amerykanami nie skutkują. Mówili,
że owszem Amerykanie są naszymi sojusznikami, lecz nie możemy im
wierzyć. Bolszewicka propaganda była aż nadto widoczna. Zaczęły
się również wycieczki naszych żołnierzy za Łabę do Amerykanów.
Jasny szlag trafił naszych podtrupków, gdy wielu naszych żołnierzy
nie powróciło już z tych wycieczek. Takie wypadki zaczęły się
zdarzać niemal we wszystkich pułkach naszej armii. Z mojej ba-
terii również uciekło dwóch telefonistów, którzy już nigdy nie
powrócili do baterii. Kazano ich wpisać jako "zaginieni".

Zaczęły się już masowe ucieczki naszych żołnierzy
za Łabę, to też Sztab Frontu na wiśść o licznych dezercjach
w polskiej armii rozkazał wycofać naszą armię do drugiego rzu-
tu frontu i przedyslokować gdzieś w okolice Berlina. To rzekomo
miało zapobiec dezercjom,

Nie mając narazie co robić, postanowiłem pochodzić
sobie po okolicy. Niedaleko od wału przeciwpowodziowego leżało
wiele żołnierskiego oporządzenia niemieckiego, istne składy
broni i amunicji oraz całe szeregi samochodów osobowych, cięża-
rowych, czołgów i transporterów osobowych. Niemcy uciekając prze-
sowieciami na zachód chcieli poddać się Amerykanom. Ci natomiast
ogłosili, że jeńców przyjmują tylko w dzień od godziny 9-tej
do godziny 15-tej. Jeńcy przy tym mają być bez broni, amunicji,
oporządzenia oraz bez samochodów. Zostawiali to więc tam gdzie po-
padło.

Nadszedł z brygady rozkaz o przegrupowania w rejon
Berlina. Owe poprzednie przypuszczenia o wycofaniu polskiej
armii do tyłu jeszcze w tych dniach spełniły się. Mieliśmy do
godziny 24.00 dnia 6 maja przejechać odcinek nad rzeką sowieckim
oddziałom. Zaczęły się przygotowania do marszu. Jeszcze raz po-
szedłem na grób Henia, złożyłem mu taką małą wiązanek wiosennych
kwiatków i pomodliłem się na jego grobie. Potem skierowałem
swe kroki nad Łabę. Była szeroka jak nasza Wisła. Usiadłem na
piasku i zadumałem się, gdzie też losy wojny zagoniły mnie ?
Przecież 10 wieków temu to była rzeka graniczna Słowian. Przy-
woływałem w pamięci pierwszy dzień wojny. Dowiedziałem się
o wybuchu wojny tam w Biażokryniczych koszarach. Przebiegłem
w myślach całą okupację sowiecką i niemiecką, pójdzie do wojska
oraz cały mój szlak bojowy od Warszawy po Łabę.

Powróciłem do rejonu zakwaterowania baterii, gdzie
czekał na mnie już rozkaz do marszu. Nasza brygada miała prze-

grupować się z dotychczasowego rejonu do lasów na północ od Berlina po marszrucie: WARNAU, RHINOW, FRIESACK, NAUEN, WEINBERG, PANSIN, SCHONFELDT, HENNINGSDORF do rejonu WANDLITZ - SCHMACHTENHAGEN.

Marsz rozpoczął się w dniu 7 maja i tego samego dnia wieczorem osiągnęliśmy nakazany rejon. Byłem więc znów w tej pięknej miejscowości co dwa tygodnie temu, bogatej we wspaniałe wille i ogrody. Snąłem tę samą willę, lecz już mocno ograbioną i zaśmieconą. Bateria zakwaterowana w wygodnych domach i willach odpoczywała. Nazajutrz 8 maja od rana świeciło wspaniałe słońce, nie słychać było strzałów i było tak cicho. W willi pozostały tylko dywany, meble, lustra i książki. Były za ciężkie dla kombinatorów.

Cały dzień przeznaczony był na czyszczenie sprzętu. Obok w lesie stała Brygada Kawalerii i znów mój brat Wiesław spotkał pana Zawadzkiego i pana Romana. Obydwaj byli przed wojną podoficerami w 12 pułku ułanów Podolskich, a obecnie służyli w Brygadzie Kawalerii 1 Armii WP. Wiesław umówił się, że nazajutrz wieczorem przyjedziemy do rejonu zakwaterowania jednego z pułków ułanów, gdzie służyli wyżej wymienieni. Miała to być uroczysta kolacja, na którą prócz nas pan Zawadzki i Roman zaprosili i innych Krzemieńczan i znajomych z Białokrynicy służących w Kawalerii.

Wieczorem z oficerami baterii zrobiliśmy takie małe pijaństwo. Mój ordynans kanonier Esterzon przygotował fantastyczne zakąski. Skąd on to wszystko wytrzasnął tego nie wiem, ale jadło było wykwintne. Pod wpływem alkoholu jakoś minął mi zły nastrój po śmierci Henia Kucharskiego. Położyliśmy się wkrótce spać, ponieważ dowódca pułku zapowiedział jakieś nowe kontrole sprzętu itp.

Rano, gdy tylko przetarłem oczy, usłyszałem gdzieś niedaleko naszego rejonu zakwaterowania ogromną strzelaninę. Ten huragan ognia rozprzestrzenił się we wszystkich kierunkach. Czyżby, znów jakaś silna grupa niemieckich żołnierzy ukrywająca się w podberlińskich lasach, usiłowała przedostać się na zachód do Amerykanów? Szybko ubrałem się, schwyciłem całe moje bojowe wyposażenie oraz mały włoski pistolet maszynowy "Baretta" i wybiegłem przed willę. Teraz strzelano już wszędzie. Koło innych domów stali żołnierze i strzelali w górę. Leciały serie ze wszelkiej broni jaką każdy miał. Huragan strzelaniny niósł się od zachodu na wschód i z południa na północ. Najwięcej strzelano

gdzieś z kierunku Berlina, do którego było od nas zaledwie 15 kilometrów. Wyglądam zdziwiony przez okno z mocnym kasem po wczorajszej sudej kolacji. Widzę dowódcę 1 baterii biegnącego przez główną aleję tego przepięknego osiedla, śmiejącego się na całe gardło i strzelającego zawzięcie na wíwat z pistoletu. "Ale sobie zdrowe popił" - pomyślałem sobie. Karcizo mnie jednak zapytał o powód tej radości. Krzyknąłem do niego o powód tego szampańskiego humoru. Ten gdy mnie dojrzał wrzasnął z radością: "Jurka! Eto koniec wojny, rozumiesz - koniec wojny, uraaa!". Teraz i ja nie dałem również za wygraną i pobiegłem po moją broń. Przez okno wygarnąłem w powietrze z mego włoskiego pistoletu nassynowego cały magazynek oraz dodatkowo ze służbowego pistoletu "TT" cały pełny magazynek.

Radość była powszechna i spontaniczna. Wszyscy byli roześmiani, radosni i padali sobie w objęcia. Starsi wiekiem żołnierze jak dzieci tańczyli z sobą. Taką powszechną i entuzjastyczną radość oglądałem po raz pierwszy w życiu.

W południe nadeszły pierwsze oficjalne wieści z Berlina. Tam w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku w podberlińskiej miejscowości Karlshorst zastępca naczelnego dowódcy Sił Zbrojnych ZSRR i jednocześnie dowódca 1 Frontu Białoruskiego marszałek Georgij Żukow w towarzystwie brytyjskiego marszałka Artura Teddera, francuskiego generała Jeana de Lattre de Tassigny i amerykańskiego generała Carla Spaatz'a przyjął akt bezwarunkowej kapitulacji niemieckich sił zbrojnych. Akt ten zwiastował ostateczny upadek "tysiącletniej" III Rzeszy niemieckiej i kończył jednocześnie II wojnę światową w Europie.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie co ^{była} była przyczyną tej nocy ^{tak} silnej obstawy głównej szesy biegnącej tuż koło naszego obecnego miejsca postoju. Dowódca warty meldował mi w nocy o skontrolowaniu naszych posterunków oraz sił sowieckich posterunkach reestawionych wzdłuż szosy prowadzącej do Berlina. A więc gdy zdrowo popijaliśmy w nocy, obok nas jechał w obstawie z Berlina niemiecki feldmarszałek Keitel po podpisaniu kapitulacji.

Cały dzień wszyscy chodziliśmy jak w transie. Na późne godziny popołudniowe sztab pułku nakazał zbiórkę całego pułku przy działach. Miał być odczytany rozkaz Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego Marszałka Roli-Żymierskiego z okazji zakończenia II wojny światowej i oddany w związek z tym

ureczysty salut ze wszystkich dział naszego pułku.

Na zbiórce całego pułku, szef sztabu ureczystym głosem odczytał ten rozkaz mający numer 88. A oto jego skrót:

" Oficerowie, podoficerowie, szeregowcy !

Wojna zapoczątkowana 1 września 1939 roku napaścią wojsk hitlerowskich na naszą Ojczyznę zakończyła się. Wróg ludzkości, butny faszyzm niemiecki leży zmiażdżony u stóp waszych.

W tej radosnej dla całego Świata godzinie możemy sobie z dumą powiedzieć, że Wojsko Polskie dobrze przysłużyło się Ojczyźnie i ludzkości.

Bohaterstwo obrońców Westerplatte i Warszawy we wrześniu 1939 roku, heroizm pionierów walk zbrojnych z okupantem na terenie całego kraju, poświęcenie idących za porywem serca powstańców warszawskich, niezmierna tęsknota za krajem wolnym, walka o niepodległość, o honor Polaka, wypisane jest na Waszych sławnych sztandarach zatkniętych w Berlinie i dalej nad Łabą.

Szlak Waszego bohatersztwa wyznaczyliście własną krwią mogiłkami najlepszych synów Ojczyzny, wiernych do ostatka.

Oficerowie, podoficerowie, szeregowcy !

Wasz bojowy trud nie poszedł na marne. Uzyskaliście dla Polski wiekopomne zdobycze - powrót prastarych naszych ziem. Wam było dane nie tylko wyzwolić Waszych braci i sióstr z hitlerowskiej niewoli, lecz również przywrócić wolność wielonarodowej rzeszy więźniów obozów koncentracyjnych. Dzisiaj, gdy wojna dobiegła zwycięskiego końca, zadaniem Waszym jest zabezpieczenie na wieki naszych granic. Po wygranej wojnie musimy wygrać i zabezpieczyć Ojczyznę pokój. To winniśmy narodowi, to winniśmy cieniem tych wszystkich, którzy padli w walce o Polskę. Dziś w chwili ostatecznego zwycięstwa cały Naród jest z Wami.

Naród i Państwo nie zapomni nigdy Waszych zasług. Zasłużona nagroda spotka tych, co brali Warszawę, Wał Pomorski, zdobywali Kołobrzeg, Gdynię, Gdańsk, forsowali Odrę i Nysę, Szprewę, Kanał Hehenzelernów, zadawali ostatnie ciosy wrogowi pod Berlinem i w Berlinie, nad Łabą. Naród i Państwo nie zapomną żadnej zasługi bojowej, żadnej krepli krwi przelanej za Polskę na wszystkich frontach Świata.

W dzisiejszym uroczystym dniu dla uczczenia
ostatecznego zwycięstwa nad hitleryzmem i zakończenia wojny
r o z k a z u j ę :

1. We wszystkich artyleryjskich jednostkach Wojska Polskiego oddać o godzinie 21-tej salwę honorową 24-rema wystrzałami
2. Poległych oficerów, podoficerów i szeregowców Wojska Polskiego uczcić trzy minutowym milczeniem.

Chwała wszystkim żołnierzom polskim i narodów
sojuszniczych, poległym w walce o wolność.

Po odczytaniu rozkazu cały pułk oddał salwę honorową ze wszystkich dział pułku. Wszyscy zadeweleni i radośni powrócili do rejonów zakwaterowania na dalsze uczty.

Byłem wraz z Wiesławem zaproszony do stojącej w pobliżu Brygady Kawalerii na uroczystą kolację przy ognisku, na którą zaprosili nas służący w Brygadzie kawalerii: chor. Cezary Zawadzki, wachm. Roman, ppor. Ostromecki i wielu innych podoficerów naszego 12 Pułku Ułanów Podolskich służących obecnie w I Armii WP. Po owej kolacji było jeszcze sporo więc usadowiwszy się w wygodnym fotelu zadumałem się. Przyszły refleksje na temat zakończenia wojny. Pobiegłem myślą do pamiętnego 1 września 1939 roku, gdy w białokrynickich koszarach dowiedziałem się o napaści Niemiec na Polskę. Wojna obecnie w Europie dobiegła końca. Dziwiłem się jak będzie obecnie wyglądało moje życie bez rozwijania w ugrupowanie bojowe baterii, bez zajmowania punktów obserwacyjnych i stanowisk ogniowych, bez prowadzenia ognia. Przebiegłem w moich myślach całą okupację sowiecką i głód i nędzę w moim domu, okupację niemiecką, służbę w plutonie 12 Pułku Ułanów Podolskich Armii Krajowej, podchorążówkę w Riazaniu oraz całą wojnę moją od Warszawy aż po Łabę. Był też tragizm i mój i innych moich kolegów, mojej baterii, brygady, dywizji, całej 1 Armii Wojska Polskiego. Walczyliśmy o odrodzenie Polski, ale moje rodzinne strony nie miały już być w Polsce. Wracalem do Ojczyzny, ale nie miałem wrócić do domu rodzinnego. Była to tragiczna sprzeczność i ona też do dziś dnia stanowi najgłębszy i najtrudniejszy z problemów moralnych jakie nurtowały nas wszystkich wówczas pod Berlinem. Podobno żadne pokolenie od czasów Kościuszki nie miało takiej bohaterskiej mędrości, lecz była ona teraz niby to po zwycięstwie zaprawiona goryczą. Cieszyłem się tylko dlatego, że nie złożyłem moich kości na wojen-

nym szlaku. Wyszedłem z tego cało. Czułem taką zawoalowaną opiekę Opatrzności Bożej nad moją osobą. Przypomniały mi się tu słowa zawarte w 91 Psalmie Biblii: "... bo swoim aniołem dał rozkaz o tobie, aby cię strzegli na wszystkich twych drogach".

Dobiegła więc końca moja wojaczka. Nie wiem jak obecnie przystępuję się do życia pokojowego w wojsku. Lecz jednak gdyby mi kazano to wszystko przeżyć jeszcze raz - nie zawahałbym się ani trochę. Czyż nie można być dumnym, że oczy moje oglądały walącą się w gruzy hitlerowską III Rzeszę, jak Niemcy uciekali przed ogniem meich haubic, jak padali na kolana przede mną i błagali o życie. To warto było przeżyć jeszcze raz. Byłaby to niejako zapłata za długie lata niewoli, poniewierki, cierpienia i upokorzeń

Wieczorem, gdy z bratem Wiesławem wybierałem się na kolację do Brygady Kawalerii, wokół w okolicznych lasach gdzie ześrodkowane były dywizje piechoty naszej polskiej armii odbywały się uroczystości zakończenia wojny. Zawszą płynęła uroczysta pieśń: "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród..."

Wspominając tamte dni i tamtych meich żołnierzy, którzy tak skutecznie i umiejętnie ukrywali przed okiem sowieckich nadzorców nasz rzeczywisty stosunek do wymarzonej, wolnej i suwerennej Ojczyzny. Dziwię się ogromnie i jednocześnie martwię się, że są jeszcze u nas w ^{Kraju} ludzie, którzy tamtą naszą waleczną i bohaterską i Armię Wojska Polskiego zatykającą naszą biało-czerwoną na gruzach Berlina cynicznie nazywają wojskiem "polskojęzycznym". Ci panowie sedziennie zjadają w domach swych chleb z ziemi zroszonej przez naszych bohaterów z Wołynia i Podola.

Wieczorem udałem się z bratem do kawalerzystów. Przy ognisku, dobrej wódce i zakąskach zebrali się wszyscy z 12 Pułku Ułanów Podolskich służących obecnie w 2 pułku ułanów 1 Brygady Kawalerii 1 Armii WP. Było bardzo miło i swojsko. Wspominaliśmy dobre przedwojenne czasy w koszarach w Białokrynicy i marzyliśmy by te miejsca zobaczyć jeszcze w życiu.

Nazajutrz życie potoczyło się normalnym wojskowym trybem. Zaczęła się papierkowa praca, ale była ona niezbędna. Przeszedł rozkaz dokładnego zestawienia imiennego poległych oraz również dokładnego określenia ich pochowania ze szkicem położenia właśnie. W innych bateriach musiano jechać powtórnie na nasz szlak bojowy w celu robienia dokładnych szkiców gróbów. Ja nie po-

trzebowałem tego robić, ponieważ miałem zrobione już dokładne szkice gdzie znadawały się groby poległych z naszej baterii. Nie mniej jednak przyszedł już przedsmak normalnego, papierkowego życia garnizonowego.

Właściwie to już przyszedł czas by bojowe pułki 1 i 2 Armii Wojska Polskiego mogły już zawrócić na wschód ku Pel-sca. Ich bojowa historia dobiegła już końca. Czego szukaliśmy na polach bitew Pomorza, Brandenburgii i Saksonii o świcie nowego dnia? A przecież mezelnie wydeptywaliśmy już pierwsze ścieżki polskości na naszych Ziemiach Zachodnich nad Odrą i Nysą, które po wiekach powracają do nas. Gdy wracaliśmy do Polski z Niemiec, ktoś słuszenie wymalował na dużej ścianie budynku w Skwierzynie ogromny napis: "Myśmy tu nie przyszli, myśmy tu powrócili!"

Na 11 maja 1945 roku sztab pułku zapowiedział odprawę wszystkich oficerów. Czuliśmy tak podświadomie, że szykuje się nasz powrót do Polski. Rzeczywiście odprawa rozpoczęła się od postawienia rozkazu do marszu. Pułka nasz w składzie całej brygady miał marszem kołowym podróznym przejść do rejonu PLATKOW w rejonie wzgórz Seelowskich tu na wschód od Odry. Zawód był powszechny. A więc nie do Polski? Postawiono zadanie większości jednostek 1 Armii WP pozostania przez miesiąc czasu na okupacji Niemiec.

Marsz odbył się 13 maja 1945 roku sprawnie i tego dnia przed wieczorem osiągnęliśmy nakazany rejon ześrodkowania. Miał więc to być rejon postoju naszej brygady na najbliższe tygodnie. Każdy pułk naszej brygady otrzymał wygodny rejon w pięknym wysokopiennym lesie. Przed lisjerą lasu była obszerna polana, która służyła później do wszelkiego rodzaju uroczystości, mszy świętych zbiórek pułkowych i brygadowych a także jako place sportowe.

Biwak był wkrótce urządzony i nakazane oficerem wdrażać powoli żołnierzy do życia pokojowego, garnizonowego, co nie było początkowo łatwe.

W celu zajęcia czymś wojska nakazano szkolenie. Codziennie zaplanowano 8 godzin zajęć z przewagą takich przedmiotów jak regulaminy, musztra piesza oraz coraz więcej zajęć politycznych.

Największym zadaniem specjalnie wyznaczonych komisji było sporządzenie remanentu wszelkiego sprzętu będącego na wyposażeniu baterii. Była to istna zmera dla dowódców baterii.

W wypadku braku jakiegokolwiek sprzętu i wyposażenia dowódca ponosił karę pieniężną. W mojej baterii brakowało kilku hełmów lecz w żadnym wypadku nie zamierzałem z tego powodu obciążyć mojej kieszeni i płacić za hełmy, które zaginęły nota bene nie w okresie mojego dowodzenia baterią. Dowódca baterii z naszego drugiego dywizjonu poradził mi, by wysłać żołnierzy na pobliskie sowieckie cmentarze wojenne, gdzie na grobach leży mnóstwo hełmów, które czy prędzej czy później zostaną z tych grobów zabrane. W krótkim okresie czasu już żadnych braków hełmów nie miałem.

Stożonowo wprowadzano zakaz oddalania się, bez zezwolenia przełożonych, wszystkich szeregowych i podoficerów, poza rejon zakwaterowania. Wyznaczone patrole żandarmerii ze sztabu Brygady łapały delikwentów wędrowek po wsiach. Wojna się skończyła, lecz zaczął się handel ponemieckim mieniem i maruderstwo.

Pod koniec czerwca 1945 roku wszyscy już z niecierpliwością oczekiwali rozkazu powrotu do Kraju.

Pocztą pantoflowa co i raz donosiła, że już ta dywizja wyruszyła do Polski, a to, że inne dwie już są dawno w marszu, tylko nasza Byrgada nie wiadomo po co tkwiła nadal w tych lasach.

Zaczął się znów generalne czyszczenie samochodów, dział i wszystkiego sprzętu wojskowego. Z samochodami nie było wcale kłopotów. Zarówno ciągniki dział - samochody Studebaker, samochód plutonu dowodzenia - ciężarowy Ford jak i ciągnący kuchnię baterijną i wszelki dobytek szefa baterii - Chevrolet, spisywały się na "medal". Farba ochronna na samochodach po usunięciu błota była jak nowa. A propos samochodów to przypomniało mi się takie zdarzenie, gdy byliśmy nad Łabą i obserwowaliśmy jadącą kolumnę samochodów amerykańskich. Wówczas to mój zwiadowca bombardier Kamiński zwrócił się do mnie z pytaniem: "Panie poruczniku, ci Amerykanie mają takie same samochody jak my?". "Nie mój drogi" - odpowiedziałem, "to my mamy takie same samochody jak oni".

Samochody były rzeczywiście wspaniałe. Przeszły one po tylu okropnych wertepach i tego nie było widać po nich.

W pierwszej dekadzie czerwca 1945 roku, dowództwo naszej brygady zorganizowało wycieczkę oficerów z wszystkich trzech pułków do Berlina. Zgłosiłem się na tę wycieczkę, no bo jakże: wystrzeliwałem prawie całe tony amunicji na to przeklęte miasto i nawet nie widzieć z jakim skutkiem?

Wyjechaliśmy z naszego miejsca postoju w Platkw i do Berlina wjechaliśmy od strony wschodniej. Każdy mógł się więc przekonać naocznie, że stolica "Tysiącletniej" Rzeszy po-
rządnie oberwała. Widok ruin zawsze napawał mnie smutkiem, a teraz natomiast oglądałem je z niejakim zadowoleniem. To zapłata za ruiny naszej stolicy. Jedziemy przez sławną już dzielnicę Berlina - Koepenick. To tu niegdyś sławny "kapitan" ośmiesział pruski dryl.

Na ulicach leżało pełno cegieł, potłuczonych dachówek, szkła, a na bokach poskręcane uliczne latarnie, mimo, że już miesiąc upłynął od zdobycia Berlina. Nie wszędzie jednak walki prowadzone były z taką zaciętością. Zachodnie ulice i dzielnice miasta były najmniej zniszczone, a niektóre uchowały się. Najwięcej oberwały dzielnice wschodnie i centrum miasta oraz rejon dworców kolejowych, Reichstag i Reichskanzlei.

Teraz wszędzie było cicho i prawie spokojnie. We wszystkich prawie oknach ocalałych kamienic i na balkonach wisiały białe flagi na znak poddania się. Dziwnie to wszystko korespondowało z licznymi napisami na murach domów: "Wir kapitulieren nicht!". Nie, u nas tego nie było.

Byłem też w Reichstagu, a raczej w jego ruinach. Wszyscy podpisywali się kredą na murze tego gmazyska. Były napisy po rosyjsku i po polsku. Ja też złożyłem tam swój podpis kredą: "Jerzy Jankowski - Krzemieniec".

Pojechaliśmy też do Tiergarten. To tu w samym centrum Berlina bili się nasi - i Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Pojechaliśmy też do kolumny zwycięstwa - osławionej Siegessäule. Wzniesli ją prusacy po zwycięstwie nad Francją w 1871 roku, tynkując ją lufami zdobytych dział.

Pe krętych, pewyszczerbianych schodach wspiałem się na jej szczyt. Niedawno powiewała tu jeszcze nasza polska flaga. Teraz jej już nie było. Nie było też jej i na dworcu Tiergarten. Sowieci pozdejmowali nasze flagi pozostawiając tylko swoje - czerwone. Zazdrość czy nienawiść?

Z szczytu kolumny leżał przede mną cały Berlin, a raczej w większości jego gruzy. Właściwie to Berlin był brzydkim miastem, mówię tak po oglądnięciu niezniszczonych dzielnic zachodnich miasta. Taka ciężka koszarowa zabudowa. Polskich śladów walki było wiele. Prócz małych cmentarzyków na Charlottenburgalee, na jednej z ulic był na murze wymalowany wapnem ogromny napis jakiegoś wesółka z 1-szej Dywizji im. T. Kościuszki: "A kuku - Henie z Tarnopola".

Na Voss-Strasse włoży się podarte hitlerowskie sztandary oraz całe stosy portretów Hitlera. Na wielu ścianach domów widniały hasła z goebbelsewskiej propagandy: "Berlin bleibt deutsch", lub "Sieg oder Siebirien".

Na szczycie Bramy Brandenburskiej była tylko pogruchotana metalowa kwadryga, lecz naszej flagi już nie było.

W pałacu Charlottenburg kopotały na wietrze nasze biało-czerwone flagi. Tu w czasie walk o Berlin mieścił się sztab 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki. Przekerna historia sprawiła, że właśnie siedziba władców Prus i Niemiec była przez pewien okres czasu siedzibą polskiego sztabu dywizji. Sam pałac nie imponuje rozmiarami. Po przekroczeniu głównej bramy, której głównymi akcentami były figury gladiatorów z poobijanymi nosami i rękami. Nazwa pałac pochodzi od Sefie Charlotte - żony wielkiego elektera brandenburskiego. Odłamki bomb i pocisków artyleryjskich pogruchotały również mauzoleum z sarkofagami króla Prus Fryderyka Wilhelma III i cesarza Wilhelma I.

Tak więc karsząca ręka sprawiedliwości sięgnęła też Berlina. Kiedy powróciliśmy z wycieczki z Berlina błyskawicznie rozeszła się wieść, że ze Sztabu Armii w Seelowie nadeszły rozkazy o przegrupowaniu oddziałów armijnych do Kraju. Najpierw poszła do Kraju Brygada Saperów w celu przeprowadzenia rozminowania miast, wsi oraz pól uprawnych. Tam znów naszych saperów czekała śmierć. Następnie ruszyła do Polski 4 Dywizja Piechoty im. Jana Kilińskiego. Miała być skierowana w Bieszczady, gdzie ukraińskie Watahy z pod krwawego znaku "tryzuba" i obecnie nazywające siebie Ukraińską Powstańczą Armią rozpoczęły krwawą rzeź polskich wsi i osiedli.

Pewnego dnia miałem służbę oficera dyżurnego Brygady. Wieczorem zgłosił się do mnie wachmistrz z Brygady Kawalerii prosząc o pomoc w naprawie samochodu. Czekając na mechanika samochodowego zaczął opowiadać o rabunku (przez Spiwętopów) polskiego wojskowego taboru ich Brygady.

Brygada ich w szyku marszowym zbliżała się do przeprawy na most w Kostrzynie. Najpierw jechały konne pułki ułanów, a za nimi tabory. Gdy tylko tabor wjechał na most, sowieckie posterunki rozpoczęły penetrowanie taborów i wyrzucanie na boki rzeczy, które w ich mniemaniu stanowią zdobycę sowiecką, bo te oni pokonali Niemców. Wyrzucano motocykle, rowery, akordeony i inne przedmioty. Gdy konne pułki nasze dowiedziały się o rabunku przez sowieków ich taborów, rzuciły się w pław przez Odrę i zaczęła się formalna bitwa o tabory. Ułani potrafiliby wyrwać z rąk sowieckich swoje ~~zabój~~ mienie poturbowawszy kilku Sowicków. Wachmistrz dawał nam wskazówki jak mamy postąpić by uniknąć penetracji naszego taboru przez Sowicków na moście w Kostrzynie.

Wkrótce wieści o rabunku taborów przez Sowicków doszły do naszego dowództwa brygady i pułków. Postanowiono zarządzić temu i żadnych zdobytych wojennych nie oddawać. W większości dowództwa pułków i brygady składało się z oficerów sowieckich i oni byli oburzeni na takie rabunki ich ziemków. Wkrótce zdecydowano, że wszystkie zdobyte samochody ciężarowe będą ciągnęły działa. Gdyby Sowicki nie chcieli przepuścić zdobytych samochodów, mieliśmy mówić że etatowe samochody zostały zniszczone w walce i coś musi ciągnąć działa. Wszystkie natomiast samochody etatowe, jak: Studebakery, Fordy, Chevrolety, Dodge miały jechać oddzielnie będąc załadowane wszystkimi zdobyczami oficerów oraz pułków. Postanowiono przy tym oszukać Sowicków niczym osławiony kapitan z Koepenick. Na przedzie tejże kolumny miał jechać samochodem oficer przebrany za generała i miał na moście w Kostrzynie powiedzieć, że jedzie sztab Armii. Niebawem krawcy w pułku przyszyli przebranemu generałowi generalskie rygunki do rękawów i czapki. Koniecznym w tym wszystkim było to, że owego generała polskiego, który miał wykiwać Sowicków był major Borysenko, dowódca dywizjonu, Rosjanin. Rozpoczęły się więc generalne przygotowania do marszu. Pakowano wszystko co było potrzebne. Pod koniec czerwca wyruszyliśmy na wschód do dżugo oczekiwanej Ojczyzny.

Rzecz na moście w Kostrzynie rozgrywała się według naszego scenariusza. Najpierw jechały działa z zaczepionymi działkami, Sowicki major na moście usterkował, że wiezione są zdobyte samochody, lecz argument, że w takim razie hędzie musiał sam zaciągnąć działa do Polski, przekonały majora.

W godzinę po kolumnie dział nadjechał ów przebrany generał z naszego pułku, a za nim chyba z 15 samochodów osobowych

naszych oficerów oraz długa kolumna Studebakerów, Fordów, Chevroletów i Dodge. Na samochodach ciężarowych szczelnie zakrytych plan-dekami i ochronie składającej się z żołnierzy przewoziliśmy róż-
ne zdobyczne rzeczy od motocykli, rowerów, motorów elektrycznych i małych samochodów DKW po maszyny do szycia, pisania i lieho-
wie jeszcze do czego służyły. Gdy do "generalskiego" samochodu
podszedł na moście sowiecki major, nasz "generał" oświadczył, by
natychmiast przepuścili przez most, ponieważ wiezie całość sztabu
Armii polskiej, ścisłe tajne dokumenty w tym i "polskiego NKWD".
Jak opowiadali moczni świadkowie, ów sowiecki major chwilę stał
niezdecydowany co ma czynić, lecz magiczne słowo "NKWD" natych-
miast zadziałało. Ruską major krzyknął do swoich podwładnych aby
natychmiast przepuścili jadącą kolumnę polskiego "sztabu armii".
W ten to sposób sowieccy oficerowie noszący polskie mundury wyki-
wali sowieckich oficerów noszących ruskie mundury.

Jak później wybrnął z przeprawy rzeczywisty Sztab
I Armii WP, historia o tym ślęsy.

W ten to sposób dojechaliśmy poprzez Skwierzynę do
Eniew koło Poznania. Po przenoceowaniu ruszyliśmy dalej przez Poz-
nań do Gniezna, gdzie brygada miała stać garnizonem.

Przywitanie wracających z frontu pułków naszej bryga-
dy przez ludność Gniezna była spontaniczna. Na ulicy leżały hit-
lerowskie flagi, po których przejeżdżały nasze samochody i działa.
Dwa pułki naszej brygady / 10 i 11 pułk haubic / pojechały na po-
łudniowe przedmieścia Gniezna do znajdujących się tam dwóch kom-
pleksów koszarowych, natomiast nasz 12 pułk haubic skierowano do
koszar leżących w centrum miasta przy ul. Sobieskiego. Przed wojną
stał w tych koszarach 69 pułk piechoty.

W ten to właśnie sposób dobiegły moje wojenne wspo-
mnienia do końca.

Czy opisałem w moich wspomnieniach wszystko co wi-
działem i przeżywałem? Nie ma jednego, obiektywnego i rzeczywiś-
cie prawdziwego obrazu jakiegokolwiek walki. Każdemu bowiem utrwal-
 się w pamięci jego własny obraz walki, uwarunkowany jego świadomo-
cią, przeżyciami i osobistym wkładem w daną akcję. Na jedno wyda-
rzenie patrzono przez szkło powiększające, a na inne przez odwró-
ną lornetkę. Szkło powiększające ogromnie przybliżyło i uplastycz-
nia oglądany obraz, jednocześnie jednak zawężając pole widzenia,
sugerując, że poza oprawką szkiełka już niczego nie ma. Ja na
pole walki i jego wyniki patrzyłem z pozycji dziewiętnastoletnie-
go młodzieńca z Białokrynicy, patrioty polskiego i osoby głęboko

nienawidzącej dwóch krwawych okupantów: sowieckiego i niemieckiego, którzy zburzyli moje szczęśliwe dzieciństwo w dniu 1 września 1939 roku.

S t r a t y.

To dla mnie najboleśniejszą częścią moich frontowych wspomnień. Nie tak bowiem nie boli jak strata najbliższego przyjaciela lub podwładnego w walce.

I Armia Wojska Polskiego, w której miałem zaszczyt walczyć na froncie, Armia, która w czasie zaledwie rocznego istnienia / od lipca 1944 do 9 maja 1945 r. / poniosła straty zamykające się liczbą 51.327 żołnierzy. Idąc w ciężkich i krwawych walkach przez pół Polski / od Bugu / i połowę Niemiec /po Łabę / straciła z tej liczby: 9941 zabitych. To niemal etatowa dywizja piechoty. Zginionych , a więc właściwie zabitych było 6081 żołnierzy, oraz 27.425 rannych i kontuzjowanych.

W przybliżeniu więc jeden zabity przypadał na trzech rannych. Do niewoli niemieckiej trafiło zaledwie 41 żołnierzy. Głównie to żołnierze, którzy śpieszyli na pomoc Powstaniu Warszawskiemu i przeprawili się na lewą stronę Wisły we wrześniu 1944 roku.

Spośród ogólnej liczby strat 8 % przypada na oficerów, 24 % na podoficerów i 68 % na szeregowych. Daje to odpowiedni stosunek 1 : 3 : 9.

Przyczyny śmiertelnych strat są bardzo trudne do ustalenia, ponieważ w żadnej dotąd armii świata nie prowadzono tego rodzaju statystyki. Można jednak drogą analogii, biorąc za podstawę przyczyny zranień, snuć bardziej lub mniej dokładne przypuszczenia. Okazuje się, że największe straty ponieśliśmy od ognia artyleryjskiego nieprzyjaciela. Z tego też względu mogę przypuszczać, że mój rodzaj wojska - artyleria, w tym i moja bateria hanbie, również zadała nieprzyjacielowi największe straty.

Z mojej baterii poległo 11-tu żołnierzy. Byli to chłopcy z Wołynia i Podola. Ich śmierć na polu walki przeżywałem ogromnie. Dziś pisząc te słowa i wspominając ich cienie żyję jak grochy płyną mi po policzku. Najwięcej jednak przeżyłem śmierć, w ostatniej niemal godzinie wojny, mojego frontowego kolegi i serdecznego przyjaciela ppor. Heńka Kucharskiego. To było dla mnie bardzo bolesne.

W Siekierkach nad Odrą, gdzie ongiś Bolesław

Chrobry wbił słupy graniczne, w zbiorowych mogiłach, pod znakami Krzyża Grunwaldu odcisniętego w betonie, spoczywają żołnierze 1 Armii Wojska Polskiego. Z daleka przyszli tu ci ludzie, by swoją życiową wędrówkę zakończyć właśnie tu, nad Odrą. Leżą tu prawie dzieci, 15 - 16 letni chłopcy, sieroty wojenne przygarnięte przez oddziały jako "synowie" pułku, leżą mężczyźni w sile wieku oraz 50 - 60 letni weterani walk jeszcze z I wojny światowej - z Legionów, z Korpusów Wschodnich i z walk z bolszewikami w 1920 roku, będący już prawie u schyłku swoich dni. Leżą dziewczęta i dojrzałe kobiety. Wszyscy oni przeżyli koszmar 1939 roku, sowieckie szyki i łagry, niemieckie obozy, gehennę czerwonych noczy Wołynia w 1943 roku. Przeżyli różne fronty, przyczółki, obrony i natarcia, bitwy i walki. Wymknęli się śmierci, ocalili od kul banderowskich siepaczy, od mordów gestapowskich i NKWD-owskich. Przeszli przez łańcuchy łapanek, druty obozów, płonące miasta i wsie a także własne domy i zagrody. Przetrwali długą noc niewoli, rozpacz i poniżenia. Całych 2055 dni okrutnej wojny. I oddali swe sterane życie przy końcu wojny. Jak to ciężko wówczas umierać.

Owo zwycięstwo, ogłoszone nam dnia 9 maja 1945 r. dla mnie było ogromnie niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe również dla całej mojej baterii, pułku, brygady, dla całej 1 Armii Wojska Polskiego. Nie mogliśmy przecież jako zwycięzcy powrócić do swoich rodzinnych domów. Osobiście uważałem, że zwyciężyć - to móc powrócić do domu, do swoich rodzinnych stron, do mojego rodzinnego mieszkania w koszarach 12 Pułku Ułanów Podolskich w Białokrynicy koło Krzemieńca - tam gdzie zastała mnie wojna.

Obecnie często spotykam się z pytaniami: dlaczego walczyłem w Armii Polskiej, która w walkach szła razem ze Sowiecami? Podobne pytanie można byłoby skierować również do naszych polskich generałów: Sowińskiego, Żymirskiego, Prądzyńskiego, Dwernickiego czy też Chłopickiego, którzy służyli podobnie jak i ja w zwasalizowanej przez rosyjski carat armii Królestwa Kongresowego z naczelnym wodzem Wojska Polskiego Wielkim Księciem Konstantym na czele. Marazm i krwiożerczość caratu w stosunku do Polaków wówczas nie była lepsza od bolszewickiego.

Takie były losy Polaków na przestrzeni dziejów. Zawodową służbę wojskową przez 40 lat pełniłem i dlatego, by polskimi żołnierzami nie dowodzili sowieccy komisarze. Tak mi na-

kazywał mój patriotyczny obowiązek. Oczywiście służyłem w wojsku też i dla apanaży, zresztą bardzo skromnych.

Mam jednak ogromny żal do przywódców obecnego naszego państwa. Nie wiem czy naprawdę nie dostrzegają, czy też celowo przemilczają ogromną hekatombę krwi żołnierskiej przelanej przecież przez Polaków, żołnierzy 1 i 2 Armii Wojska Polskiego.

18 marca 1995 roku, w 50-tą rocznicę zdobycia Kołobrzegu i zaślubin Polski z morzem, na uroczystościach w Kołobrzegu nie było nikogo z władz państwowych. Prezydent Wałęsa nie przysłał nawet najmniejszego posłania do weteranów tych walk zgromadzonych na kołobrzesckiej plaży. Telewizja Polska oraz Polskie Radio nie podały najmniejszej chociażby wzmianki o odbywających się w Kołobrzegu uroczystościach. Dlaczego? Przecież kołobrzescka bitwa pod względem zaangażowanych w niej polskich dywizji oraz osiągniętych w niej zwycięskich wyników wielokrotnie przewyższała inne polskie bitwy na Zachodzie, gdzie jednak Prezydent uczestniczył w uroczystościach.

Jakie to jest mocno niesprawiedliwe ! Mam jednak nadzieję, że jeszcze doczekam tych dni, gdy Prezydent Rzeczypospolitej, Premier Rządu RP oraz Marszałkowie Sejmu i Senatu RP pokłonią się prochom polskich żołnierzy poległych w walkach o przekamianie Wału Pomorskiego, złożą wieńce na cmentarzu wojennym w Kołobrzegu i Siekierkach, bądź przejdą się berlińskim traktem po którym szli w pamiętnym 1945 roku polscy żołnierze szli w walkach ze Wschodu i pragnący wolnej, suwerennej i szczęśliwej Polski.

Żółte kaczęce nad Odrą i na podberlińskich łakach piły przecież tę samą polską krew co i czerwone maki na Monte Cassino.

Czyżby ci, którzy szli z " poza gór i rzek", z domu niewoli, z sowieckich łagrów, z pól, wiosek imiast Wołyńia i Podola doznali aż tak ogromnej komunistycznej indokryncji, że z zadowoleniem przyjęli jałtański dyktat, który zabierał im ich rodzinne stron, rodzinny dom oraz zagrody? Oni dążyli tam, jak mawiał Mickiewicz, "gdzie polskie znaki i broń".

Z konieczności i z przymusu i ja musiałem pójść do owego wojska będącego "poś skrzydłami Sowietów "

Zraktowałem to wówczas jako "malum necessarium" /zło konieczne / by służyć w Wojsku Polskim na naszym terenie i w tym systemie, Wojsku Polskim zwasalizowanym, ale przecież polskim, patriotycznym i katolickim.